Gustaw

HERLING-GRUDZIŃSKI

INNY ŚWIAT

LEKCJA LITERATURY

z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim
i Włodzimierzem Boleckim

w serii

LEKCJA LITERATURY

w sprzedaży

Witolda Gombrowicza
FERDYDURKE
z rozmową Jerzego Jarzębskiego i Andrzeja Zawadzkiego

Czesława Miłosza
DOLINA ISSY
z komentarzem Marka Zaleskiego

Czesława Miłosza
ZNIEWOLONY UMYSŁ
z rozmową Czesława Miłosza i Włodzimierza Boleckiego

Gustawa Herlinga-Grudzińskiego
INNY ŚWIAT
z rozmową Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i Włodzimierza Boleckiego

POETYCKIE AWANGARDY
Awangarda przedwojenna
ze wstępem Piotra Śliwińskiego

Gustawa Herlinga-Grudzińskiego
SKRZYDŁA OŁTARZA
Wieża i Pietà dell'Isola
z posłowiem Włodzimierza Boleckiego

wkrótce

Witolda Gombrowicza
IWONA, KSIĘŻNICZKA BURGUNDA. ŚLUB
z rozmowami Jerzego Radziwiłowicza, Grzegorza Jarzyny
i Piotra Gruszczyńskiego

Gustaw

HERLING-GRUDZIŃSKI

INNY ŚWIAT

ZAPISKI SOWIECKIE

LEKCJA LITERATURY

z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim
i Włodzimierzem Boleckim

МІНІСТЕРСТВО ОСВІТИ І НАУКИ УКРАЇНИ
Державний вищий навчальний заклад
Прикарпатський національний університет
імені Василя Стефаника
ЦЕНТР ПОЛОНІСТИКИ
i.к. 02125266
Centrum Polonistyczne
Ministerstwo Oświaty i Nauki Ukrainy
Narodowy Uniwersytet Przykarpacki
imienia Wasyla Stefanyka

Wydawnictwo Literackie

© Copyright by Gustaw Herling-Grudziński
© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2000
© Copyright for the Preface by Włodzimierz Bolecki

Okładkę i strony tytułowe projektował
Marcin Bruchnalski

Pomysł serii
Krzysztof Lisowski, Małgorzata Nycz

Redaktor prowadzący
Krystyna Zaleska

Redaktor techniczny
Bożena Korbut

Прикарпатський університет
ім. Василя Стефаника
БІБЛІОТЕКА
ІНВ. №.....

Książki Wydawnictwa Literackiego
oraz bezpłatny katalog można zamawiać:

ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 0-800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430-00-96
tel.: (+48-12) 619-27-70

ISBN 83-08-03230-3

„Mój *Bildungsroman*" *

(Rozmowa o *Innym Świecie*)

WŁODZIMIERZ BOLECKI: O genezie i recepcji *Innego Świata* mówiłeś obszernie w *Rozmowach w Dragonei*. Interpretacje, analizy i polemiki z *Innym Światem* znajdują się już w wielu publikacjach **. Chciałbym więc teraz — na użytek czytelników serii Lekcja Literatury — porozmawiać o twojej książce z odmiennej perspektywy, z perspektywy końca XX wieku. Często podkreślasz — za krytykiem włoskim Paolem Milano ***, który pierwszy użył tego określenia — że *Inny Świat* jest twoim *Bildungsroman*, że jest to książka o inicjacji dwudziestoletniego człowieka w totalitaryzm XX wieku. Czy mógłbyś to raz jeszcze skomentować?

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI: *Inny Świat* jest moim zasadniczym argumentem na rzecz tezy, którą od dawna głoszę, że wiek XX był wiekiem przeklętym — wiekiem ideologii totalitarnych. Wielu ludzi się z tym nie zgadza. Zwłaszcza ci, którzy totalitaryzm uważają za

---

* *Bildungsroman* (niem.) — dosł. powieść o formowaniu się, o kształtowaniu osobowości bohatera. Najbardziej znanym utworem tego typu jest powieść J.W. Goethego *Lata nauki i wędrówki Wilhelma Meistra*.

** Zob. Bibliografia na s. 32.

*** W *Dzienniku pisanym nocą* (10 marca 1985) Herling-Grudziński napisał: „Po ukazaniu się mojej książki we Włoszech znany włoski krytyk literacki Paolo Milano określił ją niemiecką definicją *Bildungsroman*. Chciałbym, aby kiedyś w przyszłości czytano *Inny Świat* jako *Bildungsroman* z odległej i zamkniętej epoki sowieckiej «cywilizacji więziennej»". Por. też: G. Herling-Grudziński, W. Bolecki *Rozmowy w Dragonei*, Warszawa 1997, s. 102, 148.

lokalną włosko-niemiecko-rosyjską „wysepkę" na morzu powszechnej szczęśliwości. Ta wysepka miałaby się na krótko wynurzyć z morza postępu po pierwszej wojnie światowej i szybko zniknąć po drugiej wojnie. Nie zgadzam się z taką interpretacją. Uważam, że obraz wieku XX jest zupełnie inny. Już na przełomie XIX i XX wieku zaczęły się nad Europą gromadzić chmury, które spowodowały straszną burzę totalitaryzmu na całym świecie. W Europie wszystko zaczęło się od rewolucji rosyjskiej w 1917 roku i błyskawicznie nastąpił przerzut idei totalitarnych na Włochy i Niemcy. Moim zdaniem, skutki rewolucji rosyjskiej — pod względem liczby ofiar i czasu trwania — były dla ludzkości znacznie bardziej katastrofalne niż nazizm w Niemczech czy włoski faszyzm.

Co to znaczy, że *Inny Świat* jest moim *Bildungsroman*? To znaczy, że jako dwudziestoletni chłopiec znalazłem się w samym środku totalitarnego wieku i że w łagrze sowieckim uczyłem się, na czym polega w praktyce ta „nowa moralność", którą postanowili wprowadzić w życie ideolodzy totalitaryzmu. Uczyłem się więc na własnej skórze, jakie są zasady, podstępy i zasadzki zastawione przez totalitaryzm na człowieka — i jakie wynikają z niego zagrożenia dla naszego człowieczeństwa.

Wyszedłem z łagru sowieckiego na tyle cały, że mogłem odnaleźć się w wolnym świecie i napisać tę książkę, ale wyszedłem tylko dlatego, że sprzyjały mi okoliczności wielkiej polityki. Gdyby nie tak zwany pakt Sikorski–Majski z 1941 roku, w którym Stalin zobowiązał się zwolnić z łagrów polskich obywateli, to w Jercewie, łagrze pod Archangielskiem, po prostu musiałbym umrzeć. Przed uwolnieniem znajdowałem się najdosłowniej w przededniu śmierci. Leżałem w baraku zwanym Trupiarnią, byłem „dochodiagą", czyli człowiekiem, który dochodzi już do kresu swego życia. W wieku dwudziestu lat nieczęsto zdarza się spojrzeć nie tylko śmierci w oczy, ale zajrzeć w jądro ciemności całego stulecia. Ja z taką świadomością wyszedłem z obozu, cały czas o wszystkim pamiętałem

i od pierwszej chwili, gdy się znalazłem w wojsku generała Andersa, chciałem o tym napisać książkę.

Zacząłem ją pisać w Anglii w 1949 roku i ukończyłem w roku następnym. To doświadczenie, które w niej przedstawiłem, ciąży nade mną do dzisiaj. Chciałbym, żeby ludzie młodzi, którzy mają tyle lat, ile ja miałem, gdy zetknąłem się w łagrze z „innym światem" komunizmu, zrozumieli to, o czym Hannah Arendt * pisze w książce *Korzenie totalitaryzmu* — nie jesteśmy zabezpieczeni przed powtórzeniem się totalitarnych potworności. Arendt posuwa się nawet do przypuszczenia, że rozwój środków technicznych umożliwia powtórkę totalitaryzmu, bo ułatwia wykonanie jego zbrodniczych idei. Za „moich czasów" realizacja takich planów ze względów „technologicznych" była dosyć trudna. Niemcy wykazali się tu niezwykłymi „zdolnościami", tworząc komory do gazowania ludzi, ale podobnymi „zdolnościami" wykazał się też system sowiecki. Na przykład przeprowadzenie w Sowietach planu deportacji milionów ludzi było potwornie trudnym zadaniem organizacyjnym. Podobnie stworzenie setek łagrów, które choć były

* Hannah Arendt (1906–1975) — filozof. Dzieciństwo spędziła w Królewcu, w latach 1924–1929 w Niemczech studiowała grekę, teologię oraz filozofię pod kierunkiem najwybitniejszych filozofów tamtej dekady: Edmunda Husserla, Martina Heideggera i Karla Jaspersa. Po dojściu Hitlera do władzy, w 1933 r. opuściła Niemcy i zamieszkała w Paryżu, a po zajęciu Francji przez wojska niemieckie wyjechała do USA, gdzie wykładała na wielu uniwersytetach. Jej najsłynniejsze książki to: *The Origins of Totalitarianism* (1951; wyd. uzupełnione 1958; wyd. polskie *Korzenie totalitaryzmu*, przeł D. Grinberg, M. Szawiel, Warszawa 1989), *The Human Condition* (1958); *Between Past and Future* (1961); *On Revolution* (1965; wyd. pol. *O rewolucji*, przeł. M. Godyń, Kraków 1991), *Eichmann in Jerusalem. A Report on Banality of Evil* (1963; wyd. pol. *Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła*, przeł. A. Szostkiewicz, Kraków 1987), *The Life of the Mind*: t. 1. *Thinking*; t. 2. *Willing* (1971; wyd. pol. 1. *Myślenie*, przeł. H. Buczyńska-Garewicz, Warszawa 1991; 2. *Wola*, przeł. R. Piłat, Warszawa 1996). Herling-Grudziński w *Dzienniku pisanym nocą* wielokrotnie powołuje się na książki H. Arendt *Korzenie totalitaryzmu* oraz *Eichmann w Jerozolimie*.

bardzo prymitywne, wymagało jednak najpierw zbudowania baraków, otoczenia ich drutem kolczastym, a potem stałego dowożenia więźniów. Podłoże ekonomiczne planu sowieckiego sprowadzało się do maksymalnego wykorzystania łagierników do pracy, która ich ostatecznie miała wyniszczyć. Sowieci przekonali się bardzo szybko, że niewolnik źle pracuje, że jest mało wydajny, więc tę słabą wydajność zastępowali ilością więźniów skazywanych na pobyt w obozach koncentracyjnych.

Gdy wkrótce po klęsce wrześniowej znalazłem się w łagrze, byłem jeszcze chłopcem. Teraz, gdy mam już ponad osiemdziesiąt lat, jestem świadkiem wygasania totalitaryzmu i narodzin wiary w nowe możliwości rozwoju, jak choćby jednoczenie się Europy. Nie jestem czarnowidzem, ale zachowałem świadomość, że mimo tych pozytywnych zmian ciągle wisi nam nad głową niebezpieczeństwo. Kto dziś mówi — jak amerykański publicysta Fukuyama* — że historia się skończyła, jest, mówiąc delikatnie, człowiekiem naiwnym. Wystarczy przypomnieć, że wkrótce po opublikowaniu przepowiedni tego „proroka" wybuchła wojna na Bałkanach, która była klasycznym pokazem totalitaryzmu w wydaniu postkomunistycznym. Totalitaryści wszystkich odcieni uzurpują sobie prawo do robienia z jednostkami i narodami tego, czego chcą. Czystki etniczne Miloševicia są typowym przykładem totalitaryzmu, który wcześniej praktykowali Rosjanie i Niemcy. To jest klasyczna „czkawka" totalitarna. Podobnie jest w innych częściach świata, na

* Francis Fukuyama — politolog, publicysta amerykański. W 1989 r. opublikował artykuł pt. *Koniec historii?*, który zrobił międzynarodową karierę, został przetłumaczony na wiele języków. Fukuyama twierdził w nim, że rewolucje lat 80. oznaczają koniec Historii rozumianej jako walka między antagonistycznymi systemami społecznymi. Historia ma być odtąd rozpatrywana jako konflikty wewnątrz demokracji opartej na ideach liberalizmu. Fukuyama rozwinął swoje tezy w książce pt. *The End of History and the Last Man* (1992, wyd. pol. *Koniec historii*, przeł. T. Bieroń i M. Wichrowski, Poznań 1996).

przykład w Afryce. Dlatego chciałbym, żeby młodzi ludzie, wierząc w postęp ludzkości, mieli świadomość, że nadal żyjemy w świecie niebezpiecznym. Doskonale to określił Bertrand Russell w swoim pięknym szkicu zatytułowanym *Portret Conrada*: musimy pamiętać, że chodzimy po cienkiej warstwie lodu, który w każdej chwili może się załamać. Conrad w swojej twórczości o tym pamiętał.

W.B.: Należysz do pierwszego pokolenia Polaków urodzonych w niepodległej II Rzeczypospolitej. Twoje pokolenie przed rokiem 1939 wierzyło, że czas zaborów, likwidowania państw i ich niepodległości przez wielkie mocarstwa skończył się bezpowrotnie wraz z I wojną światową. Równocześnie wierzyliście w postęp, w demokrację, w konieczność stałego poprawiania instytucji państwowych, po to by ludzie żyli godniej, by systemy społeczne służyły ludziom, dawały im poczucie bezpieczeństwa i sprawiedliwości. Rozczytywałeś się w książkach Ignazia Silonego, w utopiach Stefana Żeromskiego. Z tego przecież wzięło się twoje licealne, przelotne zainteresowanie ideami komunistycznymi. I z wiarą w te idee zostajesz nagle wrzucony w centrum systemu sowieckiego. Czy czułeś się w jakikolwiek sposób do tego przygotowany?

G.H-G.: Nie, nie byłem przygotowany. To było wpadnięcie w przepaść. Co prawda kilka lat przed wojną miałem nieokreślone uczucie, że idziemy w niewłaściwym kierunku. Nawet się dziwiłem, że ludzie ode mnie starsi jakby tego nie zauważali. Nie miałem tych wątpliwości do piętnastego, szesnastego roku życia, ale potem było ich coraz więcej. Jako młody człowiek wierzyłem, że Polska się rozwija, krzepnie, rośnie — patrzyłem w przyszłość z optymizmem. Dwudziestolecie międzywojenne było oczywiście pełne czarnych plam, posunięć haniebnych, których nie należy przemilczać: należy mówić o Brześciu, o Berezie, o Zaolziu, o mocarstwowym traktowaniu mniejszości narodowych i tak dalej. Ale należy też pamiętać o drugiej stronie Dwudziestolecia — to było cudowne odzyskanie niepodległości po latach niewoli,

które nam uderzyło do głowy. Jedni w patriotycznej euforii poświęcali się pracy dla państwa — tego zjawiska już dziś nie ma. Inni natomiast, zwłaszcza gdy znajdowali się na tak zwanych stanowiskach państwowych, robili czasem rzeczy nieprzyzwoite. Ale mimo mojego antysanacyjnego nastawienia, pod słynnym przemówieniem ministra Becka* w sejmie w maju 1939 roku podpisałbym się oburącz. Wracając jednak do twojego pytania — dla mnie zetknięcie się z ustrojem sowieckim było szokiem.

W.B.: W którym momencie poczułeś, że „wpadasz w przepaść"? We Lwowie w 1939 roku? W 1940 roku, gdy NKWD aresztowało cię w Grodnie? Później? Wcześniej?

G.H-G.: Już we Lwowie — jesienią 1939 roku. Wtedy zrozumiałem, jaka jest istota ustroju sowieckiego. Mimo że byłem bardzo młody, już wtedy zorientowałem się, że przedstawiciele władzy sowieckiej zrobili ze Lwowa poligon, na którym wypróbowywali wytrzymałość inteligencji polskiej. I doszli do trafnych wniosków, że można ją ujarzmić i zniewolić. Co natychmiast zaczęli robić po wkroczeniu do Polski w 1944 roku. I — jak wiemy — udało im się to ostatecznie w latach pięćdziesiątych.

W.B.: Czy gdy byłeś we Lwowie w 1939 r., wiedziałeś już o istnieniu łagrów w ZSRR?

G.H-G.: Tak, już wiedziałem. Wiedziałem też o procesach moskiewskich, bo jeszcze przed wojną czytałem o nich w gazetach. Tuż przed wojną wyszły w Polsce dwie książki, które dawały „przedsmak" tego, czym jest łagier sowiecki. Autorem pierwszej był rozczarowany komunista

---

* Józef Beck (1894–1944) — ostatni minister spraw zagranicznych II Rzeczypospolitej. Gdy Hitler zażądał przyłączenia Gdańska do III Rzeszy oraz eksterytorialnej autostrady z Niemiec do Prus Wschodnich (tzw. „korytarza"), min. Beck 5 maja 1939 r. wygłosił w sejmie swoje najsłynniejsze przemówienie, w którym stwierdził: „Pokój [...] ma swą wysoką cenę, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenną, tą rzeczą jest honor".

Panait Istrati, a drugiej Sołoniewicz*. Kto chciał, mógł te książki przeczytać, choć wielu uważało je za propagandę, a nawet za kłamstwo. Doszło do tego, że nie wierzono nawet artykułom o głodzie na Ukrainie w latach 1932/1933, pisanym przez świetnego znawcę spraw sowieckich Ryszarda Wragę**. Uważano go po prostu za fantastę.

W.B.: W połowie 1940 roku znalazłeś się w łagrze. Czym wtedy był dla ciebie łagier?

G.H-G.: Łagier był narzędziem zabijania przez władze sowieckie niewygodnych dla nich ludzi. Był narzędziem ludobójstwa przeprowadzanego z różnych powodów — klasowych, politycznych, ideologicznych i tak dalej. Szałamow na przykład poszedł pierwszy raz do łagru za głoszenie prawdy o tak zwanym testamencie Lenina***, za co dostał trzy lata. Ale już kilka lat później mówienie o tym testamencie stało się w oczach Stalina tak straszną zbrodnią, że za to „przestępstwo" skazywano na rozstrzelanie. Więc gdy znalazłem się w 1940 roku w łagrze, uderzyło mnie, że jego istotą jest zamykanie w nim ludzi przeznaczonych na wyginięcie, na śmierć. W niemieckich obozach zagłady prawie natychmiast prowadzono więźniów do komór i zagazowywano ich. W łagrach sowieckich droga do śmierci trwała długo, niekiedy kilka, kilkanaście lat. Sowietom chodziło o maksymalne wykorzystanie siły roboczej. Więźniowie łagrów mieli umrzeć, ale wcześniej mieli za darmo, jako niewolnicy, pracować dla państwa. Na tym polegała różnica. Kiedy dziś mó-

---

* Panait Istrati, *Żagiew i zgliszcza*, z upoważnienia autora opracował K. Rychłowski, Lwów 1931; Iwan Sołoniewicz, *Rosja w obozie koncentracyjnym*, Lwów 1938.

** Ryszard Wraga (1902–1968) — oficer kontrwywiadu i wywiadu II Rzeczypospolitej, tzw. II Oddziału. Sowietolog i publicysta, współpracownik paryskiej „Kultury".

*** Testament Lenina — potoczne określenie notatki Lenina sporządzonej przed śmiercią, przestrzegającej władze partii bolszewickiej przed wyborem Józefa Stalina na stanowisko sekretarza generalnego partii ze względu na cechy jego charakteru.

wię, że komunizm i nazizm były „bliźniakami totalitarnymi", to mi odpowiadają: „Jak to? Przecież w ZSRR nie było komór gazowych!" To jest oczywiście prawda, że ich nie było, ale Szałamow, który w łagrze na Kołymie przeżył siedemnaście lat, nazwał sowieckie łagry „białymi krematoriami". To jest dokładnie to, o czym mówię.

W.B.: Bolszewicy, tworząc system komunistyczny, rozgłaszali, że tworzą „nowe społeczeństwo" i „nowego człowieka". Jednak od pierwszych „godzin" tworzenia tego nowego ustroju organizowano monstrualny system niewolniczy na nie znaną wcześniej skalę. Pierwsze obozy pracy przymusowej bolszewicy założyli już na początku 1918 roku.

G.H-G.: Oczywiście. Te wszystkie gadania o ustroju „równości" i „sprawiedliwości" i tak dalej były wyłącznie propagandą. Natychmiast po wybuchu rewolucji powstała „nowa klasa wyzyskiwaczy" — jak nazwał ją Milovan Dżilas — która w ustroju sowieckim zastąpiła dawną arystokrację. Oczywiście, istniał wówczas w ludziach pęd do tworzenia nowego świata, wiara, że stworzy go socjalizm. Znakomicie opisał te marzenia ludzi rosyjski pisarz Andriej Płatonow. Ale bardzo szybko okazało się, że marzenia zamieniły się w najstraszniejsze rozczarowanie. Nie należy przy tym zapominać, że ustrój carski wywoływał u ludzi niechęć i bunt. Więc krytyka ustroju carskiego prowadziła wielu ludzi w sposób naturalny do wiary w rewolucję jako jedyny sposób naprawy świata. Ale okazało się, że zamiast naprawy czy budowy lepszego świata bolszewicy urządzili w Rosji krwawą łaźnię. Lekarstwo okazało się gorsze od choroby.

W.B.: Historycy rosyjscy, Heller i Niekricz, zatytułowali swoją książkę *Utopia u władzy* *.

G.H-G.: Doskonały tytuł! Wiara w utopię była od końca XIX wieku źródłem i motorem rewolucji.

---

* Michał Heller, Aleksander Niekricz, *Utopia u władzy. Historia Związku Sowieckiego* (1982), wyd. pol. Wydawnictwo Polonia, Londyn 1985, przeł. A. Mietkowski.

W.B.: Ale ta wiara nie zakładała zwycięstwa bolszewizmu.

G.H-G.: Oczywiście że nie. Zakładała jedynie, że ustrój carski jest spróchniały i trzeba go czymś zastąpić. Wiara w obalenie starego świata była wspólna dla bardzo różnych partii. Największą partię rewolucyjną w Rosji tworzyli tak zwani „eserzy", czyli socjaliści-rewolucjoniści, a nie bolszewicy. Bolszewicy na skutek splotu najdziwniejszych przypadków po prostu przechwycili władzę, a gdy ją utrwalili, to zaczęli mordować swoich przeciwników politycznych jako konkurentów do władzy — w pierwszym rzędzie właśnie eserów. To jest charakterystyczna cecha wszystkich partii totalitarnych. A co zrobił Hitler po zdobyciu władzy? Zlikwidował przywódców SA, których uważał za niebezpieczną konkurencję.

W.B.: Będąc w łagrze, odkryłeś, że jest to instytucja, w której odwrócono znaki wartości. Zobaczyłeś świat na opak, świat sprzeczny z tym, w którym cię wychowano. Jak przebiegała ta konfrontacja?

G.H-G.: Były dwa etapy w tej „edukacji". Pierwszy to przerażenie, drugi to powolne przyzwyczajanie się do tego, w co mnie wrzucono. Tak działają ustroje totalitarne. Najpierw walą mocno pałką w głowę, a potem tych, co przeżyją, przyzwyczajają dzień po dniu do swoich okrucieństw. Genialnie to opisał Szałamow. Spotykało się ludzi, którzy tym światem nasiąkali i wygadywali brednie w rodzaju „gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą". Przyjaźniłem się w Jercewie z inżynierem Białkowskim, który był wcześniej wiceministrem w którymś z rządów sowieckich i który do końca, do momentu, gdy zapadł na obłęd głodowy, twierdził, że łagry to „historyczna konieczność". Opisałem go w *Innym Świecie*.

W.B.: Żeby opisać inny świat, trzeba było jednak mentalnie tkwić poza nim, nie dać się wciągnąć w jego obłędną logikę.

G.H-G.: To było najważniejsze. Obserwowałem postawę rezygnacji u Rosjan, którzy dawali mi do zro-

zumienia swoim zachowaniem, że nic na to wszystko nie poradzimy, że tak już musi być, że taki jest po prostu ten potworny świat. Ale oczywiście nie wszyscy tak myśleli, bo na przykład Szałamow był w łagrach nieugięty, także Sołżenicyn. Inna była sytuacja Polaków, którzy *ex definitione* byli zbuntowani nie tyle przeciw komunizmowi, ile najzwyczajniej przeciw tym, którzy nas wsadzili do łagrów, najechali na nasz kraj i w przymierzu z Hitlerem zlikwidowali niepodległość Polski. W tym sensie nasza sytuacja w łagrze była łatwiejsza niż sytuacja Rosjan. Byliśmy po prostu zbuntowani już „w punkcie wyjścia". Ale przypuszczam, że gdyby to potrwało dłużej, Polacy przyzwyczailiby się do łagru tak samo jak wszyscy inni.

W.B.: Łagier był dla ciebie doświadczeniem nieważności różnic narodowych wobec wspólnego cierpienia.

G.H-G.: Dla mnie tak, ale nie dla wszystkich moich rodaków.

W.B.: Zobaczyłeś „miedzynarodówkę ofiar"?

G.H-G.: Miałem poczucie solidarności ze wszystkimi, których więziono w łagrach, nawet z tymi, którzy kiedyś byli komunistami i próbowali mi delikatnie dać do zrozumienia, że trzeba przeczekać ten etap komunizmu, a następny będzie lepszy. Miałem poczucie, że doświadczam cierpienia wspólnego losu ludzkiego. To było poczucie wspólnoty ze wszystkimi udręczonymi, niezależnie od powodów, z jakich znaleźli się w obozie. I miałem też inne odczucie, które mógłbym nazwać „egzystencjalnym" w metafizycznym sensie. Po prostu czułem, że wszędzie wokół mnie panoszy się potworne zło, którego w takiej skali i w takim stężeniu nigdy nie widziałem. Nie zdawałem sobie sprawy, że może istnieć. To było odczucie zła zorganizowanego i spotworniałego. I to jest zasadniczą treścią mojej książki.

W.B.: Czy wówczas miałeś poczucie, że to jest zło „demoniczne", czy zło banalne — tak jak je później opisała Hannah Arendt?

G.H-G.: Banalność zła odkryłem znacznie później. W Jercewie miałem poczucie, że jest to zło demoniczne, przed którym nie można się obronić. Zasadniczą postawą więźnia łagru sowieckiego było czekanie na nieuchronną śmierć z wyczerpania, z przemęczenia — jeśli nie przyszła wcześniej z rąk strażników. Ale typowa śmierć w łagrach była skutkiem zabijania pracą. Była to eksploatacja do końca. Chciałoby się powiedzieć „jak w systemie niewolniczym" — bo to określenie samo się nasuwa — ale paradoks polegał na tym, że o niewolnika trzeba dbać, żeby dobrze pracował. Nas natomiast niszczono pracą i głodem. Więźniów w łagrach nie chciano zachować przy życiu, chciano ich zabić warunkami obozowymi.

W.B.: Zakończenie *Innego Świata* jest integralnie wpisane w twoją filozofię człowieka, w konstrukcję i w sensy całej książki. Dla czytelników powinno być najzupełniej naturalne w sensie moralnym i logicznym. Tymczasem w recepcji *Innego Świata* pojawiały się głosy, że to zakończenie świadczy o twojej niezrozumiałej surowości, oschłości i obojętności na los więźnia, przyjaciela, który w Rzymie opowiada ci o swoim donosie na czterech innych więźniów i prosi cię o słowo „rozumiem". A ty milczysz. Ponieważ spory z zakończeniem pojawiają się co pewien czas, chciałbym, żebyś skomentował je wprost.

G.H-G.: Jeśli czytelnicy nie rozumieją tego zakończenia, to znaczy, że ani nie rozumieją tego, o czym opowiada *Inny Świat*, ani nie rozumieją sensu mojej opowieści o innym świecie. Smutne to, a nawet zdumiewające.

W.B.: Jak reagujesz na wypowiedzi takich czytelników?

G.H-G.: Z ogromnym zdziwieniem, tym bardziej że są to głosy czytelników, wydawałoby się, inteligentnych. Tymczasem ich krytyka zakończenia *Innego Świata* jest jakąś potworną, niezrozumiałą dla mnie banalizacją. Przecież w tym zakończeniu pokazuję różnicę między niewolą a wolnością, o czym zresztą wcześniej piszę wprost. Jaśniej chyba tego powiedzieć już nie można. Reguły wolności są po prostu inne niż reguły niewoli,

a ja w zakończeniu *Innego Świata* opowiadam, że odmawiam przyjęcia reguł niewoli, gdy już jestem na wolności. Wykładając rzecz wprost: gdybym w łagrze dowiedział się, co zrobił ten więzień, i gdyby w łagrze poprosił mnie o słowo „rozumiem", to być może wypowiedziałbym to słowo. Nie dlatego, żebym go zrozumiał i zaakceptował, lecz dlatego, że w tamtym miejscu, w tym innym świecie, po prostu „przełknąłbym" jego prośbę. Natomiast na wolności, gdzie żyłem już normalnymi ludzkimi uczuciami, miłością, przyjaźnią, gdzie świat opierał się na normalnych wartościach, na rozróżnianiu zła i dobra, kłamstwa i prawdy, nie mogłem wypowiedzieć słowa, o które mnie prosił. Po prostu nie byłem w stanie tego zrobić. Ale nie z niechęci, bo przecież lubiłem tego człowieka, a w więzieniu w Grodnie przyjaźniłem się z nim nawet bardzo serdecznie. Nie mogłem tego zrobić, ponieważ wydawało mi się to zdradą zasad świata, do którego powróciłem. Nie mogłem więc stosować się do zasad „innego świata", skoro żyłem już w świecie wolnym. Moja postawa w zakończeniu tej książki jest po prostu obroną sensu świata wolnego.

Gdy po raz pierwszy doszły do mnie głosy krytykujące zakończenie książki, zacząłem zadawać sobie pytanie, czy gdyby ofiary donosu mojego przyjaciela, ci czterej mężczyźni, których rozstrzelano, nie byli Niemcami, to czy reakcja byłaby taka sama? Gdyby na przykład byli Żydami, Hiszpanami, Rosjanami czy Polakami? Czy wtedy reakcja nie byłaby inna — czy nie twierdzono by wówczas, że moje milczenie jest zrozumiałe, bo ten facet, który doniósł na Żydów, Hiszpanów, Rosjan czy naszych rodaków, jest draniem? Obserwowałem po wojnie takie stwardnienie serca: „Co to ma za znaczenie — mówiono — że on zadenuncjował czterech Niemców. Ostatecznie przez nich znalazł się w łagrze, bo przecież Niemcy rozpętali wojnę". Moja własna siostra mówiła mi coś takiego: „Dlaczego mu nie wybaczyłeś?" Oczywiście, nie dodawała, „że przecież on zadenuncjował Niemców, któ-

rzy nas mordowali i tępili", bo taka argumentacja była nie do wymówienia, ale ja wtedy, zaraz po wojnie, czułem ten podtekst, że tu nie chodzi o ludzi, tylko o „czterech Szwabów". Ale dzisiaj takich zarzutów po prostu już nie rozumiem. Wydawało mi się, że pięćdziesiąt lat po wojnie w Polsce zasadniczo zmienił się stosunek do Niemców.

W.B.: Oczywiście, że się zmienił, ale może chodzi o coś innego? Może zmienił się też stosunek do donosu? Dla ciebie, w *Innym Świecie*, donos jest najpotworniejszą zbrodnią, którą człowiek popełnia przeciw innemu człowiekowi. A dziś mówi się: „A co tam donos, po prostu chwilowa słabość charakteru".

G.H-G.: Masz całkowitą rację, niestety. Dla nas wszystkich, łagierników, donos był zbrodnią potworną. Ale to, co mówisz, potwierdza moją tezę, że świat totalitarny został co prawda pokonany, ale bardzo głęboko wniknął w ludzi i pozostawił w nich swoje ślady. Dlatego pisałem w *Dzienniku*, że doświadczenie sowietyzmu, doświadczenie zła, trzeba wyciskać z siebie dzień po dniu. Pięćdziesiąt lat sowietyzmu to straszny ciężar, choć czasem niewidoczny. Moja nadzieja w tym, że młodzi ludzie, którzy kształtują się w wolnym świecie, nie będą mieli tego garbu, że będą innymi ludźmi. Słowem, że ich system wartości będzie normalny, że potrafią ocenić, czym jest donos, i nie będą go relatywizować, bo w tym jest największe niebezpieczeństwo. Sowietyzm i wszystkie ustroje totalitarne wsączają w ludzi relatywizację podstawowych wartości, dzięki którym rozpoznajemy się jako ludzie. Oczywiście, mój przyjaciel, który swoim donosem skazał na śmierć czterech niewinnych ludzi, nie zrobił tego bez powodu. To był kontrakt z władzami obozu, które w zamian za to obiecały mu, że uratuje swoje życie. To nie jest żadna okoliczność usprawiedliwiająca jego czyn, co najwyżej tłumacząca, ale nie zdejmująca z tego czynu piętna zbrodni. Potwornym wymysłem bolszewików była tak zwana „moralność rewolucyjna", którą tłumaczono najdziksze zbrodnie i łajdactwa, bo jakoby

sprzyjały rewolucji lub były popełniane w jej imieniu. Czyli całkowity brak moralności nazwano „moralnością rewolucyjną" i kazano ludziom w nią wierzyć. To był potwornie niebezpieczny zabieg, będący do dziś jednym z najbardziej zatrutych źródeł totalitaryzmu.

W.B.: To jest centralna kwestia nie tylko *Innego Świata*, ale także świata nam współczesnego. Bo jeśli u schyłku XX wieku wykształceni ludzie nie są w stanie zrozumieć tego, co wprost napisałeś pięćdziesiąt lat wcześniej, to co można powiedzieć o wieku, który się kończy?

G.H-G.: O to mi chodziło, taka była moja myśl, dlatego napisałem ten epilog. On jest w całości prawdą, a moi powojenni, tak zwani życzliwi krytycy dziwili się, dlaczego go napisałem. Mówili mi, że mogłem to przecież przemilczeć. Na pewno by mnie zrozumieli, gdybym napisał, że „po wyznaniu, jakie usłyszałem od mego przyjaciela, uścisnąłem go ze zrozumieniem i poszliśmy na wódkę"... Wierz mi, że musiałem wiele czasu stracić, by wielu ludziom wytłumaczyć, także mojej siostrze, jaka jest idea tego epilogu.

W.B.: Zaraz po wojnie taką lekturę można było jednak uznać za zrozumiałą.

G.H-G.: I wtedy to rozumiałem. Nie usprawiedliwiałem, ale dobrze rozumiałem. Ale dzisiaj nie rozumiem, tym bardziej że nie czepiają się mnie moi rówieśnicy, którzy pamiętają potworności wojny, ale ludzie urodzeni po wojnie, poruszający lekką ręką kwestie, które — w sensie moralnym — były dla nas kwestią życia i śmierci. I równie lekką nogą wkraczają w następne stulecie.

W.B.: To znaczy?

G.H-G.: To znaczy, że powinni wiedzieć, jaki jest ciężar XX wieku. Bo jeśli u schyłku tego stulecia są ludzie, którzy nie rozumieją sensu epilogu *Innego Świata*, to znaczy, że nie rozumieją tego, co się w tym wieku wydarzyło. I to potwierdza moją obawę, że to, co się stało w tym totalitarnym, ideologicznym stuleciu, jeszcze mo-

że się powtórzyć. Powtarzam — podtytuł książki Hannah Arendt*, „o banalności zła", jest genialny. To jest najmocniejsze ostrzeżenie.

W.B.: W *Dzienniku pisanym nocą* pisałeś też o banalności dobra...

G.H-G.: Użyłem tego określenia w związku z książką dziennikarza włoskiego pod takim tytułem, w której jest opowiedziana niezwykła, zaskakująca historia. Jest to opowieść o włoskim faszyście, członku partii faszystowskiej, który w Budapeszcie uratował trzy tysiące Żydów. Po prostu uważał za nonsens mordowanie Żydów przez nazistów. Po wojnie wrócił do swej rodzinnej Padwy i nie mógł zrozumieć, dlaczego jego czyn uważany jest za coś niezwykłego. Dla niego to był najbardziej naturalny, oczywisty obowiązek. Więc za autorem tej książki chciałem powiedzieć, że istnieje też banalność dobra. Ale do tego trzeba mieć jakąś naturalną dyspozycję.

W.B.: *Inny Świat* bardzo długo torował sobie drogę do czytelników.

G.H-G.: Rzeczywiście. Oprócz pierwszego wydania angielskiego, które było ogromnym sukcesem, w Europie wydawcy nie kwapili się do publikacji *Innego Świata*. Najdłużej zwlekali Francuzi i dlatego w 1985 roku Bernard Pivot powiedział w swojej audycji telewizyjnej, że niedopuszczanie tej książki do druku przez trzydzieści pięć lat jest hańbą Francji. Podobnie było we Włoszech. Ale dlaczego tak się działo? Dlatego, że wydawnictwami na Zachodzie rządzili wówczas tak zwani „sympatycy" komunizmu i Związku Sowieckiego. Nie negowali faktów, które opisałem, tylko nie pochwalali mówienia o nich. To była potworna hipokryzja. Mniejsza o konkretnych wydawców. To, co się działo, obciąża w pierwszym rzędzie inteligencję zachodnią, której społeczna rola polegać ma na mówieniu prawdy i sądzeniu rzeczywistości zgodnie

---

* H. Arendt, *Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła* (1963), przeł. A. Szostkiewicz, Kraków 1986.

z nią. A ta inteligencja zachowała się w tej sprawie w sposób karygodny. Albo udawała, że o niczym nie wie, albo wiedziała i uciekała od tego tematu, albo wiedziała i twierdziła, że wszystko jest w porządku. Nie chcę podawać nazwisk, ale wiem o luminarzach naszej literatury i filozofii, którzy w latach pięćdziesiątych po przeczytaniu *Innego Świata* twierdzili, że jest to dzieło nieprzeciętnej wyobraźni literackiej. Nie można nawet pomyśleć, żeby w Polsce ktoś o opowiadaniach Borowskiego na temat obozu Auschwitz powiedział, że są dziełem wyobraźni literackiej! A o łagrach sowieckich można było tak mówić. To są dziś rzeczy nie do uwierzenia.

W.B.: Istnieje w prawie międzynarodowym pojęcie „kłamstwa oświęcimskiego". Każdy, kto neguje istnienie obozów zagłady, komór gazowych, ludobójstwa popełnianego w Auschwitz, holokaustu i tak dalej, podlega oskarżeniu z urzędu o popełnienie przestępstwa. Równocześnie od końca wojny powszechnie tolerowane jest — nazwijmy to tak — „kłamstwo kołymskie". Można publicznie twierdzić, że w ZSRR nigdy nie było obozów koncentracyjnych, i żaden wymiar sprawiedliwości tym się nie zainteresuje.

G.H-G.: Niestety, to nie wywołuje żadnej reakcji. Albo weź przykład wybitnego podobno filozofa, z którym przyjaźnił się Miłosz, a który potrafił napisać, że tym głupim Polakom romantyzm trzeba wybić z głów kolbami sowieckich karabinów. Gdyby to dotyczyło nazistów, nikt nie mógłby bez obrzydzenia wymawiać jego nazwiska, ale ponieważ karabiny miały być sowieckie, to Tadeusz Juliusz Kroński * może uchodzić za wybitnego intelektualistę. Ja nie kwestionuję jego twórczości filozo-

---

* Tadeusz Juliusz Kroński (1907–1958) — historyk filozofii, autor *Rozważań wokół Hegla* (1960). W liście do Czesława Miłosza z 7 XII 1948 napisał: „My sowieckimi kolbami nauczymy ludzi w tym kraju myśleć racjonalnie bez alienacji". Zob. Cz. Miłosz, *Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami 1945–1950*, Kraków 1998.

ficznej, chętnie wierzę, że była wybitna, ale tym bardziej jest to dla mnie przerażające, bo tacy ludzie odegrali ogromną rolę w rozpowszechnianiu kłamstwa o gułagu, albo raczej w powstrzymywaniu głoszenia o nim prawdy. Dlatego Ignazio Silone, wybitny pisarz włoski, miał prawo powiedzieć na zjeździe Pen Clubu w Bazylei, w 1947 roku, że inteligencja nie odegrała roli, jaką powinna odegrać. Żyła przez lata w potwornym zakłamaniu. Toteż fakt, że *Inny Świat* jest tłumaczony na coraz to nowe języki i nadal wznawiany, dowodzi, że ta książka żyje, że jest potrzebna, że ludzie chcą znać prawdę o naszym potwornym stuleciu.

W.B.: Musiałeś jednak długo czekać na takie uznanie.

G.H-G.: Nawet bardzo długo i dobrze wiem, dlaczego. Kiedy *Inny Świat* ukazał się po angielsku, jeden z recenzentów po wyliczeniu pochwał pod moim adresem napisał zdanie, które mnie bardzo dużo nauczyło: „Kto wie, czy możemy w pełni wierzyć autorowi tej książki, ponieważ jest Polakiem, a Polacy bardzo nie lubią Rosjan". Wtedy zrozumiałem, że jeżeli o łagrach rosyjskich nie napisze podobnej książki Rosjanin, my, Polacy, z naszą wiedzą o obozach koncentracyjnych w Rosji nigdy nie przebijemy się do świadomości czytelników zachodnich. I to się sprawdziło, ponieważ moja książka zaczęła być uznawana dopiero po ukazaniu się wspaniałego dzieła Sołżenicyna *Archipelag GUŁag*. A przecież mój *Inny Świat* wyszedł trzydzieści lat przed książką Sołżenicyna! Historyczną zasługą Sołżenicyna jest to, że jego *Archipelag GUŁag* zmusił czytelników na Zachodzie do uznania prawdy o rzeczywistej naturze sowieckiego komunizmu.

W.B.: Ale chyba nie była to lekcja zbyt głęboka, skoro odrzucono rozmowę z tobą, która miała być przedmową do *Opowiadań kołymskich* Szałamowa *?

---

* Włoskie wydawnictwo Einaudi przygotowało wydanie opowiadań o łagrach sowieckich rosyjskiego pisarza Warłama Szałamowa

G.H-G.: Słusznie. To bardzo charakterystyczny epizod w dziejach wiedzy o „innym świecie" u schyłku naszego stulecia. Tym, z czym włoski wydawca Einaudi nie mógł pogodzić się w moich wypowiedziach o Szałamowie, było pojęcie „bliźniąt totalitarnych", czyli zestawienie komunizmu z nazizmem. Mówiąc inaczej — co prawda u schyłku wieku XX wiedza o sowieckich obozach koncentracyjnych została już przyjęta do wiadomości, ale istnieje absolutny opór wobec porównywania zbrodni komunistycznych z bestialstwami hitlerowców. Wydawnictwo, o którym mówię, kiedyś było bardzo lewicowe, dość powiedzieć, że zmarły niedawno jego właściciel nosił się z zamiarem opublikowania w luksusowym wydaniu pism Żdanowa. Do tego wydania nie doszło, niemniej to coś mówi o mentalności włoskich intelektualistów. Odnoszę wrażenie, że są wśród nich ludzie, którzy nadal nie rozumieją, czym był komunizm, i nie wyciągnęli żadnych wniosków z faktu, że został on odrzucony w Europie Wschodniej — nawet w samej Rosji.

W.B.: A co sądzisz o publikacji tzw. *Czarnej księgi komunizmu* *, w której historycy analizują zbrodnie systemu komunistycznego — także takie, o których ty pisałeś pół wieku temu w *Innym Świecie*?

G.H-G.: Uważam publikację tej księgi za niezwykle ważne wydarzenie i sądzę, że może ona odegrać rolę podobną do *Archipelagu GUŁag* Sołżenicyna. Ważne jest to, że ci historycy systematycznie, na podstawie

---

pt. *Opowiadania kołymskie*. Wstępem do tego tomu miała być rozmowa Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i dziennikarzy Piera Sinattiego oraz Anny Rafetto przeprowadzona w Neapolu 20 czerwca 1998. Wydawnictwo odrzuciło jednak proponowany materiał. O tym fakcie, jako o skandalu, pisała obszernie prasa włoska. Herling-Grudziński, Rafetto i Sinatti opublikowali swoją rozmowę w osobnej książeczce. Polskie wydanie ukazało się w kwartalniku „Przegląd Polityczny", Gdańsk 1999, nr 42.

* *Czarna księga komunizmu. Zbrodnie, terror, prześladowania*, red. Stéphane Courtois (1997), wyd. polskie Warszawa 1999, tłum. różni.

dokumentów, opisali zbrodnie komunizmu. Po wydaniu tej *Księgi* nie będzie już możliwe to, co było dla nas, emigrantów ze wschodniej Europy, zmorą, a mianowicie — niemożliwe będzie negowanie naszego doświadczenia w ZSRR i zbrodniczości tego ustroju. Ta *Księga* jest dla mnie bardzo ważna, ponieważ pokazuje, że mam rację mówiąc o „bliźniakach totalitarnych", o dwóch ustrojach, które w XX wieku odpowiadają za zorganizowanie największego ludobójstwa w dziejach ludzkości. Taki był ten wiek — ideologiczny wiek totalitarny. Chodzi o to, żeby ci, którzy wkraczają w następne stulecie, nie zapomnieli, jaki naprawdę był wiek, który się teraz kończy.

W.B.: W opisywaniu komunizmu dwa tytuły odegrały w Polsce wielką rolę i weszły do potocznej polszczyzny: twój *Inny Świat* i *Zniewolony umysł* Czesława Miłosza. Te dwie książki opisują to samo doświadczenie z dwóch różnych perspektyw. W *Dzienniku pisanym nocą* parokrotnie polemizowałeś z książką Miłosza. Czy mógłbyś spojrzeć dziś na nią inaczej. A mianowicie: jak u schyłku XX wieku wygląda *Zniewolony umysł* z perspektywy *Innego Świata*?

G.H-G.: Natychmiast po ukazaniu się książki Miłosza doceniłem jej wielkość. Jest to książka niewątpliwie znakomicie napisana, po prostu pisarski majstersztyk, i jej sukces literacki był i jest nadal absolutnie zasłużony. Ale napisałem też od razu, że moim zdaniem — zdaniem kogoś, kto doświadczył sowieckiego łagru — ta książka nie mówi prawdy o zjawisku komunizmu. Jej fałsz polega moim zdaniem na tym, że dobudowuje temu systemowi takie treści, na które realny komunizm po prostu nie zasługuje. A w ten sposób — pośrednio — jakby go usprawiedliwia. Ludzie, którzy polemizowali z *Innym Światem*, w pewnym momencie zawsze powoływali się na *Zniewolony umysł* Miłosza i mówili: „pan pisze o zbrodniach, a przecież Miłosz pokazuje, jak bardzo skomplikowane zjawiska psychologiczne miały miejsce w komunizmie". Niewątpliwie, miały miejsce, ale

według mnie były to zjawiska marginalne i bez żadnego znaczenia dla opisu istoty komunizmu jako systemu. Ludzie, których Miłosz opisał w *Zniewolonym umyśle*, i on sam, przecież doskonale wiedzieli, co się działo w Związku Sowieckim. Może to zabrzmi nieskromnie, ale moim zdaniem zasługą takiej książki jak *Inny Świat* i jej podobnych, na przykład *Opowiadań* Szałamowa czy *Archipelagu GUŁag* Sołżenicyna, było to, że przekreśliły to pseudofilozoficzne alibi dla komunizmu. Po ukazaniu się *Zniewolonego umysłu* wielu ludzi powoływało się na tę książkę właśnie jako na alibi, twierdząc, że upraszczam, pisząc, że poparcie dla komunizmu związane było ze strachem przed terrorem, przed więzieniem, przed represjami, że wynikało z oportunizmu, z ambicji, z próżności, czy nawet z najzwyklejszych korzyści materialnych polegających na chęci uzyskania od państwa wysokich honorariów, pensji, mieszkań i tak dalej. Tymczasem Miłosz dostarczył argumentów — powtarzam jeszcze raz, znakomicie napisanych — że to „komunizanctwo" było wynikiem bardzo głębokich i subtelnych procesów duchowych. Taki jest też punkt widzenia profesora Andrzeja Walickiego w jego książce *Spotkania z Miłoszem* *. A ja twierdzę, że było to zjawisko w swoim mechanizmie bardzo prymitywne. Ludzie, których znałem, z którymi się przyjaźniłem i którzy mnie odwiedzali w latach stalinowskich, jak się dochodziło do tego tematu, rzadko posługiwali się argumentami Miłosza — ale oczywiście byli i tacy — natomiast w zdecydowanej większości mówili wprost: „przecież ja mam rodzinę na utrzymaniu", „coś muszę robić, bo mnie zniszczą", „z nimi nikt nie wygra", i tak dalej. Jednym

* Andrzej Walicki (ur. 1930) — filozof, historyk idei, profesor, wykładał m.in. na uniwersytetach w Australii, USA, Japonii. Autor kilkunastu książek tłumaczonych na wiele języków. Swojej znajomości z Czesławem Miłoszem i *Zniewolonemu umysłowi* poświęcił dwie książki: *Spotkania z Miłoszem*, wyd. Aneks, Londyn 1985, oraz *Zniewolony umysł po latach*, Warszawa 1993.

słowem, dla mnie, jako dla człowieka, który poznał na własnej skórze, czym jest ten inny świat sowiecki, książka Miłosza — przy wszystkich jej zaletach — jest po prostu fałszywa. Toteż dziwię się Miłoszowi, który jest wielkim pisarzem, że jeszcze dzisiaj, po tym wszystkim, co zostało ujawnione na temat ogromu zbrodni sowieckich, tak bardzo się upiera przy swojej koncepcji „zniewolonego umysłu" — przy tych wszystkich „pigułkach Murti-Binga", „Ketmanach", „Nowych Wiarach" i tak dalej. Co prawda, w rozmowach z Renatą Gorczyńską * zdaje się przyznawać mi rację, ale zaraz zaznacza, że przecież naprawdę byli tacy ludzie, jakich opisał w *Zniewolonym umyśle*. Oczywiście, że byli i tacy, ja tego nie neguję, ale rzecz w tym, że mechanizm ich akceptacji stalinizmu był bardziej praktyczny niż tylko subtelne dywagacje filozoficzne na temat historycznej konieczności. Ci intelektualiści po prostu dokonali wyboru — zrozumieli, że jeśli chcą wejść w ówczesny obieg kulturalny, to muszą identyfikować się z partią komunistyczną. To był układ, za który trzeba było zapłacić zniewoleniem umysłu. Kiedy dziś czytam, że Miłosz broni swej teorii sprzed pół wieku, to mam wrażenie, że podpiera się jedynie deklaracjami profesora Walickiego, potwierdzającego własną biografią prawdziwość *Zniewolonego umysłu*. No, bo jeśli tak wielki uczony przyznaje się, że uprawiał Ketman — zdaje się sądzić Miłosz — to ta książka musi być prawdziwa i nie ma powodu wyrzekać się jej tez.

Czytałem w Lekcji Literatury twoją rozmowę z Miłoszem na temat *Zniewolonego umysłu* **. W pewnej chwili Miłosz przywołuje nasz spór z lat pięćdziesiątych i mówi, że ja uległem jakimś wpływom londyńskim. To jest nonsens, bo przecież ja wtedy mieszkałem już w Neapolu,

---

* Zob. R. Gorczyńska (E. Czarnecka), *Podróżny świata. Rozmowy z Czesławem Miłoszem. Komentarze*, Kraków 1992.

** Zob. *Strach przed odpłynięciem okrętu. (Rozmowa o „Zniewolonym umyśle")*. Wstęp do: Cz. Miłosz, *Zniewolony umysł*. Lekcja Literatury, Kraków 1999.

a pisałem w „Kulturze". A poza tym, przecież w Londynie mieszkali też inteligentni ludzie, którzy rozumowali dokładnie tak jak ja. I nie dlatego, że należeli do tak zwanej emigracji londyńskiej, tylko po prostu mieli inne niż Miłosz poglądy na komunizm. Nikogo z Polaków nie kompromituje fakt, że po wojnie mieszkał w Londynie. Powtarzam ci — to jest ważna i wspaniale napisana książka, ale świadectwa ludzi i historia pokazują, że przedstawiona w niej koncepcja Ketmanu jest wymyślona. Jest fikcją, a nie prawdą o innym świecie.

W.B.: Nic w książce Miłosza nie jest prawdziwe?

G.H-G.: No nie, oczywiście, że różne szczegółowe uwagi są bardzo trafne. Odrzucam tylko ogólną koncepcję.

W.B.: Ale Miłosz mówi w naszej rozmowie wprost, że mechanizm zniewalania umysłów, który opisał za pomocą metafor „pigułek Murti-Binga" czy „Ketmanu", stosował się do maleńkiej grupy ludzi, do intelektualistów, z którymi on utrzymywał kontakt, natomiast reszta społeczeństwa miała do komunizmu zupełnie inny stosunek.

G.H-G.: Z tym się mogę zgodzić. To mnie przekonuje. Ale dopowiem od razu, że tym intelektualistom metafory wymyślone przez Miłosza były potrzebne jak proteza kulawemu. Umożliwiły im wytłumaczenie, że wejście do komunistycznego establishmentu kulturalnego, żeby drukować książki i ciągnąć profity z publicznego popierania Stalina, wymagało głębokich przeżyć psychologicznych i subtelnych refleksji filozoficznych. Ja takie tłumaczenie zawsze odrzucałem i nadal odrzucam. Pytasz mnie, jak wygląda *Zniewolony umysł* z perspektywy *Innego Świata*? Moim zdaniem, rzeczywisty „inny świat" degradował wszystkich ludzi, natomiast koncepcja „zniewolonego umysłu" nobilituje jego wyznawców.

To było widoczne także w recepcji naszych książek na Zachodzie. Książka Miłosza miała wielkie powodzenie. Lewicowi zachodni inteligenci, którzy czekali na proste wytłumaczenie tego, co się dzieje na Wschodzie, czyli faktu, że intelektualiści w krajach komunistycz-

nych masowo popierają Stalina, otrzymali w *Zniewolonym umyśle* znakomicie napisane i inteligentne wyjaśnienie, a przede wszystkim — zaspokajające ich oczekiwania. Koncepcja Miłosza budziła w nich zaufanie, bo chcieli coś takiego usłyszeć. Zrozumiałem to na przykładzie komentarza Ignazia Silonego, z którym rozmawiałem o książce Miłosza i który mi wprost powiedział: „To wygląda wiarygodnie".

Oni najpierw czytali *Ciemność w południe* Koestlera, a gdy potem przeczytali *Zniewolony umysł*, to wszystko im się zgodziło. Natomiast mój *Inny Świat* brutalnie przekreślał te pseudofilozoficzne uzasadnienia. Większość intelektualistów zachodnich nie mogła tego znieść. Dlatego na przykład Francuzi zwlekali trzydzieści pięć lat z wydaniem mojej książki. To o czymś świadczy.

W.B.: Rysuje się tu chyba istotna różnica w stosunku do komunizmu u ciebie jako autora *Innego Świata* i Miłosza jako autora *Zniewolonego umysłu*. Ta różnica jest konsekwencją odmienności waszych doświadczeń życiowych. Ty doświadczyłeś na własnej skórze zarówno komunizmu jako systemu, jak i pobytu w łagrze. Natomiast Miłosz nie doświadczył systemu sowieckiego tak jak ty, a co więcej, jego znajomość okresu stalinowskiego w Polsce była bardzo krótka. Kiedy w Polsce zaczynał się stalinizm, Miłosz wyjechał do USA, potem był w Polsce bardzo krótko i znów wyjechał — tym razem na stałe. Jego opis sowietyzmu nie jest więc opisem biograficznym w sensie dosłownym, nie jest też opisem kogoś, kogo ten system naznaczył tak, jak ciebie naznaczył łagier. Opis komunizmu w *Zniewolonym umyśle* jest konstrukcją intelektualisty, który na komunizm patrzy bardziej z perspektywy filozoficzno-psychologicznej i historiozoficznej niż z perspektywy ofiary. A ty patrzysz z perspektywy ofiary, która w ostatniej chwili cudem uniknęła śmierci. To są zasadniczo odmienne punkty widzenia.

G.H-G.: Zgadzam się. Kiedy Miłosz opisuje swoje kontakty z „Tygrysem", czyli Juliuszem Krońskim, to

widać, że jest to dialog dwóch intelektualistów, z których jeden drugiego przekonuje do marksizmu i do konieczności systemu komunistycznego. Więc w tym sensie teza *Zniewolonego umysłu* jest prawdziwa, bo Miłosz był w pewnym momencie filozoficznie przekonany do nieuchronności tego, co się stało w Europie pod nazwą „historycznej konieczności". W tym zakresie *Zniewolony umysł* jest na pewno prawdziwy, ale to był — powtarzam — zakres bardzo wąski.

Jednak jeden z rozdziałów *Zniewolonego umysłu*, ten poświęcony Tadeuszowi Borowskiemu, wydaje mi się bliski prawdy. Borowski wyszedł z Auschwitz wypalony. Dla niego akces do komunizmu był formą reakcji na przeżycia obozowe. To nie dotyczy pozostałych bohaterów *Zniewolonego umysłu*, ale ten akurat uważam za wyjątkowo trafny. Miłosz pisze w nim o „nieszczęśliwym kochanku historii" i tak niewątpliwie było. No i ten „nieszczęśliwy kochanek" skończył w komunizmie tak, jak skończył — popełnił samobójstwo.

W.B.: Czy będąc w Rosji, w łagrze, spotkałeś takie postaci, które opisuje Miłosz w *Zniewolonym umyśle* — które były „nieszczęśliwymi kochankami historii"?

G.H-G.: Nie, nigdy. Spotkałem jedynie komunistów, którzy mieli problem rozwodu z komunizmem. Niektórzy z nich oczywiście bredzili, że „gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą" albo że „sen ich młodości okazał się wielkim rozczarowaniem", i tak dalej.

Aleksander Wat, który znał Rosję i którego zapytałem o książkę Miłosza, dał mi jasno do zrozumienia, że odnosi się do niej z wielką rezerwą. A przecież on sam mógłby chcieć się odnaleźć w interpretacji Miłosza. Nic z tych rzeczy! Wat miał przeszłość, która go wystawiała na sztychy, bo sympatyzował przed wojną z komunistami, w czasie wojny poznał strach przed terrorem sowieckim i siedział w sowieckich więzieniach, w 1939 roku i po wojnie robił rozmaite koncesje, ale ponieważ był człowiekiem bardzo mądrym, to doskonale wiedział, co

naprawdę jest grane. Oglądałem fotografie Wata, gdzie go widać uśmiechniętego na tle różnych sowieciarzy zarządzających polską nauką czy kulturą albo podczas kongresu „zjednoczeniowego" PPS i PPR w 1948 roku, i myślałem sobie, że ten człowiek doskonale wiedział, o co w tym wszystkim chodzi — po prostu walczył o życie.

W.B.: Czy Wat czytał *Inny Świat*?

G.H-G.: Tak! Nawet specjalnie przyjechał do Neapolu, żeby o tym porozmawiać. Przebywał wtedy na Sycylii i przysłał mi list. To był nasz pierwszy kontakt, bo ja go przed wojną nie znałem. Napisał wtedy, że właśnie skończył *Inny Świat* i koniecznie chce ze mną porozmawiać. Przyjechał, bardzo mi się od razu spodobał i nawiązaliśmy długotrwałą przyjaźń. Były w niej różne etapy, ale zawsze niezwykle go ceniłem dla jego wspaniałej inteligencji i erudycji. Wat doskonale wiedział, co to jest komunizm, i dlatego bezbłędnie rozumiał, o czym jest moja książka. Nie wiem, czy rozmawiał z Miłoszem o *Zniewolonym umyśle*, wiem tylko, jaka była jego reakcja, gdy go o tę książkę zapytałem. Po prostu uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Więc ludzie, którzy mieli rzeczywiście ciężkie, biograficzne doświadczenia z „innym światem", którzy go doznali na własnej skórze, traktowali *Zniewolony umysł* tak jak Wat. Albo po prostu znali codzienność komunizmu — tak jak ten „prosty nauczyciel", o którym Miłosz opowiadał Gorczyńskiej i który miał powiedzieć po 1956 roku znajomym Miłosza w Paryżu: „Taki inteligentny człowiek i tak dał się nabrać". To był głos ludu.

W.B.: Wracając do Wata. Wat mógł wzruszeniem ramion skwitować *Zniewolony umysł*, bo znał komunizm ze Lwowa 1939 roku i z więzień sowieckich, ale przecież ta książka odnosiła się także do niego samego z lat dwudziestych i trzydziestych, gdy sympatyzował z komunizmem, gdy był „bezpartyjnym bolszewikiem".

G.H-G.: To właśnie miałem na myśli. On się jednak z tamtych lat wyleczył, miał poczucie winy, a nawet

kompleks hańby i powtarzał mi wielokrotnie: „Nigdy sobie nie daruję, że byłem wtedy tak głupi".

W.B.: Czy z innymi pisarzami polskimi rozmawiałeś o *Innym Świecie*?

G.H-G.: To było tak: od wielu pisarzy dostawałem komentarze typu: „jestem pod wielkim wrażeniem pana książki", „czytałem ją z przejęciem przez całą noc", ale nigdy nie dochodziło do zasadniczej rozmowy. Miałem wrażenie, że ci, którzy deklarują znajomość tej książki, równocześnie unikają rozmowy o tym, czego się z niej dowiedzieli. Najbardziej eleganccy starali się mówić wyłącznie w kategoriach literackich, co mnie bardzo irytowało, bo wiedziałem, że to jest sposób na przemilczenie spraw najważniejszych, czyli tematu *Innego Świata*. Wiem, że Miłosz w końcu przekonał się do tej książki, bo mi o tym kiedyś napisał, i wiem, że o tym mówił publicznie, ale też nigdy nie wchodził w jej meritum. Więc odpowiadając na twoje pytanie — o obraz komunizmu, jaki wyłania się z naszych książek — to dogłębnej dyskusji na ten temat między nami nie było. Na przykład nie znam żadnego tekstu Miłosza na temat *Archipelagu GUŁag* Sołżenicyna, a to jest chyba książka, która dla tez *Zniewolonego umysłu* powinna być rozstrzygająca. Zresztą rozumiem Miłosza, dlaczego tego nie robi. Dziś przecież, po opublikowaniu tych wszystkich książek z *Czarną księgą* na czele, jest oczywiste, że komunizm był systemem zbrodniczym, i żadne debaty filozoficzne nie zmienią faktu, że istnienie sowieckich obozów koncentracyjnych jest dowodem na immanentne zło systemu komunistycznego. Tu nie może być żadnej relatywizacji. Ten ustrój zrodził monstrum — łagry, archipelag GUŁag.

W.B.: Mówiłeś, że w łagrze dostrzegłeś straszną kondensację zła. Jak to wpłynęło na twoją twórczość?

G.H-G.: W sposób zasadniczy. Odbierając w Lublinie doktorat honoris causa, powiedziałem nawet, że jako pisarz narodziłem się w łagrze. To znaczy, jakbym otrzymał w łagrze inne oczy do patrzenia na rzeczywistość. Po

wyjściu z łagrów przez kilka lat w myślach pisałem książkę o tym, co zobaczyłem w Rosji. I dlatego udało mi się ją napisać w krótkim czasie i praktycznie bez skreśleń. A w późniejszej twórczości? Na pewno wszystko, czego doświadczyłem w łagrze, istnieje *in nuce* w moich opowiadaniach i w *Dzienniku pisanym nocą*. To wychodzi przecież stale w naszych rozmowach. Niekiedy nawet ku memu wielkiemu zaskoczeniu. Doświadczenie obozu koncentracyjnego zostaje każdemu, nie tylko pisarzowi, na całe życie. Przykładem mogą być: Borowski, Szałamow, Levi czy Jorge Semprun. Semprunowi zresztą zawdzięczam publikację mojej książki we Francji w 1985 roku. Kiedy przeczytał po angielsku *Inny Świat*, on, więzień niemieckiego obozu koncentracyjnego, doznał szoku, bo odkrył, jak wiele było podobieństw pomiędzy jego a moim doświadczeniem. To było zresztą tematem mojej publicznej rozmowy z Jorge Semprunem, która odbyła się kilka lat temu w Neapolu, w Instytucie Francuskim, dokładnie po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko domu, w którym rozmawiamy. Publiczność milczała, a myśmy mówili o jawnych i ukrytych podobieństwach pomiędzy obozami nazistowskimi i komunistycznymi. A Semprun miał szczególną perspektywę, ponieważ w niemieckim obozie koncentracyjnym siedział jako komunista.

W.B.: Jest w twoim pisarstwie chyba jeszcze jedna konsekwencja znajomości sowieckiego innego świata — wszystko to, co pisałeś o „innej Rosji"?

G.H-G.: Absolutnie tak! Stałem się orędownikiem tej „innej Rosji" właśnie za sprawą pobytu w łagrze. Dzięki kilku przyjaźniom z Rosjanami, jakie wtedy nawiązałem, i wiedzy o tym, co sami Rosjanie wycierpieli od bolszewików, mogłem odkryć istnienie tej wysepki innej Rosji w sowieckim morzu. I zacząłem — za namową Giedroycia — pisać o Rosjanach w „Kulturze". Po kilkunastu latach okazało się, że zrobiła się z tego gruba księga, która wyszła już w kilku wydaniach, pt. *Upiory rewo-*

lucji *. Można więc powiedzieć, że moje pisanie na temat Rosji przebiegało od *Innego Świata* do *Upiorów rewolucji*.

W.B.: Czy były jakieś komentarze w Rosji po ukazaniu się *Innego Świata* po rosyjsku w tłumaczeniu Natalii Gorbaniewskiej?

G.H-G.: Pod tym względem Rosja jest nadal „inna" od państw europejskich, bo wydawca nie przysłał mi żadnych wycinków czy informacji. Wiem tylko, że książka miała już w Rosji dwa wydania i że od pierwszego wydawcy przejęło ją stowarzyszenie „Memoriał", z czego jestem bardzo dumny. Oczywiście *Inny Świat* znany był w środowisku emigrantów rosyjskich w Paryżu. Rozmawiałem o nim z Maksimowem, Niekrasowem i innymi wielkimi postaciami tej emigracji, no i z Gorbaniewską, która wspaniale przetłumaczyła tę książkę. Naprawdę byłem szczęśliwy, gdy dzięki jej przekładowi, w pół wieku po moim wyjściu z łagru, *Inny Świat* ukazał się w Rosji.

Bibliografia

W. Bolecki, *„Inny Świat" Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*, Warszawa 1994 i 1997.

G. Herling-Grudziński, W. Bolecki, *Rozmowy w Dragonei*, Warszawa 1997.

Z. Kudelski, *Herling-Grudziński i krytycy. Antologia tekstów*, Lublin 1997.

Z. Kudelski, *Pielgrzym Świętokrzyski*, Lublin 1991; *Etos i artyzm. Rzecz o Gustawie Herlingu-Grudzińskim*. Studia pod red. S. Wysłouch i R. K. Przybylskiego, Poznań 1991.

Z. Kudelski, *Studia o Herlingu-Grudzińskim. Twórczość — recepcja — biografia*, Lublin 1998.

R. K. Przybylski, *Pisać i być*, Poznań 1991.

I. Sariusz-Skąpska, *Polscy świadkowie gułagu*, Kraków 1995.

---

* *Upiory rewolucji*, Instytut Literacki, Biblioteka „Kultury", tom CLXXV, wyd. I, Paryż 1969. Przedr. poza cenzurą: Warszawa 1981, Toruń 1987. Wyd. II (rozszerzone), oprac. Z. Kudelski, Lublin 1992; wyd. III (rozszerzone i uzupełnione), zebrał i opracował Z. Kudelski, Wydawnictwo UMCS, Lublin 1999. Przekłady: *Da Gorki a Pasternak. Considerazioni sulla litteratura sovietica*, Roma 1958; *Gli spettri della rivoluzione e altri saggi*, introduzione di F.M. Cataluccio, Firenze 1994.

Inny Świat

Krystynie

Tu otwierał się inny, odrębny świat, do niczego niepodobny; tu panowały inne, odrębne prawa, inne obyczaje, inne nawyki i odruchy; tu trwał martwy za życia dom, a w nim życie jak nigdzie i ludzie niezwykli. Ten oto zapomniany zakątek zamierzam tutaj opisać.

Dostojewski, *Zapiski z martwego domu*

Część pierwsza

Witebsk — Leningrad — Wołogda

Lato w Witebsku dobiegało końca. Po południu słońce prażyło jeszcze przez chwilę bruk dziedzińca więziennego i kończyło swój bieg za czerwoną ścianą sąsiedniego bloku. Z podwórza dochodziły kroki więźniów, wystukujące miarowo drogę do łaźni, i słowa komend rosyjskich, pomieszane z dźwiękiem kluczy. Dyżurny na korytarzu podśpiewywał, składał co parę minut gazetę i nie śpiesząc się zbytnio, podchodził do okrągłego okienka w drzwiach. Dwieście par oczu odrywało się jak na dany znak od sufitu i zbiegało się w małej soczewce „judasza". Spod ceratowego daszka spoglądało ku nam ogromne oko i objąwszy wahadłowym ruchem celę, znikało za opuszczoną zastawką z blachy. Trzy uderzenia butem w drzwi oznaczały: „Przygotujcie się do kolacji".

Półnadzy podnosiliśmy się z cementowej podłogi — sygnał do kolacji kończył również naszą popołudniową drzemkę. Czekając z glinianymi miskami na gorącą ciecz wieczorną, odlewaliśmy przy okazji do wysokiego kibla żółtawą ciecz z obiadu. Strumienie moczu z sześciu lub ośmiu otworów spotykały się, zatoczywszy łuk jak w fontannie, pośrodku kibla i wkręcały się wirującymi lejami do dna, podnosząc poziom piany u ścian. Przed zapięciem rozporków przyglądaliśmy się jeszcze przez chwilę wygolonym rozkroczom; wyglądały dziwnie, jak przygięte wichrem drzewa na jałowych zboczach polnych.

Gdyby mnie ktoś zapytał, co jeszcze robiliśmy w sowieckich więzieniach, niewiele umiałbym dodać. To prawda, że ledwie umilkła u drzwi kołatka poranna zwiastująca pobudkę, a do celi wjeżdżał kocioł gorącego odwaru z ziela i kosz z dziennymi racjami chleba, nasza skłonność do rozmów osiągała punkt szczytowy; chcieliśmy „przegadać" chleb do obiadu. Katolicy zbierali się wokół ascetycznego księdza, Żydzi obsiadali opodal rabina wojskowego o rybich ślepiach i fałdach skóry zwisających z dawnego brzucha, ludzie prości opowiadali sobie sny i wspominali dawne życie, a ludzie inteligentni zbierali niedopałki na wspólnego papierosa. Wystarczyły jednak dwa uderzenia butem w drzwi, aby wszystko co żywe ruszało w skupionym milczeniu, pod wodzą swoich przewodników duchowych, do kotła zupy na korytarzu. Od chwili gdy w naszej celi zjawił się maleńki, czarny „Jewriej" z Grodna i obwieściwszy nam, że „Niemcy wzięli Paryż", zapłakał gorzko, ustał na barłogach szept patriotyczny i skończyły się rozmowy polityczne. W strumieniu omijającego nas życia płynęliśmy jak martwy skrzep ku bijącemu coraz słabiej sercu wolnego świata.

Pod wieczór powietrze stawało się chłodniejsze, a na niebie pojawiały się wełniste obłoki i żeglowały wolno przed siebie, zapalając po drodze pierwsze gwiazdy. Rdzawy mur naprzeciwko okna wybuchał na chwilę rudym płomieniem, po czym gasł gwałtownie, dosięgnięty skrzydłem zmierzchu. Nadchodziła noc, a wraz z nią oddech dla płuc, odpoczynek dla oczu i wilgotny dotyk chłodu dla spieczonych warg.

Przed samym apelem w celi zapalało się światło. Od tego nagłego przejaśnienia niebo za oknem pogrążało się w mroku, aby w chwilę potem zapłonąć znowu migotliwą jasnością. To narożne wieżyczki patrolowały noc krzyżującymi się cięciami reflektorów. Zanim jeszcze upadł Paryż, o tej właśnie porze zjawiała się zazwyczaj na małym odcinku ulicy, który widać było z okien naszej

celi, wysoka kobieta w chustce na głowie i przystanąwszy pod latarnią naprzeciwko muru więziennego, zapalała papierosa. Zdarzyło się parę razy, że płonącą zapałkę podniosła do góry jak żagiew i znieruchomiała na chwilę w tej niepojętej pozie. Osądziliśmy, że ma to oznaczać Nadzieję. Po upadku Paryża ulica opustoszała na dwa miesiące. Dopiero w drugiej połowie sierpnia, gdy lato w Witebsku zbliżało się ku końcowi, nieznajoma zbudziła nas z drzemki szybkim tupotem nóg, dudniących w ciszy o bruk ulicy, zatrzymała się pod latarnią i zapaliwszy papierosa, zgasiła zapałkę zygzakowatym ruchem ręki (pogoda była bezwietrzna), podobnym do skoków przekładni w kołach lokomotywy. Zgodziliśmy się wszyscy, że ma to oznaczać Transport.

*

Z transportem nie spieszono się jednak i przez następne dwa miesiące. Dopiero pod koniec października z celi, liczącej dwieście osób, wywołano pięćdziesięciu więźniów na odczytanie wyroków. Szedłem do kancelarii obojętnie, bez śladów podniecenia. Śledztwo w mojej sprawie skończyło się już dawniej, w więzieniu grodzieńskim; nie zachowałem się na nim wzorowo, o nie! — i do dziś jeszcze podziwiam szczerze moich więziennych znajomych, którzy mieli odwagę prowadzić z sowieckimi sędziami śledczymi finezyjną szermierkę dialektyczną, pełną celnych ukłuć i błyskawicznych ripost. Odpowiadałem na pytania krótko i wprost, nie czekając, aż rozgorączkowana wyobraźnia heroiczna podsunie mi na schodach, w drodze powrotnej do celi, dumne wersety z katechizmu męczeństwa polskiego. Jedyne, czego pragnąłem, to spać, spać i jeszcze raz spać. Nie umiem fizycznie opanować dwóch rzeczy: przerwanego snu i pełnego pęcherza. Obie groziły mi jednocześnie, gdy przebudzony wśród nocy siadałem na twardym stołku na-

przeciwko sędziego śledczego, zwróciwszy twarz prosto w kierunku żarówki o niesamowitej mocy.

Pierwsza hipoteza oskarżenia opierała się na dwóch dowodach rzeczowych: wysokie buty z cholewami, w których młodsza siostra wyprawiła mnie po klęsce wrześniowej w świat, miały świadczyć, że jestem „majorem wojsk polskich", a pierwsza część nazwiska w brzmieniu rosyjskim (Gerling) kojarzyła mnie niespodzianie z pewnym marszałkiem lotnictwa niemieckiego. Logiczna konkluzja brzmiała: „jest oficerem polskim na usługach wrogiego wywiadu niemieckiego". Jaskrawe niedokładności w obu przesłankach pozwoliły nam jednak stosunkowo szybko uporać się z tym ciężkim zarzutem. Pozostał bezsporny fakt — usiłowałem przekroczyć granicę państwową Związku Sowieckiego i Litwy. — Po cóż to, jeśli można wiedzieć? — Żeby się bić z Niemcami. — A czy wiadomo mi, że Związek Sowiecki zawarł pakt przyjaźni z Niemcami? — Tak, ale wiadomo mi również, że Związek Sowiecki nie wypowiedział wojny Anglii i Francji. — To nie ma znaczenia. — Jak brzmi ostatecznie akt oskarżenia? — „Zamierzał przekroczyć granicę sowiecko-litewską, aby prowadzić walkę ze Związkiem Sowieckim". — Czy nie można by słów „ze Związkiem Sowieckim" zamienić na słowa „z Niemcami"? — Uderzenie otwartą dłonią na odlew otrzeźwiło mnie z miejsca. „To wychodzi na jedno" — pocieszył mnie sędzia śledczy, gdy podpisywałem przedłożony dokument.

W celi, do której skierowano mnie po odczytaniu wyroku (pięć lat), w bocznym skrzydle więzienia witebskiego, zetknąłem się po raz pierwszy z więźniami rosyjskimi. Na drewnianych pryczach leżało kilkunastu chłopców w wieku od lat czternastu do szesnastu, a pod samym oknem, z którego widać było już tylko skrawek ciężkiego, ołowianego nieba, siedział mały człowieczek o zaczerwienionych oczach i haczykowatym nosie, gryząc w milczeniu suchar czarnego chleba. Deszcz zacinał

już od paru dni. Jesień zawisła nad Witebskiem rybim pęcherzem, który posikiwał strugami brudnej wody z wylotu rynny nad koszem, osłaniającym dolną połowę krat i widok na dziedziniec więzienny.

Małoletni przestępcy są plagą więzień sowieckich, ale nie spotyka ich się prawie nigdy w obozach pracy. Nienaturalnie ożywieni, wiecznie czegoś szukający na cudzych pryczach i we własnych rozporkach, oddają się z zamiłowaniem dwóm wielkim namiętnościom: kradzieży i onanizmowi. Prawie wszyscy albo nie znają w ogóle rodziców, albo nie wiedzą nic o ich istnieniu. Na olbrzymich obszarach państwa policyjnego prowadzą z zadziwiającą swobodą typowe życie „biezprizornych", podróżując na gapę pociągami towarowymi z miasta do miasta, z osiedla do osiedla. Żyją z kradzieży towarów ze składów państwowych i nierzadko kradną z powrotem to, co przed chwilą sprzedali, szantażując nieostrożnych nabywców groźbą donosu. Sypiają na dworcach kolejowych, w parkach miejskich, w remizach tramwajowych — za jedyny majątek mając czasem tylko małe zawiniątko, przewiązane rzemiennym paskiem. Dopiero później przekonałem się, że „biezprizorni" tworzą obok „urków" (przestępców pospolitych) najgroźniejszą mafię półlegalną w Rosji, która zorganizowana jest na wzór lóż masońskich. Jeżeli istnieje w Związku Sowieckim coś w rodzaju szczątkowego czarnego rynku, to tylko dzięki tym młodym oberwańcom, myszkującym niespokojnie w tłumie, oblegającym „spiectorgi", skradającym się o zmierzchu ku spichrzom zboża i składom węgla. Władze sowieckie przyglądają się temu przez palce, uważając „biezprizornych" za jedynych „prolesów", nie obciążonych dziedzicznie grzechem pierworodnym kontrrewolucji, za masę plastyczną, z której można wszystko ulepić. Toteż młodzi chłopcy nauczyli się szybko uważać więzienie za coś w rodzaju kolonii letnich i bez większego sprzeciwu korzystają z tego okresu wytchnienia po wyczerpującym

życiu na wolności. Do naszej celi w Witebsku przychodził czasem „wospitatiel" o ewangelicznej twarzy, płowej czuprynie i niebieskich oczach i głosem przypominającym łagodny szept w konfesjonale wzywał gromadę „biezprizornych" na naukę: „Riebiata, pojdiom niemnożko pouczitsia". Uszy puchły, gdy „riebiata" wracali z kursu. Najohydniejsze wyzwiska i przekleństwa przeplatały się z frazesami „politgramoty". Z kłębowiska młodych ciał wybiegały ku nam nieustanne oskarżenia o „trockizm", „nacjonalizm" i „kontrrewolucję", zapewnienia, że „towarzysz Stalin dobrze zrobił, zamykając was w więzieniu", a „sowiecka władza zawojuje wkrótce cały świat" — wszystko to powtarzane z okrutnym, sadystycznym uporem, tak typowym dla każdej bezdomnej młodości. Nieco później, w obozie, spotkałem osiemnastoletniego chłopca, który pełnił funkcję naczelnika „kawecze" (kulturno-wospitatielnaja czast') tylko z tego tytułu, że niegdyś jako „biezprizorny" uczęszczał na kursy pedagogiczne w więzieniu.

Mój sąsiad pod oknem przyglądał mi się pierwszego dnia podejrzliwie, żując bez przerwy skórki czerstwego chleba, po które sięgał do dużego worka, służącego mu na pryczy za poduszkę. Był jedynym człowiekiem w celi, do którego miałem ochotę przemówić. Często w więzieniach sowieckich spotyka się ludzi z piętnem tragedii odciśniętym na twarzach. Wąskie usta, krogulczy nos, łzawiące jak od garści piasku oczy, urywane westchnienia i kurze łapki zanurzające się co pewien czas w worku — mogły znaczyć wszystko albo nic. Szedł do ustępu, drobiąc małymi kroczkami, a gdy przychodziła na niego wreszcie kolej, rozkraczał się niezdarnie nad dziurą, spuszczając spodnie, unosił ostrożnie do góry długą koszulę i prawie stojąc, wzdymał się i czerwieniał od nadmiernego wysiłku. Wypędzano go zawsze z ustępu ostatniego, ale jeszcze na korytarzu zapinał spodnie, uskakując śmiesznie w bok przed poszturchiwaniami strażnika.

Po powrocie do celi kładł się natychmiast na pryczy i dyszał ciężko, a jego stara twarz przypominała zasuszoną figę.

— Polak? — zapytał wreszcie któregoś wieczoru.

Skinąłem głową.

— Ja jestem ciekawy, czy w Polsce — zaskrzeczał gniewnie — mój syn mógłby być kapitanem w wojsku.

— Nie wiem — odpowiedziałem. — Za co pan siedzi?

— To nie jest ważne. Ja mogę zgnić w kryminale, ale mój syn jest kapitanem w lotnictwie.

Po apelu wieczornym opowiedział mi swoją historię. Leżąc obok siebie, rozmawialiśmy szeptem, żeby nie przebudzić naszych „biezprizornych". Stary Żyd był od kilkudziesięciu lat szewcem w Witebsku, pamiętał rewolucję i wspominał z rozrzewnieniem wszystko, co przeżył od chwili jej wybuchu. Został skazany na pięć lat za to, że w artelu szewców sprzeciwił się używaniu skrawków skóry do zelowania nowych butów. „To nie jest ważne — powtarzał w kółko — rozumiecie przecież, że wszędzie są ludzie zazdrośni. Ja wykształciłem syna, ja z niego zrobiłem kapitana lotnictwa, to jak im się mogło podobać, że ja, stary Żyd, mam syna w lotnictwie? Ale on napisze podanie i mnie zwolnią przedterminowo. Czy to kto widział, żeby dawać taki chłam na nowe zelówki?" Podniósł się na pryczy i upewniwszy się, że „biezprizorni" śpią, rozpruł w marynarce podszewkę pod rękawem i wyjął spod waty zmiętą fotografię. Spoglądał z niej na mnie człowiek w mundurze lotnika, o inteligentnej twarzy i zakrzywionym ostro nosie.

W parę minut potem jeden z „biezprizornych" zlazł z pryczy, odlał się do kibla przy drzwiach i zastukał w okienko. Na korytarzu zabrzęczały klucze, rozległo się przeciągłe ziewnięcie i o kamienną podłogę załomotały podkute buty.

— Czego? — zapytało rozespane oko w judaszu.

— Obywatelu dyżurny, dajcie zapalić.

— Mleko ssać, gówniarzu — warknęło groźnie oko i zniknęło za blaszaną zastawką.

Chłopiec przywarł obiema pięściami do drzwi i wspinając się na palcach do ślepego okienka, zawołał głośno:

— Graždanin dieżurnyj, ja imieju k wam wopros!

Teraz klucz zazgrzytał dwa razy w zamku i okute drzwi ustąpiły. Na progu stał młody strażnik w przekrzywionej na bok czapce z niebieskim denkiem i czerwonym otokiem.

— Gadaj.

— Nie mogę tutaj, muszę na korytarz.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem szerzej, chłopiec wślizgnął się pod ręką opartą o klucz tkwiący w zamku na korytarz i wrócił po chwili do celi z zapalonym papierosem. Zaciągając się chciwymi haustami, spoglądał ku nam niespokojnie i kulił się jak młode szczenię, cofające się przed kopnięciem.

Po kwadransie drzwi celi otworzyły się znowu szeroko, dyżurny przestąpił energicznie próg i krzyknął ostro:

— Wstawać! Dowódca bloku! Rewizja!

Dowódca bloku rozpoczął rewizję od „biezprizornych", a dyżurny nie odrywał tymczasem wzroku od dwóch szeregów więźniów, stojących w postawie na baczność tyłem do prycz, a twarzami do siebie. Wprawne ręce przerzucały szybko sienniki „biezprizornych", pogmerały w moim barłogu i zanurzyły się w worku starego Żyda. Zaraz potem usłyszałem szelest papieru, stłumiony lekko miętoszeniem waty.

— Co to jest? Dolary?

— Nie. Fotografia mojego syna, kapitana Armii Czerwonej, Natana Awramowicza Zygfelda.

— Za co siedzisz?

— Za szkodnictwo w rzemiośle.

— Szkodnik sowieckiego rzemiosła nie ma prawa przechowywać w celi fotografii oficera Armii Czerwonej.

— To jest mój syn...

— Milcz. Nie ma w więzieniu synów.

Gdy wychodziłem z celi na etap, stary szewc kiwał się na pryczy jak ogłupiała papuga na drążku, żując wraz ze skórkami chleba parę powtarzających się monotonnie słów.

Szliśmy na dworzec późną godziną, przez opustoszałe już prawie miasto. Ulice wychłostane ulewą połyskiwały w czarnym świetle wieczoru jak długie tafle miki. Powietrzem płynęła duszna fala ciepła, a Dźwina, wezbrawszy gwałtownie, szumiała niespokojnie pod uginającymi się deskami mostu. W małych uliczkach miałem nie wiadomo dlaczego uczucie, że ze wszystkich okien biegną ku nam poprzez szpary w deskach okiennic ludzkie spojrzenia. Dopiero na głównej ulicy ruch ożywił się nieco, ale grupki przechodniów mijały nas w milczeniu, nie odwracając głów w naszą stronę, z oczami utkwionymi przed siebie lub w ziemię, z oczami, które widziały nie patrząc. Pięć miesięcy temu przechodziliśmy przez te same ulice Witebska w upalny dzień czerwcowy, odgrodzeni od trotuaru stalową linką bagnetów. Dźwina wlokła się leniwie w wyschniętym łożysku, na chodnikach lepkich od żaru słonecznego szli energicznym krokiem zmęczeni przechodnie, rozmawiając skąpo i nie zatrzymując się ani na chwilę: urzędnicy w czapkach z zadartymi do góry daszkami, robotnicy w kombinezonach skwierczących smarem z maszyn, chłopcy z tornistrami na plecach, żołnierze w wysokich butach śmierdzących łojem, kobiety w brzydkich perkalikowych sukienkach. Ileż bym wówczas dał za to, żeby zobaczyć grupkę wesoło rozmawiających ludzi! Mijaliśmy domy o otwartych oknach, z których nie zwisały kolorowe kołdry, zaglądaliśmy ukradkiem przez płoty na podwórka, na których nie suszyła się bielizna, widzieliśmy zamknięty kościół z napisem „Antirieligioznyj Muziej", czytaliśmy slogany na transparentach przewieszonych w poprzek ulicy, wpa-

trywaliśmy się w ogromną czerwoną gwiazdę na szczycie ratusza. Nie było to miasto Smutku; było to miasto, w którym nigdy nie gościła Radość.

*

W Leningradzie nasz etap podzielony został na dziesięcioosobowe partie, które w parominutowych odstępach czasu odjeżdżały z dworca czarnymi karetkami więziennymi do „Pieriesyłki". Wciśnięty pomiędzy towarzyszy, niemal dusząc się w drewnianym pudle bez okien i wentylatorów, nie miałem sposobności obserwować miasta. Jedynie na zakrętach ulic pęd samochodu spychał mnie z ławeczki i na okamgnienie dostrzegałem przez szparę w budce szofera fragmenty gmachów, skwerów i tłumu ludzkiego. Dzień był mroźny, ale słoneczny. Spadł był już śnieg — przyjechaliśmy do Leningradu w listopadzie 1940 roku — na ulicach spotykało się pierwszych przechodniów w walonkach i futrzanych czapkach uszankach. Kłapiące boki czapek opadały wprawdzie tylko na uszy i nie zasłaniały oczu, ale na wzór końskich okularów pozwalały patrzeć prosto przed siebie i nie rozpraszać uwagi na boki. Nasz transport przejechał ulicami miasta nie zauważony, jak stado czarnych kruków kołujące w poszukiwaniu żeru nad zaśnieżonym polem.

Starzy więźniowie opowiadali mi, że w Leningradzie siedziało w owym czasie około 40 tysięcy ludzi. Obliczenia te — dość, jak sądzę, prawdopodobne — oparte były głównie na żmudnym zestawianiu i porównywaniu faktów, poszlak i pokątnych relacji. I tak na przykład, w słynnym więzieniu na Krestach, liczącym tysiąc jednoosobowych cel, przebywało średnio trzydziestu więźniów w celi. Wiadomość o tym przynieśli więźniowie z Krestów, którzy przed etapem do obozów spędzali zazwyczaj parę nocy w naszej Pieriesyłce. Własne siły obli-

czaliśmy na dziesięć tysięcy; w celi 37., zdolnej w normalnych warunkach pomieścić co najwyżej 20 osób, siedziało 70 więźniów. Jednym z najbardziej zdumiewających i zachwycających zjawisk w ubogim życiu umysłowym „martwych domów" jest wspaniale wyostrzona czujność obserwacji każdego doświadczonego więźnia. Nie było celi, w której bym nie spotkał choć jednego statystyka i badacza życia więziennego, pogrążonego dniem i nocą w rekonstruowaniu obrazu otaczającej go rzeczywistości z drobnej mozaiki napomknień, opowiadań, strzępów rozmowy zasłyszanej na korytarzu, strzępów gazety znalezionej w ustępie, zarządzeń administracyjnych, ruchu pojazdów na dziedzińcu, dźwięku zbliżających się i oddalających kroków przed bramą. W Leningradzie zetknąłem się po raz pierwszy z hipotezami na temat liczby więźniów, zesłańców i białych niewolników w Związku Sowieckim. W dyskusjach więziennych wahała się ona pomiędzy 18 a 25 milionami.

Nasz etap natknął się na korytarzu na grupę więźniów, zdążających ku drzwiom wyjściowym. Stanęliśmy w miejscu jak wryci, powstrzymywani bardziej impulsem strachu niż obawą przelotnego zajrzenia w obce twarze. Grupa idąca nam na spotkanie cofnęła się również w głąb korytarza. Staliśmy tak naprzeciwko siebie z opuszczonymi głowami — dwa światy sprzęgnięte wspólnym losem, a przedzielone murem nieufności i lęku. Konwojenci naradzali się krótko; okazało się, że musimy dać drogę. Zastukała żelazna kołatka w bocznych drzwiach, uchyliło się okienko judasza. Znowu krótka narada i wprowadzono nas na szeroki, widny korytarz oddziału, którego wygląd zdawał się przeczyć wszystkiemu, co widziałem dotąd w czasie mojej więziennej wędrówki.

Ten luksusowy pawilon o dużych oknach i lśniących od czystości korytarzach, które tak jaskrawo kontrastują z klasztorną martwotą większości więzień rosyjskich, mieści się w najładniejszym skrzydle Pieriesyłki. Ogrom-

ne kraty, przesuwane na szynach, zastępują w jednej ścianie drzwi, dając złudzenie zupełnej wewnętrznej wolności i tej szczególnej dyscypliny, jaką ludzie izolowani od świata wytwarzają samorzutnie, aby zapomnieć o samotności. Cele były puste i robiły wrażenie izb mieszkalnych, opuszczonych przez kursantów na chwilę przed naszym przybyciem. Wzorowo posłane łóżka, nocne stoliki zastawione fotografiami rodzinnymi w ramkach z kolorowego papieru i srebra, wieszaki na ubrania, duże stoły zawalone książkami, gazetami i szachami, białe muszle umywalni w rogach, radioodbiorniki i portrety Stalina; w głębi korytarza wspólna jadalnia z podium, jak sądzę, dla uzdolnionych muzycznie więźniów. Portrety Stalina w więzieniu! Aby zrozumieć całą niezwykłość tego faktu, trzeba pamiętać, że więźniowie w Rosji są zupełnie wyobcowani z życia politycznego, nie biorą udziału w jego liturgii i obrzędach sakralnych. Okres pokuty odbywają bez Boga, nie korzystając jednak ze wszystkich dobrodziejstw tego przymusowego ateizmu politycznego. Nie wolno im Stalina chwalić, lecz nie wolno im go również ganić.

W ciągu tych paru minut wyczekiwania zdążyłem nie tylko zanotować w pamięci wygląd więzienia Intourista — które zwiedzała prawdopodobnie Lenka von Koerber, autorka entuzjastycznej książki o więziennictwie sowieckim — ale udało mi się również zamienić parę słów z jedynym w pawilonie więźniem, pełniącym w czasie nieobecności swych towarzyszy funkcje porządkowego w celach. Opowiedział mi, dłubiąc w radioodbiorniku i nie patrząc w moim kierunku, że odsiadują tu karę „pełnoprawni obywatele Związku Sowieckiego" o wyrokach nie przekraczających osiemnastu miesięcy, zasądzeni na kary więzienia za takie przestępstwa, jak „miełkaja kraża" (drobna kradzież), „proguł" (spóźnienie do pracy), „chuliganstwo" i uchybienia przeciwko dyscyplinie fabrycznej. Pracują cały dzień w ciężkich warsztatach me-

chanicznych, które mieszczą się w obrębie więzienia, otrzymują niezłe wynagrodzenie, mają dobry wikt i wolno im dwa razy w tygodniu przyjmować krewnych na „widzeniach". Gdyby władze sowieckie stworzyły podobne warunki życia dwudziestu milionom więźniów i zesłańców w Rosji, Stalin mógłby trzymać w szachu wojsko, NKWD i partię „czwartą siłą". Mój rozmówca bowiem nie uskarża się bynajmniej na brak wolności. Jest mu dobrze i wygodnie. Czy wie, jaki los zgotowano więźniom w innych blokach Pieriesyłki leningradzkiej, w tysiącach więzień i obozów, rozrzuconych gęstą siecią na całym obszarze Związku Sowieckiego? Owszem, wie, ale to są przecież „polityczni". Tam — wskazuje ruchem głowy na martwy blok Pieriesyłki z zakratowanymi okienkami — zdycha się za życia. Tu oddycha się swobodniej niż na wolności. Nasz Pałac Zimowy — dodaje pieszczotliwie — nasz Zimnij Dworiec. Stalin wie z własnego doświadczenia, że stwarzając ludzkie warunki życia w więzieniach, można ducha pokory wzbudzić tylko w „bytowikach", ale nigdy w „politycznych". Co więcej — im lepiej się czuje materialnie „polityczny" w więzieniu, tym odważniej tęskni za wolnością, tym gwałtowniej buntuje się przeciwko władzy, która go uwięziła. Kiedy się czyta opisy dostatniego prawie i kulturalnego życia, jakie pędzili więźniowie i zesłańcy carscy, trudno zrazu oczom uwierzyć; a przecież byli to ludzie, którzy obalili carat.

Nie należy mieszać zwykłych „bytowików" z „urkami". Wprawdzie w obozach spotyka się czasem drobnych przestępców pospolitych, których wyrok przekroczył dwa lata, ale prawie zawsze zajmują oni w hierarchii obozowej pozycję wyjątkową, bliższą raczej przywilejów najemnej administracji niż statusu przeciętnego więźnia. „Urką" staje się przestępca pospolity dopiero po kilkakrotnej recydywie. W tej nowej sytuacji nie opuszcza już na ogół nigdy obozu, wychodząc na wolność tylko na

parę tygodni dla załatwienia najpilniejszych spraw i dokonania następnego przestępstwa. Miarą pozycji, jaką wytworzył sobie w obozie „urka", jest nie tylko to, ile lat tułał się po łagrach i za co siedzi, ale i to, jaką zdołał sobie uciułać fortunkę z paskarstwa, kradzieży, a nierzadko i mordów dokonywanych na „biełoruczkach" (politycznych), ilu ma po obozach „błatnych" naczelników i kucharzy, jakie ma kwalifikacje fachowe na brygadiera i co ile „łagpunktów" czekają na niego kochanki jak rozstawne klacze. „Urka" jest w obozie instytucją, najwyższym funkcjonariuszem po dowódcy warty; on decyduje o wartości i prawomyślności robotników w brygadzie, jemu powierzają często najodpowiedzialniejsze stanowiska, dublując go w razie potrzeby fachowcem bez stażu obozowego, przez jego ręce przechodzą wszystkie „prawiczki" z wolności, zanim wylądują wreszcie w łóżkach naczelników, on szarogęsi się w „kulturno-wospitatielnoj czasti". Są to ludzie, którzy myślą o wolności z takim samym obrzydzeniem i lękiem, jak my o obozie.

*

W celi 37. znalazłem się również przez przypadek. W czasie segregowania etapu okazało się, że nie ma mojego nazwiska na liście. Strażnik podrapał się bezradnie w głowę, sprawdził uważnie wszystkich na literę G, zapytał jeszcze raz o „imia i otczestwo" i wzruszył ramionami. „Do jakiej celi cię skierowali?" — zapytał. Zza drzwi po obu stronach korytarza dochodził niespokojny szum, pomieszany z dźwiękiem rozmów i krzykliwym śpiewem. Jedynie w celi położonej nieco w głębi, na zakręcie korytarza, panowała cisza; co parę chwil przerywała ją fraza jakiejś egzotycznej piosenki, śpiewana chrapliwym, astmatycznym głosem i poparta natychmiast ostrym uderzeniem w struny instrumentu. „Do trzydziestej siódmej" — odpowiedziałem spokojnie.

W celi było pusto, lub raczej prawie pusto. Dwa rzędy prycz, zbite z desek bez odstępów pomiędzy legowiskami i zasłane siennikami, dawały pewne poczucie stabilizacji, ale już barłogi z wierzchnich części ubrania i buszłatów pod ścianami poprzecznymi i zawiniątka ułożone pod stołem (w celach przeludnionych rozwija się je dopiero na noc, wykorzystując każdy skrawek podłogi, obie ławki, a nieraz i sam stół) pozwalały się domyślać, że więcej tu ludzi niż miejsca. Na sienniku rozłożonym najbliżej drzwi, tuż obok kibla, leżał olbrzymi brodacz o wspaniałej, jak z kamienia wykutej głowie i wschodnich rysach twarzy i pykał spokojnie fajkę. Oczy miał utkwione w suficie, jedną rękę podłożył pod głowę, a drugą gładził bezmyślnie i obciągał mundur wojskowy bez dystynkcji. Za każdym pociągnięciem fajki zza szczeciniastej brody buchał kłąb dymu jak zza krzaku jałowca. W drugim kącie celi, po przekątnej, leżał z podciągniętymi do góry nogami czterdziestoparoletni mężczyzna o gładko wygolonej, inteligentnej twarzy, w bryczesach, butach z cholewami i zielonkawej wiatrówce i czytał książkę. Naprzeciwko brodacza siedział, zwiesiwszy gołe nogi z pryczy, gruby Żyd w rozpiętym na piersiach mundurze wojskowym, spod którego sterczały kłaki czarnych włosów. Na głowie miał mały berecik, a szyja owinięta wełnianym szalem podkreślała jeszcze mięsiste wargi, nalaną twarz i dwie śliwki oczu, wepchnięte w puchliznę policzków jak w wyschnięte ciasto i przedzielone nosem kształtu wielkiego korniszona. Śpiewał, dusząc się i sapiąc, piosenkę, która wydawała mi się wówczas włoska, wybijając jej takt ręką na kolanie. Obok niego, oparty lekko o załom muru przy oknie, stał pięknie zbudowany atleta w marynarskim deklu i koszulce gimnastycznej w niebieskie paski i brzdąkał na gitarze, wpatrzony w mglisty zarys Leningradu. Scena jak z domu noclegowego we francuskim zaułku portowym.

Tuż przed obiadem okute drzwi otworzyły się na roścież i kilkudziesięciu więźniów z rękami jeszcze założonymi do tyłu zaczęło przekraczać parami próg w takt monotonnego odliczania strażnika; cela wróciła ze spaceru. Wśród nowo przybyłych przeważali starzejący się już mężczyźni w mundurach i płaszczach wojskowych bez dystynkcji; paru wróciło na swoje miejsca na pryczach, podpierając się na laskach lub na ramionach towarzyszy. Kilkunastu młodych marynarzy i tyleż samo cywilów zamknęło pochód, przepychając się łokciami do stołu. Trzy uderzenia butem w zamknięte drzwi oznaczały tutaj to samo co w Witebsku.

W czasie obiadu poznałem wysokiego, przystojnego mężczyznę, który przyglądał mi się uważnie, jedząc z namysłem i jakąś wyszukaną elegancją gestów porcję kaszy. Jego duże, zamyślone oczy osadzone były w kościstej i pobrużdżonej twarzy, a szczęki wykonywały po każdym kęsie powolny ruch, jakby rozgryzały jakiś wyjątkowy przysmak. Odezwał się do mnie pierwszy po polsku, skandując prawie drewnianym i trochę uroczystym językiem, którego nie używał pewnie od lat, swoją krótką opowieść. Był potomkiem zesłańców z 1863 roku — nazywał się Szkłowski — i przed aresztowaniem dowodził pułkiem artylerii w Puszkinie (dawnym Carskim Siole) pod Leningradem. Mówiąc o Rosji, używał słowa „rodina", Polskę zaś nazywał „krajem naszych ojców". Za co go aresztowano? Jako pułkownik i Polak z pochodzenia za mało się interesował wychowaniem politycznym żołnierzy. „Pan rozumie — uśmiechał się łagodnie — w dzieciństwie nauczyli człowieka, że wojsko jest od tego, żeby mało myśleć i zaszczciszczat' rodinu". Za co siedzą inni? „Te jenerały? — wzruszył ramionami. — Za to, że za dużo zajmowali się polityką".

Sąsiadem Szkłowskiego był mężczyzna w zielonej wiatrówce, którego zastałem czytającego książkę. Pułkownik Paweł Iwanowicz (nie pamiętam, niestety, jego nazwiska)

był jedynym obok Szkłowskiego oficerem w celi o tak niskim stopniu. Dowiedziawszy się, że jestem Polakiem i że byłem we wrześniu 1939 roku w Polsce, ożywił się i zasypał mnie gradem pytań. Okazało się, że zanim go aresztowano, pracował w wywiadzie na pograniczu polsko-sowieckim; znał świetnie wszystkie, najbardziej nawet zapadłe dziury prowincjonalne na Kresach, a czteroletni pobyt w więzieniu nie poczynił najmniejszych wyrw we wspaniałym *dossier* wywiadowczym, jakie nosił w mózgu. Pamiętał rozmieszczenie garnizonów, dywizji, pułków i oddziałów KOP-u, nazwiska i najbłahsze słabostki ludzkie ich dowódców: ten potrzebował ciągle pieniędzy na karty, ten przepadał za końmi, ten mieszkał w Lidzie, ale miał kochankę w Baranowiczach, a tamten był wzorowym oficerem. Rozpytywał mnie z podnieceniem o ich udział w kampanii wrześniowej, jak zgrany właściciel stajni pyta o lokaty swoich dawnych koni na zagranicznych torach wyścigowych. Niewiele umiałem i chciałem mu powiedzieć. Szumiało mi jeszcze wówczas w głowie od wrześniowego ciosu.

Pogaduszki wywiadowcze z Pawłem Iwanowiczem miały ten pożytek, że zaprzyjaźniliśmy się szybko i pewnego dnia rozmowa ześlizgnęła się mimochodem na temat mieszkańców celi. Pamiętam ten wieczór, jakby to było wczoraj. Leżeliśmy na jego pryczy, a właściwie on leżał, a ja siedziałem oparty na łokciu; obok nas drzemał młody student medycyny z Leningradu o dziewczęcej twarzy, który zapytał mnie raz szeptem w ustępie, czy czytałem *Powrót z ZSRR* Gide'a, bo sądząc z artykułów prasy sowieckiej, jest to bardzo interesująca książka. W celi zapalono już światła, przy stole siedzieli marynarze i grali w karty, a na pryczach rzędem — jak na dwóch zbiorowych katafalkach — leżeli generałowie sowieccy, zastygłszy w geście nieruchomej zadumy. Paweł Iwanowicz pokazywał mi wzrokiem każdego po kolei, poruszając tylko muskułami twarzy i rzucając — niczym

przewodnik w sali sarkofagów egipskich — krótkie objaśnienia.

Przy grubym Żydzie, który zwiesiwszy jak zwykle nogi z pryczy, nucił cicho, powiedział: „Komisarz polityczny dywizji w Hiszpanii. Miał bardzo ciężkie śledztwo". Brodacza, pykającego bezustannie fajkę, określił jako inżyniera lotnika i generała awiacji, który właśnie niedawno ogłosił głodówkę, żądając rewizji procesu „w imię potrzeb sowieckiego przemysłu lotniczego". Wszyscy zostali oskarżeni w roku 1937 o szpiegostwo. Zdaniem Pawła Iwanowicza cała sprawa była prowokacją niemiecką na olbrzymią skalę. Wywiad niemiecki podsunął wywiadowi sowieckiemu przez neutralnego pośrednika sfałszowane dowody, obciążające poważnie dużą część sztabowców sowieckich, którzy w różnych okresach swej służby przebywali jakiś czas za granicą. Niemcom chodziło o sparaliżowanie dowództwa sowieckiego, a wywiad rosyjski żył w stanie egzaltowanej podejrzliwości po spisku Tuchaczewskiego. Gdyby wojna z Niemcami wybuchła w roku 1938, Armia Czerwona miałaby poważnie nadwątlone rezerwy sztabowe. Wybuch drugiej wojny światowej uchronił ich od wyroków śmierci i zatrzymał gwałtownie szprychy śledczego koła tortur. Od wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej oczekiwali zwolnienia, pełnej rehabilitacji, przywrócenia stopni i stanowisk dowódczych, wypłaty uposażeń za cztery lata spędzone w więzieniu. Wyroki dziesięcioletnie, jakie odczytano im przed miesiącem po trzech i pół latach nieprzerwanych badań, uważali za zwykłą formalność, która ma uratować twarz NKWD.

Wśród mieszkańców celi 37. wybuch wojny rosyjsko-niemieckiej uchodził bowiem w listopadzie 1940 roku za rzecz nie podlegającą wątpieniu; wierzyli w jej zwycięski koniec i w to, że ani dnia nie będzie się toczyła na terytorium sowieckim. Po apelu wieczornym, kiedy do celi przyjeżdżał sklepik z papierosami, parówkami i ga-

zetami, Paweł Iwanowicz, jako najmłodszy stopniem i wiekiem, wdrapywał się na stół i czytał na głos z „Prawdy" i „Izwiestij" jednakowe „soobszczenija z zapadnogo fronta". Była to jedyna w ciągu dnia chwila, kiedy generałowie ożywiali się, dyskutując z przejęciem o szansach obu stron. Uderzyło mnie, że w ich wypowiedziach nie było ani cienia skargi, buntu lub mściwości, gdy rozmowa zahaczała o potencjał wojenny Rosji; jedynie smutek ludzi, których oderwano od warsztatu pracy. Zapytałem o to kiedyś Pawła Iwanowicza. „W normalnym państwie — odpowiedział — istnieją ludzie zadowoleni, średnio zadowoleni i niezadowoleni. W państwie, w którym wszyscy są zadowoleni, zachodzi podejrzenie, że wszyscy są niezadowoleni. Tak czy owak, tworzymy zwartą całość". Nauczyłem się tych słów na pamięć.

Generał Artamjan, brodaty Ormianin z awiacji, wstawał wieczorami na parę minut i masywne jego cielsko odbywało pomiędzy pryczami coś w rodzaju spaceru „dla rozprostowania kości". Po każdym spacerze kładł się znowu na dawnym miejscu i sapiąc ciężko, wykonywał parę wdechów i wydechów. Robił to wszystko ze śmiertelną powagą i zadziwiającą punktualnością. Jego wieczorna gimnastyka była dla nas sygnałem do kolacji.

Gdy przyszedłem do celi 37., trafiłem na trzeci dzień jego głodówki; po dziesięciu dniach mojego pobytu w Pieriesyłce głodówka jeszcze trwała. Artamjan przybladł, coraz krócej spacerował, chwytała go często zadyszka i zanosił się od kaszlu po każdym pierwszym pociągnięciu fajki. Żądał zwolnienia i rehabilitacji, powołując się na swoje zasługi i rewolucyjną przeszłość. Proponowano mu pracę pod konwojem w leningradzkiej fabryce samolotów i osobną celę w „Pałacu Zimowym". Co trzy dni przed południem dozorca przynosił mu do celi wspaniałą paczkę „od żony", o której nic nie wiedział i która według wszelkiego prawdopodobieństwa żyła również od trzech i pół lat na zesłaniu. Artamjan podnosił się z pry-

czy, proponował wszystkim w celi poczęstunek, a gdy odpowiadało mu głuche milczenie, wzywał z korytarza dozorcę i w jego obecności wrzucał całą zawartość paczki do kibla.

Mimo że wyznaczono mi miejsce do spania na ziemi koło kibla, a więc tuż obok jego pryczy, nie odezwał się do mnie ani razu. Ostatniej jednak nocy, gdy nienaturalnie ożywiony ruch na korytarzu zdawał się zwiastować etap, nie spaliśmy obaj. Leżałem na wznak, z rękami splecionymi pod głową, i nasłuchiwałem, jak za przegrodą drzwi rośnie szum kroków niby łoskot wzbierającej rzeki za tamą. Kłęby dymu z fajki Artamjana przesłaniały mdłe światło żarówki, pogrążając celę w dusznym półmroku. Nagle jego ręka obsunęła się z pryczy i zaczęła szukać mojej. Gdy mu ją podałem, uniósłszy się lekko na posłaniu, wsunął ją bez słowa pod swój koc i przytknął do klatki piersiowej. Poprzez parcianą koszulę zmacałem zgrubienie i wklęśnięcie na żebrach. Powiódł ją jeszcze w dół, poniżej kolana — to samo. Chciałem doń przemówić, zapytać go o coś, ale kamienna twarz obrośnięta mchem brody nie wyrażała nic poza zmęczeniem i zamyśleniem.

Po północy ruch na korytarzu wzmógł się jeszcze bardziej, słychać było otwieranie i zamykanie cel, i monotonne głosy wyczytujące nazwiska. Po każdym „jest" rzeka ludzkich ciał wzbierała, uderzając zduszonymi szeptami o ściany. Otworzyły się wreszcie i drzwi naszej celi — Szkłowski i ja na etap. Gdy klęcząc zwijałem szybko swoje łachy, Artamjan chwycił mnie jeszcze raz za rękę i ścisnął ją mocno. Nie powiedział ani słowa i nie spojrzał w moim kierunku. Wyszliśmy na korytarz, prosto w tłum spoconych i parujących jeszcze od snu ciał, które przykucnęły bojaźliwie pod ścianami jak strzępy ludzkiej nędzy w ścieku kanałowym.

*

Ze Szkłowskim znalazłem się w jednym przedziale wagonu „stołypinowskiego". Rozesłał sobie na ławeczce płaszcz i usadowiwszy się w kącie przedziału, siedział już tak przez cały czas — wyprostowany, milczący i surowy, w mundurze zapiętym pod szyją, z rękami splecionymi na kolanach. Oprócz nas na górnych składanych ławkach rozsiadło się trzech „urków", zabierając się do gry w karty. Jeden z nich, goryl o płaskiej mongolskiej twarzy, opowiedział nam, zanim jeszcze pociąg ruszył ze stacji, że doczekał się nareszcie w Leningradzie piętnastoletniego wyroku za zarąbanie siekierą w obozie peczorskim kucharza, który mu odmówił dodatkowej porcji kaszy. Mówił to spokojnie, z pewnym akcentem dumy w głosie, nie przerywając ani na chwilę gry. Szkłowski siedział nieporuszony z przymkniętymi lekko oczami, a ja zaśmiałem się nie bez przymusu.

Było już chyba bardzo późno — bo pociąg, wynurzając się z lasu, przecinał smugi szarego światła, które unosiły się nad zaśnieżonymi porębami — gdy goryl cisnął nagle karty, zeskoczył z górnej ławki i stanął przed Szkłowskim.

— Dawaj szynel — krzyknął — przegrałem go w karty.

Pułkownik otworzył zdumione oczy i nie zmieniwszy pozycji, wzruszył ramionami.

— Dawaj — zagrzmiał po raz wtóry wściekły ryk — dawaj, „a to głaza wykolu"! — Szkłowski podniósł się powoli i oddał swój płaszcz.

Dopiero później, w obozie, pojąłem sens tej dziwacznej sceny. Gra o cudze rzeczy należy do najpopularniejszych rozrywek wśród „urków", a główna jej atrakcja polega na tym, że przegrywający ma obowiązek wyegzekwować od postronnego widza umówiony z góry przedmiot. Kiedyś, w trzydziestych siódmych latach pionierstwa obozowego w Rosji, grało się o cudze życie, bo nie było cenniejszych przedmiotów; siedzący gdzieś w drugim końcu baraku więzień polityczny ani się domyślał,

że wytarte karty, spadające z wysoka z ostrym trzaskiem na małą deszczułkę umieszczoną na kolanach grających, przypieczętowują jego losy. „Głaza wykolu" było w ustach „urków" najstraszniejszą groźbą: dwa palce prawej ręki, rozstawione w kształt litery V, mierzyły prosto w oczy ofiary. Broń przeciwko niej była równie straszna — należało błyskawicznie przystawić do nosa i czoła wyprężone ostrze dłoni. Rozczapierzone palce rozpruwały się o nie jak fale o dziób okrętu. Inna rzecz, że goryl miał niewielkie szanse urzeczywistnienia swej groźby; w chwilę potem zauważyłem, że brak mu wskazującego palca prawej ręki. Samookaleczenie ręki lub nogi siekierą na ściętym pniu uchodziło w latach trzydziestych siódmych — zwłaszcza w brygadach leśnych — za najpewniejszy sposób wydostania się u kresu sił do normalnego, ludzkiego szpitala. Niesamowita bezmyślność sowieckiego ustawodawstwa obozowego sprawiła, że więzień umierający z wycieńczenia przy pracy był bezimienną jednostką energetyczną, którą wykreśla się pewnego dnia z planu technicznego jednym pociągnięciem ołówka; ale więzień okaleczony w czasie wyrębu lasu był tylko uszkodzoną maszyną, którą odsyła się czym prędzej do remontu.

W Wołogdzie zabrano mnie jedynego z przedziału. „Do widzenia" — powiedziałem do Szkłowskiego i wyciągnąłem doń rękę. „Do widzenia — odrzekł, ściskając ją serdecznie — oby pan wrócił do kraju naszych ojców".

Spędziłem jeszcze jedną dobę w więzieniu wołogodzkim, które swoimi narożnymi wieżyczkami i czerwonym murem okalającym duży dziedziniec przypomina zameczek średniowieczny. W podziemiach, w małej celi o otworze wielkości głowy zamiast okna, spałem na gołym klepisku ziemi wśród okolicznych chłopów, którzy nie odróżniali dnia od nocy, nie pamiętali pory roku i nazwy miesiąca, nie wiedzieli, jak długo siedzą, za co siedzą i kiedy wyjdą na wolność. Drzemiąc na swych fu-

trzanych szubach — nie rozdziani, nie rozzuci i nie myci — majaczyli w gorączkowym półśnie o rodzinach, domach i zwierzętach.

Następnej nocy o świcie dojechałem z innym etapem do stacji Jercewo pod Archangielskiem, gdzie czekał już na nas konwój. Wysypaliśmy się z wagonów na skrzypiący śnieg wśród naszczekiwania wilczurów i nawoływania straży. Na zbielałym od mrozu niebie migotały jeszcze ostatnie gwiazdy. Zdawało się, że zgasną lada chwila i gęsta noc wynurzy się z nieruchomego lasu, aby pochłonąć drżącą powałę nieba i różowy świt utajony w zimnych płomieniach ognisk. Na horyzoncie jednak pojawiły się za pierwszym zakrętem drogi cztery sylwetki „bocianów" na omotanych drutem kolczastym szczudłach. W barakach paliły się światła, a na trzeszczących od mrozu kołowrotkach ślizgały się z brzękiem łańcuchy studzienne.

Nocne łowy

Słowo „proizwoł" jest już dzisiaj prawdopodobnie nie znane więźniom sowieckim, ostatnie dni jego panowania przypadły bowiem w większości obozów rosyjskich na koniec roku 1940. W bardzo lapidarnym skrócie oznacza ono rządy więźniów w zadrutowanej zonie obozowej od późnego wieczoru do świtu.

„Pionierski" okres sowieckich obozów pracy trwał zasadniczo, z drobnymi odchyleniami zależnymi od warunków lokalnych, od roku 1937 do roku 1940. „Tridcat' siem" stanowi w świadomości starych więźniów rosyjskich, którzy mieli szczęście przeżyć lata Wielkiej Czystki i „budownictwa socjalistycznego w jednym kraju" opartego na masowym użyciu pracy przymusowej, datę podobną do narodzenia Chrystusa w świadomości chrześcijanina lub zburzenia Jerozolimy w umyśle ortodoksyjnego Żyda. „To było w trzydziestym siódmym" — te słowa wypowiadane szeptem pełnym grozy i nie zabliźnionego jeszcze cierpienia słyszałem ciągle po przyjeździe do obozu, jakby chodziło o rok głodu, pomoru, zarazy, pożogi i wojen domowych. W kalendarzu rewolucyjnym istnieje cały szereg takich przełomowych wypadków historycznych, których jednak — jak przystało na styl nowej ery — nie określa się na ogół datami. U ludzi bardzo starych punktem zwrotnym jest rewolucja październikowa i ona to z większą dozą słuszności mogłaby uchodzić za początek Nowej Ery, od którego przy użyciu słów

„przed" i „po" liczy się wszystko, co zaszło kiedykolwiek w dziejach ludzkości. Zależnie przy tym od nastawienia mówiącego „przed" i „po" oznaczają albo nędzę i dostatek, albo dostatek i nędzę; w obu wszakże wypadkach wszystko, co działo się w Rosji przed szturmowaniem Pałacu Zimowego w Petersburgu, tonie jednakowo w półmroku prehistorii. Ludzie młodsi (mówię oczywiście ciągle o obozach) liczą czas inaczej. Dla nich „za cara" znaczy już bezspornie „nędza, niewolnictwo i ucisk", a „za Lenina" — „biełyj chleb, sachar i sało". Te kamienie milowe, umocnione w prymitywnej świadomości historycznej głównie za sprawą opowiadań ojców, przemawiają także czasem do archeologa z kapitalistycznej planety innymi napisami: po okresie wstępnej szczęśliwości przychodzi okres Głodu i Kolektywizacji, który nie oszczędził ani jednej rodziny na Ukrainie; w ślad za latami Swobody i Zapału idą lata Terroru i Strachu, wstrząsane periodycznymi kataklizmami Powszechnych Czystek i poprzetykane nazwiskami Kirowa, Jagody, Jeżowa, Zinowjewa, Kamieniewa, Trockiego i Tuchaczewskiego. Pomarszczona od niewidzialnych wstrząsów skorupa ziemska układa się wówczas w wyraźne pasma górskie, z których spływają w doliny potoki krwi i łez. Po każdej takiej krwawej irygacji na jałowych zboczach górskich wyrasta nowa Władza, a przerwy pomiędzy cyklicznymi łańcuchami wypełnia ze słabnącym lub rosnącym natężeniem Okrążenie Kapitalistyczne. Stalin unosi się nad Epoką poleninowską jako okrutny Arcykapłan, który ukradł z ołtarza bogów święty płomień rewolucji.

Pierwsi moi towarzysze obozowi, inżynier rolnik Polenko i teletechnik z Kijowa Karboński (pierwszy został skazany za sabotaż kolektywizacji, a drugi za kontakt listowny z krewnymi w Polsce), należeli właśnie do niedobitków Starej Gwardii z trzydziestego siódmego roku. Z ich opowiadań wynikało, że obóz kargopolski — który

w chwili mojego przybycia składał się z kilkunastu „uczastków", rozrzuconych w promieniu kilkudziesięciu kilometrów i liczących w sumie około trzydziestu tysięcy więźniów — założyło cztery lata temu sześciuset więźniów, wysadzonych którejś nocy w pobliżu stacji Jercewo, w dziewiczym lesie archangielskim. Warunki były ciężkie: mróz dochodzący w zimie do czterdziestu stopni Celsjusza poniżej zera (co w tej okolicy nie jest zjawiskiem niecodziennym), wyżywienie nie przekraczające trzystu gramów czarnego chleba i jednego talerza gorącej zupy na dobę i mieszkanie w szałasach z gałęzi jodłowych, skleconych po parę wokół płonącego bez przerwy ogniska; jedynie uzbrojeni konwojenci mieszkali w małych domkach ruchomych na płozach. Więźniowie zaczęli swą pracę od tego, że oczyścili małą porębę i wznieśli pośrodku polany niewielki barak szpitalny. Właśnie wówczas okazało się, że samookaleczenie przy pracy daje przywilej spędzenia paru tygodni pod prawdziwym dachem, z którego nie cieknie odtajały śnieg, w pobliżu rozżarzonego do czerwoności piecyka żelaznego; ale ilość nieszczęśliwych wypadków przy pracy była tak duża, że poranionych trzeba było niemal codziennie odstawiać na saniach do szpitala w miejscowości Niandoma, odległej o kilkadziesiąt kilometrów od Jercewa. Jednocześnie rosła w zastraszający sposób śmiertelność. Najpierw zaczęli umierać komuniści polscy i niemieccy, którzy zbiegli z krajów rodzinnych, szukając schronienia przed więzieniem — w Rosji. Patrzeć na śmierć Polaków było — zdaniem moich dwóch towarzyszy — rzeczą znacznie straszniejszą niż obserwować gorączkowe, przedśmiertne majaczenia Niemców. Komuniści polscy (przeważnie Żydzi) umierali nagle, jak ptaki spadające w czasie mrozu z gałęzi, albo raczej jak głębinowe ryby oceaniczne, które pękają od wewnętrznego ciśnienia, gdy je spod ucisku wielu atmosfer wody wydobyć na powierzchnię. Jedno krótkie kaszlnięcie, ledwie dosłyszalne zakrztusze-

nie się i koniec. Maleńki biały obłoczek pary zawisał na chwilę w powietrzu, głowa opadała ciężko na piersi, ręce zaciskały kurczowo dwie kule śniegu. I nic więcej. Ani jednego słowa. Ani jednej prośby. Po nich przyszła kolej na Ukraińców i „nacmenów" (mieszkańców środkowej Azji, to jest Kazachów, Uzbeków, Turkmenów i Kirgizów). Najlepiej trzymali się rdzenni Rosjanie, Bałtowie i Finowie (którzy piłują, jak wiadomo, świetnie las), podwyższono im więc dzienne racje o sto gramów chleba i dodatkową chochlę zupy. W czasie pierwszych paru miesięcy, gdy wysoki stopień śmiertelności i prymitywne warunki obozowania nie pozwalały konwojentom prowadzić dokładnego wykazu więźniów, w szałasach przetrzymywano nieraz po parę dni zlodowaciałe trupy, pobierając na nie w brygadach chleb i talony na zupę. Baraki rosły na polanie, którą otoczono już drutem kolczastym, a codziennie brygady „lesorubów" wzmacniane świeżymi posiłkami z więzień wgryzały się coraz głębiej w puszczę jodłową, znacząc swój ślad umarłymi i drewnianym torem dla samochodów i sań; zbudowany jest on w ten sposób, że na niewysokim nasypie zbite mocno deski jodłowe tworzą coś w rodzaju trotuaru dla przechodniów, a dwie półokrągłe belki przymocowane są na wierzchu i ciągną się równolegle do siebie w odległości odpowiadającej wewnętrznemu rozstępowi osi w samochodzie lub w saniach; koła bądź płozy poruszają się wolno na torze po zewnętrznej stronie drewnianych szyn i chronione są przez nie w ten sposób od ześlizgnięcia się na boki; co kilkadziesiąt metrów tor przecięty jest w dwóch miejscach na długość normalnego pojazdu i osadzony na śrubie zwrotnicowej. W roku 1940 Jercewo było już dużym centrum kargopolskiego ośrodka przemysłu drzewnego z własną bazą żywnościową, z własnym tartakiem, z dwiema bocznicami kolejowymi i z własnym miasteczkiem za zoną dla administracji i straży obozowej. Wszystko to zbudowane zostało rękami więźniów.

Tych dawnych, „pionierskich" czasów sięga również tradycja „proizwołu" *. Gdy nie było jeszcze zamykanych na noc szop, w których więźniowie składają po pracy ostre narzędzia (piły, siekiery i topory), a kontrola strażników nie sięgała po zmroku poza koniec bagnetu lub świetliste ostrze reflektoru, część narzędzi wędrowała wieczorem do baraków. Pierwsze zastępy „urków", przybyłe do obozu w roku 1938, wykorzystały ten stan rzeczy, aby proklamować w zonie od zmierzchu do świtu małą „republikę więźniów" z własnymi sądami kapturowymi. Żaden strażnik nie ośmielił się pojawić między barakami w nocy nawet wówczas, gdy do jego uszu dochodziły straszliwe jęki i krzyki mordowanych więźniów politycznych; nigdy przecież nie wiadomo było, zza jakiego baraku wychyli się i roztrzaska mu łeb ciężki obuch toporzyska. Ponieważ dochodzenia dzienne dawały prawie zawsze bardzo nikłe rezultaty, polityczni zorganizowali własne oddziały samoobrony i ta wojna domowa między wykolejonym proletariatem a inteligencją rewolucyjną przetrwała podobno ze słabnącym stopniowo natężeniem do początków roku 1939. Był to czas, kiedy nowoczesne urządzenia techniczne i wzmocnione załogi obozów pozwoliły nareszcie NKWD uchwycić inicjatywę w swe ręce. W roku 1940 szczątkowe formy „republiki więźniów" istniały już tylko po to, żeby ułatwić „urkom" nocne łowy na nowo przybyłe kobiety. Półtora roku temu bowiem założony został w obozie pierwszy barak kobiecy. Trzeba tu oddać sprawiedliwość NKWD, które przyglądało się na ogół temu chrzestnemu tarłu przez palce, że dozwalało tylko na polowanie w zonie; drzwi do baraku kobiecego znajdowały się na odległość celnego strzału z wartowni. Nowo przybyłe kobiety były na ogół uprzedzane przez stare „łagiernice"

* Pewien komunista besabrabski opowiadał mi, że w roku 1938 był naocznym świadkiem potwornego skatowania Karola Radka, który padł ofiarą „proizwołu" w obozie na Wyspach Sołowieckich.

o grożącym niebezpieczeństwie, ale zdarzały się wypadki, że nie dawały tym ostrzeżeniom wiary. Skargi zanoszone nazajutrz po wypadku na wartownię były przyjmowane drwinami, a zresztą, któraż rozsądna kobieta miała ochotę narazić się na bezlitosną, ślepą mściwość „urków" w obozie? Dowiadywała się od razu na wstępie, jakie są reguły walki o życie w obozie, i ulegała im instynktownie, nie wychodząc z baraku po zmroku lub szukając sobie możnego opiekuna wśród prześladowców. Na początku roku 1941 nocne łowy zostały również ukrócone przez NKWD. Życie stało się dla jednych znośniejsze, a dla innych „użasno skucznoje".

Po przyjeździe do obozu przespałem dzień w opustoszałym baraku, a pod wieczór, gdy zaczęły mną trząść dreszcze i poczułem gorączkę, powlokłem się za radą starego popa Dimki do „łazarieta". Dimka, który jako beznogi staruch był dyżurnym w baraku, doradził mi przyjaźnie, żebym nie ustępował lekarzowi, dopóki mnie nie skieruje do szpitala. „Po więzieniu — mówił — należy się najsamprzód odpoczynek, zanim się człowiek weźmie do uczciwej pracy". Przy słowie „uczciwej" zaśmialiśmy się obaj. Pop uderzył się drewnianym jarzmem w protezę, założył je sobie na kark i podniósł z ziemi żelaznymi hakami dwa wiadra. W jego bezczynnym życiu wybiła najważniejsza chwila w ciągu dnia. Wyszorował był już podłogę, dorzucił drew do pieca i ruszał teraz po wrzątek do picia i po „chwoję" — ciemnozielony odwar z igieł sosnowych, który pomagał podobno na awitaminozę. Bardzo nieliczni w obozie chorzy na szkorbut otrzymywali od lekarza kartki na „cyngotnoje pitanije". Tym mianem określało się sporą łyżkę siekanej surówki — przeważnie cebuli, marchwi, brukwi i buraków. Prawie zawsze starania o „cyngotnoje" były walką o dodatkową łyżkę jedzenia, a nie o lekarstwo.

W zonie było już szarawo, ale zacisznie i prawie pogodnie. Pierwsze dymy unosiły się nad barakami, zamia-

tając szerokimi pióropuszami okapy dachów, oblodzone szyby okien tliły się brudnym światłem jak anemiczne słońce jesienne zachodzące za chmurą z nieprzezroczystej błony, a na horyzoncie jak okiem sięgnąć ciągnęła się czarna ściana lasu. Ścieżki w obozie zrobione były z dwóch położonych obok siebie desek. Czyścili je codziennie, szczególnie po nocach obfitujących w śnieżyce, popi, odwalając drewnianymi łopatami śnieg na boki i piętrząc zaspy, które sięgały niekiedy do pasa. Cały obóz wyglądał jak ogromna odkrywka gliny, unerwiona siecią wąskich kanalików dla wagonetek. Uchylone wrota na wartowni czekały już na powrót pierwszych brygad z pracy. Na wysokim pomoście koło kuchni stał ogonek pozszywanych ze szmat cieni w uszankach i ogromnych łapciach, z których sterczały nogi obwiązane sznurkami, i niecierpliwym pobrzękiwaniem kociołków przypominał o sobie kucharzowi.

Lazaret mieścił się w małym domku niedaleko baraku kobiecego. Za przepierzeniem z dykty dyżurowali lekarz i „lekpom", a w kącie obok drzwi siedział za stolikiem obdarty i zarośnięty starzec w drucianych okularach i łagodnym spojrzeniem maleńkich oczu witał każdego wchodzącego, aby go po chwili z nie ukrywaną radością wciągnąć na listę pacjentów. Zdawał się tu zadomowiony, bo nie tylko pięknym, kaligraficznym pismem odnotowywał nazwiska czekających i dorzucał ciągle rozłupane okrąglaki do pieca, ale wypytywał z zabawną powagą o symptomy choroby, wykrzykiwał — wsadziwszy kudłaty łeb za drzwi przepierzenia — „Tatiana Pawłowna, każetsia sierioznyj słuczaj", i wracając za swój stół, z zadowoleniem pobełtywał drewnianą łyżką w resztkach zupy, które grzały się w małej blaszance na krawędzi piecyka. Miły głos kobiecy odpowiadał niezmiennie: „Matwiej Kiryłłowicz, budtie lubieznyj podożdat'", a starzec rozkładał ręce gestem zaaferowanego dygnitarza. Te resztki niezwykłej, przesadnej wręcz grzeczności spotyka się w obozach tylko u ludzi starszych.

Wśród czekających przeważali „nacmeni". Trzymając się już w poczekalni za brzuchy, wybuchali od progu przepierzenia żałosnym skomleniem, w którym jęków bólu nie można było odróżnić od łamanej cudacznie ruszczyzny. Nie było na ich chorobę lekarstwa, uważano ich więc na ogół za nieuleczalnych symulantów. Umierali z tęsknoty za krajem rodzinnym — z głodu, mrozu i monotonnej bieli śniegu. Ich przymrużone skośnie oczy, nienawykłe do krajobrazu Północy, łzawiły nieustannie i zarastały na rzęsach żółtym pasemkiem ropy. W rzadkie dni wolne od pracy Uzbecy, Turkmeni i Kirgizi zbierali się we wspólnym kącie baraku, przyodziani odświętnie w kolorowe chałaty z jedwabiu i wzorzyste jarmułki. Nie można było nigdy odgadnąć, o czym rozmawiają z tak niezwykłym ożywieniem — gestykulując, przekrzykując się nawzajem i kiwając smętnie głowami — ale to pewne, że nie o obozie. Bardzo często późnym wieczorem, gdy starsi odchodzili już do swoich baraków, młodsi zostawali jeszcze parami na wspólnych pryczach i godzinami gładzili się w milczeniu po szyjach, twarzach i plecach, obciągniętych jedwabnym płótnem. Wyglądało to na wzbierający stopniowo spazm, bo ruchy stawały się coraz wolniejsze i nabierały drętwości, a zamglone oczy tężały w słup. Nie wiem, jak się kończyły te nocne pieszczoty, i nigdy nie widziałem „nacmenów" uprawiających męską miłość, ale w czasie mojego półtorarocznego pobytu w obozie przez Jercewo przeszła tylko jedna Turkmenka. W „nacmeńskim" kącie przywitało ją z honorami grono starców i młodzieży i odstawiło przed zapadnięciem nocy do baraku kobiecego; nazajutrz poszła na etap.

Tatiana Pawłowna okazała się istotnie uprzejmą, siwiejącą już kobietą, i upewniwszy się, że mam bardzo wysoką temperaturę, dała mi bez trudu skierowanie do szpitala. „Nie załatwia to jednak wszystkiego — powiedziała mi na odchodnym — trzeba czasem bardzo długo

czekać na wolne łóżko". Gdy wracałem wieczorem do baraku po rzeczy, w zonie było już ciemno. Na wąskich ścieżkach posuwali się po omacku „kurzy ślepcy", dotykając ostrożnie oblodzonych desek gumowymi łapciami, a czarnej zasłony powietrza trzepocącymi palcami rąk. Coraz wpadał któryś w zaspę śnieżną i wykopywał się z niej rozpaczliwymi ruchami tułowia, wzywając cicho pomocy. Zdrowi więźniowie wymijali ich obojętnie i szli szybko przed siebie, wzrok utkwiwszy w rozjarzonych oknach baraków.

W szpitalu przeleżałem tylko jedną noc na korytarzu, a potem już dwa tygodnie w czystym łóżku na sali i wspominam ten okres jako jeden z najpiękniejszych w moim życiu. Skóra, nienawykła od roku do białej pościeli, zdawała się oddychać z ulgą wszystkimi porami, głęboki sen pogrążył mnie w gorączkowych majaczeniach i wspomnieniach jak w stogu pachnącego siana. Spałem tak całą dobę. Obok mnie leżał rosły mężczyzna, chory na „pyłagrę". Nie umiem powiedzieć, na czym ta choroba polega, ale wiem, że jej objawy połączone są z wypadaniem włosów i zębów, z atakami przewlekłej melancholii, a podobno także z rupturą. Codziennie rano po przebudzeniu mój sąsiad odrzucał kołdrę i przez parę minut ważył na dłoni swe jądra. Leczono go wyłącznie kostkami margaryny wielkości małego pudełka zapałek, które otrzymywał na śniadanie wraz z porcją białego chleba. „Pyłagrycy" nie wracali już nigdy do zdrowia; po wypisaniu ze szpitala przechodzili do baraku dla niepracujących, gdzie otrzymywali zmniejszoną porcję jedzenia i mogli całymi dniami leżeć bez ruchu na pryczach; barak ten nosił nazwę „słabosiłki", ale z większą dozą słuszności mówiło się o nim w obozie jako o „kostnicy" lub Trupiarni. W czasie pobytu w szpitalu zaprzyjaźniłem się również serdecznie z siostrą, niezwykle oddaną i uczynną Rosjanką z Wiatki, która odsiadywała dziesięć lat jako córka „kontrrewolucjonisty"; jej ojciec

przebywał (o ile jeszcze żył) od roku 1937 w „zakrytych łagieriach", nie wiadomo gdzie i w jakich warunkach, nie miał bowiem prawa pisywania i otrzymywania listów. Siostra Tamara ofiarowała mi na pożegnanie trzy książki — obok *Zapisków z martwego domu* Dostojewskiego jedyne, jakie próbowałem potem czytać w obozie w dni wolne od pracy: *Woprosy leninizma* Stalina, *Soczinienija* Gribojedowa i *Folkłor Riespubliki Komi.*

Po powrocie do baraku dostałem jeszcze trzy dni zwolnienia, miałem więc dość czasu, aby się zastanowić nad przyszłością. Teoretycznie istniały trzy możliwości: albo przydzielą mnie do brygady „lesorubów", albo odeślą mnie etapem na inny „łagpunkt", albo wreszcie zakrzątnę się sam koło własnych spraw. Z nich dwie pierwsze były najgorsze. Praca w lesie od świtu do zmierzchu po pas w śniegu nie była wprawdzie dla zdrowego mężczyzny ponad siły, ale przerażała mnie marszruta — po sześć kilometrów w każdą stronę przez zaśnieżone wykroty i wilcze zapadnie; w więzieniu spuchły mi tak nogi, że ledwie mogłem ustać w ogonku do kuchni. Z opowiadań więźniów wywnioskowałem również, że Jercewo jest najlepszym „łagpunktem" w obozie kargopolskim, a do innych — zwłaszcza do karnej Aleksiejewki Drugiej — wysyła się głównie Polaków na powolne konanie. Idąc więc za radą Dimki, który był mi dotąd najwierniejszym przyjacielem i ojcem, sprzedałem „urce" z brygady tragarzy wysokie buty oficerskie za godziwą cenę 900 gramów chleba i jeszcze tegoż wieczoru otrzymałem odpowiedź, że „naczalstwo" zgadza się na mój przydział do 42. brygady i poleca mi zgłosić się w magazynie po odbiór buszłatu, uszanki, watowanych spodni, rękawic i walonek „pierwszego gatunku" (nowych albo lekko znoszonych) — czyli pełnego kompletu odzieży, jaki przysługuje tylko „udarnym" zespołom więźniów. Wtajemniczony przez Dimkę, wiedziałem już, że praca tragarza na bazie żywnościowej ma swoje złe

i dobre strony. Pracuje się wprawdzie niejednokrotnie po dwadzieścia godzin na dobę — zależnie od ilości wagonów na bocznicy kolejowej — i norma dwunastogodzinnego dnia pracy wynosi 25 ton mąki w workach lub 18 ton owsa bez worków na człowieka przy odległości 25 metrów od wagonu do składu, ale baza znajduje się tuż za zoną i można czasem ukraść coś do jedzenia. „Popracujesz — mówił mi Dimka — ale i pojesz. Pogrzejesz się trochę przy ognisku i zdechniesz z głodu. Kory nie ugryziesz, a chwoi ja tobie, synok, przygotuję". Byłem więc, na razie przynajmniej, uratowany. Leżąc na górnej pryczy przy oknie, przyglądałem się 42. „brygadzie międzynarodowej". Osiem najlepszych miejsc w kącie baraku zajmowała zgrana szajka „urków" z ospowatym bandytą ukraińskim, Kowalem, na czele. Resztę — zbieranina komunistyczna z całej Europy i jeden Chińczyk.

Krótko przed północą — Dimka wstawał zazwyczaj o tej porze jeszcze raz, żeby wygrzebać z cebrzyka pomyj główki od śledzi, z których warzył sobie na obiad zupę — Kowal, leżący przy oknie na brzuchu z twarzą przytkniętą do szyby, zerwał się gwałtownie z pryczy i paroma krótkimi szarpnięciami obudził swych towarzyszy. Po chwili zebrali się wszyscy w ośmiu koło odtajałej tarczy w szybie, przyjrzeli się zonie, poszeptali bezładnie i ruszyli do wyjścia. Trwało to wszystko nie więcej niż minutę, w czasie której przymrużyłem powieki i odetchnąłem głęboko parę razy, jak przez sen. W baraku panowała zupełna cisza; na dwóch rzędach dolnych i górnych prycz leżeli obok siebie nie rozdziani więźniowie i dychawicznymi haustami łapali chciwie rozgrzane powietrze. Ledwie ostatni „urka" zniknął za drzwiami, przewróciłem się na brzuch i wychuchałem szybko mały otwór w lodowatej paproci na szybie. W odległości stu metrów od naszego baraku zona opadała łagodnie wklęsłą miską i podnosiła się znowu daleko w tyle, za drutami obozu. Sąsiednie baraki wznosiły się dopiero na brze-

gach miski, zasłaniając wartownię i całą górną partię zony. Względnie dobra widzialność w głąb wklęśnięcia istniała tylko ze szczytu najbliższego „bociana", ale jeżeli wartownik siedział twarzą do obozu, oparty o ścianę wieżyczki, mógł widzieć tylko dalszą część opadającego przedpola. Od strony szpitala szła przez opustoszałą zonę w kierunku baraku kobiecego rosła dziewczyna i gdyby chciała sobie skrócić drogę, aby nie otrzeć się o przeciwległe druty, musiałaby przeciąć na ukos przedni skraj miski. Osiem cieni rozbiegło się bezszelestnie po lewym brzegu wklęśnięcia i rozstawiło więcierz u wylotów poprzecznych ścieżek, tuż za węgłami wygiętych w wachlarz baraków. Dziewczyna szła prosto w jego serce. W ciszy pogrążonego w śnie obozu zaczynały się nocne łowy.

Dziewczyna szła już teraz ścieżką na wysokości naszego baraku, zasłonięta po biodra zaspą śnieżną. Z daleka widać było tylko, że jest rozrośnięta w ramionach i ma szeroką twarz obwiązaną chustką, której koniec powiewał z tyłu jak ogon latawca. Jeszcze nie doszła do zakrętu ścieżki, gdy zza węgła wynurzył się pierwszy cień i zastąpił jej drogę. Dziewczyna drgnęła, zatrzymała się i wydała lekki okrzyk. Cień skoczył zwinnym susem do jej gardła, chwycił jedną ręką za kark, a drugą zatkał usta. Dziewczyna wyprężyła się łukowato do tyłu i oderwawszy lewą nogę od ziemi, wpakowała ją zgiętym kolanem w brzuch napastnika, a obiema rękami wczepiła się w jego brodę, odpychając od siebie z całych sił olbrzymi łeb w uszance. Cień zatoczył lewą nogą wprawny ruch półkolisty w kształcie sierpu i mocnym uderzeniem podciął znienacka jej nogę, wrośniętą w ziemię. Zwalili się oboje w zaspę śnieżną dokładnie w chwili, gdy pozostałych siedmiu nadbiegło z dwóch stron na pomoc.

Powlekli ją, trzymając za ręce i głowę o rozwianych włosach, w dół wklęśnięcia na zawaloną śniegiem ławkę, która sterczała czarną kresą poręczy w odległości dwu-

dziestu metrów od baraku. Pierwszego przyjęła wściekłym wierzganiem oswobodzonych nagle z żelaznego uchwytu nóg, ale rychło ucichła znowu, zdławiona spódnicą zarzuconą na głowę i ogromną łapą Kowala, przyciskającą przez płótno jej twarz do blatu ławki. Pierwszy przygwoździł jednym kolanem jej prawą nogę do oparcia ławki, a drugim wparł się w wewnętrzną stronę uda zawieszonego w próżni, które kleszczowym ruchem próbowało zewrzeć się jak ramię zawiasu. Gdy dwaj po bokach trzymali ją za ręce, pierwszy półklęcząc zdzierał z niej majtki i odpinał spokojnie spodnie. Po chwili jej ciało zakołysało się konwulsyjnie, tak że Kowal musiał w takt nierównych drgań popuszczać lekko rozczapierzony kaganiec swej dłoni na jej głowie. Drugi i trzeci mieli już ułatwione zadanie i ośmieleni nagłym spokojem jej ciała próbowali niecierpliwymi dłońmi odszukać w pomiętym kłębku spódnicy i bluzek jej piersi. Przy czwartym jednak udało jej się uwolnić głowę z rozluźnionego uścisku palców Kowala i w mroźnej ciszy zony rozległ się krótki, gardłowy krzyk, nabrzmiały łzami i zduszony kneblem z sukna. Z najbliższego „bociana" zaspany głos zawołał: „Riebiata, wy czto że, czełowieczeskogo pozora u was niet". Ściągnęli ją z ławki i jak kukłę z łachmanów powlekli za barak, do latryny. Na przedpolu widocznym przez otwór w oblodzonej szybie opustoszało; jedynie wokół ławki utworzyła się po obu stronach ścieżki głęboka wyrwa w prostopadłych ścianach śniegu, przybrawszy kształt stratowanego klombu. Po jakiejś godzinie siedmiu wróciło do baraku. Zaraz potem spostrzegłem przez mojego „judasza" w szybie Kowala, odprowadzającego dziewczynę do baraku kobiecego. Szła wolno, potykając się i zataczając na ścieżce, z głową przekrzywioną na stronę i rękami skrzyżowanymi na piersiach, podtrzymywana w pasie mocnym ramieniem swego towarzysza.

Nazajutrz wieczorem Marusia przyszła do naszego baraku. Miała jeszcze ślady skrzepłej krwi na twarzy

i podsiniaczone oczy, ale wyglądała ładnie w kolorowej spódnicy i białej, cyfrowanej bluzce z czystego lnu, w której kołysały się, puszczone luzem, dwie piersi wielkie jak bochny chleba. Usiadła, jak gdyby nigdy nic, na pryczy Kowala plecami do pozostałych „urków" i przytuliwszy się do niego, lekko szeptała mu coś na ucho, całując go ze łzami w oczach w ospowaty policzek i po rękach. Kowal siedział z początku najeżony i spod niskiego czoła rzucał ukradkiem zmieszane spojrzenia na towarzyszy, ale dał się w końcu ubłagać. Została na noc, budząc nas ciągle z napiętego gorączkowymi rojeniami snu słowami najczulszej miłości, pomieszanymi z własnymi zachłystami bólu i miarowym sapaniem Kowala. Wymknęła się z baraku przed świtem, a za nią stąpał ostrożnie na chwiejących się nogach ogłupiały i zaczadzony kochanek. Odtąd przychodziła już codziennie i nieraz śpiewała przed zapadnięciem nocy mocnym głosem, który przechodził pod koniec każdej frazy w zawodzący jękliwie pisk, „czastuszki" ukraińskie o chłopcu, co „chodił wozle doma mojego", i o tym, jak „choroszo s mołocznicoj żywiotsia". Została w naszym obozie wodowozem i polubiliśmy wszyscy jej szeroką, wysmaganą mrozem twarz, jasne włosy rozwiane na wietrze i rozdęte nozdrza, gdy siedząc okrakiem na beczce, opierała czuby walonek na klinach w przednim zaworze sań i poganiała konia głośnymi klaśnięciami bata lub nerwowymi szarpnięciami lejc. Za zoną, gdzie puszczano ją po wodę bez konwoju jako „bytowoją", zdobywała czasem parę barwnych obrazków lub kolorowych wycinanek z bibułki i przyozdabiała nimi wieczorem brudną ścianę nad pryczą swego ukochanego.

W brygadzie tymczasem popsuło się wszystko od owej pamiętnej chwili nocnych łowów. Kowal chodził do pracy półprzytomny i senny, jego pałąkowate nogi uginały się pod ciężarem worków, omijał często kolejki w wagonach i parę razy spadł nawet z kładki na szyny.

Chińczyk Wang wspomniał kiedyś w czasie przerwy w małej stróżówce, że trzeba by „jednego konia zmienić w zaprzęgu", ale siódemka „urków" zgromiła go rozjuszonym spojrzeniem. Zauważyliśmy jednak, że i oni milkną i uśmiechają się pogardliwie, ilekroć Kowal zbliża się do nich na papierosa. Trzymał się więc na boku, jadał sam z osobnego kociołka, a po kolacji naciągał moje oficerskie buty, wdziewał odświętną rubaszkę ukraińską i kładł się z papierosem na pryczy, nasłuchując, czy nie odezwie się na drodze do kuchni bulgotanie wody, kolebiącej się w ostatniej dziennej beczce.

Któregoś wieczoru, gdy Marusia, która nie odzywała się do nikogo w naszym baraku, siedziała jak zwykle obok Kowala otoczywszy go w pasie splecionymi ramionami, jeden z „urków" trącił ją lekko w plecy i przemówił do niej parę słów. Dziewczyna rozplotła wolno dłonie, odwróciła głowę i przeszyła go nienawistnym spojrzeniem; nagle poderwała się całym tułowiem do przodu i z błyskiem śmiertelnie ranionego zwierzęcia w oczach splunęła mu prosto w twarz. Oślepiony „urka" cofnął się, obtarł lewym rękawem twarz i rozczapierzywszy dwa palce prawej ręki, odwinął się do ciosu. W tej chwili Kowal runął na niego z pryczy jak jastrząb. Szamotali się chwilę, a gdy ich rozłączono, Kowalowi przyglądało się spode łba siedem wrogich par oczu. Odwrócił się do wtulonej w kąt Marusi, obciągnął na sobie podartą rubaszkę i głosem, od którego cierpła skóra, wycedził przez zaciśnięte zęby: „Kładź się, suko, i rozbieraj, bo uduszę". Po czym do towarzyszy: „Bieritie, bratcy".

Pierwszy poszedł opluty „urka". Marusia brała ich teraz w siebie bez sprzeciwu, rozchylając łagodnie uda, kładąc dłonie na kołyszących się zadach i nie broniąc się nawet, gdy nieprzytomnie rozbieganymi rękami miętosili jej piersi. Jej oczy, rozwarte szeroko w zwieszonej z pryczy głowie, wpatrywały się tylko uporczywie w sie-

dzącego przy stole Kowala, a jej blade wargi szeptały cicho: „Prosti, Timosza, prosti". Kowal nie ruszył się z miejsca, gdy wychodząc z baraku, spojrzała nań raz jeszcze wzrokiem przepełnionym bezgraniczną i podeptaną miłością. W powietrzu unosił się jeszcze długo po jej wyjściu ostry zapach potu, spermy i chwoi.

Po trzech dniach Marusia odeszła od nas na własną prośbę z etapem więźniów do Ostrownoje, a wśród ośmiu „urków" w brygadzie zapanowało na powrót braterstwo broni, nie zakłócone już do końca mojego pobytu w obozie żadnym szczątkowym uczuciem ludzkim.

Praca

Dzień po dniu

O wpół do szóstej nad ranem drzwi baraku otwierały się z trzaskiem i wśród ciszy przerywanej tylko ostatnimi westchnieniami snu rozlegał się głośny okrzyk: „Podjom!" W chwilę potem „razwodczik" — więzień odpowiedzialny za wymarsz brygad do pracy — przechodził szybkim krokiem wzdłuż prycz, szarpiąc śpiących za nogi. Więźniowie poruszali się ciężko na pryczach, odrzucali sennym ruchem ręki buszłaty okrywające głowy, podnosili się tak wolno, jak gdyby ich ciała skrępowane były niewidzialnymi pętami, i jęcząc z bólu, opadali z powrotem na legowiska. Wzdłuż prycz przechodził teraz wolno „dniewalny", szepcząc monotonnym głosem: „Riebiata, na rabotu". Do niego należało postawić barak na nogi przed otwarciem kuchni. Robił to jednak w przeciwieństwie do „razwodczika" łagodniej i grzeczniej, jak człowiek, który sam nie pracując, wypycha innych do pracy, i któremu najniższy status sługi niewolników nie pozwala na opryskliwość, tak zwyczajną w ustach ludzi wolnych i ich obozowych wysłanników.

Te parę minut, które mieszkańcy każdego baraku spędzali po pobudce leżąc bez ruchu na pryczach, było swoistą formą porannej modlitwy więźniów. Zaczynała się ona nieodmiennie od przekleństw, a kończyła prawie zawsze sakramentalnym zwrotem: „Ech, nadojeła żyzń".

Powtarzany codziennie na wszystkich pryczach — dolatujący z boków, z dołu i z góry — stał się on dla mnie w końcu czymś w rodzaju przeraźliwej skargi, w której mieściło się wszystko, co więzień umiał i mógł powiedzieć o swojej śmierci za życia. W innych krajach i w innych warunkach miejsce tego krótkiego okrzyku rozpaczy zajmuje prawdziwa modlitwa lub skreślenie jednego dnia wyroku; jest rzeczą aż nazbyt zrozumiałą, że człowiek pozbawiony wszystkiego z wyjątkiem nadziei zaczyna dzień od zwrócenia ku niej swych pierwszych myśli i próśb. Ale jakże mogli to czynić ludzie, którym odebrano nawet nadzieję? Ani jeden z więźniów sowieckich nie mógł wiedzieć na pewno, kiedy mu się skończy wyrok, gdyż pamiętał z własnego doświadczenia tysiące wypadków, w których przedłużono go na następne dziesięć lat jednym pociągnięciem pióra Osobogo Sowieszczanija NKWD w Moskwie. Tylko ludzie, którzy siedzieli kiedykolwiek w więzieniu, będą w stanie zrozumieć całe okrucieństwo faktu, że w ciągu półtorarocznego pobytu w obozie słyszałem zaledwie parę razy więźniów obliczających na głos ilość lat, miesięcy, tygodni, dni i godzin, które pozostały im jeszcze do ukończenia wyroku. Była to jak gdyby cicha umowa, zmierzająca do nieprowokowania losu. Im mniej mówiło się o wyrokach, im mniej pokładało się nadziei w odzyskaniu wolności, tym prawdopodobniejsze wydawało się, że „tym razem" wszystko pójdzie dobrze. Rozdmuchiwanie nadziei miało w sobie straszliwe niebezpieczeństwo zawodu. W owym milczeniu więc, podobnym do tabu, jakie wśród szczepów murzyńskich otacza imiona mściwych bożków, pokora sąsiadowała z cichym i wytrwałym przygotowaniem na najgorsze. Więzień nie uzbrojony w nie przeciwko losowi przyjmował zaskoczenie jak śmiertelny cios. W lipcu 1941 roku, w dwa tygodnie po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej, sam byłem świadkiem, jak stary kolejarz z Kijowa, Ponomarenko, który przesiedział okrągłe

dziesięć lat we wszystkich możliwych obozach sowieckich i jedyny wśród nas mówił o nadchodzącym zwolnieniu z pewnością siebie wykluczającą jakiekolwiek obawy, został w dniu ukończenia wyroku wezwany za zonę, aby usłyszeć, że przedłużono mu go „biezsroczno". Kiedyśmy wrócili z pracy, już nie żył, umarł w baraku na atak serca. Dimka opowiadał nam później, że wrócił z Trzeciego Oddziału blady i postarzały o swoje dziesięć przesiedzianych na próżno lat i bez słowa położył się na pryczy. Na wszystkie pytania odpowiadał „żyzń propaszczaja" i — on, stary bolszewik! — to modlił się bezgłośnie zmartwiałymi wargami, to bił siwą głową o deski pryczy. Umarł między czwartą a piątą po południu, kiedy Dimka wyszedł jak zwykle po chwoję i wrzątek. Można się jedynie domyślać, co działo się w jego sercu, ale to pewne, że oprócz rozpaczy, bólu i bezsilnego gniewu — zakradło się doń także uczucie żalu za lekkomyślne zawierzenie nadziei. Na chwilę przed śmiercią musiał jeszcze, spoglądając wstecz na swoje zmarnowane życie, czynić sobie gorzkie wyrzuty, że podrażnił los bezmyślną ufnością. W baraku więcej się słyszało po tym wypadku słów potępienia niż współczucia. Cierpiał — to prawda — ale czy nie był sobie sam winien? Czy nie igrał z ogniem, mówiąc codziennie swobodnie o zbliżającym się dniu zwolnienia? Czy nie uroczył wolności zamiast zawierzyć pokornie wyrokom przeznaczenia? Nie był przecież niedoświadczonym nowicjuszem, na własne oczy widział w roku 1936, jak ludzie przecinali sobie żyły u rąk, gdy o czwartej po południu mieli wyjść na wolność, a o dwunastej przyszło z Moskwy rozporządzenie znoszące system odliczania dwóch dni wyroku za każdy dzień stachanowskiej pracy! Sam to opowiadał, śmiejąc się, że zdrowy rozsądek kazał mu zawsze pracować tylko tyle, ile trzeba było, aby dzień policzono za dzień. A teraz?... A teraz nie policzono mu 3650 dni wytrwałej, uczciwej pracy.

Czyż nie była to słuszna kara za zlekceważenie praw życia obozowego?

I wszystko potoczyło się po dawnemu, miejsce Ponomarenki zajął nowy więzień, miejsce zaufania do prawa stary zabobon, a miejsce codziennego różańca wyrokowego „ech, żyzń nadojeła" — jedyne słowa, jakimi wolno było w obozie określać beznadziejność, nie prowokując nadziei.

Kwadrans przed szóstą na pryczach leżeli już tylko ci więźniowie, którzy poprzedniego dnia otrzymali zwolnienie od lekarza, a reszta zaczynała się ubierać. Przygarbione postacie pochylały się nad gołymi nogami, próbując ze szmat, sznurków, kawałków drutu, dziurawych walonek i skrawków opon samochodowych skleić możliwie ciepłe i trwałe obucie na jedenastogodzinny dzień pracy. Jedynie brygady doborowe (do których zaliczała się i nasza), zatrudnione przy pracach związanych bezpośrednio z planem produkcyjnym obozu, otrzymywały nowe ubrania i miały prawo wymieniać je po zniszczeniu. Około trzech czwartych więźniów jednak wychodziło do pracy w łapciach, często z odsłoniętymi częściami nóg, ramion i piersi. Nie było więc rzeczą dziwną, że wielu z nich nie miało odwagi rozbierać się na noc, aby nie ryzykować rozsypania się z trudem posztukowanej odzieży. Dla nich pobudka była tylko znakiem danym w poczekalni dworca kolejowego. Otrząsali się ze snu, zwlekali się z prycz, zwilżali w rogu baraku oczy i usta i szli na kuchnię. Wychodzili do pracy ze skrytą nadzieją, że tym razem odmrożenie odsłoniętych części ciała będzie dość wyraźne, aby im wyjednać choć parę dni zwolnienia.

W zonie było jeszcze zupełnie ciemno. Dopiero przed samym apelem porannym niebo zaróżowiło się lekko na skraju horyzontu, roztapiając się po chwili w zimnobłękitnym odblasku śniegu. Teraz zaś trudno było rozpoznać twarze idących nawet na odległość wyciągniętej

ręki. Szli wszyscy w kierunku kuchni, potrącając się wzajemnie i dzwoniąc blaszankami. W pobliżu studni i dokoła małego baraku, w którym gotowano wrzątek, słychać było dźwięk wiader, skrzypienie zamarzniętego śniegu i ciche szepty popów, wymieniających spokojnie swe poranne grzeczności. Ciemny pułap nieba zamykał nas od góry, a niewidoczne druty odgradzały nas od dalekiego świata, który w blasku zapalonych przed chwilą lampek zaczynał się krzątać wokół swoich spraw.

Na pomoście przed kuchnią ustawiały się trzy kolejki, odpowiadające w skrócie podziałowi społecznemu proletariatu obozowego. Przed oknem z napisem „trzeci kocioł" stawali najlepiej ubrani i najlepiej wyglądający więźniowie — stachanowcy, których dzienna wydajność pracy dosięgała lub przekraczała 125% normy; ich poranny posiłek składał się z dużej łyżki gęstej kaszy i kawałka solonej „treski" lub śledzia. Drugi kocioł otrzymywali więźniowie z dzienną wydajnością 100% normy — również łyżkę kaszy, ale bez ryby. W tym ogonku pierwsi ustawiali się zazwyczaj starcy i kobiety z brygad, w których obliczanie normy systemem procentowym było niemożliwe, toteż przydzielano im drugi kocioł na stałe. Najstraszniejszy widok przedstawiał ogonek do pierwszego kotła; długi szereg nędzarzy w podartych łachmanach, obwiązanych sznurkami łapciach i wyświechtanych czapkach uszankach czekał na swoją łyżkę najrzadszej kaszy. Twarze mieli skurczone z bólu i wysuszone jak pergamin, oczy zaropiałe, szeroko rozwarte głodem i nieprzytomnie rozbiegane, dłonie kurczowo zaciśnięte na kociołkach, jak gdyby druciane rączki przymarzły już na zawsze do zesztywniałych palców. Słaniając się z wycieńczenia na cienkich nogach, cisnęli się niecierpliwie do okna, domagali się błagalnym głosem dolewki, zaglądali do blaszanek więźniów, którzy odchodzili ze śniadaniem od okien drugiego i trzeciego kotła. To tutaj najczęściej wybuchały spory, to tutaj

głosy przechodziły najczęściej od pokornego skomlenia żebraczego do wysokiego falsetu gniewu, zazdrości i nienawiści. Kolejka do pierwszego kotła była zawsze w obozie najdłuższa. Oprócz najliczniejszej grupy więźniów, którzy mimo najlepszych chęci nie byli w stanie dosięgnąć stu procent normy, należeli do niej więźniowie rozmyślnie oszczędzający się przy pracy w przekonaniu, że lepiej mało pracować i mało jeść niż dużo pracować i niewiele więcej jeść, mieszkańcy Trupiarni zwolnieni od pracy i skazani na powolne dogorywanie, „dniewalni" ze wszystkich baraków i niektórzy więźniowie ze służby i administracji obozowej.

Przed szóstą śniadanie otrzymywali tylko więźniowie rozkonwojowani, którzy wychodzili za zonę sami na mocy specjalnych przepustek. Oprócz woziwodów i posługaczy lub posługaczek, zatrudnionych w domach wolnych urzędników obozowych w Jercewie, do tej grupy należeli również technicy, inżynierowie i specjaliści, obowiązani stawić się na miejscu pracy przed przybyciem brygad. Ich posiłek z kotła „iteerowskiego" (ITR — inżenierskо-tiechniczeskije raboczije) przewyższał znacznie ilościowo i jakościowo nawet rację stachanowców z ogólnych robót. O wpół do siódmej zamykano wszystkie okna — zaczynał się odmarsz brygad do pracy. Potem otwierano je znowu na krótko dla więźniów zwolnionych przez lekarza, dla pracujących w zonie na drugim kotle i dla mieszkańców Trupiarni na pierwszym kotle.

Mało który z więźniów miał dostatecznie dużo siły woli, aby swój poranny posiłek donieść z kuchni do baraku. Przeważnie zjadali go na stojąco u stóp pomostu, połykając dwoma lub trzema haustami wszystko, co chochla kucharza strząsnęła do brudnej blaszanki. Prosto z kuchni niewielkie grupki więźniów dołączały stopniowo do czarnego tłumu zebranego na wartowni. W zonie było już widno, z rzednących ciemności wyłaniały się najpierw oszronione druty, a potem olbrzymia płachta śnie-

gu, sięgająca do ledwie widocznej linii lasu na skraju horyzontu. W pobliskim Jercewie i w barakach gasły światła, a z kominów unosiły się w górę żółtobure kity dymu. Księżyc mętniał powoli, zamrożony w lodowatej tafli nieba jak krążek cytryny w galarecie. Ostatnie gwiazdy topniały, migocąc jeszcze przez chwilę na rozjaśniającym się szybko tle. Zaczynał się poranny „razwod" — odmarsz brygad do pracy.

Na dany znak brygady ustawiały się same na małym placyku przed wartownią. Więźniowie stawali po dwóch, w normalnych brygadach starsi na przedzie, młodsi z tyłu, w tych zaś, które nie wypełniały globalnej normy, młodsi na przedzie, a starsi z tyłu. Ten zwyczaj trzeba opatrzyć krótkim komentarzem. W praktyce bardzo niewielu było w obozie więźniów wyznających zasadę, że lepiej mniej pracować i mniej jeść. W znakomitej większości wypadków metoda wyciskania z więźniów maksymalnego wysiłku fizycznego przy minimalnej podwyżce racji żywnościowej działała gładko i sprawnie. Człowiek głodny nie filozofuje, gotów jest zrobić wszystko, aby zdobyć dodatkową łyżkę strawy. Toteż fascynacja normą była nie tylko przywilejem ludzi wolnych, którzy ją ustalili, ale i najprostszym nakazem instynktu życia niewolników, którzy ją wypełniali. W brygadach pracujących zespołami po trzech lub czterech więźniów najgorliwszymi stróżami normy byli sami więźniowie, gdyż normy obliczało się również zespołowo, dzieląc je przez ilość pracujących. W ten sposób znikało zupełnie poczucie solidarności więziennej, ustępując miejsca nieprzytomnej pogoni za procentami. Niewykwalifkowany więzień, który znalazł się w zgranym zespole robotników, nie mógł liczyć na żadne względy; po krótkiej walce musiał ustąpić, przenosząc się do zespołu, w którym często jemu z kolei przypadało doglądać słabszych towarzyszy. Było w tym wszystkim coś nieludzkiego, coś łamiącego bezlitośnie jedyną więź łączącą, zdawałoby się,

więźniów w sposób naturalny — ich solidarność w obliczu prześladowców. Sposób ustawiania brygad do odmarszu za zonę doprowadzał ten system do monstrualnego okrucieństwa. W normalnych brygadach tempo marszu narzucali starsi wiekiem więźniowie i było to zrozumiałe. W brygadach, które miały niedobór w normie globalnej, młodszych wypuszczano na przód, aby zarabiali na czasie szybkością marszu, ciągnąc za sobą bardziej niedołężnych. Ta naturalna selekcja odmładzała brygady w błyskawicznym tempie, wyrzucając po pewnym czasie starszych do Trupiarni.

Pierwsze wychodziły za zonę brygady „lesorubów", których trasa marszu do miejsca pracy wynosiła od 5 do 7 kilometrów; wyszedłszy z obozu o wpół do siódmej, przychodziły na swój odcinek leśny o wpół do ósmej, a kończyły pracę o piątej. „Razwodczik", który był na apelu porannym czymś w rodzaju mistrza ceremonii, wzywał w przepisowej kolejności brygady do wrót obozu i meldował je dowódcy warty, stojącemu z tabliczką i ołówkiem dokładnie na granicy zony i wolności. Za bramą czekał oddział „Wochry" (wooružennaja ochrana) w długich płaszczach wojskowych, futrzanych czapach i z bagnetami na broni. Dowódca warty przekazywał oficjalnie brygadę przydzielonemu do niej na stałe konwojentowi. „Striełok" występował z szeregu, podawał swoje nazwisko i numer brygady, sprawdzał jej stan liczebny, powtarzał go głośno dowódcy warty i podpisem na tabliczce potwierdzał tylu a tylu ludzi do takiej a takiej pracy. Od tej chwili był już odpowiedzialny za brygadę własną głową, toteż na chwilę przed ruszeniem wygłaszał do więźniów przepisaną prawem obozowym formułkę: „Brygada taka a taka — uprzedzam: krok w lewo, krok w prawo — kula w łeb". Po czym dawał znak do odmarszu i pochyliwszy karabin jak do ataku, z ręką na zamku, puszczał brygadiera na przód, a sam dołączał z tyłu. Za „lesorubami" ruszały brygady na

birżę drzewną, brygady ciesielskie do miasta, brygady ziemne, brygady na bazę żywnościową, brygady zatrudnione przy budowie dróg, na stacji pomp i w elektrowni. Od wrót obozu rozchodziły się na wszystkie strony czarne korowody więźniów — pochylonych, skurczonych z zimna i wlokących za sobą ciężko nogi — i po paru minutach znikały na widnokręgu jak rozsypane linijki czcionek, zgarnięte jednym pociągnięciem dłoni z białej karty papieru.

Droga do pracy była męcząca, ale w porównaniu z samą pracą stanowiła jeszcze pewne urozmaicenie. Nawet brygady, które pracowały w odległości nie większej niż dwa kilometry od zony, znajdowały niemałą przyjemność w mijaniu znajomych miejsc, drzew, zamarzniętych strumyków, półzawalonych szop i wykrotów. Było to jak gdyby samoutwierdzenie się przy życiu przez stałą obserwację niezmiennych praw przyrody. W niektórych brygadach również stopień zażyłości pomiędzy więźniami a konwojentem był tak duży, że wystarczyło, aby zniknęły z pola widzenia wartowni, a już „striełok" zarzucał sobie karabin na ramię i rozpoczynał przyjacielską pogawędkę z paroma ostatnimi dwójkami. W tym błahym odruchu ludzkich uczuć tkwiła nie tyle przyjemność podźwignięcia się z poniżenia i pogardy, co emocja, jaką daje łamanie przepisów więziennych. Niekiedy konwojent odnosił się do brygady uprzejmie, a nawet z czymś w rodzaju szczątkowych wyrzutów sumienia. Toteż dnie, w których następowała w brygadach zmiana konwojenta, należały do najpamiętniejszych i najżywiej komentowanych w barakach. Upływało zawsze trochę czasu, zanim pomiędzy niewolnikami a nadzorcą nawiązywała się nowa nić porozumienia. Nie ma co zaś wspominać nawet o wypadkach, w których konwojent uważał więźniów za swoich naturalnych wrogów. Taka brygada nie omijała nigdy żadnej, najmniejszej nawet okazji, aby mu dokuczyć i utrudnić pracę.

Pierwsze godziny dnia były najcięższe. Ciała, bardziej zmęczone snem na twardych pryczach niż wypoczęte, musiały pokonać wiele bólu, aby się wdrożyć z powrotem w rytm pracy. Poza tym rano nie było przecież na co czekać. Tylko stachanowcy otrzymywali w południe łyżkę gotowanej soi i sto gramów chleba; tę „primbludę" rozwoził w dużym cebrzyku umocnionym na stałe pomiędzy płozami sań jeden z woziwodów pod nadzorem kucharza. Reszta spędzała przerwę obiadową, siedząc przy ognisku i paląc wspólnego papierosa w takiej pozycji, aby nie trzeba było oglądać wydzielania stachanowcom „primbludy" i widzieć ich jedzących. Do rzadkości należeli więźniowie, którym udało się przechować z poprzedniego wieczoru kromkę suchego chleba. Racje chleba wydawane były po powrocie do zony w ilościach: trzeci kocioł — 700 gramów, drugi kocioł — 500 gramów, pierwszy kocioł — 400 gramów. Chleb więc — jeśli nie liczyć łyżki kaszy rano i porcji rzadkiej zupy wieczorem — był podstawowym pożywieniem w obozie. Powstrzymanie się od zjedzenia go w całości natychmiast po otrzymaniu wymagało nadludzkiego wysiłku woli i udawało się tylko tym więźniom, którzy po wieczornym posiłku szli jeszcze na kuchnię, aby za wyprzedawane stopniowo części własnego ubrania z wolności kupić od kucharzy dodatkową porcję zupy.

Dopiero na dwie godziny przed odmarszem do zony więźniowie ożywiali się nieco. Perspektywa bliskiego odpoczynku i zaspokojenia choć na chwilę dokuczliwego głodu działała tak silnie, że nie sam powrót, ale oczekiwanie nań uważaliśmy za największe przeżycie dnia. Jak w każdej idealizacji, więcej w nim było urojeń niż prawdy. Męka życia więziennego nie kończyła się w baraku, wprost przeciwnie, zamieniała się dopiero w torturę myśli o śmierci. Ale miała w sobie tajemniczy — pociągający i odpychający zarazem — urok intymności cierpienia. Leżąc samotnie na pryczy, można się było

nareszcie poczuć wolnym — wolnym od pracy, od współtowarzyszy więziennych, od czasu, który płynął jak stygnąca smoła. Tylko w więzieniu łatwo jest zrozumieć, że życie bez czekania na cokolwiek nie ma najmniejszego sensu i wypełnia się po brzegi rozpaczą. Czekając na samotność, baliśmy się jej jednocześnie. Była ona jedyną namiastką wolności, za którą w chwilach zupełnego odprężenia płaciło się ulgą i fizycznym prawie bólem płaczu. Taki jest jednak zawsze pierwszy odruch beznadziejności: wiara, że w samotności cierpienie zahartuje się i wysublimuje jak w ogniu oczyszczającym. Mało ludzi potrafi naprawdę znieść samotność, ale wielu marzy o niej jak o ostatniej ucieczce. Podobnie jak myśl o samobójstwie, myśl o samotności bywa najczęściej jedyną formą protestu, na jaką nas stać, gdy wszystko zawiodło, a śmierć ma w sobie jeszcze ciągle więcej grozy niż uroku. Myśl, sama tylko myśl, gdyż rozpacz płynąca z świadomości jest większa od rozpaczy odrętwienia. Gdyby można było wyobrazić sobie, co czuje rozbitek, dopływający ostatnim wysiłkiem woli do wyspy bezludnej, jego uczucia okazałyby się podobne do naszych na godzinę przed powrotem do zony; była w nich bowiem jeszcze nadzieja. Ale czy może być większa tortura niż nagłe uświadomienie sobie, że ta nadzieja była tylko złudzeniem podnieconych zmysłów? Mieć niezachwianą pewność, że się jest na wyspie bezludnej, bez widoków ratunku i wybawienia — oto co można nazwać męką. Ale płynąć ku niej resztkami sił, walczyć z zalewającą oczy falą, łapać ściśniętymi z bólu płucami powietrze, czuć przyspieszone bicie serca, natężać wszystkie mięśnie rąk i nóg — zbliżać się, zbliżać! — oto jest wszystko, dla czego warto jeszcze ciągle żyć. Codziennie przeżywaliśmy to samo; codziennie na krótko przed powrotem do zony więźniowie śmiali się i rozmawiali ze sobą jak ludzie wolni; codziennie też kładli się po pracy na pryczach jak ludzie zdławieni rozpaczą.

W brygadach leśnych, które na Północy stanowią podstawę planu produkcyjnego obozów pracy przymusowej, praca podzielona była pomiędzy kilka zespołów cztero- lub pięcioosobowych. Przy nieustannej zmianie czynności (niektóre były cięższe, a niektóre lżejsze) jeden więzień zwalał jodły cienką piłą, ujętą jak cięciwa w łuk z drzewa, jeden oczyszczał je z gałęzi i kory, jeden (była to forma odpoczynku na zmianę) palił gałęzie i korę na ognisku, a dwóch piłowało zwalone pnie na kloce określonej długości, ustawiając je w metrowe lub dwumetrowe stosy. Przy tym systemie pracy najważniejszą osobą na „lesopowale" był tak zwany „dziesiętnik", zaufany więzień bez konwoju lub człowiek wolny, który dokonywał pomiarów gotowego drzewa, stemplując policzone kloce znakiem obozowym. Jego pomiary stanowiły dla każdego brygadiera podstawę do obliczania normy poszczególnych zespołów brygadowych. Nie umiem już dziś powiedzieć, jaka była wysokość normy w lesie, ale pamiętam, że Finowie, którzy cieszą się zasłużoną sławą najlepszych drwali, uważali ją za wygórowaną nawet dla wolnych i dobrze odżywionych robotników. Toteż przekroczenie normy w brygadach leśnych było niemożliwe bez tak zwanej „tufty" — umiejętnego oszustwa. Autorytet brygadiera wśród więźniów (który był jednocześnie źródłem pobocznych dochodów w postaci okupu od gorzej pracujących) mierzył się jego talentami w tej dziedzinie. Sposoby były różne; można było tak ustawiać kloce, aby stosy wyglądały na zewnątrz jak nabite, a w środku miały sporo luzu — ten system stosowało się tylko wówczas, gdy dziesiętnik był więźniem i za łapówkę w chlebie przymykał oczy na stopień spoistości ułożonego drzewa. Jeśli dziesiętnikiem natomiast był nieprzekupny urzędnik z wolności (czasami więźniom udawało się przekupywać nawet ludzi wolnych, głównie prywatnym ubraniem), odcinało się cienko ostemplowany koniec klocka z pomierzonego stosu i ten „nowy" kloc przeno-

siło się na nie pomierzony stos, paląc szybko końcówki w ogniu. W każdym razie można przyjąć jako zasadę, że bez „tufty" i przekupstwa na wszystkich odcinkach pracy w obozie normy nie dosięgałyby nigdy nawet stu procent.

Praca w lesie należała do najcięższych głównie na skutek warunków, w jakich się odbywała. Odległość z „lesopowału" do obozu wynosiła średnio około sześciu kilometrów w jedną stronę, więźniowie pracowali cały dzień pod gołym niebem, po pas zanurzeni w śniegu, przemoczeni do nitki, głodni i nieludzko zmęczeni. Nie spotkałem w obozie więźniów, którzy by pracowali w lesie dłużej niż dwa lata. Na ogół już po roku odchodzili z nieuleczalną wadą serca do brygad zatrudnionych przy nieco lżejszej pracy, a stamtąd na śmiertelną „emeryturę" do Trupiarni. Z nowych transportów więźniów, które co pewien czas przychodziły do Jercewa, wyławiano zawsze ludzi najmłodszych i najsilniejszych, aby ich — jak się to mówiło w obozie — „przepuścić przez las". Ten pobór niewolników bywał czasem podobny nawet w szczegółach dekoracyjnych do rycin z książek o dawnym niewolnictwie: badanie lekarskie zaszczycał bowiem niekiedy swą obecnością naczelnik oddziału jercewskiego, Samsonow, i z uśmiechem zadowolenia dotykał bicepsów, ramion i pleców nowo przybyłych więźniów.

Czas pracy wynosił zasadniczo we wszystkich brygadach jedenaście godzin, po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej podwyższono go jednak do dwunastu godzin. W brygadzie tragarzy na bazie żywnościowej, w której pracowałem najdłużej, nie było nawet i tych ram — praca zależała od ilości wagonów, a wagonów nie wolno było przetrzymywać, bo za każdą nadliczbową godzinę obóz płacił dyrekcji kolejowej. W praktyce więc pracowaliśmy niejednokrotnie po dwadzieścia godzin na dobę z krótkimi przerwami na posiłki. Nie obowiązywał nas „podjom", jeśli przychodziliśmy do zony po półno-

cy; wracaliśmy wówczas na bazę około jedenastej w południe, pracując znowu tyle, ile trzeba było, aby opróżnione wagony mogły wrócić na czas z naszej bocznicy kolejowej do Jercewa. W ten sposób już przez same „nadgodziny" nasza norma wahała się na ogół od 150 do 200%. Mimo to w naszej brygadzie „tufta" stosowana była bardzo często choćby dlatego, że większość tragarzy miała ambicję figurowania na „czerwonej tablicy" stachanowców, z którą związane było prawo kupowania co pewien czas kawałka kiełbasy końskiej w sklepiku obozowym. „Tufta" na bazie żywnościowej polegała na doliczaniu — za zgodą dziesiętnika, który podpisywał wykazy brygadowe — paru metrów do odległości od wagonu do składu. Normy tragarskie składały się bowiem z dwóch współczynników: z ilości wyładowanego materiału i z odległości pomiędzy składem a wagonem. W pierwszym nie można było nic zmienić, bo do wagonów dołączone były wykazy frachtowe; drugi pozostawiał jednak brygadierowi pewien margines swobody i kalkulacji rachunkowej.

Niełatwo w pierwszej chwili zrozumieć, dlaczego w tych warunkach przydział do brygady tragarzy na bazie żywnościowej uważany był w obozie za coś w rodzaju awansu społecznego. Trzeba tu bowiem pamiętać, że praca w godzinach nadliczbowych nie należała na bazie do wyjątków, była raczej regułą, skoro 25 więźniów musiało wyładować żywność dla 30 tysięcy swych współtowarzyszy ze wszystkich „łagpunktów" obozu kargopolskiego i dla spółdzielni na wolności. A jednak na opróżnienie się miejsca każdego z nas czekały w obozie dziesiątki więźniów. Dlaczego? Chodziło tu głównie o dwa względy — jeden czysto materialny, a drugi moralny czy raczej psychologiczny. Pracując na bazie, mogliśmy często ukraść bądź kawałek solonej ryby, bądź trochę mąki, bądź wreszcie parę kartofli. Pracując w godzinach nadliczbowych, mieliśmy prawo wdawać się z naszymi przełożonymi współwięźniami, a często nawet z ludźmi wol-

nymi, w rokowania jak równi z równymi. Fakt, że przekraczaliśmy na ogół normalny więzienny dzień pracy, upoważniał nas do tego, aby nas o naddatki proszono. Rzecz prosta, nasi przełożeni mogli się zawsze w razie odmowy odwołać do władz obozowych, nadając procedurze dobrej woli charakter więziennego przymusu, ale w obozie utarł się zwyczaj, że nie uciekali się do tej ostateczności nigdy przed wyczerpaniem wszystkich środków łagodnej perswazji. My sami zresztą dbaliśmy usilnie o to, aby nas nie pozbawiano i tych skromnych pozorów wolności; tak silne jest w każdym więźniu pragnienie ocalenia najnędzniejszych choćby resztek własnej woli, że zapominając o naczelnej w obozach zasadzie samooszczędzania się, uważają za przywilej nieomal ciche prawo uświęcania bezgranicznego wyzysku pracy niewolniczej aktem własnej zgody. Jak gdybym tu słyszał Dostojewskiego: „Cały sens słowa aresztant oznacza człowieka bez woli; a wydając pieniądze, działa on już z własnej woli". Różnica była tylko jedna: nie mieliśmy pieniędzy, ale mieliśmy za to resztki sił do pracy i płaciliśmy nimi za zachowanie najskromniejszych pozorów człowieczeństwa równie szczodrze, jak katorżnicy carscy swoimi kopiejkami.

Po powrocie z pracy każdy brygadier wypełniał na czysto formularz wydajności pracy i odnosił go do biura „normirowszczyków", rachmistrzów obozowych (więźniowie z ogólnych robót nazywali ich pogardliwie „pridurkami", co najlepiej da się przetłumaczyć przez naszych „obiboków"), którzy przedstawione dane przeliczali według specjalnych tabel na procenty i odsyłali swoje wykazy do biura administracji obozowej. Cała ta procedura zatrudniała według moich przybliżonych obliczeń około trzydziestu osób na dwa tysiące więźniów w samym obozie jercewskim. Dane procentowe szły do biura zaopatrzenia, gdzie je przeliczano na „kotły", i do sekcji finansowej obozu, gdzie indywidualne karty więź-

niów zapełniały się długimi kolumnami cyfr, odpowiadającymi w rublach i kopiejkach zarobkom więźniów przy wysokości płac ustalonej dla obozów pracy przymusowej. W czasie mojego półtorarocznego pobytu w Jercewie raz jeden tylko — 1 maja 1941 roku — do naszego baraku przyszedł płatnik obozowy z wykazami zarobków. Otrzymałem do podpisania ogromny formularz, z którego wynikało, że mój zarobek za sześć miesięcy wystarczył zaledwie na pokrycie kosztów utrzymania w obozie („konserwacja" baraków, odzież, jedzenie, koszty administracji), pozostawiając mi w gotówce wszystkiego 10 rubli, czyli równowartość sixpensa. Był dla mnie nie lada pocieszeniem fakt, że sam płacę za swoje więzienie łącznie z wydatkami na strażników, którzy mnie pilnują, i na enkawudzistów z Trzeciego Oddziału, którzy śledzą pilnie, czy tym, co mówię w obozie, nie zarobię na drugi wyrok. Ostatecznie jednak nie była to jeszcze sytuacja najgorsza. Znałem wielu więźniów, którzy nie zarabiali i na to, i każdego pierwszego maja dowiadywali się, ile wynosi minus na ich koncie. Nie umiem powiedzieć, czy tę dopłatę za koszty obozu „poprawczego" wpłacali już z zarobków na wolnej stopie, czy pozostawali jeszcze po ukończeniu wyroku przez pewien czas w obozie, aby wyrównać w nim swoje rachunki, czy wreszcie żądaną sumę wnosiły w formie kaucji ich rodziny.

Na krótko przed ukończeniem pracy więźniowie odnosili narzędzia do szopy i siadali kołem przy ognisku. Kilkanaście żylastych, pokrytych plastrami zakrzepłej krwi, czarnych od pracy i zbielałych jednocześnie od przemrożenia dłoni unosiło się nad płomieniem, oczy zapalały się chorobliwym blaskiem, a na zmartwiałych z bólu twarzach pełgały cienie ognia. To był koniec, koniec jeszcze jednego dnia. Jakże straszliwie ciążyły te ręce, jak kłuły w płucach lodowate igły oddechów, jak dławiły w gardle serca, jak uciskał pod żebrami pusty żołądek, jak bolały kości nóg i ramion! Na dany przez

konwojenta znak podnosiliśmy się od ognia, niektórzy opierając się na wystruganych przy pracy kijach. Około szóstej ze wszystkich stron pustej, białej równiny ciągnęły już ku obozowi brygady niby żałobne orszaki pogrzebowe cieni, niosących na plecach swoje własne zwłoki. Idąc tak wijącymi się, krętymi ścieżkami, wyglądaliśmy jak macki olbrzymiej czarnej ośmiornicy, której łeb przebity w zonie czterema włóczniami reflektorów szczerzył ku niebu zęby połyskujących w ciemnościach okien baraków. W absolutnej ciszy wieczoru słychać było tylko skrzypienie butów na śniegu, przerywane jak świstami bata okrzykami konwojentów: prędzej, prędzej! Nie mogliśmy jednak prędzej. W milczeniu opieraliśmy się prawie o siebie, jak gdyby zrosnąwszy się można było łatwiej dotrzeć do oświetlonych już wrót obozu. Jeszcze ostatnie kilkaset metrów, jeszcze jeden wysiłek, a potem zona, łyżka, kawał chleba, prycza i samotność — upragniona, lecz jakże iluzoryczna samotność...

A przecież nie był to jeszcze koniec. Ostatnie trzysta — dwieście — sto metrów były śmiertelnym wyścigiem do bramy: brygady rewidowano na wartowni w kolejności przybycia. Bywało, że na samej mecie zwalił się ktoś w tłumie więźniów jak zrzucony z pleców worek. Podnosiliśmy go za ręce, aby nie opóźniać rewizji. Biada brygadzie, w której znaleziono jakiś niedozwolony przedmiot lub ukradziony ochłap. Odsuwano ją na bok i na mrozie, na śniegu rozbierano prawie do naga. Zdarzały się rewizje, które z sadystyczną powolnością ciągnęły się od siódmej do dziesiątej.

Dopiero za bramą, w zonie, był naprawdę koniec. Więźniowie przystawali na chwilę przed listą imienną dziennej poczty, rozchodzili się wolno do swoich baraków po blaszanki i ruszali na kuchnię. W zonie było już znowu ciemno jak rano, na oświetlonym pomoście przed kuchnią rosły powoli ogonki i brzęczały kociołki. Przechodziliśmy obok siebie bez słowa, jak ludzie w zadżu-

mionym mieście. Nagle tę ciszę rozdzierał straszliwy krzyk: to wyrwano komuś u stóp pomostu kociołek z zupą.

I tak dzień po dniu — tygodniami, miesiącami, latami — bez radości, bez nadziei, bez życia.

Ochłap

Czym jest, a raczej czym może być praca w rękach tych, którzy zechcą się nią posłużyć jako narzędziem tortur, świadczy najlepiej fakt, że zimą 1941 roku w sposób najzupełniej legalny i nieznacznie tylko wykraczający przeciwko prawu obozowemu zamordowano pracą więźnia w jednej z brygad leśnych.

W miesiąc po moim przyjeździe do Jercewa przyszedł do obozu z więzienia w Leningradzie nowy etap więźniów politycznych i dwudziestu „bytowików". „Bytowików" zostawiono w Jercewie, a politycznych rozesłano do „łagpunktów" z wyjątkiem jednego, Gorcewa — młodego, dobrze zbudowanego więźnia o tępej twarzy fanatyka, który został z miejsca skierowany na „lesopował".

O tym Gorcewie chodziły po obozie dziwne słuchy, on sam bowiem wbrew utartym zwyczajom nie wspominał nigdy słowem o swojej przeszłości. Już ten fakt musiał do niego usposabiać współwięźniów niechętnie; ludzi strzegących zazdrośnie tajemnicy swego wyroku uważano bądź za zbyt dumnych, by ich dopuścić do zażyłości więziennej, bądź za potencjalnych donosicieli. Ale nie to jeszcze było najgorsze, skoro donosicielstwo uchodziło w obozie za rzecz najzupełniej naturalną. Wszystkich drażnił przede wszystkim sposób zachowania się Gorcewa; robił wrażenie człowieka, któremu tylko jedna noga obsunęła się przez nieuwagę do obozu, a drugą oparł się był mocno na wolności. Tak wolno się było nosić jedynie specjalistom z „iteerowskiego kotła", ale nigdy zwykłym więźniom z ogólnych robót. Chodziły

więc słuchy, że Gorcew był przed aresztowaniem enkawudzistą.

On sam — nieświadomie zapewne albo przez głupotę — robił wszystko, aby je potwierdzić. Ilekroć w czasie rozmów przy ognisku zabierał głos, wygłaszał krótkie i zaciekłe tyrady przeciwko „wrogom ludu" uwięzionym w obozach, broniąc jednocześnie „partii i prawitielstwa". Ograniczona, tępa twarz fanatyka o przebiegłych oczach szui i dużej bliźnie na prawym policzku rozjaśniała się odruchowo uśmiechem uniżoności i pochlebstwa, gdy wymawiał te dwa magiczne słowa: „partia i prawitielstwo". Znalazł się przecież tutaj — jak to raz niechcący wyznał — przez „oszybkę" i niezadługo już wróci na swoje dawne, „odpowiedzialne stanowisko". Więźniowie spoglądali nań teraz więcej niż z niechęcią, bo z nie ukrywaną nienawiścią.

Nie przez sympatię, ale ze zwykłej ciekawości próbowałem się do niego parę razy zbliżyć. Było coś fascynującego w możliwości rozmawiania z człowiekiem, który siedząc w obozie, przyglądał mu się oczami komunisty z wolności. Ale Gorcew unikał mnie podobnie jak innych, odpowiadał opryskliwie na pytania i nie reagował nawet na prowokacyjne zaczepki. Raz jeden tylko dał się wciągnąć w rozmowę na temat okrążenia kapitalistycznego, z której wyniosłem wrażenie, że popularny pogląd, jakoby młode pokolenie komunistów sowieckich było jedynie bandą wiernych swemu dowódcy kondotierów, gotowych opuścić go przy pierwszej nadarzającej się okazji — jest z gruntu błędny. Dla setek tysięcy Gorcewów bolszewizm jest jedyną religią, jedynym poglądem na świat, jakiego nauczono ich w dzieciństwie i młodości. Ludzie typu Zinowjewa, Kamieniewa czy Bucharina mogli przeżywać swoje „odszczepieństwo ideologiczne" jako jedną z największych klęsk, która odebrała nagle ich życiu wszelką treść, mogli cierpieć, czuć się zdradzonymi lub nawet załamać się — ale przecież mimo wszystko

musieli mieć jeszcze dość miar porównawczych, dość dawnego krytycyzmu, aby w chwilach trzeźwości spojrzeć na to, co się z nimi i wokół nich działo, z boku i jak gdyby z historycznego oddalenia. Dla ludzi z gatunku Gorcewów załamanie się wiary w komunizm, jedynej wiary, jaką się dotąd w życiu kierowali, musiałoby być równoznaczne z pozbawieniem ich pięciu podstawowych zmysłów, którymi poznaje się, określa i ocenia otaczający świat. Toteż uwięzienie nie mogło być dla nich prawie nigdy bodźcem do złamania ślubów kapłańskich; traktowali je raczej jak przejściową klauzurę za naruszenie dyscypliny zakonnej, wyczekując dnia zwolnienia z jeszcze większą uległością i pokorą w sercach. Fakt, że musieli ją spędzać w piekle, nie świadczył o niczym; a raczej świadczył o tym, że piekło istnieje naprawdę, i biada tym, których za grzechy przeciwko naukom Boga Ojca spotyka wygnanie z raju.

Któregoś wieczoru uniosła się nieco zasłona, okrywająca przeszłość Gorcewa. Pokłócił się był o jakiś drobiazg z grupą „nacmenów" w rogu baraku, w ataku furii, jakiej nie oglądaliśmy u niego dotychczas nigdy, schwycił pierwszego z brzegu Uzbeka za poły chałatu i potrząsając nim nieprzytomnie, wycedził przez zaciśnięte zęby: „Ja takich jak wy basmaczów strzelałem tuzinami jak wróble na gałęzi!" Stary Uzbek, siedzący jak zwykle z podwiniętymi po turecku nogami na dolnej pryczy, zacharczał wściekle w swoim języku, a twarz zmieniła mu się nie do poznania: spod przymrużonych skośnie powiek zdawał się spojrzeniami sztyletować napastnika, górna warga z cienkimi obwisłymi wąsikami zadrżała nerwowo, odsłaniając rząd białych zębów. Nagle błyskawicznym uderzeniem podbił do góry obie ręce Gorcewa i podawszy lekko tułów do przodu, splunął mu z całej siły w twarz. Gorcew rzucił się do bicia, ale jak żelazne kleszcze chwyciły go ręce dwóch „nacmenów", którzy zeskoczyli z górnej pryczy. Przyglądaliśmy się tej scenie w milcze-

niu, nie poruszając się z miejsc. A więc tłumił powstanie „basmaczów" w Środkowej Azji! Nie posyłano tam byle kogo, o nie! samych tylko zaufanych, elitę partyjną. Jego interwencja w Trzecim Oddziale nie odniosła żadnego skutku, nie wezwano nawet starego Uzbeka za zonę. Może dlatego, że mimo woli potwierdził fakt, o którym nie wolno było w Rosji głośno mówić? A może dlatego, że wbrew pozorom nie miał za zoną możnych protektorów, nie chroniły go dawne powiązania, był odsłonięty do ciosu? W każdym razie dla brygady, do której należał, był to dobry znak. Chodziło przecież tylko o to, żeby Trzeci Oddział się do tej sprawy nie mieszał, żeby rzucił choć jednego ze swoich dawnych ludzi na pastwę zemsty.

Około Bożego Narodzenia przechodził przez Jercewo etap z Kruglicy do obozów peczorskich. Więźniowie zatrzymali się na trzy dni w „pieriesylnym", a wieczorami odwiedzali nasze baraki, szukając znajomych. Jeden z nich, mijając pryczę Gorcewa, zatrzymał się nagle i zbladł.

— Ty tutaj? — wyszeptał zbielałymi wargami.

Gorcew podniósł głowę, zbladł również i cofnął się do ściany.

— Ty tutaj? — powtórzył przybysz, zbliżając się do niego wolno. Po czym skoczył mu zwinnym susem do gardła, przewrócił go na pryczy na wznak, wparł prawe kolano w jego pierś i półklęcząc tłukł w zapamiętaniu jego głową o deski pryczy.

— Wpadłeś i ty? — krzyczał, wystukując prawie każde słowo głową Gorcewa. — Wpadłeś nareszcie i ty? Ale palce umiałeś łamać w drzwiach, igły pchać za paznokcie, bić w mordę, kopać w jądra, tłuc w brzuch... Zrosły się palce, zrosły — uduszą swołocz, uduuuszą...

Mimo że młodszy i na pierwszy rzut oka silniejszy, Gorcew zachowywał się tak, jak gdyby zdrętwiał i nie umiał się bronić. Dopiero po paru chwilach oprzytomniał, kopnął napastnika kolanem w brzuch i zwalił się

wraz z nim z pryczy na podłogę. Oparłszy się rękami o najbliższą ławkę, z twarzą przekrzywioną nieprzytomnym strachem, podniósł się z ziemi i zaczął biec w kierunku wyjścia z baraku. Zastąpiło mu drogę paru „nacmenów" z kąta obok drzwi. Odwrócił się — z tyłu stała jego własna brygada, przyglądając mu się wrogo. Napastnik szedł teraz ku niemu z żelaznym prętem, wetkniętym mu do ręki przez kogoś z górnej pryczy. Równocześnie pierścień z obu stron zaczął się zacieśniać. Gorcew otworzył usta do krzyku, ale w tej samej chwili od strony „nacmenów" dosięgła jego głowy drewniana pokrywa od cebrzyka. Zwalił się na ziemię, brocząc krwią. Resztkami sił podniósł się na kolana, spojrzał na zbliżających się wolno więźniów i krzyknął rozdzierającym głosem:

— Zabiją, striełok, zabiją!...

Dimka zwlókł się ze swojej pryczy, wystukując w ciszy kroki protezą, podszedł do drzwi baraku i zamknął je na zasuwę. Z górnej pryczy spadł na Gorcewa rozpostarty buszłat, a zaraz potem posypały się na jego głowę wściekłe razy żelaznego pręta. Zrzucił z siebie buszłat i zataczając się jak pijany, runął w kierunku własnej brygady. Nadział się na wyciągniętą pięść i odskoczywszy jak gumowa piłka, potoczył się dalej, chwiejąc się na nogach i wymiotując krwią. Podawali go sobie z rąk do rąk, aż wreszcie zupełnie już bezwładny obsunął się na ziemię, objąwszy instynktownie głowę rękami i zasłoniwszy kolanami brzuch. Leżał tak chwilę skurczony, zmięty i ociekający krwią jak wypluta szmata. Paru więźniów podeszło doń, trącając go butami. Nie ruszał się.

— Żyje? — zapytał ten, który go zdemaskował. — Sledowatiel z charkowskiego więzienia, bratcy. Czestnych ludzi bił tak, że by ich własne matki nie poznały. Ach, swołocz — zawodził żałośnie.

Dimka podszedł do leżącego z wiadrem chwoi i wylał mu je na głowę, Gorcew poruszył się, westchnął ciężko i znowu zesztywniał.

— Żyje — powiedział brygadier lesorubów — ale niedługo pożyje.

Nazajutrz rano Gorcew podniósł się ze swego miejsca, zmył z twarzy zakrzepłe plastry krwi i powlókł się do ambulatorium. Dostał jeden dzień zwolnienia. Poszedł znowu za zonę i wrócił z niczym. Teraz było jasne. Trzeci Oddział ofiarował więźniom jednego ze swoich dawnych ludzi. Zaczęła się niezwykła gra, w której prześladowcy zawarli milczące porozumienie z prześladowanymi.

Po tym odkryciu Gorcewowi przydzielono w brygadzie leśnej najcięższą pracę: walenie jodeł „łuczkiem". Dla człowieka nienawykłego do pracy fizycznej w ogóle, a do pracy w lesie szczególnie, jest to pewna śmierć, jeśli go się przynajmniej raz dziennie nie zmienia i nie odsyła do palenia gałęzi. Ale Gorcewa nie zmieniano. Piłował codziennie jedenaście godzin, upadając wielokrotnie ze zmęczenia, łapiąc jak topielec powietrze, plując coraz częściej krwią, nacierając sobie rozpaloną twarz śniegiem. Ilekroć się buntował i ciskał desperackim ruchem piłę na bok, brygadier podchodził do niego i mówił spokojnie: „Wracaj do pracy, Gorcew, bo cię skończymy w baraku". Wracał więc. Więźniowie przyglądali się jego torturom z tym większą przyjemnością, im dłużej trwały. Mogli go rzeczywiście skończyć w ciągu jednego wieczoru — teraz, gdy mieli już pozwolenie z góry. Ale chcieli za wszelką cenę przedłużyć jego śmierć w nieskończoność, chcieli, by poznał dokładnie to, do czego sam niegdyś posyłał tysiące ludzi.

Gorcew próbował jeszcze walczyć, choć musiał już przecież wiedzieć, że jego walka jest równie daremna, jak daremna była niegdyś walka jego ofiar na śledztwie. Poszedł do lekarza po zwolnienie, stary Matwiej Kiryłłowicz nie zapisał go nawet na listę. Odmówił raz wyjścia do pracy, odesłano go na dwie doby do izolatora o samej wodzie, a trzeciego dnia siłą wypędzono do lasu. Porozumienie działało sprawnie — obie strony dopeł-

niały uczciwie swoich zobowiązań. Gorcew wlókł się codziennie na samym końcu brygady, chodził półprzytomny i brudny, gorączkował, w nocy jęczał przeraźliwie, pluł krwią i płakał jak małe dziecko, w dzień żebrał o litość. Dostawał trzeci kocioł, żeby zabawa potrwała dłużej; nie wyrabiał go wprawdzie, nie wyrabiał już nawet pierwszego kotła, ale brygada nie żałowała mu swoich procentów, aby podtuczyć ofiarę. Wreszcie pod koniec stycznia, po miesiącu, stracił przytomność przy pracy. Zachodziła obawa, że tym razem nie będą już mogli nie odesłać go do szpitala. Woziwoda, który jeździł codziennie do lasu z „primbludą" dla stachanowców i przyjaźnił się z brygadą lesorubów, miał go zabrać po skończonym dniu pracy do zony. Wieczorem brygada leśna ruszyła wolnym krokiem w kierunku zony, za nią zaś — w odległości kilkuset metrów — wlokły się sanie z nieprzytomnym Gorcewem. Nie dojechał już nigdy do zony, na wartowni bowiem okazało się, że sanie przyszły puste. Woziwoda tłumaczył się, że siedział cały czas na przednim zaworze sań i nie słyszał upadku ciała w miękki śnieg, usypany wałami po obu stronach drogi. Dopiero koło dziewiątej, gdy strielok zjadł kolację, ruszyła na poszukiwanie zaginionego ekspedycja ratunkowa z zapaloną pochodnią. Przed północą z okien naszego baraku zobaczyliśmy na drodze prowadzącej z „lesopowału" płonący punkcik, ale sanie zamiast do zony skręciły do miasta. Gorcewa znaleziono w głębokiej na dwa metry zaspie śnieżnej, która przywaliła jeden ze strumieni — musiał zawadzić zwisającą nogą o barierę mostku. Ciało zamarznięte na sopel zawieziono wprost do jercewskiej kostnicy.

Długo jeszcze po śmierci Gorcewa więźniowie żyli wspomnieniami o tym odwecie. Jeden z moich znajomych inżynierów, któremu w zaufaniu opowiedziałem kulisy wypadku na „lesopowale", zaśmiał się gorzko i powiedział:

— No, nareszcie i nam pozwolono odczuć, że rewolucja odwróciła stary porządek rzeczy. Dawniej rzucano niewolników lwom na pożarcie, teraz rzuca się lwy na pożarcie niewolnikom.

Zabójca Stalina

Dodatkowym obciążeniem przy pracy była „kurza ślepota", choroba, na którą prędzej czy później zapadała większość więźniów w obozach Północy na skutek złego odżywiania, a ściślej mówiąc, braku tłuszczów.

Człowiek dotknięty kurzą ślepotą przestaje widzieć dopiero o zmroku i musi w ten sposób niejako codziennie, z nastaniem nocy, oswajać się na nowo ze swoim kalectwem. Stąd pewnie jego stałe rozjątrzenie i coś w rodzaju zdenerwowania, graniczącego z panicznym lękiem przed nocą. W brygadach leśnych, które pracowały tylko za dnia w odległości paru kilometrów od obozu, już około trzeciej po południu, gdy zmierzch powlekał dopiero szarym welonem bladoniebieską emalię nieba, kurzy ślepcy przypuszczali gwałtowny szturm do wartownika:

— Prowadź do zony, prowadź do zony, a to nie dojdziemy!

Powtarzało się to codziennie z niezmienną dokładnością i z jednakowym skutkiem: brygady wychodziły z lasu o piątej i dobijały do obozu, po godzinnym marszu przez śnieżne wykroty, o szóstej, już po zupełnym zapadnięciu zmroku.

Widok kurzych ślepców, stąpających wolno rano i wieczorem z wyciągniętymi przed siebie rękami po oblodzonych ścieżkach w kierunku kuchni, był w zonie równie naturalny, jak widok przygarbionych pod drewnianymi jarzmami nosiwodów, którzy szli szybko ze wszystkich stron, ugniatając z chrzęstem na ścieżkach

nawiany nocą śnieg, i zbijali się wokół studni w czarną, ostro zarysowaną grupę. Były to jedyne w ciągu dnia chwile, kiedy obóz przypominał olbrzymie akwarium, wypełnione po brzegi czarną wodą i chwiejącymi się cieniami ryb głębinowych.

Kurzych ślepców nie posyłano naturalnie nigdy do robót, które przeciągały się do późnej nocy. W naszej brygadzie tragarzy nie było ich nigdy, mimo że tylko u nas mogli się wyleczyć. Tylko my bowiem miewaliśmy czasem okazję ukradzenia na bazie żywnościowej kawałka słoniny. Stanowiło to coś w rodzaju zaklętego koła. U nas mogliby przestać być kurzymi ślepcami, ale do nas nie mogli przyjść, bo byli kurzymi ślepcami.

Pamiętam, że raz jeden tylko wyszedł z nami do pracy nowy więzień, mały, milczący człowieczek o surowej twarzy i zaczerwienionych oczach. Dostał dziesięć lat za zabawne przewinienie. Kiedyś, jako wysoki urzędnik jednego z komisariatów ludowych, podpił sobie w gabinecie z przyjacielem i założył się, że od pierwszego strzału trafi w oko Stalina, wiszącego na przeciwległej ścianie. Wygrał zakład, ale przegrał życie. Po paru miesiącach, gdy zapomniał już prawie o tym incydencie, poróżnił się o coś ze swoim przyjacielem. Nazajutrz czekało na niego dwóch oficerów NKWD. Przeprowadzili oględziny portretu i sporządzili na miejscu akt oskarżenia. Zasądziło go zaocznie (w podwójnym tego słowa znaczeniu) Osoboje Sowieszczanije. Odsiedział już siedem lat, pozostały więc najcięższe trzy, gdyby mu nie przedłużono wyroku. Przyszedł do naszej brygady po długich prośbach, żeby — jak to sam określił, zataczając ręką szeroki łuk dokoła własnej osoby — „poprawić się trochę".

Wyładowywaliśmy właśnie, podzieleni na siedmioosobowe zespoły, trzy ogromne pulmany mąki. Zwijaliśmy się jak szatany, powiedziano nam bowiem, że zaraz potem pójdziemy do zony. Pracował z początku nieźle,

ale gdy poszarzało, zaczął nagle odstawać. Omijał swoją kolejkę, w wagonie upuszczał umyślnie worki, żeby je potem długo zaszywać, coraz to odchodził na stronę. W naszym zespole był na szczęście tylko jeden „urka", reszta politycznych udawała zupełną obojętność. — Starik — powiedział mi nawet na ucho ze śmiesznym akcentem rosyjskim Fin Rusto Karinen — nie może nadążyć.

Ale gdy zaczęło się zmierzchać na dobre, zameldował strielkowi nagłą potrzebę i wolnym, chwiejnym krokiem, stawiając ostrożnie kroki jak akrobata na linie, poszedł w kierunku latryny. Długo nie wracał, tak długo, że nawet „urka" Iwan zaapelował przy mrukliwej aprobacie obu Niemców do naszych sumień, że pracujemy przecież zespołowo, a normy oblicza się potem średnio, wszystkim po równi. Nagle zabielała obok wagonu jego twarz jak papier i zobaczyłem, że drży cały.

— Co ci jest? — zapytałem, przystając obok niego na chwilę.

— Nic — odrzucił szybko, szukając mnie ręką w ciemnościach, choć na tle skrzącego dookoła śniegu widać było w promieniu pięciu metrów wszystko jak na dłoni. — Nic, zasłabłem trochę.

— Idź po worek, bo cię stąd wygryzą! — odkrzyknąłem i pobiegłem do wagonu. W chwilę potem widziałem, jak wchodzi na kładkę, przerzuconą pomiędzy pulmanem a pomostem składu. Szedł znowu wolno, ale dość pewnie, podnosząc wysoko nogi, jak rasowy koń o przewiązanych pęcinach. Znowu długo nie wychodził, aż zaczęliśmy się wszyscy niecierpliwić. Obaj więźniowie, którzy podawali w wagonie worki, opowiadali nam potem, że musieli mu, nie wiedząc dlaczego, dosłownie nakładać worek na ramię. Poprosił ich o to krótkim, drżącym „pożałujtie". Wreszcie ukazał się w drzwiach wagonu i przez chwilę szukał nogą kładki. Gdy ją znalazł, przesadził paroma susami pół drogi i przystanął. Potem podniósł prawą nogę do góry i zamachał nią

parokrotnie jak baletnica wspinająca się na czubki palców, ale za każdym razem trafiał w próżnię — kładka była bardzo wąska — więc przystawił ją z powrotem ostrożnie i zastygł w oczekiwaniu. Było to wszystko razem śmieszne trochę w swym niepojętym tragizmie i nie usposabiało wcale do współczucia. Dopiero potem zrozumieliśmy, że dane nam było oglądać groteskowy i wstrząsający taniec śmierci, ale teraz Karinen zaśmiał się tylko krótko, a Iwan wykrzyknął gniewnie:

— Hej, ty, ubijca Stalina, co za cyrk tu wyprawiasz!

Wówczas usłyszeliśmy dziwny dźwięk, ni to westchnienie, ni łkanie, i „zabójca Stalina" odwrócił się wolno na piętach w kierunku wagonu. Postanowił widocznie wracać.

— Zwariowałeś — krzyknąłem — poczekaj, pomogę ci!

Ale było już za późno. Wyprostował się nagle i szarpnąwszy się do przodu, a właściwie w bok, próbował jeszcze przez chwilę odzyskać równowagę, a potem runął wraz z workiem w dół, na zaśnieżone szyny.

Zbiegliśmy wszyscy z nasypu i otoczyli go zwartym kołem.

— Kurza ślepota — powiedział krótko, otrzepując mąkę z buszłatu i obcierając zakrwawione czoło. — Myślałem, że przejdzie — dodał.

Obserwowałem go potem w dole, pod kładką, przebiegając z workami i po worki. Schylony, wybierał ostrożnie obiema rękami mąkę ze śniegu i podobny był do człowieka, strąconego za karę z wysokiego nieba w otchłanie piekieł, na najcięższe męki. Zdaje mi się, że płakał. A może zgarniał tylko garstkę mąki dla siebie, jak gdyby płacąc za ten ostatni raz najwyższą cenę, cenę postawienia wszystkiego na jedną kartę? Nie wiem. Tak jak nie wiem do dzisiaj, jak ukrywał w obozie tę swoją kurzą ślepotę i jak sobie wyobraził ostateczne nad nią zwycięstwo. Gdyśmy wracali do zony, prowadził go pod

rękę brygadier. Gdy rewidowano nas przed bramą, miał puste kieszenie i pustą chusteczkę. Następnego dnia poszedł z karną brygadą do lasu. Poszedł do lasu!... Dla człowieka, który przesiedział siedem lat w obozie, znaczyło to tyle, co iść na powolną śmierć.

I istotnie umarł z wycieńczenia po paru miesiącach. Gdy go spotkałem na kilka dni przed śmiercią, nie mył się już od dawna, twarz miał podobną do pomarszczonej cytryny, ale zza oblepionych ropą rzęs patrzyło jeszcze na świat dwoje rozjarzonych gorączką oczu, które głód powlekać zaczynał bielmem szaleństwa. Nie trzeba było być doświadczonym więźniem, aby dostrzec od razu, że dzieli go najwyżej kilka dni od obłędu, a teraz dopalają się w nim tylko resztki godności ludzkiej. Stał z pustym kociołkiem w ręku, oparty o balustradę na dużym pomoście przed kuchnią, i natknąłem się nań właśnie w chwili, kiedy kucharz wysunął przez otwór w oknie moją blaszankę napełnioną zupą. Śmierdział tak potwornie, że odsunąłem się machinalnie. Pewnie utracił już kontrolę nad najprostszymi odruchami ludzkimi i spał tak, nie rozbierając się, gorączkujący i słaby, otoczony swoim twardym pancerzem z ekskrementów. Nie poznał mnie. Zaskamlał tylko cicho, patrząc przed siebie:

— Daj trochę zupy. — A potem dodał, jak gdyby usprawiedliwiając tę zuchwałą prośbę: — Samego rzadkiego.

Wlałem mu wszystko do kociołka i patrzyłem nań, wstrzymawszy oddech. Drżącymi rękami przytknął kociołek do ust i parząc sobie wargi, pił chciwie gorącą ciecz wśród odgłosów charczenia i prawie rzężenia. Dwie cienkie strużki płynu wyciekły mu z kącików ust i ścięły się natychmiast w ostre iglice lodu. Po czym, jak gdyby mnie w ogóle obok nie było, podszedł do kuchennego okna i rozpłaszczył na szybie zarośniętą twarz. Za oknem, oparty o dymiącą kadź zupy, stał leningradzki złodziej Fiedźka (politycznych nie dopuszczano do prac w kuchni) i śmiał się serdecznie.

— Dla kontrrewolucjonistów — zawołał — nie ma dolewki!

Przyglądałem się jeszcze chwilę tym dwóm twarzom, przedzielonym szklistym kwiatem lodu. „Zabójca Stalina" wpatrywał się w kadź zupy wzrokiem, w którym natężyły się wszystkie, śmiertelnie zziajane, władze umysłu i ciała. W jego twarzy malował się nadludzki wysiłek przypomnienia sobie czegoś, zrozumienia czegoś. Wyostrzone rysy zdawały się na próżno przebijać przegrodę ze szkła. Słabnący, urywany oddech łzawił się na tafli lodu, podobny do ogromnego, zamglonego oka. Nagle cofnął prawą rękę jak do uderzenia. Zatrzymałem go w pół ciosu.

— Chodź — powiedziałem — nic ci z tego nie przyjdzie. Zaprowadzę cię do baraku.

Nie wyrywał się. Szedł skulony potulnie i zwichnięty wewnętrznie jak kukła, z której wyjęto patyk. Znowu — jak niegdyś — ni to westchnął, ni załkał.

— Bandyci — wykrztusił wreszcie — bandyci, bandyci...

— Kto? — zapytałem bezmyślnie.

— Wy, wy, wy wszyscy — krzyknął rozdzierającym głosem i uwolniwszy się z mojego uścisku, zaczął biec przed siebie.

Wyglądał jak ogromny, pokryty szlamem szczur rynsztokowy, którego schwytano niespodziewanie w smugę światła. Zakręcił się parę razy w miejscu, jak gdyby nie było zeń ucieczki. Nagle przystanął i odwrócił się w moją stronę.

— Ja zabiłem Stalina! — Głos jego przeszedł teraz w chrapliwy, obłąkany skowyt szaleńca. — Ja, ja, ja... Zastrzeliłem, jak psa zastrzeliłem... — zaśmiał się z gorzkim tryumfem.

Był za słaby, by zrozumieć wszystko. Ale był jeszcze niestety dość silny, by zrozumieć tyle, ile potrzeba do powolnej, dławiącej za gardło śmierci.

Przed nią zaś, jak ostatni sakrament, chciał wziąć na siebie zbrodnię, której nie popełnił, czyn, którego nie dokonał. Przez tyle długich lat nie wiedział, za co cierpi. Dziś zapragnął się przyznać, zapragnął się zmieścić w okrutnym i niezrozumiałym wyroku losu, który mu przedłożono do podpisu siedem lat temu. Broniąc się przed nieznaną przyszłością, szamocąc się w sidłach teraźniejszości, ratyfikował nałożoną nań przeszłość. Aby choć na chwilę przed skonem uratować jeszcze poczucie realności i wartości swego gasnącego istnienia.

Drei Kameraden

Wieczorami, jeżeli miałem całkowitą pewność, że brygada nie zostanie w nocy wezwana na bazę, zachodziłem często do małego baraku obok wartowni, który zwano „pieriesylnym". Spędzali w nim zawsze parę nocy w oczekiwaniu na etap przybysze z więzień, którym niełaskawy los nie pozwolił zostać w Jercewie. Droga od nas prowadziła na wszystkie „łagpunkty", ale wśród wymienianych spotykało się najczęściej Drugą Aleksiejewkę, mały obóz karny bez dna, tyle doń szło etapami więźniów, nigdy już nie wracając. Raz tylko, po amnestii, spotkałem w „pieriesylnym" dawnego towarzysza z więzienia grodzieńskiego, sympatycznego robotnika-trockistę z Warszawy, Andrzeja K., gdy wracał przez Jercewo na wolność. Z tego, co półsłówkami i bardzo niechętnie opowiadał, wynikało, że Aleksiejewka nastawiona jest wyłącznie na wyrąb lasu i nie ma ani w połowie takich warunków jak Jercewo. Porzucona w sercu puszczy archangielskiej, z dala od osiedli ludzkich i o kilkadziesiąt kilometrów od najbliższej linii kolejowej (nie licząc wewnętrznego toru, którym szła żywność z bazy w Jercewie), zdana jest wyłącznie na łaskę zwyrodniałego naczelnika-enkawudzisty i jego ścisłego sztabu. Więźniowie żyją tam w półzawalonych i zaciekających wiecznie barakach, nie są w stanie przekroczyć „drugiego kotła" (500 gramów chleba i dwie porcje rzadkiej zupy), otrzymują tylko zupełnie znoszone

i podarte ubrania, pracują w lesie trzynaście zamiast dwunastu godzin, czekają na uroczystą proklamację wolnego dnia niekiedy po dwa lub trzy miesiące i z braku należytego pomieszczenia na szpital odchodzą w razie choroby wprost do Trupiarni. Jedynie w lipcu i sierpniu — w okresie, gdy nie kończąca się zima północna wybucha nagle krótkim, ale upalnym latem — bagniste poręby leśne otwierają przed chorymi na szkorbut nędzarzami bogactwo jagód, cierpkich jarzębin i grzybów, a ziemiste twarze, pokryte skorupą brudu, i zaropiałe oczy, w których tli się jeszcze iskierka życia, wznoszą się z wdzięcznością i nową nadzieją ku słońcu. Aleksiejewka jest „łagpunktem sztrafnym" tylko z nazwy. W gruncie rzeczy spędzono do niej, jak ławicę szprotek do sieci, więźniów cudzoziemskich, którzy nic jeszcze nie zdążyli zawinić w obozie, w tej liczbie lumpenproletariat z dzielnicy północnej w Warszawie, zbiegły tu przez świętą rzekę Bug z hitlerowskiego piekła do sowieckiego raju. Ci wyrobnicy, kamasznicy, chałupnicy i pokątni wózkarze żydowscy marli w Aleksiejewce jak muchy i Andrzej widział ich nieraz wygrzebujących ze śmietnika zgniłe liście kapusty lub oskrobiny z kartofli. Toteż w „karnym łagpunkcie" wybuchały ciągle bunty i one to dopiero pozwalały *ex post* zalegalizować istniejący od dawna stan rzeczy. Tłumiono je bezkrwawo, wstrzymując na parę dni wydawanie racji więziennych, a w jakiś czas potem wynoszono za zonę małe kościotrupy, obciągnięte skórą żółtą jak pergamin świętych ksiąg i nie pohańbione kulą zwycięskiej rewolucji w czerepach. Przyjrzawszy się Jercewu, Andrzej, który mimo swego trockizmu miał nałogową skłonność doszukiwania się w Rosji sowieckiej „pewnych jasnych stron", zawyrokował, że im dalej od centrali w Moskwie, tym gorzej, co miało oznaczać, że „myśl była dobra, ale wykonanie złe".

Do baraku „pieriesylnego" schodziło się z drewnianej ścieżki w dół, po paru wyrąbanych w śniegu

schodkach, które od ciągłego stąpania przybrały kolor zabłoconej podłogi w sionce; był ciemny, brudny, bez wody i „chwoi" — i znacznie niższy od innych, tak że na górnych pryczach można było rozmawiać tylko leżąc lub siedząc ze zgiętymi w pałąk plecami. Na gwoździach przybitych do belek, które wspierały pułap i obramowywały ciasne szuflady legowisk, wisiały wiecznie mokre buty, a na zygzakowatej rurze od piecyka suszyły się przemoczone onuce. W pierwszej chwili po wejściu nie widziało się na ogół prawie nic i trzeba było dopiero oswoić się z mdłym światłem małej żarówki na przeciwległej ścianie, aby wyłowić z półmroku dwa rzędy gołych stóp na pryczach, sterczące z szarych usypisk ciał ludzkich nakrytych z głową łachmanami, i trzy lub cztery cienie pochylone z wyciągniętymi przed siebie dłońmi nad rozgrzaną blachą piecyka jak nad blatem stolika wirującego. Pierwszy przedwieczorny przybysz do baraku „pieriesylnego" ożywiał zwykle jego milczących mieszkańców, poszturchując ich w gołe stopy czterema pytaniami: kto, skąd, dokąd i za co? Czasem, po takim wstępie, spod stosu spiętrzonych bezładnie szmat wynurzała się jakaś wynędzniała twarz o półobłąkanym spojrzeniu i odepchnąwszy natręta wściekłym „paszoł won", chowała się na powrót za śmierdzącą zasłonę. Na ogół jednak kilka takich prób nawiązania znajomości wystarczyło, aby na pryczach zaczęły się podnosić przygarbione postacie, skore do rozmowy i handlu wymiennego. Pod wieczór było już zawsze w „pieriesylnym" rojno jak w ulu. Oparci o pionowe stropy „jercewscy" wymieniali z „tranzytnymi", którzy rzadko schodzili z prycz, trzęsąc się ze strachu nad swoim dobytkiem więziennym, przeżycia, obserwacje, zasłyszane wiadomości i chleb na machorkę. Co mi się najbardziej w „pieriesylnym" podobało, to jego atmosfera; przy odrobinie wyobraźni mógł przypominać coś pośredniego pomiędzy schroniskiem dla wykolejonych trampów, wyruszających po złote runo,

a zwykłą kawiarnią europejską. Tutaj przecież można było poznać nowych ludzi, dowiedzieć się, co słychać w innych więzieniach, kupić szczyptę machorki, użalić się wspólnie nad parszywą dolą i — *last but not least* — posobaczyć, korzystając z małych szans donosu w tym parodniowym prowizorium, na Stalina i jego gwardię pretoriańską. Dopiero po wojnie przekonałem się z żalem, ale nie bez ukrytej satysfakcji, że pod tym względem kawiarnie europejskie stały się dla milionów ludzi tym, czym był dla mnie barak tranzytowy w Jercewie; że, słowem, bardziej przypominają drewniane budki, przybijane do drzew w moich stronach rodzinnych dla rozsejmikowanych ptaków wędrownych, które nagły chłód wypędza z krainy zimowego odlotu, niż wiedeńskie *Kaffehausy* lub paryskie *cafés-chantants.*

Barak tranzytowy spełniał również w naszym obozie rolę Instytutu Badania Koniunktur Politycznych z żywymi wskazaniami cen pracy niewolniczej i odchyleń ideologicznych w postaci napływających fal więźniów. I tak — wedle opowiadań moich towarzyszy — w roku 1939 gościł on resztki dogorywającej już Wielkiej Czystki, dobierane chaotycznie i bezplanowo. Rok 1940 był świadkiem rytmicznych przypływów Polaków, Ukraińców, Białorusinów i Żydów ze wschodniej Polski oraz Bałtów i Ukraińców z Rusi Zakarpackiej. W roku 1941 przyszły pierwsze transporty Finów i krasnoarmiejców z „finskogo plena", którzy prosto przez umajoną bramę tryumfalną w Leningradzie z napisem „Rodina pozdrawlajet swoich gierojew" i w takt marsza Budionnego odmaszerowali na bocznicę kolejową za miastem, do zaplombowanych wagonów towarowych. W pierwszych miesiącach po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej w „pieriesylnym" pojawiły się niedobitki zruszczonych zupełnie Niemców nadwołżańskich i ogłupiałe grupki Ukraińców i Białorusinów, zbiegłych w głąb Rosji z rodzinnych wsi przed posuwającym się szybko naprzód

frontem. Pamiętam nawet parę nazw, jakie w baraku inżynierów ukuto ze śmiechem dla tych ofiar wojennych peregrynacji. Do nas, Polaków, przylgnęło miano „antigitlerowskich faszystow", nieszczęsnych krasnoarmiejców nazwano „gierojami z finskogo plena", a zbiegłych przed Niemcami Ukraińców i Białorusinów „partizanami otieczestwiennoj wojny".

W lutym 1941 roku spotkałem w „pieriesylnym" trzech Niemców, którzy od reszty mieszkańców odróżniali się pewną odruchową wyniosłością gestów i stosunkowo przyzwoitym ubraniem europejskim. Najniższy przy tym — tęgi brunet o szerokiej twarzy i świdrujących oczkach, krępy i zwalisty jak kloc — nosił na głowie czarny berecik z ogonkiem, wysoki i barczysty blondyn miał zawiązany pod szyją szalik sportowy, a szczupły młodzieniaszek o pociągłej i inteligentnej twarzy nie rozstawał się z podkutymi butami narciarskimi. Razem więc posiadali coś w rodzaju zdekompletowanego stroju turystycznego i istotnie na pierwszy rzut oka mogli uchodzić za trójkę bezrobotnych inteligentów w schronisku wysokogórskim. Jakież tedy było moje zdziwienie, gdy się później okazało, że tylko młodziutki Stefan studiował na uniwersytecie w Hamburgu, a pozostali dwaj — rosły Hans i przysadzisty Otto — pracowali w warsztatach mechanicznych w Düsseldorfie. Zaczęliśmy rozmowę po rosyjsku (wszyscy trzej posługiwali się z trudem topornym i przeraźliwie niemelodyjnym rosyjskim ze sporą domieszką ukraińskiego), ale po paru minutach przeszliśmy na niemiecki i wdrapałem się do nich na górną pryczę, żeby się lepiej odgrodzić od huczącej w baraku czarnej giełdy.

Wszyscy trzej należeli przed puczem hitlerowskim do niemieckiej partii komunistycznej, ale nie znali się nawzajem, mimo że Hans i Otto pracowali przecież w tym samym mieście. Po pożarze Reichstagu partia, przeżarta prowokacją i rozkładająca się na oczach milionów włas-

nych członków, wysłała ich za granicę; cel ucieczki mógł być tylko jeden — przybrana ojczyzna Dymitrowa, w owym czasie także przybrana ojczyzna wszystkich komunistów świata. Szli do niej różnymi drogami: Hans przez Danię, Szwecję i Finlandię, Stefan i Otto przez Paryż, Włochy i Bałkany. Przerzucani gładko z kraju do kraju, podziwiali sprawność europejskich organizacji komunistycznych, a w czasie długich godzin nocnych, spędzanych na coraz to nowych kwaterach, śnili na jawie pospołu z przygodnie napotykanymi towarzyszami obraz ojczyzny proletariatu światowego taki, jakim go pamiętali z ilustrowanej bibuły partyjnej i opowiadań wysłanników stamtąd. Niedzielne szkółki partyjne odbywały się w pierwszym roku terroru w Niemczech zazwyczaj za miastem, toteż w ich wspomnieniach wszystko, co dotyczyło Rosji, skojarzyło się mimo woli z dojrzałym pięknem lasów, pól i rzek, z leniwym dosytem sadów i napęczniałych piersi dziewczęcych kołyszących się nad głowami wpatrzonymi w niebo, z powolnym przepływaniem obłoków wiosennych i przyjemnym zmęczeniem całego ciała, gdy się, powłócząc nogami, wraca pod wieczór do miasta z wycieczki na skraj dalekiego horyzontu.

Otto i Hans spotkali się w roku 1936 w charkowskiej fabryce maszyn, Stefan zaś próbował w tym czasie studiować w Kijowie. Ich pierwsze wrażenia nie były podobne do marzeń ze szkółek niedzielnych, ale wiele jeszcze rozczarowań można było wówczas położyć na karb pierwszych przeszkód w aklimatyzacji i nieśmiertelnego okrążenia kapitalistycznego. Otto i Hans pracowali ciężko, zarabiali nieźle i mieszkali znośnie, a wieczorami — gdy poznali już na tyle język — rozkoszowali się w świetlicy fabrycznej wysokim poziomem referatów z „politgramoty". Pierwsze próby odzywek w „swobodnej dyskusji" ostudziły nieco ich zapał; Otto wymykał się teraz często po pracy na piwo i bilard, a Hans zaczął odprowadzać do domu młodą robotnicę ukraińską. Co ich

obu w tych „swobodnych dyskusjach" uderzyło i zaskoczyło, to kłamstwa, jakie głoszono nieustannie na temat stopy życiowej na Zachodzie. Kiedy Hans próbował raz w dyskusji wyjaśnić, że „niewola kapitalistyczna na Zachodzie polega na czymś zupełnie innym", osadziło go z miejsca ostre pytanie referenta, „czyby przypadkiem towarzysz przedmówca nie miał ochoty wrócić tam, skąd przyjechał, lub przemyśleć wszystkiego od nowa". Nie wiedział jeszcze, co oznacza owo „przemyślenie wszystkiego od nowa", wypowiedziane tak osobliwym tonem pogróżki, i nie miał ochoty „wracać tam, skąd przyjechał". Słuchał więc odtąd w milczeniu i szukał wzrokiem w tłumie słuchaczy młodej robotnicy, która raz przy pożegnaniu wspięła się na palce i powiedziała mu na ucho, że lepiej „nie rassużdat', kogda dokładywajut czleny prawitielstwa"; zwykłe miejsce Ottona na odczytach świeciło dalej pustką. W połowie roku 1936 Hans ożenił się z młodą Ukrainką, wyprowadził się ze wspólnego pokoju i zamieszkał przy rodzinie żony. W tym czasie padło po raz pierwszy to słowo. Na ślubie swego towarzysza, po kilku toastach starych majstrów, zupełnie już pijany Otto wstał, podniósł szklankę wódki do góry i rozkraczywszy krótkie nogi jak zdyszany byk, krzyknął głośno: „Niepobiedimyj Sowietskij Sojuz jest dreck". Zebrani wzięli widać to jędrne słowo za coś w rodzaju niemieckiego „urra!", bo trąciwszy się szklankami, przytaknęli „prawilno!", ale Hans wypchnął Ottona za drzwi i szybko odprowadził do domu. Stefan nie studiował jeszcze wprawdzie w Kijowie, ucząc się ciągle języka, był już natomiast honorowym członkiem komitetu studenckiego i cenionym mówcą na mityngach międzynarodowych.

Nadszedł wreszcie pamiętny rok trzydziesty siódmy. Wielka Czystka zbliżała się jak nadciągająca burza, lecz wyładowywała się na razie krótkimi spięciami błyskawic i dalekim odgłosem gromów za siedmioma górami i rze-

kami. Nie dawano wiary dziwnym pogłoskom, sprzecznym wiadomościom i tajemniczym listom z Moskwy lub Leningradu. Wezbrana fala przerwała jednak wreszcie stawidła rosyjskiego upustu i wdarła się z ogłuszającym hukiem na Ukrainę, zabierając po drodze kogo popadło, jak powódź unosząca dachy, belki stropów i wiązań, puste ramy okienne, meble i stogi siana. Ludzie przychodzili do biur, urzędów, fabryk, uczelni i domów z jednym jedynym pytaniem na ustach: „Kogo siegodnia bierut?" Rychło przecież wzburzony nurt powodzi został uregulowany i biegł już tylko wzdłuż wyznaczonych grobli. Na pierwszy ogień poszli cudzoziemcy. Ottona zabrano z fabryki, Stefana z uniwersytetu, a Hansa z domu. Wyszedł nie uścisnąwszy przerażonej żony i płaczącego niemowlęcia i mimo wysyłanych ustawicznie listów nie otrzymał już od nich nigdy żadnej wiadomości.

Śledztwo było monotonne i kręciło się całymi miesiącami wokół zarzutu szpiegostwa. Hansa i Stefana bito tylko parę razy i stosunkowo niegroźnie, Otto natomiast miał odbite od kopania wnętrzności i wyłamane zęby za swój pijacki „dreck". W pierwszych miesiącach 1939 roku umieszczono pięciuset siedemdziesięciu komunistów niemieckich w osobnym skrzydle jednego z więzień moskiewskich (mimo największych wysiłków pamięci nie jestem w stanie sobie przypomnieć, czy Hans mówił o Łubiance, czy o Butyrkach) i tam we wspólnej celi Hans i Otto poznali i przygarnęli wystraszonego Stefana.

Była to już chyba pierwsza połowa września, bo dozorca donosił im codziennie z zachwytem o zwycięskim pochodzie armii niemieckiej w Polsce, gdy z przyległej celi wystukano pewnego popołudnia, że jeden z więźniów znalazł w wychodku kawałek gazety z tekstem paktu sowiecko-niemieckiego. Wiadomość poszła dalej i wróciła wkrótce z decyzją — od następnego dnia rano głodówka z żądaniem, aby do więzienia przyszedł ambasador niemiecki w Moskwie, przedstawiciel ich za-

przyjaźnionej ojczyzny. Rosjanie wytrzymali tę grę tylko tydzień. Przed zakończeniem głodówki delegacja komunistów niemieckich, po jednym z każdej celi, wyszła na spotkanie z wysłannikiem hr. Schulenburga. Stawiali tylko jeden warunek: że nie będą ukarani za komunizm i nielegalną ucieczkę z kraju. Reszta była im najzupełniej obojętna, mogą być nawet natychmiast po przekroczeniu granicy wcieleni do Wehrmachtu. W czasie tej głodówki, w której Żydzi niemieccy i niektórzy rdzenni Niemcy wzięli udział na znak solidarności, wypowiadając się jednak przeciwko własnej repatriacji, władze sowieckie nie zastosowały żadnych środków represji. Rokowania rosyjsko-niemieckie trwały parę miesięcy, a zbuntowany pawilon cieszył się tymczasem zwiększonymi i polepszonymi racjami jedzenia i codziennymi spacerami na dziedzińcu więzienia. Wreszcie ta sama delegacja została wezwana, aby wysłuchać decyzji. Rosjanie zgadzali się w zasadzie na repatriację byłych komunistów niemieckich, rezerwując sobie jedynie prawo zatrzymania kilkudziesięciu w Rosji według własnego uznania. Urzędnik niemiecki dodał, że powtórna głodówka do niczego nie doprowadzi, ponieważ ambasada zaakceptowała warunki rosyjskie. Strajkujący nie mieli więc wyboru i zgodzili się również. W grupie tych kilkudziesięciu zatrzymanych przez władze sowieckie znaleźli się Hans, Otto i Stefan. W styczniu 1940, w innej już celi, odczytano im wyroki dziesięcioletnie, a w lutym posłano ich etapem do Jercewa. O szczęśliwych pięciuset, do których uśmiechnął się los, nic nie wiedzieli.

Gdy Hans skończył swe opowiadanie, zapytałem — zwróciwszy się do wszystkich trzech — czy sądzą, że istotnie niemieckie obozy koncentracyjne są lepsze od sowieckich obozów pracy. Hans wzruszył ramionami i odmruknął coś lekceważąco, lecz Stefan zdawał się mieć pewne zrozumienie dla tego punktu widzenia. Wówczas milczący dotąd Otto podniósł swój olbrzymi

łeb, przeszył go zimnym spojrzeniem maleńkich ślepi i powiedział prawie dosłownie: *Du hast eine Lust zu philosophieren, Stefan, aber Heimat ist immer Heimat, und Russland wird immer ein Dreck sein* *. Zrezygnowałem i ja z tego „filozofowania". W sytuacji, w jakiej znajdowaliśmy się wszyscy czterej, mówić im o potwornościach hitleryzmu znaczyłoby tyle, co tłumaczyć trzem szczurom uwięzionym w potrzasku, że najbliższa dziura w podłodze prowadzi do takiej samej pułapki.

Następnego dnia o świcie poszli do Niandomy. Stefan spostrzegł mnie przed bramą w tłumie więźniów ustawiających się brygadami do wymarszu za zonę i podniósłszy rękę, krzyknął: *Auf Wiedersehen, mein Freund!* W kwietniu otrzymałem od Hansa list, który przechowuję do dzisiaj. *Stefan* — pisał — *war hier auf allgemeiner Arbeit. Mir, Hans, ist es allerdings gelungen, hier als Maschinist zu arbeiten. Otto ist noch auf allgemeiner Arbeit im Sägewerk beschäftigt. Wir bekommen nicht einmal von unseren Angehörigen aus der S.S.S.R. Post. Wie traurig sieht hier oben im Norden der Frühling aus, und besonders unter den Bedingungen, unter den wir hier leben* **.

*

Do roku 1947 byłem przekonany, że ta opowieść jest prawdopodobna aż do miejsca, w którym Rosjanie z pomocą ambasady niemieckiej w Moskwie rozbili strajkujących komunistów niemieckich na kilkanaście grup

---

* Masz, Stefan, ochotę na filozofowanie, lecz ojczyzna jest zawsze ojczyzną, a Rosja będzie zawsze gównem.

** Do widzenia, przyjacielu! [...] Stefan był tutaj na zwykłych robotach. Mnie, Hansowi, udało się jednak pracować tu w charakterze maszynisty. Otto jest jeszcze przydzielony do zwykłych robót w tartaku. Nie otrzymujemy nawet poczty od naszych krewnych ze Związku Radzieckiego. Jak smutno wygląda wiosna tu, na północy, zwłaszcza w warunkach, w których żyjemy.

przemieszanych na nowo więźniów i każdą z nich „zatrzymali według własnego uznania" w innym więzieniu sowieckim. W Londynie jednak usłyszałem z ust bezpośredniego uczestnika, pana C., wybitnego komunisty wiedeńskiego i towarzysza młodzieńczych walk Koestlera, epilog tej historii, jaki rozegrał się zimą 1940 roku na moście w Brześciu nad Bugiem — a w rok potem potwierdziła go także książka Margaret Buber-Neumann. Nocą przez most na Bugu przeszła na tamtą stronę gromada komunistów niemieckich, którzy bez łuku tryumfalnego odbywali drogę powrotną do Ojczyzny, aby po wszystkich doświadczeniach sowieckich żyć na Zachodzie bez zmian. Nie było wśród nich moich trzech towarzyszy. Opierających się Żydów niemieckich NKWD dostawiało siłą w ręce Gestapo. Pan C. zbiegł za Bugiem z transportu i ukrywał się przez całą wojnę w Polsce.

Ręka w ogniu

> ...że zaś zupełnie bez nadziei żyć nie można, znalazł rozwiązanie w dobrowolnym, prawie sztucznym męczeństwie.
>
> Dostojewski, *Zapiski z martwego domu*

Wbrew temu, co się przypuszcza, cały system pracy przymusowej w Rosji — łącznie ze śledztwem, pobytem w więzieniu i życiem w obozie — nastawiony jest, bardziej niż na ukaranie przestępcy, na jego wyeksploatowanie gospodarcze i całkowite przeobrażenie. Tortury na śledztwie nie są stosowane jako zasada, ale jako środek pomocniczy. O co chodzi naprawdę, to nie tyle o wymuszenie na oskarżonym podpisu pod zmyślonym i fikcyjnym aktem oskarżenia, ile o kompletną dezintegrację jego osobowości.

Człowiek budzony co nocy — na przestrzeni długich miesięcy, a czasem nawet i lat — pozbawiony w czasie śledztwa prawa załatwiania najelementarniejszych potrzeb fizjologicznych, trzymany godzinami na twardym krześle, oślepiony skierowaną prosto w oczy żarówką, kłuty podstępnymi pytaniami i niesamowitym *crescendo* urojonych zarzutów, drażniony sadystycznie widokiem papierosów i gorącej kawy na stole — gotów jest podpisać wszystko. Nie o to jednak chodzi. Więźnia można uważać za „spreparowanego" do ostatecznego zabiegu dopiero wtedy, gdy widać już wyraźnie, jak jego osobowość rozpada się na drobne części składowe: pomiędzy skojarzeniami powstają luki, myśli i uczucia obluzowują się w swych pierwotnych łożyskach i klekocą jak w zepsutej maszynie, pasy transmisyjne łączące teraźniejszość z przeszłością obsuwają się z kół napędowych i opadają

na dno świadomości, wszystkie dźwignie i przekładnie intelektu i woli zacinają się, strzałki w zegarach pomiarowych skaczą jak oszalałe od zera do maksimum i z powrotem. Maszyna kręci się dalej na zwiększonych obrotach, ale nie pracuje już tak jak dawniej — wszystko, co wydawało się oskarżonemu przed chwilą absurdem, staje się rzeczą prawdopodobną, choć ciągle jeszcze nieprawdziwą, uczucia zmieniają barwę, napięcie woli znika. I to, że pisywał listy do krewnych za granicą, może być zdradą interesów proletariatu, i to, że zaniedbał się w pracy, może być sabotażem budownictwa socjalistycznego. Dla sędziego śledczego nadchodzi moment decydujący. Jeszcze jeden celny cios w zdrętwiały rdzeń oporu i maszyna stanie. Człowiek uśpiony pod narkozą zawisa na ułamek sekundy w próżni, niczego nie czuje, o niczym nie myśli, niczego nie rozumie. Trzeba działać szybko jak przy sztucznym szoku nerwowym lub przy przetaczaniu krwi, gdy na okamgnienie serce pacjenta przestaje bić. Małe przeoczenie, drobna zwłoka, a pacjent obudzi się na stole operacyjnym i zbuntuje się lub — załamie i pogrąży w wiecznej apatii. Teraz, teraz albo nigdy! Oczy sędziego śledczego szukają jedynego, przygotowywanego na tę właśnie chwilę dowodu rzeczowego, ręce chwytają go jak lancet. Jeszcze parę godzin temu ten argument mógł się wydawać błahy, choć w przeciwieństwie do innych nie pozbawiony pewnych podstaw, teraz w wyjałowionej wyobraźni oskarżonego urasta do gigantycznych rozmiarów. Lancet trafił na właściwe miejsce i tnie głębiej. W nieprzytomnym pośpiechu chirurg wycina serce i przestawia je z lewej strony na prawą, usuwa zakażone płaty kory mózgowej, przeszczepia skrawki skóry, zmienia bieg krwi, wiąże na nowo poszarpane nerwy. Za chwilę mechanizm ludzki, zatrzymany w punkcie zerowym i rozłożony na najdrobniejsze części, zostanie złożony na powrót, ale już inaczej; luki pomiędzy skojarzeniami wypełnią inne wiązania, myśli i uczucia dopa-

sowane zostaną dokładnie do innych łożysk, pasy transmisyjne zaczną przekazywać nie przeszłość teraźniejszości, ale teraźniejszość przeszłości, instynkt i wola zmienią kierunek działania, wskazówki w zegarach pomiarowych zatrzymają się na zawsze w maksimum. Oskarżony ocknie się z odrętwienia, zwróci zmęczoną, lecz uśmiechniętą twarz ku swemu dobroczyńcy i westchnąwszy głęboko, powie, że teraz wszystko rozumie, że błądził dotąd przez całe życie. Zabieg się udał, pacjent został nowo narodzony. Jeszcze raz tylko, gdy po powrocie do celi stanie nad kiblem i oddając powstrzymywany przez parę godzin mocz, poczuje na czole kropelki potu, a w całym ciele ulgę i odprężenie, zawaha się chwilę, czy śnił, czy przeżywał może swoją reinkarnację na jawie. Po raz ostatni w życiu zaśnie z tym uczuciem męczącej niepewności, nazajutrz bowiem koło południa obudzi się pusty jak wydrążony orzech i osłabiony po nieludzkim wysiłku całego organizmu, ale olśniony myślą, że ma już nareszcie wszystko za sobą. I kiedy zacznie chodzić między pryczami, nie odzywając się do nikogo, można być pewnym, że stawia pierwsze kroki w innym już świecie — rekonwalescent o zabliźniających się szybko ranach i zrastającej się na nowo osobowości.

Okres pomiędzy ukończeniem śledztwa a wyrokiem zaocznym, po którym następuje zazwyczaj szybki wyjazd do obozu, upływa oskarżonemu w celi na przystosowywaniu się do nowej sytuacji. Instynkt podpowiada mu, że nie należy wdawać się w rozmowy z więźniami, którzy nie przeżyli jeszcze Wielkiej Przemiany — szwy na jego ranach są bowiem jeszcze zbyt świeże, aby wytrzymać szarpnięcia rozdrapujących je rąk. Niczego się tak podświadomie nie boi jak chwili, w której nowa rzeczywistość runie od jednego uderzenia niby kruchy domek z kart, a jakiś atawistyczny, przywalony gruzami starego świata głos popchnie go do drzwi celi z zaciśniętymi pięściami i rozpaczliwym okrzykiem: „Skłamałem, skła-

małem! Odwołuję wszystko! Puśćcie mnie do sędziego śledczego, ja chcę do sędziego śledczego! Jestem niewinny, jestem niewinny!" Jeżeli szczęśliwy los pozwoli mu uniknąć tej chwili — tej straszliwej chwili, w której stary mózg okaże jeszcze dość siły, aby zrozumieć, że nowe serce bije inaczej i gdzie indziej niż dawniej, niwecząc w ten sposób pracowite dzieło miesięcy lub nawet lat — więzień może obojętnie i spokojnie leżeć całymi dniami na pryczy, czekając na transport do obozu. W tym stanie somnambulicznego odrętwienia dostrzega po paru dniach w chłodnym murze swego własnego więzienia wąską szczelinę, przez którą sączy się wątłe światło ostatniej nadziei. Zaczyna marzyć o obozie. Zrazu nieśmiało, a potem coraz gwałtowniej nieznany głos — drogocenne relikwie dawnego życia, jedyny dowód, że było i mogło być inaczej — łudzi go wizją swobodnego życia w obozie, wśród ludzi, którzy nie wszyscy przecież zapomnieli o przeszłości. Liczy teraz głównie na dwie rzeczy: na pracę i na litość. Nie o litość dla siebie mu chodzi — to, co przeżył, uważa w gruncie rzeczy za zwycięstwo. Czuje jednak niejasno, że jeśli ma ocalić nić łączącą go z zamierzchłymi czasami, w których był inny, to musi wzbudzić w sobie za wszelką cenę litość dla współtowarzyszy niedoli, współczucie dla cudzych cierpień, jedyny sprawdzian tego, że odmieniwszy się, nie przestał być człowiekiem. „Czy można żyć bez litości?" — pyta po nocach sam siebie, przewracając się z boku na bok i pocierając niespokojnie czoło, jak gdyby usiłował przypomnieć sobie, czy niegdyś doznawał na myśl o cudzym nieszczęściu takiego samego uczucia bolesnej obojętności jak teraz, gdy narodził się po raz drugi. Czy można żyć bez litości?

Obóz nauczy go, że można. Będzie z początku dzielił się ostatnią kromką chleba z więźniami bliskimi obłędu głodowego, będzie prowadził z pracy pod rękę chorych na kurzą ślepotę, będzie wzywał pomocy, gdy jego towarzysz odrąbie sobie na „lesopowale" dwa palce u rę-

ki, będzie ukradkiem zanosił do Trupiarni zlewki z zupy i główki od śledzi; po paru tygodniach spostrzeże się jednak, że robi to wszystko nie z bezinteresownego odruchu serca, lecz z egoistycznego nakazu rozumu — próbuje ratować przede wszystkim siebie, a dopiero potem innych. Obóz, ze swoimi wewnętrznymi obyczajami i systemem utrzymywania więźniów tuż poniżej dolnej granicy człowieczeństwa, dopomoże mu w tym niemało. Czy mógł był przypuszczać, że można poniżyć człowieka do tego stopnia, aby budzić do niego nie litość, ale wstręt nawet wśród współwięźniów? Jakże litować się nad „kurzymi ślepcami", gdy się ich widzi codziennie potrącanych kolbami karabinów i opóźniających powrót do zony, a potem spychanych niecierpliwie z wąskiej ścieżki obozowej przez więźniów spieszących do kuchni; jak odwiedzać Trupiarnię, pogrążoną w wiecznym mroku i zgniłym fetorze ekskrementów; jak dzielić się chlebem z głodnym, który już nazajutrz przywita cię w baraku obłąkanym i natarczywym spojrzeniem? Po dwóch lub trzech miesiącach takiej walki więzień usiłujący po Wielkiej Przemianie przerzucić ostatnim wysiłkiem woli linkę ratowniczą w unicestwioną na śledztwie przeszłość, poddaje się i po raz pierwszy słucha bez sprzeciwu utyskiwań na pryczy, że „barachło w trupiarni żre cudzy chleb, nie pracując", „kurzy ślepcy zatarasowują wszystkie przejścia w obozie i obniżają wyrabotkę po zmroku", a chorzy na obłęd głodowy powinni siedzieć w izolatorze, bo niedługo już zaczną kraść chleb. Miał więc rację sędzia śledczy, gdy mówił, że żelazna miotła sprawiedliwości sowieckiej zmiata do obozów jedynie śmiecie, a ludzie prawdziwie godni tego imienia potrafią dowieść, że popełniono w stosunku do nich omyłkę. Ostatnia nić pękła, wychowanie zostało skończone. Pozostaje już tylko eksploatacja taniej pracy przymusowej i jeżeli „pieriewospitannyj" więzień zdoła przeżyć osiem lub dziesięć lat katorgi niewolniczej, można

go będzie bez chwili wahania posadzić za stołem sędziowskim, naprzeciwko przyszłego oskarżonego, który zajmie kiedyś jego dawne miejsce.

Są jednak i tacy, którzy w momencie tej ostatniej próby budzą się nagle i przystają na rozdrożu, aby dostrzec z przeraźliwą jasnością, że ich oszukano. Nie przekonano ich, nie nawrócono — zniszczono ich jako ludzi, wypalono w nich gorącym żelazem wszystkie uczucia ludzkie! Wszystkie — z wyjątkiem jednego. Jest już za późno, żeby doskoczyć do drzwi z okrzykiem: „Ja chcę do sędziego śledczego, jestem niewinny!", ale jest jeszcze dość wcześnie, aby w miejsce pokonanej litości rozdmuchać w stygnącym popiele własnego życia wysoki płomień z ostatniej iskierki człowieczeństwa — z dobrowolnego i prawie sztucznego męczeństwa.

*

Niepodobna bez tego wstępu zrozumieć historii Michaiła Aleksiejewicza Kostylewa, nowego więźnia, który po przybyciu z „łagpunktu" w Mostowicy przydzielony został do naszej brygady.

Nie stosował się on bowiem do wszystkich więźniów sowieckich, a tym mniej jeszcze do nas, Polaków. Ogółem biorąc, śledztwo w sprawach Polaków, uwięzionych po aneksji Kresów Wschodnich przez Rosję w roku 1939, ograniczało się jedynie do wymuszenia podpisu pod fikcyjnym aktem oskarżenia, miało więc raczej na celu znalezienie dogodnego pretekstu dla urzędów zajmujących się rekrutacją taniej siły niewolniczej i depolonizacją nowo zajętych ziem niż reedukację przyszłych obywateli Związku Sowieckiego. Z tego, że prowadzone było w większości wypadków pospiesznie i chaotycznie, można wnosić, że Rosjanie uważali brankę we wschodniej Polsce za zabieg profilaktyczny w okresie przejściowym i wbrew własnym zarozumiałym oświadczeniom liczyli

się najwidoczniej z możliwością przetargu na powojennej konferencji międzynarodowej. W przekonaniu rządu sowieckiego Kresy Wschodnie zostały na mocy układu rozbiorowego Ribbentrop–Mołotow definitywnie włączone do Rosji, ale ich polscy mieszkańcy mieli być aż do zakończenia wojny czymś w rodzaju zastawu, który eksploatuje się i puszcza w obieg jak majątek dłużnika obłożony sekwestrem przez wierzyciela. Nie trzeba dodawać, że gdyby wojna przybrała inny obrót i Rosjanie mogliby się jej bezkarnie przyglądać z boku, czekając na ostateczne zwycięstwo Niemiec, ten „zastaw" przeszedłby definitywnie na własność osobliwego „wierzyciela", a półtora miliona obywateli wschodniej Polski rozpoczęłoby swoją wędrówkę śledczą i więzienną od początku, tym razem już pod okiem wytrawnych „pieriewospitatieli".

W chwili kiedy Kostylew obudził się ze swego dwuletniego odrętwienia, uświadomił sobie dwie rzeczy: że go oszukano i jak go oszukano. To wszystko, co wyżej opisałem, nie jest tedy moją, *ex post* zbudowaną teorią na temat systemu wychowawczego więzień i obozów sowieckich lub psychologiczną interpretacją dziejów życia i śmierci M.A. Kostylewa, lecz jego własną, wielokrotnie powtarzaną i uzupełnianą opowieścią. Jak pies gończy puszczony raz na właściwy trop, Kostylew prześledził dokładnie wszystkie najdrobniejsze szczegóły swojego uwięzienia, śledztwa i życia w obozie i nauczył się mówić o nich spokojnie, przekonywająco i ze znawstwem, podobny w tym czasem do gruźlika, rejestrującego z pozorną obojętnością symptomy i postępy swej własnej choroby. Nie ja również wymyśliłem próbę uratowania zagrożonego człowieczeństwa poprzez litość, a potem dobrowolne męczeństwo. Zapoznał mnie z nią sam, gdy wypytywałem go, do czego zmierza, opalając co parę dni swą prawą rękę w ogniu. Sposób, w jaki to mówił, mógł nasuwać podejrzenia, że Kostylew bliski był jakiejś szczególnej

formy manii religijnej, odziedziczonej w spadku po całych pokoleniach rosyjskich mistyków, lub łagodnej schizofrenii, która rozwijała się w nim niepostrzeżenie dla niego samego nawet po wstrząsie przeżytym w czasie blisko rocznego śledztwa i pierwszych paru miesięcy pobytu w obozie. Opowiadał spokojnie, precyzyjnie i inteligentnie, z tą typową dla umysłowo chorych wnikliwością, która nie dopuszcza sprzeciwów, i zjednawszy słuchacza dla przesłanek, jedna go również dla konkluzji. Nie wykluczam ani jednej z tych możliwości, ale nie powstrzymują mnie one od powtórzenia jego historii. Tak czy owak bowiem, przyjaźń z Kostylewem zaważyła poważnie na moich doświadczeniach sowieckich, a jego śmierć nie przeszła również bez echa wśród pozostałych więźniów obozu w Jercewie.

Kostylew miał 24 lata, gdy z polecenia partii opuścił politechnikę w Moskwie i wstąpił do Akademii Morskiej we Władywostoku. Sam pochodził z Woroneża i wcześnie osierocony przez ojca musiał od najmłodszych lat troszczyć się o utrzymanie matki, która po śmierci męża przelała na syna całą swą niewyżytą miłość owdowiałej przedwcześnie kobiety. Dla młodego Kostylewa miłość do matki była również jedynym trwałym punktem oparcia w otaczającej go rzeczywistości. Należał wprawdzie najpierw do komsomołu, a potem do partii, ale jego życie osobiste wymykało się nieustannie z ram tresury politycznej i szukało ucieczki w ramionach matki. Ojciec, umierając, nakazał mu wierność matce i „wielkiemu dziełu Rewolucji Październikowej". Kostylew zbyt głęboko wrósł był od dzieciństwa w atmosferę komunizmu, by przypuszczać, że może jeszcze istnieć na świecie coś trzeciego. Toteż nie zawahał się — mimo że, jak twierdził, ciągnęła go zawsze literatura — gdy komsomoł wezwał go do wstąpienia na politechnikę w Moskwie; nie opierał się również, gdy jako młody inżynier konstruktor został wysłany przez partię do Szkoły Morskiej we Władywostoku.

W tym miejscu, zanim nastąpią dalsze wypadki, warto zastanowić się pokrótce, na czym polegał komunizm Kostylewa. W pierwszym rzędzie na wychowaniu. Matka, prosta i religijna raczej kobieta, niewiele rozumiała z tego, co jej mówił często mąż, ale przez pietyzm dla jego pamięci i instynktowne wyczucie bezpieczeństwa rodzinnego podsycała w synu zapał rewolucyjny. Starczyło tego zaledwie na późne dzieciństwo i wczesną młodość. Kiedy Kostylew zapisywał się na uniwersytet, był już na tyle inteligentny, że zapragnął pójść o krok dalej i ogarnąć rozumem zasady wiary, której był dotąd posłuszny sercem. Zapoznał się z klasykami marksizmu, przestudiował dokładnie Lenina i Stalina, brał żywy udział w zebraniach partyjnych i wyrobił sobie pogląd, że jako inżynier-komunista będzie w Rosji, „dościgającej i prześcigającej Zachód", czymś w rodzaju misjonarza nowej cywilizacji technicznej. W ciągu lat samotnego współżycia z matką, gdy wracając ze szkoły, widział codziennie jej surowy profil za szybą parterowego domku w Woroneżu i w półmroku pochylał się z lekkim ukłuciem bólu do jej rąk stwardniałych od pracy, wyrobił w sobie potrzebę cierpienia dla cudzego szczęścia. Z „politgramoty" dowiedział się, że prawdziwe cierpienie istnieje tylko na Zachodzie, zapalił się więc do myśli o rewolucji światowej. Ważnym punktem w kształtowaniu się jego osobowości był fakt, że wśród nieprzytomnych ataków prasy i propagandy sowieckiej na świat kapitalistyczny Kostylew złożył swoje śluby walki wyzwoleńczej o wolność uciemiężonych Europejczyków nie w imię nienawiści, lecz w imię miłości do nieznanego Zachodu.

Niełatwo pojąć, jakim cudem ten młody chłopiec, który do czasu wyjazdu na studia nie wychylił nosa poza rogatki rodzinnego Woroneża i ściany ubogiego mieszkanka robotniczego, potrafił wytworzyć sobie tak wysublimowany obraz Zachodu. Jest rzeczą prawdopodobną, że

skłonny z natury raczej do entuzjazmu niż do nienawiści, chłonął wyobraźnią z partyjnej „politgramoty" przede wszystkim postacie kanonizowanych oficjalnie „bojowników postępu" — tym jaśniejsze, im bardziej przeczernione wulgarnym żargonem było tło społeczne, polityczne, religijne i obyczajowe, na którym działały. Wychowawcy sowieccy niedostatecznie jeszcze zdają sobie sprawę z funkcjonowania wyobraźni młodzieńczej; prawie zawsze sylwetki świętych o wyraźnie zarysowanych konturach odciskają się w niej głębiej niż czyhające na nich zewsząd moce piekielne. Było rzeczą śmieszną i tragiczną zarazem widzieć w marcu 1941 roku Kostylewa, drżącego z zachwytu i przejęcia na sam dźwięk nazwiska Thoreza. Uważał go za jedynego prawowitego sukcesora Wielkiej Rewolucji Francuskiej, choć nie bardzo jednocześnie rozumiał, dlaczego jest on tak niewolniczo posłuszny temu, który „zdradził Rewolucję Październikową".

Młody Misza nie tracił czasu. Na marginesie swoich studiów politechnicznych i zajęć partyjnych potrafił w ciągu czterech lat nauczyć się na kursach wieczorowych francuskiego na tyle, aby móc swobodnie czytać. We Władywostoku zaczął dużo czytać i natrafił przypadkowo na dziennik podróży Gonczarowa dookoła świata *Friegat „Pałłada"*. To „putieszestwije" skierowało jego młodzieńcze rojenia na tory bardziej realne; Kostylew zabrał się do nauki ze zdwojoną energią, opanowany nieprzytomną gorączką podróżowania. Nie ulega wątpliwości, że jego życie układało się co najmniej dziwnie. Przeżywał dzieciństwo w wieku dojrzałym, biorąc odwet za przedwczesną dojrzałość w dzieciństwie.

Na drugim roku studiów w Akademii Morskiej Kostylew znalazł we Władywostoku małą wypożyczalnię prywatną, a w niej parę zniszczonych książek francuskich: Balzaca, Stendhala, *Szkoła uczuć* Flauberta, *Spowiedź dziecięcia wieku* Musseta i *Adolfa* Constanta. Nie

spodziewał się po nich niczego nadzwyczajnego — chciał się tylko „poćwiczyć w języku". Świat, jaki mu otworzyły, przeszedł jednak wszystkie jego oczekiwania — był podobny do bajki. Kostylew żył odtąd w stanie ciągłego podniecenia. Czytał po nocach, zaniedbał się w nauce, opuścił parę zebrań partyjnych, zamknął się w sobie i odwrócił się od najbliższych przyjaciół. Wiele razy próbował mi potem wytłumaczyć, jakie uczucie wywołało w nim to odkrycie literatury francuskiej.

— Byłem chory na tęsknotę za czymś nieokreślonym — opowiadał, gładząc zdrową ręką kanciasty i ogolony łeb — odetchnąłem innym powietrzem, jak człowiek, który nie wiedząc o tym, dusił się przez całe życie. Zrozum, nie chodzi o fakty; ostatecznie wszędzie na świecie ludzie kochają się, umierają, bawią, intrygują i cierpią. Chodzi o atmosferę. Wszystko, co czytałem, działo się jak gdyby w klimacie podzwrotnikowym, gdy ja żyłem od urodzenia w lodowatej pustce... W Moskwie widziałem również inne życie, ale miało ono w sobie coś z sekciarskiego rozpasania, nie przelewało się na ulicę przez brzegi zamkniętych hoteli...

— Misza — oponowałem z przekory — przecież to jest tylko literatura. Nie wiesz nawet, ile na Zachodzie jest nędzy i cierpienia...

— Wiem, wiem — potrząsał głową — to samo powiedział mi potem sędzia śledczy. Jeżeli kiedykolwiek poczułem tylko na krótko, czym jest wolność, to właśnie wtedy, kiedy czytałem książki francuskie od starego Bergera. Byłem jak okręt uwięziony wśród lodów i nie dziw się, że próbowałem się z nich wyłamać na ciepłe wody.

Kostylew używał często niezbyt szczęśliwych porównań literackich, ale to było wyjątkowo trafne. Duży, zwalisty, z głową pochyloną jak żelazny taran i pięścią wielkości kowalskiego młota podobny był istotnie do łamacza lodów.

Historia Kostylewa, niezupełnie dla mnie jasna wówczas, gdy ją słyszałem i oglądałem, dziś staje się czytelna jak rozszyfrowany palimpsest. Gdyż w poszukiwaniu starego tekstu najważniejsze było to, aby nie dać się zwieść interpretacji Kostylewa i zobaczyć jego tragedię tak, jak odcisnęła się w jego własnej pamięci w pierwotnej, nieświadomej formie. Niestety! Kostylew był tu sam badaczem i zanim dopuścił do odczytywania swego życia innych, poddał je na własną rękę drobiazgowej i bardzo jednostronnej analizie. Był na przykład przekonany, że „zmartwychwstał" dzięki kilkunastu podniszczonym romansom francuskim, gdy ja osobiście uważałem, że przeczytał je po prostu za późno i na nieszczęście po francusku. O ile wiem, wszystkie „odkryte" przez Kostylewa książki były tłumaczone na rosyjski i odkreśliwszy nieznośne komentarze marksistowskie, można je było swobodnie czytać w tanich wydaniach Gosizdatu. Traf chciał, że Kostylew przeczytał je po francusku w wieku, kiedy spóźniony i niewyżyty bunt ma już w sobie zazwyczaj coś chorobliwego i maniakalnego; uroił sobie więc, że go oszukano, że ukrywano przed nim „całą prawdę". Miał do Zachodu stosunek nawróconego neofity, który błądzenie w dawnej wierze przypisuje sprzysiężeniu kłamstwa i perfidii zazdrosnych kapłanów. Odsunął się od partii, nie zawahał się nawet złożyć części winy za służenie fałszywym bogom na barki matki. Któregoś dnia zapomniał się w dyskusji z kolegami i wybuchnął: „Wyzwolić Zachód! Od czego? Od takiego życia, jakiego myśmy nigdy nie oglądali na oczy!" Zapanowała martwa cisza, ale ten drobny incydent poszedł chwilowo w niepamięć.

W roku 1937 właściciel prywatnej wypożyczalni książek — stary Niemiec nadwołżański, Berger — został aresztowany, a w parę tygodni potem pociągnął za sobą Kostylewa. Pierwsze przesłuchanie zdawało się wskazywać, że udział Kostylewa w sprawie Bergera był raczej

przypadkowy. Wymieniając ludzi, którzy odwiedzali wypożyczalnię książek, stary Niemiec nie zapomniał również o „wysokim, barczystym uczniu Szkoły Morskiej". Mimo że Bergera zagnała do więzienia Wielka Czystka, w jego sprawie było sporo autentycznych poszlak, które zaostrzyłyby czujność każdej normalnej policji. Gdyż co do jednego nie było wątpliwości: kierownictwo Dalstroju na Kołymie wymieniało za pośrednictwem starego Niemca złoto na obcą walutę i przedmioty zbytku z japońskimi markami fabrycznymi.

Skatowany do utraty przytomności, bity na nowo po otrzeźwieniu wiadrem zimnej wody, z oczami ledwie widzącymi przez szpary w plastrze zakrzepłej krwi i ustami obrzękłymi od poszarpanych dziąseł i chwiejących się zębów — Kostylew nie przyznawał się do winy z uporem, który rósł w miarę, jak potęgowały się zadawane mu cierpienia. Jakże skomplikowanym i nieobliczalnym mechanizmem jest organizm ludzki! To prawda, że istnieje w nim pewna określona granica wytrzymałości, ale przekroczywszy ją trzeba się liczyć tyleż samo z załamaniem, co z nieoczekiwanym buntem, który jest formą znieczulenia *in extremis*. Stan trwałego otępienia, spowodowany przerwaniem pierwszej linii oporu fizycznego i zmiażdżeniem wszystkich gniazd, które wraz z bólem emitowały rozkaz poddania się, kończy się zazwyczaj zupełnym paraliżem woli i zwichnięciem kręgosłupa, równie teraz bezużytecznego, jak przetrącony patyk w szmacianej kukle; ale bywa niekiedy i tak, że zdrętwiały od bicia organizm powtarza machinalnie ostatnie zapamiętane wysiłki broniącej się rozpaczliwie świadomości, niby odruchy warunkowe ciała pogrążonego już w agonii. Kostylew pamiętał tylko jedno: że cedził z zaciekłą determinacją przez zaciśnięte kurczowo zęby „jestem niewinny, nie byłem nigdy szpiegiem". Zemdlał — tym razem na długo — w chwili, gdy krzyknąwszy po raz ostatni „nie", poczuł, jak od konwulsyj-

nego skurczu szczęk ustępują nagle przednie zęby, i dusząc się wypluł je wraz z falą ciepłej krwi i wymiotów, która przedarła się przez zatkany przełyk i bluznęła na ścianę jak nafta z przewierconego szybu. Poczuł pewną ulgę i pogrążył się w ciemności. To go uratowało. Gdy ocknął się po paru dniach w szpitalu więziennnym, był już umyty i zabandażowany.

Na następnym przesłuchaniu sprawa szpiegostwa ustąpiła miejsca ogólnikowej rozmowie na temat poglądów politycznych Kostylewa. Było jasne, że NKWD nie chciało odesłać go w takim stanie do Szkoły Morskiej i postanowiło przestawić śledztwo na inny tor. Nie mogło być już mowy o uratowaniu zmasakrowanej twarzy młodego inżyniera sowieckiego, ale można było jeszcze uratować twarz potężnej instytucji, która od dwudziestu lat stała czujnie na straży rewolucji. Teoria prawa sowieckiego opiera się na założeniu, że nie ma ludzi niewinnych. Sędzia śledczy więc, gdy dostaje w ręce oskarżonego, może ostatecznie po długich badaniach zrezygnować z postawionego na wstępie zarzutu, ale to nie znaczy, żeby miał nie spróbować szczęścia gdzie indziej. Więźniowie śledczy znaleźli dla tego osobliwego procederu świetne określenie: co ci „przyczepili"? pytają powracających z przesłuchania towarzyszy. W rezultacie wyrok skazujący jest zawsze czymś w rodzaju kompromisu; oskarżony dowiaduje się, że nie „przyszedł tu na darmo", a NKWD kultywuje bez przeszkód mit swojej własnej nieomylności.

Nie ma tu potrzeby dokładnego opisywania śledztwa w sprawie Kostylewa, skoro cała teoria dezintegracji i przeobrażenia osobowości pewnego określonego typu więźniów zbudowana została w pierwszej części tego rozdziału na jego doświadczeniach. Teczka Kostylewa została wyjęta ze sprawy Bergera i oddana w ręce nowego sędziego śledczego. Młody inżynier odetchnął. W czasie śledztwa, które z niewielkimi przerwami trwało w wię-

zieniu władywostockim blisko rok, nie uderzono go już ani razu. Chwilami przesłuchania nocne przypominały zapalczywe dyskusje studenckie; Kostylew bronił się, atakował, wygłaszał długie przemówienia, a po powrocie do celi przygotowywał się do następnego pojedynku jak adwokat do rozprawy. Przez cały ten czas sędzia śledczy uprzejmie słuchał, wtrącając tylko niekiedy krótkie uwagi i robiąc notatki. Dla Kostylewa, nauczonego już, że NKWD ma w razie potrzeby na podorędziu i inne argumenty, te trzy pierwsze miesiące rozpoznania były jak poranny sen po nocnym koszmarze. Polubił nawet na swój sposób małomównego i zawsze uśmiechniętego sędziego, który częstował go kawą i papierosami, wypytywał troskliwie o rany na głowie i nachylał uważnie uszu, ilekroć Kostylew ściszał w zadumie głos. Pierwsza faza jednak zdawała się nie prowadzić do niczego. Kostylew opowiedział o sobie wszystko, przyznał się do swojej grzesznej miłości do Zachodu i zażądał przeniesienia całej sprawy z więzienia przed plenum organizacji partyjnej w Szkole Morskiej. Ostatecznie oskarżenie o „uleganie wpływom liberalizmu burżuazyjnego" mogło być w najgorszym razie przedmiotem rozważań na posiedzeniu centralnego komitetu studenckiego, który przedłuża lub unieważnia legitymacje partyjne, a nie jedynym punktem przewodu śledczego w więzieniu NKWD. Jego inkwizytor był innego zdania i przeszedł z kolei sam do ataku.

Dekoracja śledztwa zmieniła się jak na scenie rotacyjnej. Kostylewa budzono w nocy, odprowadzano po paru godzinach do celi, budzono znowu o świcie, wywoływano na badanie w czasie posiłków dziennych i godzin przeznaczonych na załatwianie potrzeb fizjologicznych w ustępie, odmówiono mu mycia i codziennych spacerów na dziedzińcu więziennym. Nie było już mowy o papierosach i gorącej kawie. Kostylew chodził błędny, oszołomiony, z zaczerwienionymi od niedospania oczami, z rozpaloną od nie zagojonych jeszcze ran głową,

w której krew szumiała jak resztki wrzątku w blaszanej bani. Bywały chwile, że słaniał się na nogach i opierał się jak ślepiec rękami o ściany korytarza, idąc w jasny dzień na badanie, lub mdlał na twardym zydlu za stołem śledczym. Dniem i nocą w małym pokoiku, w którym spędzał teraz po kilkanaście godzin na dobę, czarne żaluzje opuszczone za kratą odgradzały go od płynącego za oknami czasu i wydawały na łup podstępnych pytań w przeraźliwie jasnym kręgu żarówki. Niekiedy wydawało mu się, że jego głowa jest ogromnych rozmiarów poduszką, wypchaną pakułami i najeżoną tysiącami szpilek. Czuł ich bolesne, zwielokrotnione ukłucia i w przystępie rozpaczy próbował stłumić cierpienia, szarpiąc bandaże na czole, skroniach i policzkach lub zatykając rękami uszy, w których ukłucia szpilek zamieniały się w ostry, metaliczny i sypki dźwięk stalowych opiłków, uderzających o dno pustej skorupy. Zatracił poczucie czasu, we śnie osłabiały go ciągłe polucje, zrywał się z pryczy na dźwięk swego nazwiska zaczadzony i półprzytomny, wodząc dokoła zaognionymi oczami.

Gdyby chodziło tylko o przyznanie się do abstrakcyjnej winy, był już w zasadzie gotów i parokrotnie nawet próbował sam podsunąć tę myśl sędziemu śledczemu. Ale inkwizytor, któremu twarz zmieniła się nagle, jak gdyby opadła z niej maska, żądał teraz znowu faktów. Kto należał do tajnej organizacji w Szkole Morskiej? Kogo Kostylew wtajemniczył w swoje poglądy? Gdzie i kiedy odbywały się zebrania? Jaki był cel praktyczny organizacji? Jakie miała kontakty z zewnątrz? Kto był przywódcą? Kostylew zaprzeczał ostatnim wysiłkiem woli, czuł jednak, że jeśli śledztwo potrwa dłużej, zacznie zmyślać nazwiska i fakty, aby w fikcji znaleźć ratunek przed groźną próżnią rzeczywistości. Te trzy miesiące najbliższe były w swym napięciu i męczarniach fizycznych krótkiemu epizodowi tortur, gdy na wokandzie była jeszcze sprawa Bergera. Którejś nocy śledztwo przy-

brało nieoczekiwany obrót; Kostylew dostał do podpisania dokument stwierdzający, że jego agitacja w Szkole Morskiej nie przybrała nigdy określonych form organizacyjnych.

W okresie trzecim śledztwo zelżało znowu. Kostylewa wzywano raz na tydzień, a czasem nawet raz na dwa tygodnie na wieczorne przesłuchania, w czasie których głównym przedmiotem przyjaznych rozmów stał się dla odmiany „rzeczywisty obraz życia na zachodzie Europy". Mówił przeważnie sędzia śledczy — jak dawniej uprzejmy, uśmiechnięty i wyrozumiały — a Kostylew słuchał lub zadawał pytania. Mówił inteligentnie i ciekawie, posługując się książkami, cyframi i faktami.

Sama zmiana tonu śledztwa wystarczyłaby, aby skłonić Kostylewa po tym, co przeżył, do rozsądnego aktu skruchy. W grze było już jednak coś więcej. Kostylew dał się przekonać naprawdę, wierzył każdemu słowu swego dawnego prześladowcy. Słuchał, szepcąc cicho: „użas", wypytywał o szczegóły, sam podsuwał konkluzje logiczne, zapoznawszy się z faktami — słowem, w takim samym szczerym uniesieniu odkrywał teraz fałsz Zachodu, jak niegdyś poznawał jego prawdę. Mogłoby się wydawać, że ropa rozlana pod skórą wezbrała nareszcie w jednym miejscu, gotowa do cięcia. Inkwizytor przeciągał jednak sztucznie przesłuchania, jak gdyby chcąc się dostatecznie upewnić, że nawrócenie grzesznika nie jest tylko obłudnym wybiegiem bezsilnej ofiary. O cóż jeszcze chodziło? Gotów był odpokutować za wszystkie chwile swojego zbłąkania i słabości, bo uwierzył na nowo. Gotów był potem swoją pracą wykazać, że potrafi życie poświęcić temu, co pokochał.

— No, Kostylew — powiedział wreszcie któregoś wieczoru sędzia śledczy — skończymy dzisiaj śledztwo. Podpiszesz tylko akt oskarżenia i koniec. Wszystko sprowadza się do jednego: chciałeś z pomocą obcych mocarstw obalić obecny ustrój Związku Sowieckiego.

Kostylew skurczył się i zapadł jak od nagłego ciosu. Krew uderzyła mu do głowy i jeszcze chwila, a krzyknąłby głośno: „kłamstwo!" Zdołał jednak tylko wymamrotać w osłupieniu:

— Obalić z pomocą obcych mocarstw ustrój Związku Sowieckiego?...

Nie spuszczając z niego oczu, sędzia śledczy sięgnął do teczki i rzucił na stół zeznanie podpisane przez trzech uczniów Szkoły Morskiej z jednym zdaniem podkreślonym czerwonym ołówkiem.

— Czytaj na głos — rozkazał ostro.

— Wyzwolić Zachód! Od czego? Od takiego życia, jakiego myśmy nigdy nie oglądali na oczy!

Położył kartkę na stole i opuścił głowę. Przypomniał sobie swoją gorączkę podróżowania, swoje marzenia o wyjeździe na Zachód. Kto wie, kto wie... Wszystko wydawało się logiczne — nierealne, ale przeraźliwie logiczne. Leżała przed nim kolumna ileż razy sprawdzonych cyfr! — pozostawało tylko podkreślić ją i wpisać ostateczną sumę. Poprosił o akt oskarżenia i położył na nim wolno swoje nazwisko.

— Czy mogę napisać do matki? — zapytał cicho. — Nie pisałem do niej od roku.

— Dostaniesz jutro w celi papier listowy i kopertę.

Po skończonym śledztwie Kostylew wrócił tylko na chwilę do swojej pojedynki po rzeczy i został odprawiony do zbiorowej celi. Leżał na pryczy w milczeniu, odgrodziwszy się od rozmów, i spoglądał w sufit. Tak więc koszmar bezsennych nocy i dni pełnych męczącego napięcia nerwowego dobiegł końca. Rad był bliskiemu wyjazdowi do obozu. Po rocznej prawie bezczynności, równie chwilami dręczącej, jak śledztwo i tortury, chciał nareszcie pracować i wrócić między ludzi. „Czy można żyć bez litości — powtarzał sobie po nocach, myśląc o przyszłych towarzyszach — czy można żyć bez litości?"

W styczniu 1939 roku Kostylewa odesłano z wyrokiem dziesięcioletnim do obozu kargopolskiego i po paru dniach pobytu w Jercewie skierowano w ramach „spiecnaprawlenija" do Mostowicy. W tym czasie dał się poznać wśród więźniów „łagpunktu" mostowickiego jako „święty"; jeszcze długo po jego śmierci w baraku „pieriesylnym" słyszało się z czcią wymawiane nazwisko „inżyniera Michaiła Aleksiejewicza Kostylewa", ilekroć do Jercewa przyszedł większy etap z Mostowicy. Jako inżynier ze „spiecnaprawlenijem" Kostylew otrzymał nieco lepsze warunki życia i stosunkowo lekką pracę; rozdawał między więźniów prawie cały swój chleb, zanosił do Trupiarni talony na zupę, wykorzystywał fakt, że wolno mu było wychodzić za zonę bez konwoju, aby przynosić czasem trochę tłuszczu lub jarzyn dla chorych, w brygadach, które mu podlegały na tartaku mostowickim, obliczał wszystkim więźniom normy wyższe od rzeczywistej wydajności pracy. Właśnie ta „tufta" go zgubiła. Zadenuncjowany przez jednego z brygadierów, został administracyjnym zarządzeniem naczelnika obozów kargopolskich pozbawiony na czas odbywania wyroku prawa pracy „po spiecyalnosti" i odesłany do brygady leśnej. Zapomniał w niej szybko o litości, bo sam potrzebował jej teraz bardziej niż inni. Praca fizyczna złamała go i poniżyła do tego stopnia, że nie było rzeczy, której by nie zrobił dla zdobycia dodatkowego kawałka chleba. Znienawidził współwięźniów i uważał ich odtąd za swoich naturalnych wrogów. Byłby może stoczył się jeszcze niżej, na samą krawędź największej zbrodni, jakiej dokonać może człowiek wart tego imienia w obozie — zbrodni donosu — gdyby przypadek nie podsunął mu jednej z książek, którą czytał niegdyś na wolności we Władywostoku. Kostylew odczytał ją na nowo, płacząc jak dziecko, które odnalazło w ciemności rękę matki. Tak oto po raz drugi zrozumiał, że go oszukano.

W marcu 1941 roku Kostylew przyszedł etapem do Jercewa z prawą ręką na temblaku i zaliczony został formalnie do naszej brygady tragarzy.

*

W baraku już się rozwidniało, ale dwudziestu paru tragarzy spało pokotem w rogu, nie drgnąwszy nawet na okrzyk Dimki, oznajmiający koniec śniadania. Po całodziennej pracy i przed powtórnym wymarszem na bazę w południe pozwalano nam przesypiać „podjom" — pobudkę poranną — i pobierać śniadanie w przerwie obiadowej.

Był to czas, kiedy ciągle jeszcze nie mogłem podołać ciężkiej pracy fizycznej. Często spałem na dobę tylko dwie godziny snem kamiennym, ciężkim, podobnym do utraty przytomności. Zaraz potem budziłem się i leżałem bez ruchu na pryczy wśród śpiących nerwowo towarzyszy, oswajając się z myślą o nowym dniu pracy.

Właśnie dlatego, że nie spałem na ogół po „podjomie", odkryłem tajemnicę zabandażowanej ręki Kostylewa nazajutrz po jego przybyciu do brygady. Dimka, krzyknąwszy symbolicznie, że na kuchni skończyło się wydawanie śniadania, wyszedł jak zwykle do zony. W baraku było pusto; tylko obok pieca siedział młody człowiek, czytając z przejęciem książkę. Jeszcze wczoraj powiedziano nam, że do brygady przyszedł z Mostowicy nowy więzień, który pójdzie z nami normalnie do pracy, skoro tylko po zagojeniu ręki skończy mu się zwolnienie. Wysokiego wzrostu, głowę miał przecież jeszcze o wiele za dużą i kanciastą, jak gdyby odłupaną z surowego kamienia. Nisko sklepione czoło zwisało krzaczastymi brwiami, zasłaniając prawie maleńkie, rozjarzone oczy, które jak dwa węgielki tonęły w puchliźnie głodowej. Dopiero niżej zaczaiło się w jego twarzy coś, co nadawało jej niezapomniany wyraz inteligencji, połączo-

nej z jakimś szalonym, zaciętym uporem. Zwłaszcza wąskie, kurczowo zaciśnięte usta przywodziły od razu na myśl portrety średniowiecznych mnichów. Pamiętam, że byłem zachwycony tym rzadkim połączeniem wrażliwości i z gruba ciosanej, niemal brutalnej chropowatości. Odrastające nad czołem włosy jeszcze silniej podkreślały w jego głowie cechy kamiennej rzeźby. Lewą ręką przewracał z instynktownym nabożeństwem kartki książki, a prawą — nieruchomą — przytrzymywał ją, aby nie spadła. Gdy czytał, w kącikach jego ust błąkał się uśmiech czarująco naiwny, prawie dziecinny.

W pewnej chwili, upewniwszy się, że w naszym kącie nikt się nie rusza, odłożył książkę i zdrową ręką zaczął odwijać bandaż. Trwało to parę minut, w czasie których raz czy dwa dorzucił do ognia trochę drzewa. Przed ostatecznym oderwaniem zeskorupiałego okładu od rany spojrzał znowu w naszym kierunku i odrzuciwszy głowę w tył, szarpnął gwałtownie. Zdawało mi się, że patrzy prosto na mnie, ale patrzył nie widząc; jego oczy przymknęły się bowiem nagle i utonęły teraz prawie zupełnie za podkurczonymi ku brwiom policzkami, a górne zęby przygryzły z bólu dolną wargę. Nie odwracając ciągle głowy, przybliżył się do pieca i po omacku wsunął odbandażowaną rękę w ogień. Przez jego ściągniętą twarz przebiegł skurcz bólu, oczy zdawały się wświdrowywać w głąb czaszki, zęby puściły dolną wargę i zacięły się ze zgrzytem, a na czoło wystąpiły wielkie krople potu. W ciągu tych kilkudziesięciu sekund zdążyłem zauważyć nie tylko jego przekłutą drgawkami bólu twarz, ale i rękę — spuchniętą kłodę, obciągniętą złuszczoną od poparzeń skórą i ociekającą krwią i ropą, która skwierczac jak oliwa spadała małymi kroplami na rozżarzone do czerwoności okrąglaki. Wyciągnął ją wreszcie z ognia, opadł ciężko na ławkę obok pieca i skłoniwszy głowę między kolana, zaczął lewym rękawem ocierać pot z twarzy. Uwolniony od tej strasznej próby, zdawał się teraz

rozluźniać i rozprężać jak kuglarz uliczny, który napiąwszy mięśnie ciała, wyzwolił się z krępujących go pęt, a potem opadł na środek chodnika niby przekłuty balon.

Zwlokłem się z pryczy i usiadłem przy stole, ale zauważył moją obecność dopiero wówczas, gdy ująłem przesiąkniętą i brudną szmatę, aby mu pomóc zabandażować z powrotem rękę. Spojrzał na mnie ze zdumieniem i wdzięcznością, po chwili jednak w jego zmęczonych, nabiegłych krwią i łzami oczach zabłysnął niepokój.

— Widziałeś? — szepnął cicho.

Skinąłem głową w milczeniu.

— Nie doniesiesz?

Nie, nie doniosę. Przez tyle lat strzegłem zazdrośnie jego tajemnicy, mimo że w miesiąc po naszym spotkaniu już nie żył. Gdyż posiadłszy jego tajemnicę, posiadłem również wkrótce potem jego przyjaźń.

Działo się to, o ile mnie pamięć nie myli, niemal dokładnie w połowie marca 1941 roku, 15 kwietnia zaś wywieziono zwłoki Kostylewa za zonę. Znaliśmy się więc równo miesiąc, za mało, żeby przyjaźń odwzajemnić, ale dość, aby ją pozyskać. Kostylew przywiązał się do mnie jak pies i jeśli można tego określenia użyć w obozie — stanowiliśmy nierozłączną parę. W istocie rzeczy bowiem rozłączała nas codziennie na kilkanaście, a czasem więcej godzin — praca. Kostylew figurował ciągle na liście zwolnionych i co trzeci dzień wieczorem chodził na oględziny do ambulatorium; nie ulegało wątpliwości, że przed każdą taką wizytą korzystał z pierwszej nadarzającej się sposobności w baraku, aby „przewinąć" rękę nad ogniem. Mimo bowiem, że wtajemniczył mnie już dokładnie w historię swego życia i wyjaśnił mi źródła swego dobrowolnego męczeństwa, jego samoudręka miała tyleż wspólnego z męczeństwem, co ze zwolnieniem od pracy. Dwa fakty zdawały się wskazywać na to bezspornie. Po pierwsze okoliczności, w jakich Kostylew wpadł na swój pomysł. Susząc raz na „lesopowale" w Mo-

stowicy chleb nad ogniskiem, upuścił go przez nieuwagę i przerażony głodem, zanurzył bez wahania rękę w ogniu. Tegoż wieczoru dostał zwolnienie na siedem dni, w czasie których ułożył swój plan. Po drugie sposób, w jaki Kostylew spędzał swój wolny czas w baraku. Było dla mnie do końca naszej znajomości zagadką, której mi nigdy nie chciał wyjaśnić, skąd wydobywa w obozie takie ilości książek. W każdym razie Kostylew czytał po całych dniach, czytał w nocy, usadowiwszy się na górnej pryczy obok żarówki, czytał nawet w ambulatorium, czekając na swoją kolejkę.

W aktach sprawy Kostylewa musiała być jakaś adnotacja sędziego śledczego, nakazująca, aby go traktować nieco lepiej niż innych więźniów, bo mimo ciążącej na nim zbrodni „tufty" wysłano go po wypadku na „lesopowale" do Jercewa z wyraźnym skierowaniem do brygady tragarzy na bazie. Nie jest również wykluczone, że przeniesienie do Jercewa pozostawało w pewnym związku z obiecanym Kostylewowi — pierwszym od chwili aresztowania w 1937 roku — widzeniem z matką. Zostało ustalone jeszcze w Mostowicy, że stara Kostylewa przyjedzie z Woroneża do Jercewa w pierwszych dniach maja i spędzi z synem trzy dni w Domie Swidanij. Misza żył w takiej euforii na myśl o tym spotkaniu, że nie dostrzegał grożących mu niebezpieczeństw. Jego status — zdrowego w zasadzie więźnia, któremu z tajemniczych powodów nie goiła się ręka — był w sowieckim systemie pracy przymusowej czymś wyjątkowym i nie do zniesienia na dłuższą metę. Doradzałem mu więc wielokrotnie, żeby przynajmniej do czasu widzenia z matką zarzucił swój proceder opalania ręki i poszedł choć parę razy na bazę. Potem zaś, potem — zrobi, co zechce. Uśmiechał się na te upomnienia łagodnie i odpowiadał z dziecinnym uporem:

— Nigdy, rozumiesz, nigdy już nie będę dla nich pracował.

W pierwszych dniach kwietnia gruchnęła w obozie wiadomość, że przygotowuje się etap na Kołymę. Dopiero dzisiaj, kiedy przeczytałem już wiele książek o niemieckich obozach koncentracyjnych, wiem, że etap na Kołymę był w sowieckich obozach pracy czymś w rodzaju odpowiednika niemieckiej „selekcji do gazu". Analogia ta posuwała się aż tak daleko, że podobnie jak do komór gazowych, wybierano na Kołymę więźniów z wysokoprocentową utratą zdrowia, mimo że przecież — odwrotnie niż w Niemczech — posyłano ich nie na natychmiastową śmierć, ale do pracy wymagającej wyjątkowej odporności organizmu i siły fizycznej. Tajemnica tego upiornego nonsensu polega na tym, że każdy naczelnik obozu odpowiada przede wszystkim za swój obóz i zbiera cięgi lub pochwały za wykonanie planu produkcyjnego powierzonego jego sile roboczej, toteż gdy otrzymuje rozkaz dostarczenia określonej ilości więźniów na etap, pozbywa się chętnie wybrakowanych, a strzeże zazdrośnie pełnowartościowych. Tak czy owak nasz obóz zastygł z przerażenia. W barakach ucichły rozmowy, przy pracy ustały narzekania, ambulatorium opustoszało. Zbliżał się dzień Sądu Ostatecznego i stawaliśmy przed zagniewanym obliczem naszego Pana z pokornymi twarzami, śledząc błagalnym wzrokiem błyskawiczne poruszenia jego miecza.

Nawet wówczas Kostylew nie dał się przekonać i obok „nacmenów" z Trupiarni był regularnie co trzy dni jedynym pacjentem w ambulatorium. 10 kwietnia wieczorem zawiadomiono go, że jest na liście kołymskiej i nazajutrz rano ma się stawić w łaźni na „sanobrabotkę". Przyjął ten cios mężnie, ale z pewnym osłupieniem. Wyszeptał tylko cicho:

— Nie zobaczę matki.

Nie umiem do dziś powiedzieć, co mnie skłoniło, że jeszcze tego wieczoru poszedłem do naczelnika obozu zaofiarować się na etap zamiast Kostylewa. Myślę, że

głównie stan fizyczny i psychiczny, w jakim się wówczas znajdowałem. Byłem u kresu sił i perspektywa trzymiesięcznej bezczynności — tyle w przybliżeniu trwała podróż na Kołymę — miała w sobie na krótką metę wiele zalet; byłem także jeszcze dość młody, aby z tą wędrówką na koniec świata wiązać jakieś nieokreślone emocje i nadzieje krajoznawcze; wreszcie — zaangażowałem się w przyjaźń z Kostylewem tak głęboko i bez reszty, że nie mogłem się teraz cofnąć w obliczu próby jej trwałości. Dość więc, że w gabinecie naczelnika wyłożyłem zastępcy Samsonowa swoją prośbę. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, ale bez śladu gniewu.

— To jest obóz — powiedział krótko — a nie sientimientalnyj roman.

Kostylew, któremu opowiedziałem o moim nieudanym zamiarze dopiero po powrocie z baraku naczelnika, nie był nim ani zdziwiony, ani nawet zaskoczony. Dla niego to był naprawdę „roman", choć może nie tak „sientimientalnyj", jak się to mogło wydawać zastępcy Samsonowa — „roman" z tragicznym zakończeniem, o którym już zapewne sam wiedział, i ostatnią próbą zapobieżenia mu, na którą zdecydowałem się właśnie ja — jego „choroszyj drug iz Zapada". Uścisnął mi tylko rękę i wyszedł bez słowa. Mogło to być nasze pożegnanie, bo dalekie transporty zabierano czasem wprost z łaźni na stację.

Nazajutrz wieczorem czekał na mnie u wrót wartowni Dimka.

— Gustaw Josifowicz — szeptał bezładnie, chwyciwszy mnie za rękę — Kostylew oblał się w łaźni wiadrem wrzątku. Jest w szpitalu.

Nie wpuszczono mnie do szpitala, nie było już zresztą po co. Kostylew umierał w straszliwych męczarniach, nie odzyskawszy do końca przytomności. Tym razem został zwolniony na zawsze. I choć umarł inaczej, niż żył, gdy go znałem i na swój sposób kochałem, do

dziś — niby symboliczny obraz człowieka, który przegrał po kolei wszystko, w co wierzył — widzę go z przekrzywioną od bólu twarzą i ręką zanurzoną w ogniu jak ostrze hartowanego miecza.

Nie zawiadomiono widać starej Kostylewej na czas o śmierci syna, bo w pierwszych dniach maja, gdyśmy czekali wieczorem na rewizję przed bramą obozu, strażnik pokazał nam ją na wartowni. Za oblodzoną szybą zobaczyliśmy jej drżące ręce, zgarniające do małego zawiniątka pamiątki po Miszy, i pomarszczoną, surową twarz, wstrząsaną suchym łkaniem. O, gdybyż to widział ten, który swym samotnym i rozpaczliwym szaleństwem, swą dziecinną i ślepą tęsknotą za wolnością wysączył z jej oczu od dawna wszystkie łzy!

Dom Swidanij

„Domem Swidanij" nazywaliśmy nowo odbudowane skrzydło baraku obok wartowni, w którym więźniowie spędzali od jednego do trzech dni z krewnymi, przybyłymi na widzenia do obozu kargopolskiego ze wszystkich stron Rosji. Jego położenie topograficzne w obozie było w pewien sposób symboliczne — wchodziło się doń przez wartownię z zony, a wychodziło już za zonę na wolnej ziemi; druty okalające obóz urywały się dokładnie w miejscu, w którym Dom Swidanij przylegał cienkim przepierzeniem do dyżurki naczelnika warty i obszernej izby dla konwojentów. Tak więc można śmiało powiedzieć, że dom, w którym więźniowie spotykali się po latach ze swymi najbliższymi, znajdował się na pograniczu wolności i niewoli; przestąpiwszy — po okazaniu przepustki i oficjalnego pozwolenia na widzenie — próg przepierzenia, wygolony, wymyty i odświętnie ubrany katorżnik wpadał prosto w ramiona, wyciągnięte ku niemu z wolności.

Widzenie z rodziną połączone było z niesłychanie zawiłą i trudną procedurą zarówno ze strony więźnia, jak i ze strony jego bliskich na wolności. W zasadzie — o ile mnie pamięć nie myli — dozwolone ono było raz do roku, w praktyce jednak większość więźniów dobijała się o nie bezskutecznie od trzech, a nawet pięciu lat. Rola więźnia była w tym względzie ograniczona; musiał po upływie roku od chwili aresztowania złożyć w Trzecim

Oddziale podanie z dwoma załącznikami — listem od rodziny, z którego by wynikało jasno i niedwuznacznie, że ktoś z bliskich chce go odwiedzić, i zaświadczeniem władz obozowych o nienagannym sprawowaniu się w baraku i przy pracy. Znaczyło to, że więzień pretendujący do spotkania z żoną lub matką musiał utrzymać się co najmniej na poziomie drugiego kotła, czyli pełnej normy, a od przywileju tego byli na ogół wyłączeni mieszkańcy Trupiarni. List od rodziny nie był tylko pustą formalnością. Tam gdzie związki pomiędzy więźniami a ludźmi wolnymi nie były związkami krwi, ale swobodnego wyboru serca — mam na myśli małżeństwa — nacisk na zupełne zerwanie z „wrogiem ludu" był tak duży, że zdarzali się ludzie, którzy go nie wytrzymywali. Ileż czytałem w obozie takich listów, w których żony donosiły mężom, że „już dłużej tak żyć nie mogą", i prosiły o zwolnienie z przysięgi małżeńskiej! Czasami starania o widzenie utykały na martwym punkcie, mimo że początek był dobry i obiecujący. Dopiero po roku lub dwóch okazywało się, że ktoś tam na wolności „rozmyślił się" i wycofał podanie. Kiedy indziej znowu za progiem przepierzenia czekały na więźnia nie wyciągnięte i drżące z tęsknoty ramiona, ale spojrzenie zmęczonych oczu i słowa błagające o litość. Czas takich widzeń kurczył się nagle do paru godzin, niezbędnych do omówienia losu dzieci, a serce takiego więźnia kurczyło się jak wysuszony orzeszek, tłukący się bezradnie w twardej łupinie.

W staraniach o widzenie większa część inicjatywy spoczywała oczywiście w rękach ludzi wolnych. Z listów, jakie pokazywali mi zaprzyjaźnieni współwięźniowie, mogłem był wywnioskować, że były to starania wyjątkowo uciążliwe, a nawet w pewien sposób niebezpieczne. Rzecz prosta decyzja w sprawie widzenia z krewnym w obozie należała nie do GUŁAGU (Gławnoje Uprawlenije Łagieriej) — który jest tylko czymś w rodzaju

administracyjnej dyrekcji obozów i nie miesza się ani do wyroków, ani do oskarżeń ciążących na niewolnikach pracy przymusowej — ale teoretycznie do Naczelnego Prokuratora ZSRR, a w praktyce do najbliższego NKWD w miejscu zamieszkania petenta. Teraz trzeba uważnie prześledzić zaklęte koło, w jakie wkraczał człowiek wolny, jeśli miał dostatecznie dużo uporu, aby po natrafieniu na pierwszych parę przeszkód nie zrezygnować mimo wszystko ze swego szalonego zamierzenia. Prawo do uzyskania widzenia miał tylko ten, kto sam mógł się wykazać absolutnie nienaganną przeszłością polityczną i dowieść, że nigdzie we krwi nie ukrywa zarazka kontrrewolucji. Pomijając już fakt, że nie ma w Rosji człowieka, który by się odważył z zupełnie czystym sumieniem wejść do śledczego gabinetu analiz, i że w tym wypadku świadectwa zdrowia politycznego żądali urzędnicy, którzy je sami jedynie byli w mocy wystawić — pomijając już, powiadam, ten oczywisty nonsens — wpadamy w inny, jeszcze bardziej koszmarny; oto bowiem posiadanie w rodzinie więźnia, „wroga ludu", jest już samo w sobie dostatecznym dowodem, że ktoś, kto z nim współżył przez tyle lat, nie jest również wolny od kontrrewolucyjnej dżumy, skoro przestępstwa polityczne uchodzą w oczach NKWD za chorobę zakaźną. Przyszedłszy więc do NKWD po świadectwo zdrowia, petent składał tym samym pośredni dowód, że jest już najprawdopodobniej sam zarażony. Przypuśćmy jednak, że dokładne badanie krwi nie wykazało w organizmie żadnych zaczątków infekcji, petent dostawał szczepionkę uodporniającą i odchodził na czas nieograniczony do kwarantanny. Do kwarantanny? Po co? Po to, żeby uzyskawszy wreszcie bezsporne świadectwo zdrowia, otrzymać jednocześnie zezwolenie na trzydniowy, bezpośredni kontakt z chorym, którego samo istnienie zdawało się być przed chwilą jeszcze zaraźliwe na odległość paru tysięcy kilometrów? Sadystyczny, zniechęcający

najczęściej ostatecznie paradoks tej sytuacji polega na tym, że krewny z wolności musi w czasie przesłuchania w NKWD robić wszystko, aby wykazać, jak dalece rozluźnił się, uwiądł i wyjałowiał jego uczuciowy stosunek do krewnego w obozie. Jeżeli tak, to po co przedsiębierze daleką i kosztowną podróż, żeby go zobaczyć? Nie ma wyjścia z tej matni. Ludzie, którzy wybierają się na widzenie do obozu z zamiarem defnitywnego uwolnienia się od tego koszmaru życia w półniewoli, w atmosferze nieustannych podejrzeń i z piętnem współodpowiedzialności za cudze winy na czole, otrzymują zezwolenie bez trudu. Inni albo rezygnują, dochowując wiary w milczeniu, albo ważą się jeszcze na ostatni, desperacki krok — na wyjazd po protekcję do Moskwy. Ci ostatni muszą jednak pamiętać, że wróciwszy z obozu do rodzinnego miasta, nie tak łatwo już obronią się przed mściwością najbliższego NKWD, które ominęli w drodze do celu. Łatwo odgadnąć, ilu się w takich warunkach znajdzie śmiałków.

Powstaje oczywiście pytanie, skąd te monstrualne przeszkody i trudności, skoro kontyngent robotników przymusowych został już do obozów dostarczony, a za podróż na widzenie z więźniem płaci się z własnej kieszeni? Można na nie odpowiedzieć trzema przypuszczeniami tylko, z których albo wszystkie, albo co najmniej jedno jest trafne. Po pierwsze, NKWD wierzy szczerze w swoją misję urzędu ochrony zdrowia politycznego obywateli Związku Sowieckiego; po drugie, stara się odgrodzić ludzi wolnych od warunków życia w obozach pracy przymusowej i — jeśli to możliwe — skłonić ich w drodze pośredniego nacisku do zerwania stosunków z uwięzionymi krewnymi; po trzecie wreszcie, chce w ten sposób dać poważny atut w ręce władz obozowych, które całymi latami nieraz wyciskają z więźniów resztki sił i zdrowia, łudząc ich nadzieją rychłego spotkania z krewnymi.

W chwili kiedy krewny, przybyły na widzenie z więźniem, znajdzie się w siedzibie Trzeciego Oddziału, sprawującego pieczę nad danym obozem, musi podpisać zobowiązanie, że po powrocie do miejsca zamieszkania nie zdradzi się ani jednym słowem z tym, co przez druty nawet dojrzał po tamtej stronie wolności; podobne zobowiązanie podpisuje więzień wezwany na widzenie, zaręczając — tym razem już pod groźbą najwyższych „mier nakazanija" (aż do kary śmierci włącznie) — że nie będzie w rozmowie poruszał tematów związanych z warunkami życia jego i innych więźniów w obozie. Można sobie wyobrazić, jak to rozporządzenie utrudnia nawiązanie bezpośredniego i bardziej intymnego kontaktu pomiędzy ludźmi, którzy po wielu latach rozłąki nieraz spotykają się po raz pierwszy w tak niezwykłych okolicznościach. Ostatecznie cóż pozostaje ze stosunku pomiędzy dwojgiem ludzi, jeśli wykreślić zeń wymianę wzajemnych doświadczeń? I oto więźniowi nie wolno ani słowem powiedzieć, a jego bliskim z wolności ani słowem zapytać, co się z nim działo od chwili aresztowania. Jeśli się zmienił nie do poznania, jeśli wychudł, posiwiał, zestarzał się przedwcześnie lub wygląda jak żywy trup, wolno mu tylko ogólnikowo i zdawkowo napomknąć, że „chorował trochę, gdyż klimat tej części Rosji mu nie służy". Zarzuciwszy zasłonę milczenia na szmat — kto wie, czy nie najważniejszy — jego życia, rozporządzenie to spycha go do zamierzchłej już przeszłości, kiedy był człowiekiem wolnym i zupełnie innym, kiedy czuł i myślał nie tak jak dzisiaj, i stawia go w nieznośnej sytuacji słuchającego tylko — jego, który powinien w pierwszym rzędzie mówić, a nawet krzyczeć. Nie wiem, czy wszyscy więźniowie dotrzymywali słowa danego przed widzeniem, choć cena, jaką wypadałoby zapłacić za jego złamanie, każe przypuszczać, że raczej tak. Bliskość krewnego, który przyjechał w odwiedziny do obozu, mogłaby wprawdzie stanowić pewną gwarancję dyskrecji, ale któż

zaręczy, że w małym pokoiku wyznaczonym na wspólny pobyt w czasie widzenia nie ma aparatów podsłuchowych lub że do szpary w cienkim przepierzeniu nie przytknął ucha urzędnik Trzeciego Oddziału? Wiem tylko tyle, że z Domu Swidanij dochodziły często odgłosy płaczu, i mam wiele powodów, aby przypuszczać, że to on właśnie — ten bezradny i spazmatyczny szloch — wydobywał w chwilach nieznośnego napięcia z nędznych szczątków ludzkich przyodzianych w czyste ubranie więzienne to wszystko, czego nie wolno było wyrazić słowom. Myślę, że i to nawet trzeba uważać za pewien plus widzeń. Więzień nie ośmieli się nigdy zapłakać w obecności swych towarzyszy, a z częstego płaczu przez sen w baraku wiem, jaką przynosi on niekiedy ulgę. W każdym razie w tej próżni, jaką pomiędzy dwojgiem ludzi w Domu Swidanij wytwarzała pieczęć na ustach więźnia, poruszali się oni po omacku niby kochankowie, którzy utraciwszy w czasie długiej rozłąki wzrok, upewniają się nawzajem bojaźliwymi dotknięciami rąk o swej namacalnej obecności aż do chwili, gdy nauczywszy się nareszcie na pamięć nowej mowy swych uczuć, muszą się rozstać na powrót. Toteż często po powrocie z Domu Swidanij do zony więźniowie byli zamyśleni, rozczarowani i bardziej jeszcze przygnębieni niż przed widzeniem.

W *I Chose Freedom* Krawczenko opowiada, że jedna z jego przyjaciółek otrzymała po wielu staraniach (w zamian za obietnicę współpracy z NKWD) glejt na widzenie z mężem w obozie na Uralu. Do małej izdebki na wartowni wprowadzono starca w łachmanach, w którym młoda kobieta rozpoznała z trudem, i po upływie paru minut dopiero, swego męża. Wierzę, że się postarzał i zmienił, ale nie bardzo wierzę, że był w łachmanach. Nie mogę oczywiście twierdzić kategorycznie, jakie panowały stosunki w obozie na Uralu, i odpowiadam za to tylko, co sam widziałem, słyszałem i przeżyłem w obozie nad Morzem Białym, lecz wydaje mi się, że

wszystkie obozy pracy przymusowej w Rosji sowieckiej — choć różniły się między sobą pod wieloma względami — jedną cechę miały wspólną i niejako nakazaną z góry: za wszelką cenę starały się zachować wobec ludzi wolnych pozory normalnych przedsięwzięć gospodarczych, które tym tylko różnią się od pewnych odcinków planu przemysłowego wypełnianych na wolności, że zamiast zwykłych robotników zatrudniają więźniów, opłacając ich i traktując — rzecz prosta — nieco gorzej, niż gdyby pracowali z własnej woli, a nie pod przymusem. Nie można było przed krewnymi przybyłymi na widzenie ukryć stanu fizycznego więźniów, ale można było — przynajmniej częściowo — ukryć sposób, w jaki ich traktowano w obozie. W przeddzień widzenia każdy więzień obowiązany był iść do łaźni i do fryzjera, zdawał w składzie starzyzny swoje łachy, a otrzymywał na trzy dni czystą koszulę lnianą, czyste kalesony, nowe spodnie watowane i buszłat, nie znoszoną czapkę-uszankę i walonki pierwszego gatunku; od tego ostatniego obowiązku zwolnieni byli tylko ci więźniowie, którzy zdołali w kuferku obozowym przechować na ten uroczysty dzień swoje dawne ubranie z wolności lub dorobili go się — w nieuczciwy na ogół sposób — już w czasie odsiadywania kary. Jak gdyby za mało było tego szczęścia, wydawano mu chleb i talony na zupę na trzy dni z góry; cały chleb zjadał przeważnie od razu sam — żeby się raz wreszcie najeść do syta — a talony oddawał zaprzyjaźnionym współwięźniom, licząc na żywność przywiezioną przez krewnych. Po skończonym widzeniu więzień oddawał na wartowni do rewizji wszystko, co otrzymał przed pożegnaniem od krewnych, i szedł prosto do składu ubrań, gdzie zrzucał fałszywe piórka i przyoblekał swą dawną skórę. Przepis ten przestrzegany był bardzo ściśle, choć i on nie pozbawiony był pewnych jaskrawych sprzeczności, które od jednego uderzenia niweczyły pracowite dzieło maskarady, inscenizowanej na użytek wol-

nych obywateli Związku Sowieckiego. Pierwszego bowiem ranka po przyjeździe na widzenie krewny mógł, uchyliwszy firankę w Domu Swidanij, zobaczyć na wartowni dziesiątki brygad wyruszających do pracy za zonę, w których brudne i zaropiałe cienie, obleczone w podarte łachy, obwiązane sznurkami i trzymające kurczowo w rękach puste kociołki, słaniały się na nogach z zimna, głodu i wycieńczenia; musiałby więc chyba być niespełna rozumu, gdyby przypuszczał, że taki sam los ominął schludnego nędzarza, którego przyprowadzono wczoraj do Domu Swidanij w czystej bieliźnie i nowym ubraniu. Ta obrzydliwa maskarada była czasem aż komiczna w swej tragiczności i wywoływała wiele żartobliwych docinków ze strony towarzyszy w baraku; zdarzyło mi się parokrotnie widzieć żywe trupy, przyodziane w porządne ubrania, którym brakowało tylko jeszcze spleść dłonie na piersiach i wcisnąć między zesztywniałe palce święty obrazek i kawałek gromnicy, aby mogły spocząć na wieki w dębowych trumnach i ruszyć w tym odświętnym stroju w swą ostatnią podróż. Zbędne również dodawać, że więźniowie biorący z musu udział w takim widowisku czuli się na ogół niezręcznie w swym fałszywym wcieleniu, jak gdyby zawstydzała i upokarzała ich sama myśl, że służą za parawan, za którym obóz usiłuje na trzy dni ukryć przed ludźmi wolnymi swe prawdziwe oblicze.

Dom Swidanij, oglądany od strony drogi prowadzącej z wolnego miasteczka do obozu, robił przyjemne wrażenie. Zbudowany był z surowych belek sosnowych, utkanych w szczelinach pakułami, kryty ładną dachówką i na szczęście nie tynkowany. Tynkowanie baraków było w obozie przekleństwem; białe ściany zaciekały szybko wodą z zasp śnieżnych i moczem odlewanym przez więźniów obok baraków w nocy i pokrywały się żółto-szarymi plamami, które z daleka wyglądały jak chorobliwe liszaje na bladej i bezkrwistej twarzy. W czasie odwilży letniej cienki tynk odpadał najczęściej od ścian

i wówczas trzeba było przechodzić przez zonę, nie patrząc na strony; dziury wyżarte klimatycznym szkorbutem w kruchej polewie wapiennej zdawały się nam bowiem uprzytamniać nieustannie, że temu samemu procesowi podlegają nasze ciała. Przez kontrast choćby Dom Swidanij był więc jedyną ucieczką dla naszych zmęczonych oczu i nie bez powodu (ale nie tylko ze względu na swój wygląd) nosił nazwę „łagiernej daczy". Do drzwi znajdujących się na zewnątrz zony, z których mieli prawo korzystać tylko ludzie wolni, prowadziły solidne schodki drewniane, w oknach wisiały perkalikowe firanki, a na wewnętrznych parapetach okiennych stały podłużne skrzynki z kwiatami. W każdym pokoiku były dwa czysto zasłane łóżka, duży stół, dwie ławki, miednica i konewka z wodą, szafa na rzeczy, piecyk żelazny i żarówka elektryczna z abażurem. Czegóż więcej mógł pragnąć więzień mieszkający latami w brudnym baraku, na wspólnej pryczy, jak nie tego wzoru drobnomieszczańskiego dostatku, i u kogo spośród nas marzenie o życiu na wolności mogło się nie urobić na jego podobieństwo?

Każdemu więźniowi przysługiwał w czasie widzenia osobny pokój. Tutaj jednak przepisy więzienne wkraczały z całą surowością, oddzielając przywileje ludzi wolnych od skrępowań przestępców, odbywających karę w obozie pracy. Krewny z wolności mógł o każdej porze dnia i nocy opuścić Dom Swidanij i udać się do miasta, ale sam; więzień musiał cały okres spędzić w wyznaczonym mu pokoiku lub — jeśli miał na to ochotę — wpaść, poddawszy się uprzednio rewizji na wartowni, na parę chwil do zony. W wypadkach wyjątkowych pozwolenie na widzenie opatrzone było klauzulą, ograniczającą przebywanie z krewnymi tylko do pory dziennej; wieczorem więzień wracał do zony, a o świcie przychodził znowu do Domu Swidanij. (Nigdy nie mogłem dociec, czym podyktowane były te półwidzenia; nie-

którzy więźniowie sądzili, że charakterem przestępstwa, ale w praktyce nie znajdowało to potwierdzenia). Za to rano, kiedy brygady przechodziły obok Domu Swidanij do pracy, prawie zawsze w jego oknach uchylały się franki i mogliśmy na okamgnienie zobaczyć twarze naszych współtowarzyszy obok obcych twarzy z wolności. Brygady zwalniały na ogół wtedy kroku i powłóczyły trochę przesadnie nogami, aby w ten milczący sposób donieść „ludziom stamtąd", do czego doprowadza życie za drutami obozu. Innych znaków nie wolno było dawać, tak jak nie wolno było również — przechodząc obok toru kolejowego — machać rękami do pasażerów przejeżdżających pociągów osobowych. Nawiasem wypada tu dodać, że konwojenci mieli surowy nakaz odpędzania brygad z toru kolejowego w głąb lasu, ilekroć posłyszeli dość wcześnie odgłosy zbliżającego się pociągu. Natomiast więźniowie w oknach Domu Swidanij uśmiechali się do nas dość często i przesyłali nam pozdrowienia, obejmując czule swych krewnych, jak gdyby w ten najprostszy i wzruszający sposób chcieli nam przypomnieć, że są również ludźmi, mają takich oto przyzwoicie ubranych bliskich i mogą poufale dotykać ludzi wolnych. Częściej jednak w przygasłych oczach pojawiały się łzy, a przez zmizerowane twarze przebiegały konwulsyjne drgawki bólu; nie wiadomo, co tak poruszało szczęśliwszych przecież od nas towarzyszy — czy nasza nędza, oglądana przez szybę ciepłej i czystej izdebki, czy myśl o tym, że jutro lub pojutrze znajdą się znowu sami w brygadach, odmaszerowujących o głodzie i w mróz na dwanaście godzin do lasu...

Sytuacja ludzi wolnych, którzy po pokonaniu niezliczonych trudności zdołali wreszcie dotrzeć do obozu na widzenie, nie była również w pewien sposób godna pozazdroszczenia. Czuli bezmiar cierpienia swych bliskich, nie mogąc ani poznać go dokładnie, ani mu ulżyć; lata rozłąki wypaliły w nich wiele uczuć, jakie żywili

niegdyś na wolności dla swych bliskich, a przyjechali tu przecież po to, by w ciągu tych krótkich trzech dni ogrzać ich żarem swej miłości, o ileż większym, niż może wzniecić przechowywana w popiele iskierka. Poza tym obóz, mimo że daleki i szczelnie odgrodzony od przybysza z zewnątrz, rzucał przecież i na nich swój złowrogi cień. Nie byli więźniami, nie byli „wrogami ludu", ale byli krewnymi „wrogów ludu". Chętniej może zgodziliby się dźwigać brzemię cierpienia i nienawiści, jakie spoczywało na barkach ich najbliższych, niż znosić w milczeniu upokarzającą i dwuznaczną sytuację „ludzi z pogranicza". Urzędnicy obozowi traktowali ich grzecznie i poprawnie, ale z pewną nie ukrywaną rezerwą i pogardą. Jakże można okazać pełny szacunek żonie lub matce tego oto nędzarza, który żebrze o łyżkę zupy, grzebie w śmietniku i dawno już zatracił poczucie własnej godności? W pobliskim miasteczku, gdzie każda nowa twarz nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości co do tożsamości jej posiadacza, omijano ich z daleka i nieufnie. Pewien więzień opowiadał mi, że jego córka spotkała w czasie widzenia w Jercewie dawną przyjaciółkę, obecnie żonę urzędnika obozowego. Przywitały się serdecznie, ale już po chwili żona urzędnika cofnęła się bojaźliwie. „Co za spotkanie! — wykrzyknęła — ale skądżeż ty w Jercewie?" „Ach — odpowiedziała dziewczyna — przyjechałam do ojca na widzenie. Ponimajesz ty, kakoje niesczastje? No on sowsiem nie winowat" — dodała szybko, jak gdyby w nadziei, że przełamawszy pierwsze lody, zdoła wyjednać dla ojca pewne względy w obozie. „Choroszo — pożegnała ją ozięble żona naszego dygnitarza — napiszy żałobu w Moskwu, tam wsio razbierut".

Mimo że widzenia były tak rzadkie i trudne do uzyskania — a może właśnie dlatego — odgrywały w obozie ogromną rolę. Przekonałem się jeszcze w więzieniu, że jeśli człowiek nie ma w życiu jakiegoś określonego

celu — a ukończenie wyroku było zbyt odległe i niepewne, by je poważnie brać w rachubę — to musi przynajmniej mieć na co czekać. Listy przychodziły tak rzadko i były tak zdawkowe, że nie mogły stanowić żadnej atrakcji. Pozostawały więc widzenia. Więźniowie czekali na nie z niepokojem i radosnym napięciem, a często nawet liczyli czas swego wyroku i życia według tych krótkich chwil szczęścia lub oczekiwania na nie. Ci, którzy ciągle jeszcze nie znali określonego terminu swego widzenia, żyli nadzieją, rozdmuchiwali ją sztucznie, pisali podania do Moskwy, znosili mężnie najcięższą pracę jak ludzie zaciskający zęby na pionierskim dorobku, wieczorami odwiedzali swych szczęśliwszych towarzyszy, wypytując po wielekroć o sposoby przyspieszenia tej niezwykłej chwili, w dzień wolny od pracy chodzili oglądać z daleka Dom Swidanij, jak gdyby upewniając się, że ich pokój jest zarezerwowany i czeka tylko na przyjazd gości, spierali się między sobą zawczasu o pokoje, czyścili i cerowali swe prywatne ubrania — jednym słowem, mieli zajęcie, a może nawet więcej, cichą namiętność, która ich chroniła od beznadziejności i rozpaczy, od poczucia bezcelowej egzystencji. W najgorszym położeniu byli oczywiście samotni więźniowie i cudzoziemcy, ale i oni nawet potrafili z widzeń wyciągnąć pewną korzyść, biorąc udział w radości i oczekiwaniu innych lub traktując je jako jedyne źródło informacji o życiu na wolności.

Nikt tak jak ludzie sztucznie lub dobrowolnie izolowani nie potrafi idealizować wszystkiego, co dzieje się poza granicami ich osamotnienia. Toteż było rzeczą wzruszającą słuchać więźniów, rozprawiających przed oczekiwanym widzeniem o wolności, której maleńkiego rąbka mieli już wkrótce dotknąć. Mogło się wydawać, że nigdy przedtem nie było w ich życiu ani ciężkich przeżyć, ani gorzkich rozczarowań. Wolność była jedyna, błogosławiona, niezastąpiona. Na wolności inaczej się

jadło, inaczej spało i pracowało, na wolności piękniej świeciło słońce, bielszy był śnieg i mniej dokuczał mróz. „Pamiętasz, pamiętasz?" — szeptały na pryczy przejęte głosy. „Ach, jaki byłem głupi, nie chciałem na wolności jeść czarnego chleba". „A ja — podchwytywał inny — źle mi było w Kursku, ciągnęło do Moskwy. Niech no tylko żona przyjedzie, powiem ja jej o tym Kursku, oho, powiem..." Ciągnęły się te rozmowy często do późnej nocy i nagle urywały się gwałtownie na tych pryczach, na które wrócił ktoś niedawno z widzenia. Konfrontacja marzenia z rzeczywistością wypadała zawsze na korzyść marzenia. Nie wiadomo, co było tego głównym powodem — czy ucieleśniona na trzy dni wolność nie umiała doścignąć swego wysublimowanego obrazu, czy trwała za krótko, czy wreszcie zniknąwszy jak nie prześniony do końca sen, zostawiała po sobie próżnię, w której znowu nie było na co czekać — dość że więźniowie po widzeniach byli posępni, rozdrażnieni i milczący. Nie wspominam tu nawet o wypadkach, w których widzenie przybierało obrót tragiczny i zamieniało się w krótką formalność rozwodową. Cieśla z 48. brygady, Krestinskij, usiłował dwa razy powiesić się w baraku po widzeniu, w czasie którego żona zażądała od niego rozwodu i zgody na oddanie dzieci do miejskiego żłobka. Przyglądając się więźniom po widzeniach, dochodziłem niekiedy do wniosku, że o ile nadzieja może być często jedyną treścią życia, o tyle jej spełnienie staje się czasem trudną do zniesienia męką.

Młodsi więźniowie przeżywali przed spotkaniem z żonami dodatkowe, i bynajmniej w stosunku do najbliższych towarzyszy na pryczy nie intymne, wzruszenia seksualne. Lata ciężkiej pracy i głodu podkopały w nich siły męskie i teraz przed zbliżeniem z prawie obcą kobietą odczuwali oprócz nieśmiałego podniecenia bezsilną rozpacz i gniew. Parę razy zdarzyło mi się słyszeć przechwałki męskie po widzeniach, ale na ogół były to

sprawy wstydliwe i przez wszystkich szanowane milczeniem. Nawet wśród „urków" odzywały się pomruki oburzenia, ilekroć konwojent, który w czasie nocnej zmiany urozmaicał sobie na wartowni czas podsłuchiwaniem odgłosów za cienkim przepierzeniem Domu Swidanij, spowiadał się przed brygadą ze śmiechem ze swoich poufnych spostrzeżeń. I dziwna rzecz: w zonie panowało wyuzdanie seksualne, kobiety traktowało się jak prostytutki, miłość jak spacer do wychodka, a ciężarne dziewczęta z baraku matek witało się drwinami — ale Dom Swidanij ostał się w tym morzu brudu, poniżenia i cynizmu niby jedyna przystań takiego życia uczuciowego, jakiego pamięć przechowała się w obozie z wolności. Pamiętam, jaką radość przeżywaliśmy wszyscy, gdy do jednego z więźniów przyszedł list o urodzeniu się dziecka, poczętego w czasie widzenia. Gdyby nam to dziecko oddano, byłoby ono naszym **wspólnym** dzieckiem, karmilibyśmy je, odejmując sobie od ust, podawalibyśmy je sobie z rąk do rąk, choć mieliśmy przecież pod dostatkiem własnych bękartów, poczętych na pryczach — w zonie. I to właśnie było najważniejsze: że w zonie, a nie w Domu Swidanij — z wolną kobietą, na czystej pościeli... W ten sposób bowiem życie nas, ludzi martwych i zapomnianych, zaczepiało się cieniutką nicią o wolność, wydobywało się przez wąską szczelinę z trumny, której wieko ciążyło nam niekiedy bardziej niż wszystkie cierpienia fizyczne.

Cóż jeszcze mógłbym dodać o Domu Swidanij? Chyba to tylko, że jako cudzoziemiec nie oczekiwałem nigdy na nikogo i może dlatego te moje zapiski o towarzyszach więziennych, w których radościach i smutkach uczestniczyłem jedynie mimo woli, tak są rzeczowe i aż do bólu obojętne.

Zmartwychwstanie

Szpital był w obozie czymś w rodzaju przystani dla rozbitków. Mało było więźniów, którzy by, przechodząc obok masywnego baraku o dużych oknach, nie wzdychali w myślach: gdybyż tak na dwa, trzy tygodnie do szpitala! W czystym łóżku, w widnej sali, z doglądającą troskliwie siostrą, z uprzejmym lekarzem, ze współtowarzyszami więziennymi, którzy spoglądają na siebie inaczej niż w baraku: po ludzku, współczująco... Te dwa lub trzy tygodnie powrotu do człowieczeństwa mogły przywrócić każdemu z nas na chwilę jeszcze przed śmiercią poczucie własnej godności. Pragnęliśmy ich, marzyliśmy o nich przy pracy i po nocach. Nie chodziło tu nawet w gruncie rzeczy tyle o odpoczynek, co o przelotny i nietrwały powrót do dawnych wyobrażeń o życiu i ludziach. Jak do Domu Swidanij więzień wybierał się do szpitala, żeby się przejrzeć w zwierciadle przeszłości. I jak z Domu Swidanij powracał zeń do baraku bardziej złamany niż odrodzony.

Cena bowiem, jaką wypadało zapłacić za ten krótki powrót do normalności, była zbyt wysoka. Istnieje szereg podań na temat szaleńców, którzy życiem przypłacili pokusę ujrzenia choćby na okamgnienie absolutnego piękna; pragnienie, pchające ich do podpisania tego samobójczego cyrografu, zwykliśmy uważać za źródło nieustannego postępu ludzkości. Przy zmniejszonych odpowiednio wymiarach i wymaganiach życia w obozie

więźniowie, ważący się uchylić zasłony okrywającej ich dawne pojęcie o świecie, byli na pewien sposób podobni do swoich legendarnych poprzedników. Płacili natomiast za to krótkotrwałe zmartwychwstanie jeszcze bardziej dojmującym i bolesnym doznaniem powolnej śmierci, do której wracali, przestąpiwszy po skreśleniu z listy chorych próg szpitala. Ci, którym dane było umrzeć w szpitalu — a nie w Trupiarni, na pryczy w baraku lub przy pracy — należeli na pewno do najszczęśliwszych; gdyż ujrzeli raz jeszcze lepsze oblicze świata przed ostatecznym odejściem w zaświaty.

Życie w obozie jest możliwe tylko wówczas, jeśli w umyśle i wspomnieniach więźnia ulegną zupełnemu zatarciu miary porównawcze z wolności. Nie co innego też oznacza popularne wśród starych więźniów powiedzenie, którym utarło się pocieszać nowo przybyłych skazańców: „Niczego, priwykniesz". Więzień, który całkowicie „przywykł" — po prostu prawie wszystko zapomniał. Nie pamięta, jak kiedyś myślał, co czuł, kogo i za co kochał, czego nie lubił, a do czego był przywiązany. W praktyce tacy więźniowie nie istnieją w ogóle. Ale zdarza się spotkać w obozach ludzi, którzy po kilkuletnim pobycie za drutami nauczyli się trzymać na uwięzi wspomnienia lepiej niż zwierzęce odruchy. Ten instynktowny akt samoobrony zamienia się z czasem w żelazną dyscyplinę, odgradzającą przeszłość od teraźniejszości nieprzekraczalną granicą. Większość więźniów nie potrafi jej się poddać i szuka ratunku we wspomnieniach jak w narkotykach. Ci zaś, co rzekomo „nie pamiętają", są silniejsi i słabsi zarazem. Silniejsi, bo przywykają istotnie do praw życia obozowego, uważając je bezwiednie za naturalne i normalne; słabsi, bo lada rysa w tym pancerzu, lada pretekst, przemawiający nieco żywiej do wyobraźni, powoduje napór zdławionych wspomnień tak silny, że nic już nie jest w stanie go powstrzymać. Wybuchają nagle, opadają mózg, serce i ciało tym gwał-

towniej, im głębiej były zepchnięte w mroczne lochy niepamięci.

Ludziom prostym życie w obozie przychodziło nieco łatwiej, uważali je bowiem za ostateczne dno swej niełatwej i przedtem egzystencji i z pewną pokorą w sercach czekali na nagrodę za cierpliwość w cierpieniu. Ludzie inteligentni jednak, obdarzeni żywszą wyobraźnią, bogatsi w doświadczenia, byli na ogół zawsze bardziej niecierpliwi i jeśli nie potrafili się uzbroić w odrobinę bodaj cynizmu, oddawali się na pastwę wspomnień ze związanymi rękami i nogami. Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że „kułacy" i recydywiści pospolici raczej niechętnie szli do szpitala, przekładając nadeń parę dni zwolnienia w baraku — jak gdyby powstrzymywała ich przed tym krokiem nieświadoma obawa, że raz ujrzawszy coś, co mogło przypominać wolność, nie potrafią już nigdy więcej wrócić do niewoli. Ale szpital był prawdziwą ucieczką dla wszystkich, którzy wbrew podszeptom instynktu nie chcieli zapomnieć. Witali chorobę z radością, a wracając ze szpitala do baraków, twarze mieli ściągnięte i skurczone bólem; jak ludzie, których oderwano siłą od szczeliny w murze sięgającej w przeszłość, a poprzez przeszłość w zwodniczą nadzieję przyszłości.

Szpital mieścił się w jedynym obok Domu Swidanij baraku, który zbudowany i utrzymany był nie gorzej niż domy ludzi wolnych w pobliskim Jercewie. Z szerokiego korytarza wchodziło się po obu stronach do izb przeznaczonych dla chorych; w każdej z nich były dwa okna i stało co najwyżej osiem łóżek. Wszędzie panowała wzorowa czystość, tym bardziej niezwykła, że oglądało ją się, mając świeżo w pamięci brud w barakach. Gdyby nie legowiska na korytarzu, na których chorzy czekali czasem parę dni i nocy na zwolnienie się łóżka, nasz szpital nie różniłby się niczym od skromnych, ale starannie utrzymanych szpitalików w prowincjonalnych miastach europejskich. W małym pokoiku pośrodku korytarza

mieściła się dyżurka dla lekarzy obozowych i sióstr, a w dwóch oszklonych szafach pod ścianami przechowywano lekarstwa i instrumenty lekarskie. W wypadkach nagłych duży stół w dyżurce używany był również jako stół operacyjny.

Nominalnym kierownikiem szpitala był wolny lekarz z Jercewa, który co drugi dzień przychodził do zony na przegląd chorych i ambulatorium. Troje lekarzy obozowych — Loevenstein, zruszczony Polak Zabielski i Tatiana Pawłowna — podlegało mu bez odwołania we wszystkich sprawach spornych. Wolny lekarz nie zajmował się zwolnieniami więźniów w ambulatorium i odsyłaniem ich do szpitala, śledził natomiast przebieg leczenia i miał decydujący głos, gdy chodziło o wypisanie chorego ze szpitala. To wystarczyło jako rodzaj kontroli i środka zapobiegawczego przeciwko ewentualnym nadużyciom lekarzy obozowych, którzy jako więźniowie mogli teoretycznie używać swoich uprawnień dla ulżenia doli współtowarzyszy więziennych. W praktyce jednak każdy lekarz obozowy przestrzegał bardzo ściśle przepisów więziennych, pamiętając, że najmniejsze uchybienie grozi mu odesłaniem na ogólne roboty. Chorych wolno było kierować do szpitala przy temperaturze powyżej 39 stopni, a zwalniać przy temperaturze powyżej 38 — nie licząc nieszczęśliwych wypadków i okaleczeń przy pracy. Największe możliwości naruszenia przepisów więziennych istniały przy zwalnianiu chorych od pracy, lecz i tu nawet lekarze obozowi bali się donosów swoich „asystentów" (tak zwanych „lekpomów"), których jedyną kwalifkacją do otrzymania tego stanowiska były bardzo często zażyłe stosunki z Trzecim Oddziałem, a niejednokrotnie także i samych chorych, których Trzeci Oddział używał niekiedy do wypróbowania lojalności lekarzy obozowych. Zawsze lepiej było przesadzić *in minus* niż *in plus*. Więzień, który mimo przepisowej temperatury nie otrzymał zwolnienia, nie obciążał leka-

rza w najmniejszym stopniu; więzień natomiast, który gorączkując niezbyt wysoko, został z polecenia lekarza w zonie, mógł skończyć raz na zawsze jego karierę lekarską w obozie. Wytłumaczenie tej zasady było bardzo proste i na swój sposób nie pozbawione rozsądku: w przekonaniu władz obozowych byłoby nonsensem wkraczać w życie więźniów tam, gdzie mogliby sobie nawzajem szkodzić, ale nie należało dopuścić do tego, aby mogli sobie nawzajem pomagać; nie pozbawione rozsądku przy założeniu, że w niewoli ludzie mają na ogół tendencję do pomagania sobie raczej niż szkodzenia. Niestety, to założenie nie działało w obozach sowieckich. Poza tym prawodawstwo obozowe przewidywało pewien maksymalnie dopuszczalny procent zwolnionych z pracy (zdaje się, że 5%), którego nie wolno było pod żadnym pozorem przekroczyć. Bywały wypadki, że lekarz obozowy zwalniał ciężej chorych, a wysyłał do pracy lżej chorych, obiecując tym ostatnim rekompensatę w przyszłości, byle tylko liczba zwolnionych nie została zakwestionowana na wartowni.

Leczenie więźniów w szpitalu sprowadzało się w dużym stopniu do aplikowania małej dozy odpoczynku i nadmiernej dozy proszków na spadek gorączki. Apteczka obozowa zaopatrzona była tak ubogo, że sami więźniowie znali na pamięć nazwy paru lekarstw, które stosowano najczęściej, i prosili o nie, nie czekając na diagnozę lekarza. Przy tym wszystkim jednak było wyraźne, że zgodnie z tajnymi instrukcjami władz obozowych (znałem je od jednego z moich znajomych lekarzy) istotny wysiłek w leczeniu szpitalnym zmierzał głównie do jak najszybszego postawienia na nogi więźniów, którzy nie utracili jeszcze całkowitej przydatności do pracy. Dla starców, więźniów nieuleczalnie chorych na serce, więźniów dotkniętych przewlekłą pelagrą i gruźlików szpital stanowił ostatni przystanek przed śmiercią lub przed Trupiarnią. Obowiązkiem lekarzy było doprowa-

dzenie śmiertelnie chorych więźniów do takiego stanu, aby po krótkim wypoczynku zdolni byli o własnych siłach przejść do sąsiedniej Trupiarni i skonać tam, zwalniając łóżko w szpitalu. Zupełne wycieńczenie przy pracy, różne formy obłędu głodowego, kurza ślepota i awitaminoza w ostatnim stadium owrzodzenia całego organizmu, połączonym z wypadaniem włosów i zębów — kwalifikowały się w najlepszym wypadku od razu do Trupiarni, bez próby nawet leczenia szpitalnego. Jedynie więc więzień, którego organizm był jeszcze dość silny, aby zregenerować się przez sam fakt krótkiego wypoczynku, mógł liczyć na to, że jego pobyt w szpitalu będzie czymś więcej niż tylko ucieczką od rzeczywistości więziennej w sferę marzeń sennych o przeszłości.

Warunki życia w szpitalu wkraczały w porównaniu z warunkami życia w obozie w dziedzinę nieprawdopodobnego luksusu. Każdy chory otrzymywał wraz ze skierowaniem do szpitala kartkę do łaźni, oddawał u wejścia do izby szpitalnej swoje łachy w zamian za czystą bieliznę, wskazywano mu łóżko ze świeżo powleczoną pościelą, obok którego stał mały stolik nocny; niezależnie od wysokości normy przed chorobą każdy więzień otrzymywał w szpitalu „trzeci kocioł", surówkę przeciwko awitaminozie i dużą porcję białego chleba — pelagrykom przysługiwały ponadto dwie kostki cukru i kostka margaryny tej samej wielkości. Było to wszystko tak niezwykłe i trudne do uwierzenia, że więźniowie, którzy odwiedzali swoich chorych przyjaciół w szpitalu, zdejmowali od razu u drzwi czapki z głów i nie odważali się przestąpić progu, dopóki ich do tego nie ośmieliło uprzejme wezwanie siostry.

Kto pisze cokolwiek o obozach sowieckich, nie ma prawa nie wspomnieć o ujmującej grzeczności i serdeczności sióstr. Może dlatego, że przebywały przynajmniej za dnia w nieco bardziej ludzkich warunkach, a może dlatego, że szpital był jedynym miejscem w obozie, gdzie

można było przyjść z pomocą ludzkiemu cierpieniu — siostry obozowe odnosiły się do chorych z taką troskliwością, czujnością i oddaniem, że uważaliśmy je po trosze za istoty z innego świata, którym chyba tylko niedorzeczny wybryk losu kazał żyć i znosić wraz z nami wszystkie trudy niewoli. Ta atmosfera szpitala miała również pewien wpływ na ludzi wolnych. Naczelnik obozu, Samsonow, zamieniał zawsze w czasie inspekcji z każdym z chorych parę słów, a wolny lekarz Jegorow (o którym mówiono, że był niegdyś także więźniem) nie umiał powściągnąć w swym surowym głosie cieplejszych tonów, ilekroć przystawał na chwilę obok łóżka szpitalnego.

Moje spostrzeżenia szpitalne z obozu jercewskiego, porównywane z opowiadaniami i wspomnieniami innych więźniów, prowadzą do wniosku, że w Rosji panuje coś w rodzaju „kultu szpitala". Nawet w najgorszych obozach, nawet w okresie szalejącego „proizwołu" i „pionierstwa" obozowego szpitale zostały jak gdyby wyłączone z systemu niewolnictwa sowieckiego i zachowały inny, bardziej ludzki status. Było coś nieprawdopodobnego w fakcie, że już za progiem — po wypisaniu ze szpitala — więzień stawał się na powrót więźniem, ale jak długo leżał bez ruchu w łóżku szpitalnym, przysługiwały mu wszystkie prawa człowieczeństwa z wyjątkiem wolności. Dla człowieka nienawykłego do kontrastów życia sowieckiego szpitale urastały do rozmiarów kościołów pośrodku szalejącej Inkwizycji — naruszenie obowiązujących w nich praw równało się prawie desakracji; być może nie czczono w nich człowieka, ale w każdym razie szanowano go w granicach, które pozwalają odróżniać w więzieniach karę od tortury.

*

Trudno się więc dziwić, że więźniowie chwytali się wszelkich możliwych sposobów, aby otrzymać skierowanie do szpitala. W okresie „pionierskim" obozów sowiec-

kich taką kartę wstępu dawało samookaleczenie ciała przy pracy; widziałem wielu więźniów z odrąbanymi palcami u jednej lub obu rąk, a mój poczciwy Dimka zapłacił w roku 1937 za trzy miesiące pobytu w szpitalu w Niandomie protezą u prawej nogi, której potem zawdzięczał również lekką stosunkowo pracę „dniewalnego" w baraku. Już w roku 1940 jednak władze obozowe, przerażone rozmiarami samookaleczeń, domyśliły się ich źródła i odtąd „wypadki przy pracy", nie potwierdzone przez dokładny opis zajścia, karano jako „sabotaż" dodatkowym wyrokiem dziesięcioletnim, podciągając pojęcie „samouszkodzenia ciała" pod ten paragraf kodeksu sowieckiego, w którym mowa jest o „szkodnictwie". Mimo to jeszcze w grudniu 1941 roku byłem świadkiem, jak do zony przywieziono z „lesopowału" młodego więźnia z odrąbaną stopą; na dwa dni przed tym wypadkiem wypisano go, nie zważając na protesty i błagania, ze szpitala.

Więźniowie nie dawali przecież za wygraną. Zagnojenie małej stosunkowo ranki wywoływało ropne zapalenie, które czasem doprowadzało tylko do stanu podgorączkowego, niekiedy jednak podbijało temperaturę do wymaganej granicy. Wśród „urków" popularne było wstrzykiwanie roztopionego mydła do cewki moczowej, które wywołując wysięk, pozorowało chorobę weneryczną i dawało zwolnienie przynajmniej na czas obserwacji. Ja sam, rozgrzawszy się przy pracy na bazie tak, że czułem przylepioną do skóry koszulę, rozebrałem się do pasa na 35-stopniowym mrozie i w dzień potem — było to w lutym 1941 roku — poszedłem na dwa tygodnie do szpitala.

W dużej sali szpitalnej siostra wskazała mi miejsce pomiędzy Niemcem S. a rosyjskim aktorem filmowym Michaiłem Stiepanowiczem W. Pierwsze parę dni leżeliśmy obok siebie, nie mówiąc ani słowa. Dzień szpitalny wlókł się powoli, a noce — gdy zaspokoiłem już pierwszy sen — miały w sobie coś z życia poza prawami czasu. Leżałem tak, utkwiwszy wzrok w suficie lub patrząc

w białe od lodu szyby, za którymi rozpościerała się nieprzenikniona ciemność. Starałem się nie spać, aby w ten chociaż sposób przedłużyć swój pobyt w szpitalu. Czułem teraz lepiej, z intensywnością graniczącą z bólem i radością zarazem, całe swoje poniżenie, całą nędzę życia więziennego. Ale jednocześnie zmartwychwstawałem w ciszy i samotności i nieraz marzyłem jak o największym szczęściu o przeniesieniu do pojedynczej celi więziennej. Po północy sale szpitalne obchodziła siostra Jewgienija Fiodorowna i nie zapalając światła, kładła po kolei każdemu z nas chłodną dłoń na czole; udawałem, że śpię, aby uniknąć pytań. Pamiętam przecież, że raz jeden chwyciłem ją bez słowa za rękę i przytknąłem do niej wyschnięte od gorączki wargi. Spojrzała na mnie ze zdziwieniem i odruchowym lękiem, ale odtąd witała mnie uśmiechem zawsze, ilekroć wchodziła na naszą salę. Szpital był jedynym w obozie i więzieniu miejscem, gdzie na noc gaszono światła. I to właśnie wówczas, w ciemności, uświadomiłem sobie po raz pierwszy w życiu, że jedynie samotność jest w życiu człowieka stanem graniczącym z absolutnym spokojem wewnętrznym, z odzyskaniem indywidualności. Tylko w pochłaniającej wszystko pustce samotności, w ciemnościach zacierających kontury świata zewnętrznego można odczuć, że się jest sobą aż do granic zwątpienia, które uprzytamnia nagle własną nicość w rosnącym przeraźliwie ogromie wszechświata. Jeśli ten stan ma w sobie coś z mistyki, jeśli pcha człowieka w objęcia religii, to byłem wówczas religijny, modląc się w duchu bluźnierczo: „Boże, daj mi samotność, gdyż nienawidzę ludzi". Bo jednocześnie z tą euforią zmartwychwstawania osobowości czułem, że jestem cmentarzyskiem wszystkiego, co łączy z innymi ludźmi. Nie myślałem o obozie, nie myślałem o tych, co giną za burtą łodzi ratunkowej szpitala, nie myślałem o najbliższych, o przyjaciołach, o nikim — poza samym sobą. Umierałem więc, zmartwychwstając. Myślałem

z wzbierającą codziennie nienawiścią o więźniu, który przyjdzie tu jutro zająć moje miejsce. Gorzki to tryumf odwalić kamień grobowy na wypalonej i jałowej pustyni. Te chwile, kiedy noc dotykała moich spieczonych warg rosą ciemności i słyszałem w ciszy bicie własnego serca niby kroki odmierzające nieskończoność, przywróciły mi pewność własnego istnienia, odbierając szacunek dla istnienia innych. Byłem jak ślepiec, który odzyskawszy wzrok, obudził się w próżni pełnej luster, odbijających tylko jego własną samotność.

Ten stan trwał nie dłużej niż najwyższe nasilenie gorączki — około pięciu dni. Zaraz potem odzyskałem na tyle siły, że podnosiłem się w dzień na łóżku i próbowałem nawet nawiązać rozmowę z moimi sąsiadami. Bardziej towarzyski okazał się Michaił Stiepanowicz W., piękny starzec o siwej, w klin przystrzyżonej brodzie i ogolonej głowie, który przed aresztowaniem grywał role bojarów carskich w sowieckich filmach historycznych. Popularność, jaką cieszą się w Rosji wszyscy aktorzy filmowi nie wyłączając statystów, sprawiła, że po roku pracy w lesie Michaił Stiepanowicz został „rozkonwojowany" i pełnił służbę stróża nocnego przy jednym z magazynów na bazie. Wiodło mu się nie najgorzej — wolni urzędnicy na bazie wciskali mu czasem do ręki kawałek chleba lub papierosa — zdawał się więc najzupełniej zadowolony ze swego losu. Opowiadał o sobie głębokim, trochę egzaltowanym głosem, tak typowym dla ludzi, którzy otarli się o aktorstwo. Piszę tu o nim nieco szerzej, bo ani razu w obozie nie spotkałem człowieka, który by — jak Michaił Stiepanowicz — uważał wszystko, co się z nim stało od chwili aresztowania, za rzecz najbardziej naturalną. Była w nim pokora człowieka wychowanego w posłuchu i szacunku dla każdej władzy, dyscyplina wzorowego obywatela. Nawet kiedy mi opowiadał o tym, jak został w roku 1937 aresztowany za przesadne zaakcentowanie w jakimś filmie szlachetności

jednego z bojarów Iwana Groźnego, nie pozwolił sobie na najlżejszy uśmiech, a w jego twarzy malowała się taka powaga, jak gdyby opowiadał o prawdziwej zbrodni. „Tak trzeba, Gustaw Josifowicz — mówił — tak trzeba..." Usiłowałem mu wytłumaczyć, że to głupie i nieludzkie, ale słuchał mnie z roztargnieniem, patrząc łagodnie przed siebie i gładząc piękną brodę. Był przeświadczony, że największym zaszczytem, na jaki może sobie zasłużyć przyzwoity człowiek, jest aprobata w oczach władzy, największą zaś hańbą słowa niezadowolenia w ustach przełożonych. Los współtowarzyszy więziennych wydawał mu się obojętny. „Widocznie zasłużyli" — mówił czasem, a kiedy indziej znowu dodawał nieoczekiwanie z akcentem przejmującego bólu w głosie: „Biedni ludzie, biedni ludzie". Należał w moim przekonaniu do tego typu obywateli, którzy pierwsi, ze spontanicznością wykluczającą jakiekolwiek podejrzenia o obłudę, witają obalenie złej władzy, lecz nie ośmielą się nigdy podnieść przeciwko niej ręki, jak długo siedzi ona mocno w siodle. W istocie rzeczy bowiem tkwiły w nim obok siebie dwa uczucia: głęboko ukryty bunt przeciwko niesprawiedliwości i instynktowna wiara, że określenie norm sprawiedliwości i prawa należy zawsze do tych, którzy rządzą.

Michaił Stiepanowicz wstydził się swego przewinienia. Wstydził się, uważając je w gruncie za śmieszne. Było w nim coś „staroriežymnego", coś, na co nie mogłem patrzeć bez wzruszenia i rozczulenia: jakiś szczątkowy i anachroniczny już nałóg uważania więzienia za formę godziwego wymiaru kary, a skazańców za rzeczywistych przestępców. W jego umyśle nie mieścił się fakt, że człowiek niewinny może być pozbawiony wolności. Powoli więc uwierzył w swoją winę, a przynajmniej udawał, że w nią wierzy, opowiadając godzinami, jak przejął się bezwiednie swoją rolą i jak szarżą aktorską zniekształcił ogólną tendencję filmu. Nie było innego sposobu, jak tylko słuchać go na serio i współczuć jego tragicznej

omyłce. Na szczęście Michaił Stiepanowicz wrócił szybko do zdrowia i na dwa dni przed wypisaniem ze szpitala deklamował nam już, stojąc na środku sali w teatralnie rycerskiej pozie i w chałacie szpitalnym narzuconym na bieliznę, wiersze Puszkina, którego uwielbiał. Pamiętam tylko jedną linijkę z *Pieśni o Olegu*, powtarzał ją bowiem bardzo często, akcentując każde słowo z dramatycznym przejęciem:

„Skaży-ka kudiesnik, lubimiec Bogow, czto słuczitsia w żyzni so mnoju..."

Mój drugi sąsiad, Niemiec S., był znacznie bardziej milczący, choćby dlatego, że mówił bardzo słabo po rosyjsku. Mimo że nie był komunistą, przyjechał w roku 1934 do Baku jako inżynier wiertniczy w ramach umowy, wypożyczającej Rosji „speców" od różnych gałęzi przemysłu. Aresztowano go w roku 1937 pod zarzutem szpiegostwa. Wśród wszystkich moich znajomych więźniów w obozie, oskarżonych o najbardziej nieprawdopodobne zbrodnie, S. był jedynym człowiekiem, w którego przestępstwo gotów byłem uwierzyć. Istnieją ludzie, zwracający na siebie uwagę i budzący podejrzenia samym swoim wyglądem i zachowaniem się — S. należał do nich. W bladej, zniszczonej więzieniem i chorobą twarzy płonęły niesamowitym blaskiem oczy, w których poza pogardą dla otoczenia wyczytać można było przenikliwą inteligencję ogara. Wąskie, zaciśnięte konwulsyjnie usta wyrażały nienawiść, okrucieństwo i drapieżność schwytanego zwierzęcia. Zadawał wszystkim krótkie pytania, trafiające natychmiast w sedno rzeczy, i po paru dniach byłem pewny, że wie o nas więcej niż Trzeci Oddział. Do Michaiła Stiepanowicza odnosił się z nie ukrywanym lekceważniem i niejednokrotnie ledwie powstrzymywał wściekłość, słuchając jego naiwnych opowieści o nieszczęsnym filmie; *Gott, wie gross ist dein Tiergarten* — szepnął raz do siebie, wznosząc wychudłe ręce ku niebu.

S. chory był na pelagrę i leżał w szpitalu od dwóch miesięcy, ale jestem pewien, że gdyby nie układ sowiecko-niemiecki i fakt, że nie był przecież Niemcem urodzonym w Rosji, lecz (nominalnie przynajmniej) obywatelem niemieckim — już dawno by nie żył. Kiedyś, nachyliwszy się do mnie, powiedział mi na ucho: „Za pół roku wybuchnie wojna i ci dranie zapłacą nareszcie za wszystko". Wojna wybuchła trochę wcześniej, ale zapłacił za nią w pierwszym rzędzie S. Mimo ostatniego stadium cyngi wyrzucono go ze szpitala, bez oględzin lekarskich nawet, 23 czerwca i posłano etapem wraz z Niemcami usuniętymi z biur obozowych do karnej Aleksiejewki Drugiej. Widziałem go na wartowni, gdy formowano etap. Stał — podtrzymywany przez dwóch Niemców nadwołżańskich — w podartych łachach, niechlujnie sznurkami obwiązanych butach, drżący z zimna, przerażony i blady. Nie pozostało w nim nic z dawnej pewności siebie i pogardliwej wyższości wobec otoczenia. Pelagra w ostatnim stadium wywołuje nie tylko zmiany organiczne w postaci wypadania włosów i zębów czy gnicia całego ciała, ale i zmiany psychiczne — depresję, melancholię, przewlekłe stany lękowe. S. wyglądał jak kupa pozlepianych naprędce i powiązanych szmatami ochłapów ludzkich i przysiągłbym, że się rozsypie na oczach wszystkich, kiedy obaj towarzysze puszczą jego ramiona. W jego oczach, tak niegdyś natarczywych i zimnych, malowały się strach i uniżoność. Mówiono mi potem, że nawet nie doszedł do Drugiej Aleksiejewki. Etap, gnany pieszo dwadzieścia pięć kilometrów, zostawił go w lesie na dziesiątym kilometrze wraz ze starym Niemcem z biura rachmistrzów i jednym konwojentem. Nikt ich już nigdy nie spotkał, ale pozostali więźniowie z etapu upierali się później w Aleksiejewce, że uszedłszy nie więcej niż kilometr, usłyszeli dwa kolejne wystrzały, które gruchnęły w lesie echem jak nagły grzmot.

*

Istniały obozy, w których z pozycją lekarza związane były wyjątkowe przywileje. Pomijając już możliwość brania okupu za zwolnienie od pracy, lekarze obozowi mieli wolny dostęp do kuchni szpitalnej i do apteczki. Każda kobieta w obozie pragnęła znaleźć się w szpitalu, jeść trochę lepiej, a w nocy odwiedzać w zamian za to lekarza w jego dyżurce oddziałowej; każdy „urka", wzbogacony trochę łupiestwem na politycznych, zapłaciłby najbardziej wygórowaną cenę za odrobinę spirytusu z apteczki, trochę waleriany, na której robiono nalewki z wyschniętych skórek od chleba, i chlorohydrat, który zastępował haszysz, opium i morfinę, wprawiając narkomanów obozowych w stan krótkiego odrętwienia. W takich obozach lekarze stanowili elitę niedoścignioną w swym stylu życia, możliwościach, a często nawet i orgiach; im lepiej zorganizowana była w obozie mafia doktorska, tym więcej było powodów, aby przypuszczać, że należy do niej na prawach wyższego udziału w łupach lekarz wolny, który sam był niegdyś również więźniem.

Wśród ludzi wolnych, zatrudnionych przez GUŁAG w administracji obozów sowieckich, wielu było dawnych więźniów. Większość lekarzy, inżynierów, urzędników i techników otrzymywała natychmiast po ukończeniu wyroku albo drugi wyrok, albo propozycję pozostania w obozie na nie najgorzej płatnych posadach, z którymi związane były z reguły dwu- lub trzypokojowe mieszkania w pobliskim miasteczku. Taka forma kompromisu przynosiła korzyści obu stronom, toteż rzadko się zdarzało, żeby spotkała się z odmową. Po latach pobytu w obozie przeciętny więzień odwykał na tyle od wolności, że myślał o niej z pewnym lękiem jak o sytuacji, w której będzie musiał znowu żyć w stanie wiecznej czujności, śledzony przez przyjaciół, krewnych i kolegów, z góry narażony na podejrzenia po odsiedzianym

dopiero co wyroku; w pewien sposób również obóz stawał się jego drugim życiem — znał jego prawa, obyczaje i przepisy, poruszał się w nim swobodnie, wiedział, jak się w nim żyje i unika niebezpieczeństw, lata spędzone za drutami przytępiały jego wyobraźnię i marzenia o wolności kierowały nie tyle ku rodzinnemu Kijowowi czy Leningradowi, co ku otwartej przestrzeni za zoną i małemu miasteczku, w którym wieczorem zapalały się światła, a w dzień bawiły się w śniegu dzieci; jeśli zaś nie miał do kogo wracać, jeśli w ciągu tych lat więziennych opuścili go najbliżsi — decyzja była tym łatwiejsza. Obóz zaś zyskiwał dobrego pracownika, obeznanego z życiem i nawykami więźniów, lojalnego, bo mądrzejszego o własne doświadczenia więzienne, przykutego już na zawsze do dawnej galery; NKWD miało też swoje powody, aby popierać te kontrakty pracy, zawierane przecież przez prześladowanych z dawnymi prześladowcami — ułatwiało to bowiem lokalizowanie infekcji obozowej do promienia najbliższych kilkudziesięciu kilometrów, dostarczało wytrawnych donosicieli i nadawało obozom pozory normalnych instytucji poprawczych, w których każdy więzień mógł codziennie oglądać jednego ze swych dawnych towarzyszy, nagrodzonego wolnością za sumienną pracę i wychowanego na pełnoprawnego obywatela Związku Sowieckiego.

Dla nas jednak, patrzących na to w inny sposób, ludzie wolni, którzy byli niegdyś więźniami, stanowili zjawisko bolesne i trudne do zniesienia. Dzięki nim obóz nabierał cech przeznaczenia, od którego nie ma ucieczki. Wydawało nam się, że już nic nie jest w stanie ocalić nas od losu ludzi przywiązanych na zawsze do miejsca niewoli. Świat kurczył się niepokojąco do najbliższego horyzontu, jaki można było dosięgnąć własnym wzrokiem. Przyglądaliśmy się ludziom wolnym — naszym dawnym niegdyś towarzyszom — z takim uczuciem, jakie musiałby przeżyć wierzący katolik, gdyby

się nagle przekonał na własne oczy, że życie pozagrobowe niczym się nie różni od życia doczesnego: jest także nieprzerwanym pasmem cierpień, udręk i upadków. A przecież gdyby nadeszła dlań taka sama chwila wyboru, co drugi więzień — z wyjątkiem może cudzoziemców, którzy nigdy nie mogli się pogodzić z myślą o wiecznej niewoli — ugiąłby się przed groźbą ponownego ryzyka powrotu do przeszłości, wybierając tę formę pół- lub nawet ćwierćwolności, mniej wprawdzie obiecującą, ale też i mniej narażającą na rozczarowania.

Wbrew temu, co można by przypuszczać, dawni więźniowie odnosili się do ludzi za drutami z jeszcze większą bezwzględnością i surowością niż ludzie naprawdę wolni. Czy nienawidzili w nich swej przeszłości, czy chcieli pozyskać sobie tą przesadną niekiedy gorliwością zaufanie przełożonych, czy wreszcie długie lata pobytu w obozie nauczyły ich cynizmu i okrucieństwa — dość że więźniowie nie mieli co szukać względów u ludzi, którzy dzielili z nimi niegdyś prycze w baraku. Istniała natomiast jedna dziedzina życia obozowego, w której dawni więźniowie wykazywali nie tylko wyrozumiałość, ale także pomysłowość i przedsiębiorczość: chętnie wespół z brygadierami, dziesiętnikami lub lekarzami obozowymi wykorzystywali wszelkie możliwości wyciśnięcia ze swego uprzywilejowanego stanowiska pewnych zysków. Wszystkie formy przekupstwa w obozie opierały się na współudziale byłych więźniów. „Tufta" przy obliczaniu normy miała pewne szanse powodzenia, jeśli wolnym dziesiętnikiem był dawny więzień. Przedłużenie pobytu w szpitalu zależało w dużym stopniu od tego, czy wolnym lekarzem był dawny więzień, toteż mafie doktorskie w obozach — ciągnące niekiedy poważne zyski z okupów od więźniów i ze sprzedaży „urkom" namiastek alkoholowych lub obracające oddziały kobiece w szpitalach w rodzaj haremów — działały tym sprawniej, im

bardziej mogły polegać na milczącym przyzwoleniu wolnego lekarza, który za swych więziennych czasów nauczył się uważać obóz za stan bezprawia uświęconego zmową silniejszych.

Tego wszystkiego nie można było jednak powiedzieć o Jegorowie, naszym wolnym lekarzu, który w roku 1939 ukończył wyrok ośmioletni w Kruglicy i objął stanowisko naczelnika „sanczasti" w centrali jercewskiej. Wysoki, szczupły, małomówny, o twarzy stwardniałej jak kora, chłodnym spojrzeniu i trochę nerwowych ruchach rąk, Jegorow był człowiekiem albo bardzo dyskretnym, albo nieprzekupnym. Trzymał lekarzy obozowych na dystans, nigdy nie widziano go jedzącego lub pijącego w zonie, a chorych traktował z surowością, w której przebijała ledwie dostrzegalna nuta serdeczności. Ilekroć pojawiał się na drodze wiodącej do szpitala w swej długiej futrzanej szubie, wysokiej czapie z baranków i skórzanych sztylpach zapiętych na metalowe zatrzaski, lekarz dyżurny porządkował drżącymi rękami wykresy temperatur, a siostra Jewgienija Fiodorowna bladła z przejęcia. Mówiono bowiem, że to ona była jedyną więzią łączącą Jegorowa z przeszłością więzienną. Poznał ją jeszcze przed zwolnieniem w Kruglicy, został jej obozowym mężem i swoje przeniesienie na stanowisko wolnego lekarza w centrali uzależnił podobno od wysłania Jewgienii Fiodorowny do Jercewa. W każdym razie Michaił Stiepanowicz opowiadał mi, że przyszła etapem z Kruglicy, ze skierowaniem wprost do naszego szpitala, w dwa miesiące po nominacji Jegorowa.

Ten związek był w obozie czymś niezwykłym, gdyż opierał się na prawdziwym uczuciu, a nawet wierności. W zasadzie każdy wolny urzędnik mógł mieć kobietę z obozu za porcję chleba, ale było nie do pomyślenia, aby odważył się lub chciał nadać tej przelotnej transakcji trwalszy akcent uczuciowy. Kobiety przychodziły i odchodziły jak fale etapów, co zaś pozostawało na stałe, to

możliwość ich posiadania bez najmniejszego trudu. Młody i nieżonaty urzędnik obozowy nie mógł nawet przeliczyć i ogarnąć pamięcią twarzy, które przewinęły się przez jego drewnianą komórkę w zonie. Tu jednak wchodziło w grę coś więcej — miłość lub w każdym razie jej szczątkowa forma. I chociaż władze obozowe, więźniowie w zonie i więźniowie zatrudnieni w szpitalu nie mogli mieć wątpliwości co do istoty związków łączących tych dwoje ludzi, Jegorow i Jewgienija Fiodorowna zachowywali się tak, jak gdyby intymność i dyskrecja były warunkami trwałości ich uczucia.

Siostra Jewgienija Fiodorowna przychodziła niekiedy na naszą salę wieczorem i usiadłszy na brzegu łóżka starego aktora, opowiadała o sobie. Z ojca Rosjanina i matki Uzbeczki, była zupełnie wyjątkowej urody; twarz miała smagłą i drobną, oczy pięknie smutne, czarne włosy zaczesane po staroświecku na boki i splecione na karku w mały węzeł; mimo trzydziestu już pewnie lat zachowała w sylwetce i ruchach dziewczęcość i płynność młodej panienki. Była studentką medycyny na uniwersytecie w Taszkiencie aż do chwili, kiedy ją aresztowano w roku 1936 za „odchylenie nacjonalistyczne". Na czym to „odchylenie" polegało, nie umiała dokładnie powiedzieć, z jej uwag i wypowiadanych śmiało poglądów wywnioskowałem jednak, że nie bardzo jej była w smak rusyfikacja Uzbekistanu, choć przecież po ojcu była Rosjanką, a tylko przez matkę mogła odczuwać jakiś daleki związek uczuciowy ze swą przybraną ojczyzną azjatycką. Jej poglądy stanowiły dziwną mieszaninę europejskiej postępowości i azjatyckiego konserwatyzmu: uważała się za zwolenniczkę wolnej miłości, swobody obyczajów i luźnych związków małżeńskich, ale nie pozwalała złego słowa powiedzieć o tradycyjnym upośledzeniu kobiety w Środkowej Azji. W tych rozmowach nie wspominała nigdy o Jegorowie; raz tylko, gdy opisywała swoje trudne początki w Kruglicy, zdradziła się mimochodem, że

u kresu sił wydobył ją z lasu do pracy w ambulatorium nasz wolny lekarz, wówczas również więzień kruglicki. Z tonu, jakim to powiedziała, wyczułem, że tajemnica otaczająca jej związek z Jegorowem miała swoje źródła nie tylko w potrzebie prywatności: Jewgienija Fiodorowna nienawidziła ludzi wolnych i w pewien sposób wstydziła się tego naruszenia solidarności więziennej. W obecności Jegorowa usiłowała zawsze zachować zupełną obojętność, ale ilekroć po paru godzinach spędzonych z nim w dyżurce szpitalnej wchodziła na salę, unikała naszych spojrzeń, zasłaniając szkliste oczy ciężkimi powiekami. Wyglądało więc na to, że Jegorow kochał ją, bo był niegdyś więźniem i nie chciał lub nie mógł tego zapomnieć, a ona jeśli odwzajemniała jego uczucia, to dokładnie z tych samych względów. „Nie może to jednak trwać wiecznie — mówiłem często do Michaiła Stiepanowicza — jest w tym dla niej coś poniżającego. Jegorow odwiedza ją jak prostytutkę i wraca za zonę do innego, wolnego życia".

W miesiąc po wypisaniu ze szpitala odwiedziłem Jewgieniję Fiodorownę w dniu, kiedy Jegorow nie przychodził do zony, i zastałem u niej Jarosława R., studenta politechniki w Leningradzie, który został aresztowany w roku 1934 w związku z zabójstwem Kirowa, zwolniony przedterminowo w roku 1936 i aresztowany powtórnie w roku 1937. Siedzieli na małej kozetce, używanej zazwyczaj do badania chorych, patrząc na siebie w sposób, który wykluczał wszelkie wątpliwości. W jej głosie, tak zawsze opanowanym i stanowczym, brzmiała teraz nuta bezgranicznego oddania, płonące oczy wyrażały szczęście, jakiego nie spotyka się nigdy w twarzach więźniów. Widywałem ich potem w letnie wieczory w zonie — mówiło się, że Jarosław jest u Jewgienii Fiodorowny na „garnuszku szpitalnym" — ale dla mnie to była miłość, najczystsza miłość, jaką dane mi było oglądać w obozie. Nie tylko dla mnie zresztą. Michaił Stiepanowicz okre-

ślił zmianę, jaka zaszła w zachowaniu i wyglądzie naszej siostry szpitalnej, słowem „zmartwychwstanie". Było w tym słowie na pewno sporo przesady, chociaż pod jednym względem utrafiało ono wyjątkowo celnie w sedno sprawy: bardziej niż powrót do życia w ciszy szpitalnej na nazwę „zmartwychwstania" zasługiwał ten powrót do niezależności uczuciowej tak gwałtowny, że stawiał na jedną kartę samo życie. Gdyż nie ulegało dla nas żadnej wątpliwości, że wystarczyłoby jedno słowo Jegorowa, aby Jewgienija Fiodorowna stanęła któregoś dnia na apelu porannym w brygadzie leśnej.

Jegorow jednak zdawał się nie widzieć, co dzieje się za jego plecami. Jak dawniej przychodził co drugi dzień rano do szpitala obozowego, jak dawniej również wracał wieczorem wolnym krokiem za zonę. I chociaż nic mnie z nim przecież nie łączyło, byłem w tym cichym dramacie — przez jakąś przewrotność lub intuicję uczuciową — po jego stronie. Wydawało mi się, że przeżywał nie tylko odejście kobiety, którą kochał, ale i odejście od obozu, do którego w dziwny sposób przylgnął. Mówiono o nim, że w piątym roku pobytu w obozie wyrzekła go się żona. Teraz więc wszystko, co go jeszcze łączyło z życiem, skupiło się na drodze wiodącej z Jercewa-miasta poprzez druty do Jercewa-obozu. Czy mógł wrócić na prawdziwą wolność on, który zdawał się prawie zafascynowany niewolą, uwiązany jak pies do miejsca, gdzie spędził osiem najcięższych lat życia?

Pod koniec lata zupełnie nieoczekiwanie Jarosław R. został wezwany na etap do obozów peczorskich; znaczyło to, że Jegorow próbował walczyć. Ale w dzień potem Jewgienija Fiodorowna zgłosiła się również na etap do jakiegokolwiek innego obozu poza Kargopolem; znaczyło to, że nie zamierza się poddać. Jej zgłoszenie zostało wprawdzie odrzucone, lecz wkrótce potem Jegorow przestał przychodzić do zony. Podobno poprosił o zwolnienie i wyjechał do innego obozu, nikt jednak nie umiał

na ten temat powiedzieć nic pewnego. W każdym razie nie ujrzeliśmy go już nigdy, a w styczniu 1942 roku Jewgienija Fiodorowna zmarła w czasie porodu, dając życie dziecku swej prawdziwej miłości i płacąc własnym życiem za swoje krótkie Zmartwychwstanie.

Wychodnoj dień

Mijał miesiąc za miesiącem i pracowaliśmy codziennie bez wytchnienia, łudzeni nadzieją, że już wkrótce ogłoszony zostanie „wychodnoj dień". Według przepisów obozowych więźniom należy się całodzienny odpoczynek raz na dekadę. Praktyka jednak wykazała, że świętując nawet raz w miesiącu, więźniowie narażają na poważne straty plan produkcyjny powierzony obozowi. Utarł się zwyczaj, że „wychodnoj dień" ogłaszano uroczyście, gdy obóz przekraczał swoją górną granicę produkcji na kwartał. W zupełnie wyjątkowych wypadkach za podstawę brano średnią miesiąca, jeśli nadwyżka była w nim dostatecznie wysoka, aby wykluczyć groźbę zbyt gwałtownego spadku w ciągu następnych dwóch miesięcy. Nie mieliśmy, rzecz prosta, wglądu w wykazy pracy i plan produkcyjny obozu, toteż ta milcząca umowa była fikcją, wydającą nas całkowicie na łaskę i niełaskę władz obozowych. Jak w wielu innych wypadkach, kierownictwo obozu trzymało się tylko w ogólnych zarysach instrukcji centrali w Moskwie, uzurpując sobie prawo regulowania na miejscu szczegółów wykonawczych. Wymagania stawiane obozom przez GUŁAG i trusty przemysłowe, które zawierały z nim umowy eksploatacyjne w ramach najmu robotników więziennych, były tak wysokie, że sprowadzały przepisy i regulaminy porządkowe do roli bezużytecznej makulatury. Słyszałem o obozach, w których „wychodnoj dień" wyznaczany był średnio co

3–4 tygodnie; w czasie mojego półtorarocznego pobytu w Jercewie mieliśmy dzień wolny od pracy około dziesięciu razy, z czego raz — jak we wszystkich obozach sowieckich — 1 maja; ale nigdy nie zdarzyło mi się spotkać więźnia, który by się mógł pochwalić, że w jego obozie brygady zostawiano w zonie co dziesięć dni.

Ten system miał swoje złe i dobre strony. Więźniowie dochodzili do kresu wycieńczenia, ale za to z tym większym podnieceniem czekali na dzień, który miał im dać krótką chwilę wytchnienia. Nie docenia się, moim zdaniem, nudy życia w niewoli; nudy tak przejmującej i beznadziejnej, że każde urozmaicenie nabiera świeżej treści, w miarę jak wydłuża się okres, dzielący od jego spełnienia. Mieliśmy codziennie prawo oczekiwać proklamacji o wyznaczeniu dnia świątecznego; kiedy zaś wreszcie nadchodził i mijał szybciej, niż można było przypuszczać w okresie oczekiwania, w naszym życiu rozwierała się na nowo pustka, którą musiała przecież wypełnić jakaś nadzieja. Pierwsze tygodnie po dniu wolnym od pracy należały do najcięższych, bo były zbyt bliskie czegoś, co stało się już przeszłością, a nie mogło wchodzić jeszcze w grę jako obietnica przyszłości. Jaki ból sprawia uświadomienie sobie nicości i błahości celu naszych oczekiwań, gdy zostają wreszcie spełnione! Lepiej jest czekać, spodziewając się rzeczy nieosiągalnych nawet, niż mieć wiedzę, że się posiada nikły zaledwie cień dawnych pragnień. Widziałem parę razy więźniów po otrzymaniu paczek od krewnych; kładli maleńki skrawek słoniny na kromce czarnego chleba i gryząc wolno chleb, odsuwali słoninę stopniowo coraz dalej, aby jej nawet nie dotknąć zębami — ostatni kęs był spełnieniem, ale prawdziwą radość dawały przedłużane sztucznie chwile oczekiwania. Tak było również z dniem wolnym od pracy i ze wszystkim w obozie, na co warto było czekać.

Ta cecha psychologii więźniów musiała być zapewne dla administracji obozowej źródłem wielu korzyści. Od-

suwając „wychodnoj dień", podwyższało się jego wartość, oszczędzało się na czasie i nieproduktywnych wydatkach i wzmagało się wysiłek więźniów przy pracy w pogoni za górną granicą owego mitycznego planu wytwórczego obozu. Doradzałbym wszystkim rządzącym, którzy mają niewiele do zaofiarowania swoim poddanym, aby zaczęli od pozbawienia ich wszystkiego; cokolwiek bowiem dadzą im potem, stanie się bez trudu wielkodusznym gestem. Gdyby nam oznajmiono któregoś dnia, że wracamy do biblijnego systemu odpoczywania po sześciu dniach pracy, uznalibyśmy prawdopodobnie obozy sowieckie za ostateczne ziszczenie wszystkich naszych pojęć o ludzkim traktowaniu więźniów. Ale nazajutrz już zaczęlibyśmy się buntować przeciwko samemu więzieniu.

Zazwyczaj w przeddzień wieczorem dowiadywaliśmy się na wartowni lub od brygadierów, że czeka nas cała doba odpoczynku. Więźniowie ruszali na kuchnię żywszym krokiem, pozdrawiali się po drodze, umawiali na następny dzień, stawali się nagle bardziej ludzcy i serdeczni. Około ósmej zona przybierała już prawie odświętny charakter. Na ścieżkach, przed kuchnią, na małym placyku koło wartowni było rojno i gwarno, z niektórych baraków dochodziły pierwsze śpiewy i dźwięki harmonii, organków lub gitar. Ze wszystkich przedmiotów instrumenty muzyczne były w obozie najbardziej poszukiwane i cenione. Rosjanie lubią muzykę w sposób zupełnie inny od Europejczyków; jest ona dla nich nie rozrywką lub przeżyciem artystycznym, ale zjawiskiem bardziej realnym niż samo życie. Widywałem nieraz więźniów pochylonych nad instrumentami, trącających struny, dotykających delikatnie regestrów harmonii, pijących muzykę z organków ukrytych w dwóch wklęśnięciach dłoni — jak gdyby przejęci wielkim smutkiem dotykali najboleśniejszych miejsc swojej duszy. Nigdy też słowo „dusza" nie wydawało mi się bardziej zro-

zumiałe i naturalne, jak kiedy słyszałem nieskładne, improwizowane naprędce kompozycje muzyczne w barakach i widziałem na pryczach więźniów zasłuchanych w nie z oczami utkwionymi przed siebie, w modlitewnym skupieniu. Zalegająca wokół cisza zdawała się potęgować ich przejmującą siłę, podkreślając pustkę, w której brzmiały jak ostre i pełne żalu tony piszczałek pasterskich na opustoszałej hali. Grający zrastał się w jedno ze swoim instrumentem, przyciskał go mocno do piersi, gładził rękami i zwiesiwszy w zamyśleniu głowę, wpatrywał się oczami powleczonymi szkliwem rozpaczy w martwy przedmiot, z którego celne dotknięcie dłoni wydobywało to, czego nie umiał nigdy wyrazić słowami żaden martwy za życia człowiek. „Przestań — mówili czasem więźniowie do zbyt smutnego muzykanta — to rozdziera duszę". I zaraz potem z gitary lub harmonii zrywały się znajome dźwięki „czastuszek" ukraińskich czy pieśni więziennych. Skłócone głosy dołączały do nich coraz śmielej i pełniej, aż wreszcie cały barak huczał od śpiewu, wysyłając w ciemność dziwne słowa o katorżniku, który „zalał się łzami" idąc do pracy, o ludziach, którzy zebrali się w ciemną noc, aby „wybrać tajny komitet", o skazańcu, który z nowym rokiem pozdrawia swoich przyjaciół „z wiecznych mroków Czeka, co to zmuszają człowieka do płaczu i do śmiechu".

Nastrój podniecenia trwał w zonie i w barakach do północy. Nigdy jednak więźniowie nie zaczynali swego prawdziwego święta od poprzedzającego je wieczoru. To nagłe ożywienie było tylko formą odprężającego przygotowania do dnia, który miał nastąpić potem w całej świetności przestrzeganego ściśle rytuału czynności, rozrywek i drobnych przyjemności. Powolne i uroczyste celebrowanie dnia świątecznego miało swój głęboki sens; był to bowiem jedyny dzień, który z wyjątkiem paru godzin porannych więzień miał prawo układać, rozplanowywać i spędzać stosownie do swoich upodobań. Ni-

gdy też więzień zwolniony od pracy przez lekarza nie spędzał swojego odpoczynku z taką ulgą i radością, jak kiedy czuł i widział, że nie korzysta z przywileju indywidualnego, ale bierze udział w radości wszystkich. Mimo wszystko, co przeżywali, instynkt sprawiedliwości i równości tkwił widać w więźniach głębiej niż w tych, którzy zamknęli ich za drutami w imię doktryny sprawiedliwości i równości; trzeba było jednak najkrótszej choćby przerwy w nieludzkiej walce o zachowanie życia, aby mógł się on ujawnić.

*

Więźniowie rozmawiali ze sobą do późnej nocy, leżąc lub siedząc na pryczach, a niektórzy rozsiadali się nawet przy stole, aby nad kubkiem wrzątku nadać tej rozmowie uroczysty i bardziej domowy charakter. Na każdym kroku, w każdym kącie baraku czuć było, że zbliża się święto. Nigdy nie mogłem zrozumieć, skąd pod tą twardą skorupą zobojętnienia i wzajemnej nienawiści bierze się naraz tyle grzeczności. Zarówno słuchający, jak mówiący okazywali sobie tyle życzliwości, że patrząc na nich, można było zapomnieć na chwilę o więzieniu. W barakach duszno było od oddechów ludzkich i wyziewów potu, kłęby pary buchające od drzwi roztapiały twarze ludzkie w brudnej posoce światła, ale wszystko to razem miało w sobie teraz tyle żywości i radosnego podniecenia, tyle nadziei i obudzonych na nowo uczuć... Nie można się było oprzeć uczuciu głębokiego wzruszenia, gdy wracając do swoich baraków lub wdrapując się na prycze, więźniowie żegnali się przed snem serdecznym „spokojnoj noczi". Spokojnoj noczi, spokojnoj noczi — szeptały przytłumione z przejęcia głosy — zawtra nam toże prazdnik, zawtra nam toże wychodnoj dień...

Nazajutrz nad ranem pobudka zrywała nas z prycz nieco później i zaraz po śniadaniu wracaliśmy do bara-

ków, aby się przygotować do rewizji. Rewizja była jedynym wydarzeniem zakłócającym spokój dnia świątecznego. Do każdego baraku przychodziło trzech podoficerów ze straży ochronnej; jeden stawał u wejścia, a dwóch wchodziło do wewnątrz, wyganiając nas wraz z rzeczami do zony.

Każdy więzień rozkładał kolejno u drzwi swój dobytek osobisty, otwierał kuferek i pomagał przetrząsnąć siennik (jeśli go w ogóle posiadał); po czym zbierał wszystko, czego dotknęła już ręka podoficera, i wychodził na śnieg. W opustoszałym baraku dwóch pozostałych podoficerów opukiwało kolejno wszystkie prycze i ściany, zaglądało pod deski legowisk, szukało otworów w belkach pionowych prycz, przewracało do góry nogami stoły, ławki i puste cebrzyki. Czekaliśmy na koniec rewizji na mrozie i śniegu czasem po 3 do 4 godzin. Rzadko jednak słyszało się więźniów narzekających na ten przepis — wydawał się on czymś zupełnie naturalnym, podobnym nieomal do porządków wiosennych. Straż obozowa szukała w barakach głównie ostrych narzędzi, noży, brzytew, drobnych przedmiotów osobistego użytku, krzyżyków, pierścionków, książek nie należących do biblioteki obozowej — słowem, wszystkiego, co więzień powinien był oddać do depozytu więziennego w czasie pierwszej rewizji po aresztowaniu. Gdy nas wpuszczano z powrotem do baraku, zostawało już niewiele czasu, aby uporządkować prycze przed popołudniowym wrzątkiem, który większości więźniów zastępował obiad. Dopiero teraz zaczynało się święto. Dopiero teraz reszta dnia należała już wyłącznie do nas i mogliśmy z nią zrobić wszystko, czego dusza zapragnie. Trzeba się było jednak spieszyć. Czas płynął w zonie nieporównanie szybciej niż przy pracy.

Jedną z największych atrakcji dnia świątecznego było to, że posiadał on swój własny, dla każdego więźnia inny układ. Z wyjątkiem więźniów, którym zmęczenie nie

pozwalało się nawet poruszyć z pryczy, wszyscy spędzali wolne popołudnie po swojemu i rzadko odstępowali od raz ustalonego rytuału. Można było prawie bez omyłki powiedzieć o każdej porze tego niezwykłego dnia, gdzie się kto znajduje i co robi.

Po wrzątku wychodziłem zazwyczaj do małego baraku w pobliżu wartowni, w którym mieścił się sklepik obozowy. Tylko w wyjątkowe dnie, raz na parę miesięcy, więźniowie-stachanowcy mogli w nim dostać po nominalnej cenie kawałek końskiej kiełbasy i funt chleba, ale sklepik otwarty był codziennie wieczorem, a w święta przez cały dzień. Przychodziliśmy doń, jak gdyby bawiąc się w teatr bez rekwizytów. W ciemnej komórce bowiem było zawsze tłoczno, a stary kulawiec Koźma stał za ladą uprzejmie uśmiechnięty i półodwrócony do pustych półek, na których dla dekoracji ustawiał równo obok siebie całą kolekcję skrzynek, puszek i próżnych butelek. Stojąc tak w zaduchu i dymie machorki, rozmawialiśmy jak w niedzielę po kościele w prowincjonalnym szynku o pogodzie, o pracy, o wiadomościach z innych „łagpunktów", o ulubionych potrawach i cenach alkoholu: zadawaliśmy Koźmie pytania na temat pustych skrzynek, a on odpowiadał z powagą, zwracając się coraz to do kogoś innego, kusztykając żywo wzdłuż lady, pozdrawiając wchodzących i żegnając odchodzących. Znał nas wszystkich z „imia i otczestwa" i do jego obowiązków należało zamienić z każdym z więźniów parę uprzejmych słów. Była to więc czysta umowa, rzadko łamana nagłym wybuchem śmiechu, i świadcząca o tym, jak silna jest potrzeba teatru nawet u ludzi, którzy w swym ubogim życiu niewiele mogą znaleźć tematów nadających się do naśladowania w sztuce. Ta konwencja miała w sobie coś z podświadomego masochizmu, ale jednocześnie z niezrozumiałych powodów działała pokrzepiająco i odświeżająco. Po dwóch godzinach rozmowy, przekomarzania się z kulawym Koźmą, krzykliwych pozdrowień, pytań

i odpowiedzi zatracaliśmy sami poczucie rzeczywistości i niewiele brakowało, abyśmy się zaczęli trącać pustymi szklankami i wychodzić chwiejnym krokiem do zony. U szczytu podniecenia rozmowy nabierały bowiem ostrości i zaczepnych akcentów, tak typowych dla pijackich burd. Wychodziłem ze sklepiku późnym popołudniem. Ten teatr nie miał nic wspólnego z fikcją — wprost przeciwnie, zastępował w każdym najdrobniejszym szczególe życie.

W zonie szarzało. Przed barakami stały małe grupki więźniów, rozmawiając ściszonymi głosami. Młodsi ruszali w kierunku baraku kobiecego i wywoływali znajome dziewczęta. Na ścieżkach mijały się pary, rozlegały się śmiechy, więźniowie przystawali na chwilę, aby zamienić parę słów, i zapraszali się wzajemnie do swoich baraków. Niebo powlekało się przed wieczorem nieprzezroczystą błoną, a od strony lasu szła pustym polem lekka zadymka, niecąc po drodze kłęby śniegu, które układały się fałdami jak wydmy piaszczyste. Daleko na horyzoncie zapalały się pierwsze światła w wolnych domach. Nieraz przystawaliśmy na wartowni, patrząc na nie bez słowa, przejęci wzruszeniem i zamyśleni o świecie, który żył własnym życiem, przestrzegał niezmiennych praw dnia, wieczoru i nocy i zdawał się nie wiedzieć, że w odległości paru kilometrów podpatruje go kilkadziesiąt lub kilkaset zachłannych spojrzeń. Co myśleli o nas ludzie, zapalający teraz światła w dalekich oknach? Czy nienawidzili nas, tak jak ich tego uczono, czy może współczuli nam po cichu, patrząc przez otwory w oblodzonych szybach na dymy unoszące się w górę z tego małego skrawka ziemi, na którym dwa tysiące skazańców próbowało wykrzesać choć trochę radości ze swego cierpienia? Czy uwierzyliby, że jeszcze żyjemy, przyjrzawszy się z bliska naszym martwym twarzom, dotknąwszy naszych wyschniętych i owrzodzonych ciał, wejrzawszy w nasze stwardniałe na kamień serca? My sami bliscy byliśmy

zwątpienia, spoglądając sobie nawzajem w oczy, a cóż dopiero oni — mimowolni obrońcy naszego poniżenia i naszej nędzy?

Zachodziłem kolejno do baraków, w których miałem znajomych więźniów. O tej porze prawie wszyscy pisali listy do domu lub odczytywali stare listy z domu. Przy stołach, na pryczach — podłożywszy sobie drewniane kuferki pod papier — siedziały przygarbione postacie, zatopione w rozmyślaniach, o twarzach zaczerwienionych od wysiłku i zastygłych w wyrazie tęsknoty. W kątach baraków zbierały się małe grupki więźniów, obradujące z ożywieniem, co należy i wolno napisać w liście wysyłanym na wolność, co zaś trzeba za wszelką cenę ukryć przed cenzurą obozową i adresatem. Piśmienni przechodzili wolno wzdłuż prycz, ofiarowując głośno za kawałek chleba swoje usługi niepiśmiennym. Więźniowie, nie mający szans otrzymania listu z domu i nie posiadający w zasięgu funkcjonowania poczty sowieckiej nikogo z bliskich, przysiadali się na tych pryczach, gdzie czytano listy na głos. Braliśmy wszyscy udział w troskach i zmartwieniach naszych towarzyszy, a baraki zamieniały się na krótko w wielkie rodziny. I nie muszę chyba dodawać, jak lubiłem te chwile, gdy pozbawiony kontaktu z najbliższymi poznawałem kłopoty rodzinne wszystkich zaprzyjaźnionych więźniów.

Listy do domu były przeważnie jednobrzmiące i ułożone tak, aby stanowiły umiejętny kompromis pomiędzy ograniczeniami, jakie stawiał więźniom w korespondencji obóz, a potrzebami, jakie odczuwali sami więźniowie. „Jestem zdrów, pracuję i myślę o was, czego i wam życzę" — oto była formułka, czyniąca zadość obozowi. „Każdy dzień płynie powoli i liczę chwile, kiedy was znowu zobaczę" — pisali więźniowie, usiłujący w jednym krótkim zdaniu dać przybliżone pojęcie o swojej męce. „Byłem w szpitalu, ale czuję się już dobrze". „Przyślijcie trochę cebuli, bo tu na Północy jej mało".

„Nigdy przecież nie pracowałem w lesie, więc muszę się wszystkiego uczyć od nowa". Takie zdania, pozornie komunikatywne i obojętne, miały być dla ludzi umiejących czytać na wolności źródłem wszystkich informacji o życiu w obozie.

W baraku „lesorubów" miałem znajomego Kozaka znad Donu, Pamfiłowa, który zwykł czytywać mi w święta listy od syna. Powstała z nich barwna historia — tym ciekawsza, że w połowie roku 1941 znalazła w obozie swój nieoczekiwany epilog.

Stary Kozak miał syna w Czerwonej Armii, młodego lejtnanta wojsk pancernych, którego fotografia stała w baraku w posrebrzanych ramkach obok pryczy ojca. O losach samego Pamfiłowa wiedziałem tylko tyle, że w roku 1934 kolektywizacja pozbawiła go dużego gospodarstwa nad Donem i wymiotła go na tak zwane wolne przesiedlenie na Syberię, gdzie pracował jako instruktor rolny do roku 1937, do dnia aresztowania. Na Syberii umarła mu żona, a jedynego syna zabrano w wieku lat 18 do wojska. Był to prawdziwy „kułak" z gatunku tych, jakich mało już dziś spotyka się w Rosji: uparty, hardy, skąpy, nieufny i pracowity, nienawidzący z całego serca kołchozów, pełen pogardy i nienawiści do urządzeń sowieckich, przywiązany nieludzko do wspomnień o posiadanej niegdyś ziemi. Mimo to pracował w brygadzie jak mało który więzień, z takim oddaniem i zawziętością, jak gdyby karczował własny las. W obozie stawiano go często za wzór, zapominając, że tajemnica jego pracowitości tkwiła w dwóch rzadkich cechach: miał nieprawdopodobnie silny organizm — sękate, żylaste ciało obciągnięte skórą, od której odbijał się puszczony z góry nóż, zdawało się być wyciosane z najtwardszego dębu — i chciał jeszcze przed śmiercią zobaczyć syna. Pamfiłow kochał młodego Saszę miłością zupełnie zwierzęcą. Często po pracy kładł się na pryczy, wpatrywał się godzinami w stojącą obok fotografię, dotykając jej przekrzywio-

mymi ze starości palcami, i wkładał w swój wzrok tyle zapamiętania i tęsknoty, że trącony znienacka budził się jak z głębokiego snu. Tłumiąc przyrodzoną nieufność, Pamfiłow wierzył głęboko, że uczciwą pracą zasłuży sobie w końcu na „swidanije" z synem.

Tego przywiązania nie osłabiał nawet fakt, że nie spotykało się ono z pełną wzajemnością. Listy Saszy — które znaliśmy prawie na pamięć, bo stary Pamfiłow odczytywał je nam po kilkanaście razy — były krótkie, powściągliwe i bystrym słuchaczom mogły przywodzić na myśl fragmenty z „politgramoty". Sasza cieszył się, że ojciec jest zdrów i pracuje, donosił o postępach w karierze wojskowej, wtrącał parę uwag na temat szczęśliwego życia w Związku Sowieckim i polecał ojca sprawiedliwości wyroków „naszej socjalistycznej ojczyzny". Stary Pamfiłow czytał wolno pierwszy i drugi ustęp, przebiegał z nutą irytacji w głosie przez trzeci i długo delektował się ostatnim, rozgryzając uważnie każde słowo. „Widzicie — tłumaczył nam z zapałem i lekkim zakłopotaniem — to z musu, a to z serca. Dobre sobie — sprawiedliwości wyroków sowieckich! Bogu, Bogu mnie poleca Saszeńka, synok jedyny". A potem: „Nie zmienią chłopcu duszy, choćby tam diabeł był przy robocie. Ja go wychowałem, Kozak doński Pamfiłow, gospodarz na własnej ziemi". Mówiło się też o nim w obozie „ten stary choziain Pamfiłow", a młodego Saszę znało z listów i opowiadań co najmniej kilkudziesięciu więźniów. Ale nie wszyscy byli tak pewni jak ojciec, że „chłopcu nie zmienią duszy". Do innych więźniów przychodziły bowiem listy, w których ani słowa nie było o „socjalistycznej ojczyźnie". I Pamfiłow musiał czuć sam, że sprawa nie jest taka prosta, skoro szukał po każdym liście potwierdzenia w naszych oczach. „No pewnie, Pamfiłow — mówiliśmy na przekór ukrytym obawom — nie zmienią, nie zmienią. Dobre ziarno nie wyda nigdy złego plonu".

Listy Saszy miały jednak to do siebie, że były bardzo stare: pochodziły głównie z roku 1939. Ostatni, datowany w listopadzie 1939 i pisany jak gdyby w pośpiechu, otrzymał Pamfiłow w marcu 1940 roku, a więc na długo jeszcze przed moim przybyciem do obozu. Potem powstała długa przerwa, ale Pamfiłow wypełniał ją nieustannym odczytywaniem dawnych listów. Kiedy go poznałem, znalazł we mnie wdzięcznego słuchacza, który zaczął czytać od połowy drukowaną w dzienniku powieść i z tym większą uwagą słuchał teraz poprzednich odcinków. Nasza zażyłość zaczęła się od tego właśnie: dzięki mnie bowiem listy stare stawały się znowu raz jeszcze świeże.

Czytając ciągle poplamione i zszargane listki papieru, Pamfiłow zatracił trochę poczucie czasu i raz, zajrzawszy mu przez ramię, złapałem go na tym, że fałszuje daty. Ale ta maska nie była w stanie ukryć niepokoju, jaki wzbierał w nim, gdy sobie uprzytamniał na krótko, że mija miesiąc za miesiącem, a nazwisko Pamfiłow nie pojawia się ciągle na wykazie przylepianym co parę dni obok skrzynki pocztowej. Więźniowie mogą otrzymywać listy bez ograniczeń, wysyłać zaś jeden na miesiąc; Pamfiłow nie omijał żadnej okazji, aby się upomnieć o znak życia od syna — o jedyną rzecz, która nadawała sens jego własnemu życiu. My jednak — których pocieszał i przed którymi usprawiedliwiał Saszę, jak gdyby wchodziły tu w grę nie tylko jego uczucia ojcowskie, ale i honor — nie byliśmy oślepieni jego własną ślepotą. Przyglądaliśmy się w milczeniu zmęczonej twarzy Pamfiłowa, jego oczom wysuszonym i zaczerwienionym, jak gdyby dął w nie nieustannie wiatr pustynny, i jego drżącym rękom, które zanurzały się w wiszącym na piersi woreczku z listami jak ręce obłąkanego skąpca, nie odróżniającego już prawdziwych klejnotów od fałszywych. I wiedzieliśmy, że odpychając od siebie rozpaczliwym gestem przeczucia, odpycha prawdę.

W marcu 1941 roku Pamfiłow otrzymał wreszcie list od syna. Widniała na nim źle przez cenzurę zatarta data „luty 1940", szedł więc blisko rok. Sasza donosił, że nie będzie teraz pisywał przez dłuższy czas, bo nie pozwolą mu na to pilne zajęcia. Ale stereotypowy ustęp listu o potężnym Związku Sowieckim i „naszej socjalistycznej ojczyźnie" miał teraz więcej niż zazwyczaj ognia i kończył się zdaniem, w którym syn usprawiedliwiał i pochwalał nawet aresztowanie ojca jako „przejaw historycznej konieczności". Pamfiłow przymknął oczy i opuścił na kolana ręce, trzymając jeszcze kurczowo kartkę papieru. Nikt z nas nie powiedział ani słowa. Cóż tu bowiem było do powiedzenia? Pamfiłow, który rozumiał tylko, co to jest ziemia i miłość ojcowska, nie zrozumiałby nigdy tak trudnego pojęcia jak „konieczność historyczna". Spod jego przymkniętych powiek potoczyło się parę łez. Potem runął piersią na pryczę i wyszeptał cicho: „Straciłem syna, umarł mi syn".

Nazajutrz Pamfiłow nie wyszedł do pracy i z miejsca odesłany został do izolatora. Przebył w nim trzy doby o kromce chleba i wodzie; to go ugięło, bo zaczął znowu wychodzić do lasu, ale nie pracował już tak jak dawniej. Wracał z lasu milczący, obolały, nie odzywał się do nikogo słowem, a jego sąsiedzi z pryczy opowiadali, że którejś nocy siedział do późna przy piecu, aż wreszcie podniósłszy się z ławki zdjął z szyi woreczek i rzucił go w ogień.

W kwietniu przeszedł przez Jercewo jedyny transport oficerów i żołnierzy sowieckich z „finskogo plena", którzy dostali wyroki dziesięcioletnie za poddanie się Finom. Nie było mnie tego dnia w zonie, ale kiedy nad ranem wróciliśmy z bazy, Dimka opowiedział nam z przejęciem, że był wśród nich Sasza Pamfiłow. Przyjechawszy do obozu rano, dowiedział się, w którym baraku mieszka stary Pamfiłow, i położył się na jego pryczy. Musiał już wiedzieć o wrażeniu, jakie zrobił na ojcu

ostatni jego list, bo kiedy stary Kozak wrócił z lasu, Sasza zeskoczył z pryczy i zaczął się bojaźliwie cofać w kierunku ściany. Pamfiłow zbladł, zachwiał się, wypuścił z rąk pusty kociołek i szedł za nim z nieprzytomnym błyskiem w oczach. „Pamfiłow — krzyknęli z pryczy więźniowie — przypomnij mu, co to ojcowska ręka!" Ale Pamfiłow przysiadł nagle na ławce, opuścił głowę, jak gdyby zasłabł, i w zupełnej ciszy baraku wyszeptał: „Synok, dorogoj moj synok..."

Przeleżeli obok siebie całą noc na pryczy, rozmawiając cicho, a następnego dnia Sasza poszedł etapem do Niandomy. Potem widywaliśmy znowu codziennie starego Pamfiłowa, pracowitego i cierpliwego, jak gdyby wdzięczny był obozowi za to, że pojednał go z synem.

*

Pod wieczór, gdy zbliżał się czas głównego posiłku, rozchodziliśmy się do baraków i rzadko już wychodziliśmy z nich na powrót do znajomych. Ostatnie godziny dnia świątecznego upływały nam na opowiadaniach i rozmowach we własnych barakach. Leżeliśmy na pryczach bliżej siebie niż zazwyczaj, zasłuchani w czyjąś opowieść lub rozmawiając szeptem, w atmosferze intymności, jaką wytwarza niewola, gdy codzienna walka o byt nie wznosi pomiędzy więźniami przegrody nieufności i instynktownej wrogości.

O tej porze było w naszym baraku przyjemnie i prawie domowo. Pod glinianym okapem, na którym suszyły się onuce i walonki, palił się trzaskający ogień, rzucając chwiejne odblaski płomienia na chropowate twarze więźniów. Przy stołach grano w warcaby lub w kości, a z kątów i z dolnych prycz dochodziły przytłumione setkami głosów dźwięki gitar i harmonii. Nawet głód zdawał się nie atakować w tym dniu ofiar. Na wszystkich twarzach malowała się ulga, jak gdyby nagle wiry zamieci uniosły

nę kłębami śniegu w górę, i zderzywszy się gwałtownie nad dachami baraków, pozostawiły w dole martwe pole jeśli nie ostatecznego spokoju, to przynajmniej krótkiego wytchnienia.

Przez parę z rzędu dni świątecznych co najmniej połowa naszego baraku przysłuchiwała się uważnie i bez najmniejszych oznak znudzenia opowiadaniu Fina z 42. brygady, Rusto Karinena, o jego nieudanej próbie ucieczki z obozu zimą 1940 roku. Karinen przyjechał nielegalnie do Rosji w roku 1933. Jako wykwalifikowany majster metalowiec dostał natychmiast dobrze płatną pracę w Leningradzie, gdzie przebył na wolności — naoczywszy się nie najgorzej rosyjskiego — do czystki po zabójstwie Kirowa. Oskarżono go o to, że przywiózł z Finlandii tajne instrukcje dla zamachowców. Trudno o bardziej nieprawdopodobny zarzut, skoro dochodzenia w sprawie zabójstwa Kirowa — mimo że pociągnęły za sobą falę aresztowań i do dziś jeszcze uważane są przez niektórych badaczy zagadnień sowieckich za właściwe źródło Wielkiej Czystki z lat 1936–1937 — nie doprowadziły nigdy do jawnego procesu i istnieją poważne przypuszczenia, że student leningradzki Nikołajew zastrzelił Kirowa z pobudek czysto osobistych. Karinen jednak, inteligentny robotnik o sporym oczytaniu i wielkim doświadczeniu życiowym, zorientował się po pierwszych paru miesiącach nieprzerwanych badań nocnych, że technika śledztwa sowieckiego polega nie tyle na ustaleniu prawdy, ile na kompromisowej ugodzie w wyborze możliwie dogodnego dla oskarżonego kłamstwa. Zgodził się więc występować jako wysłannik zagranicznej organizacji terrorystycznej pod warunkiem, że nie zażądają od niego dokładnych danych na temat mocodawców w Helsinkach i kontaktów w Leningradzie. Jego zeznanie potwierdziło więc akt oskarżenia, nie podając żadnych szczegółów — Karinen oświadczył bowiem, że nie wykonał powierzonego mu zadania. Mimo inteligent-

nego na ogół rozumowania, komunista fiński przeliczył się jednak w tym właśnie drobnym fakcie. Co dla niego było kompromisową fikcją, uchylającą zbędne cierpienia w sytuacji, w której nie można było marzyć o zwolnieniu, stało się po paru dniach dla sędziego śledczego wydartym z trudem strzępem prawdy i punktem wyjścia do dalszych badań. Tym razem Karinen nie zgodził się pójść ani o pół kroku dalej, co więcej — zaczął się wycofywać z poprzednich zeznań. W styczniu 1936 spędził trzy tygodnie w celi śmierci, a w lutym zupełnie nieoczekiwanie odczytano mu zaoczny wyrok skazujący na dziesięć lat. Z obozów w Kotłasie Karinen przyszedł etapem do Jercewa w połowie roku 1939.

O jego próbie ucieczki z obozu w czasie wojny rosyjsko-fińskiej mówiło się wśród więźniów jak o czymś legendarnym. Każdy więzień „planuje" w okresach lepszego nieco samopoczucia ucieczkę z obozu i stara się wciągnąć w nią najbliższych współtowarzyszy. Więcej jednak w tych „planach" jest naiwnego samooszukiwania się lub szukania iluzorycznej nadziei życia niż rzeczywistych szans i przygotowań. Zwłaszcza wśród nas, więźniów polskich, projekty ucieczek cieszyły się wyjątkową popularnością. Oprócz samego życia w obozie męczyła nas również przymusowa bezczynność, myśl o tym, że gdzieś daleko, na egzotycznych dla uszu polskich frontach, toczy się dalej wojna. Bardzo często zbieraliśmy się w jednym z baraków w zaufanym gronie dla omówienia szczegółów ucieczki, znosiliśmy znalezione przy pracy kawałki metalu, stare pudełka i odłamki szkła, z których można było rzekomo sporządzić prowizoryczny kompas, dzieliliśmy się zasłyszanymi wiadomościami o okolicy, o odległościach, o warunkach klimatycznych i właściwościach geograficznych Północy — i nikogo z nas nie zniechęciła nigdy świadomość, że jak dzieci rozgrywamy bitwy ołowianymi żołnierzami. A raczej czuliśmy wszyscy śmieszność naszych poczynań, ale nie mieliśmy

wagi głośno się do niej przyznać. W królestwie fikcji, którego przywiozły nas z zachodu setki pociągów towarowych, każde uczepienie się własnej fikcji miało w sobie coś pokrzepiającego. Ostatecznie jeśli przynależność do nie istniejącej organizacji terrorystycznej może być zbrodnią karaną dziesięcioletnim więzieniem, to czemu spiłowany gwóźdź miałby nie być igłą kompasu, kawałek deski nartą, a skrawek papieru pokryty kreskami i kropkami mapą? Pamiętam nawet podoficera zawodowego kawalerii z Białegostoku, który w okresie szalejącego w obozie głodu znalazł w sobie dość woli, aby odcinać codziennie z racji chleba cienką kromkę i wysuszywszy ją nad piecem, chować do woreczka ukrytego w nie znanym nikomu miejscu w baraku. Gdyśmy się po latach spotkali w wojsku na pustyni irackiej, wspominając przy butelce w namiocie więzienne czasy, zażartowałem przyjaźnie z jego „planu" ucieczki. „Nie śmiej się — odpowiedział poważnie — przeżyłem obóz dzięki nadziei ucieczki, przeżyłem Trupiarnię dzięki zaoszczędzonemu chlebowi. Człowiek nie może żyć, nie wiedząc, po co żyje".

Opowieść naszego fińskiego towarzysza nie była zbyt pouczająca, jeśli chodzi o szczegóły techniczne, ale słuchaliśmy jej zawsze z zapartym tchem, jak gdyby czerpiąc z jego desperackiego kroku siły do dalszego przetrwania. W kącie baraku, w którym opowiadał, siadłszy ze zwieszonymi nogami na górnej pryczy, panowała pełna cisza, przerywana tylko niecierpliwymi pytaniami i okrzykami wyprzedzającymi bieg wypadków. Znaliśmy bowiem tę opowieść na pamięć, a mimo to słuchaliśmy jej ciągle z nie słabnącym zainteresowaniem. Karinen mówił wolno, płynną ruszczyzną z ledwie zauważalnym nalotem cudzoziemskim, gestykulując żywo i przerywając co parę minut dla pociągnięcia łyku chwoi. Jego małe zapuchnięte oczy zdawały się wypatrywać teraz kierunku w samotnej wędrówce przez zasypaną śniegiem puszczę archangielską.

Postanowił uciec, kiedy wojna rosyjsko-fińska zamieniła się z krótkiej wyprawy zbrojnej w przewlekłą wojnę pozycyjną. Nie umiał dokładnie powiedzieć, co nim powodowało, czy jakiś szczątkowy odruch patriotyczny, czy nadzieja, że działania wojenne naruszyły również od strony rosyjskiej strzeżoną pilnie granicę. Znał przecież miejscowości nadgraniczne z okresu, kiedy przeprawiał się do swojej przybranej ojczyzny — byleby więc zdołał tylko przemknąć się w dzień lasami, nocując w pobliżu napotkanych po drodze wsi, przez kilkaset kilometrów pomiędzy Jeziorem Białym a południowym brzegiem jeziora Onega, tak aby dotrzeć do północnego skraju jeziora Ładoga, który w prostej nieomal linii prowadzi do granicy fińskiej. W brygadzie leśnej, w której wówczas pracował, o jego zamiarze wiedziało jedynie czterech więźniów z wydzielonego zespołu pracy. Ruszył w drogę w czasie przerwy obiadowej, nie zauważony przez nikogo z wyjątkiem najbliższych towarzyszy. Jeśli konwojent dostrzeże jego nieobecność dopiero wieczorem przy odliczaniu brygady odmaszerowującej do zony, zyska około pięciu godzin, w czasie których odbije się od miejsca pracy o co najmniej pięć kilometrów, a od obozu o jedenaście kilometrów. Ubrał się tego dnia ciepło — pod watowane ubranie więzienne włożył całą posiadaną bieliznę i ubranie z wolności, w którym zamierzał pokazywać się w napotkanych po drodze wsiach. W woreczku miał kilkadziesiąt sucharów czarnego chleba, kawał słoniny ofiarowany mu przez współwięźnia, butelkę tłuszczu roślinnego kupioną za parę butów od wolnego urzędnika i kilka cebul; w kieszeni około dwustu rubli, których pochodzenia nie chciał nam nigdy wyjawić, i trzy pudełka zapałek. Za kompas służyło mu głębokie przeświadczenie, że „wystarczy iść ciągle w kierunku zachodnim — rano plecami, a pod wieczór twarzą do słońca".

Pierwsze parę godzin szedł szybko, nie zatrzymując się nawet dla ugaszenia pragnienia; w marszu zgarniał

ko z pni śnieg i wilżył nim zaschnięte usta. Pod
eczór usłyszał daleki, przytłumiony odgłos paru wy-
rzałów. Domyślił się, że to konwojent strzela na alarm,
wydało mu się mało prawdopodobne, aby usłyszano
w obozie. Miał więc przed sobą całą noc, pościg
wiem nie mógł wyruszyć przed świtem. Z nastaniem
mności stracił jednak poczucie kierunku. Upatrzył
bie więc miejsce w dużym wilczym dole, wykopał
śniegu jamę wielkości człowieka, nakrył ją od góry
sto gałęziami i skulony przesiedział tak całą noc. Na
nym dnie swojej jamy, między rozkraczonymi nogami,
rozniecił maleńkie ognisko i podtrzymywał jego żar, to
mąc w nie z całej siły płuc, to osłaniając je od góry
ziębniętymi rękami. Nie spał, ale nie miał też poczucia
wy. Zima była w tym roku ostra i mroźna; wciągał
powietrze do płuc kłującymi haustami, a gruba warstwa
niegu po bokach, dach z gałęzi, tlący się leniwie płomyk
gniska, podwójne ubranie i własny oddech dawały mu
konieczne do wytrzymania minimum ciepła. I chociaż
był na wolności po raz pierwszy od pięciu lat, nie
odczuwał jej smaku — zaczajony, napięty, wsłuchany
uważnie w tajemniczy powiew lasu. Zdawało mu się, że
ni, gdy ostrożnym ruchem odrywał przymarznięte do
niegu plecy, i zapadając w krótkie gorączkowe drzemki,
budził się na odgłos własnego krzyku, jak gdyby prze-
wracał się z boku na bok na twardym wyrku pryczy.
Kilkakrotnie uniósł się lekko ze swego miejsca, żeby
rozprostować kości i zaciąć się zziębniętymi rękami.
W pewnej chwili — blisko już chyba świtu — wydało
mu się nagle, że słyszy ujadanie psów i jakieś głosy.
Spiął całe ciało do skoku, ale wszystko ucichło. Dokoła
była noc — nieprzenikniona, gęsta, lodowata i wro-
ga — noc bez granic i ratunku. Z gałęzi drzew spadały
płaty śniegu, uderzając o ziemię jak tętent pościgu.
Poczuł się przeraźliwie samotny i przez chwilę pomyślał
o powrocie.

O świcie wypełznął ze swojej kryjówki, przemył twarz śniegiem, wyczekał, aż niebo przejaśni się na tyle, aby można było odczytać wschód słońca, i ruszył w przeciwnym kierunku. Wlókł się wolno, bolały go kości, ciało rozgrzewało się opornie, czuł na przemian gorączkę i głód. Dopiero około południa wyjął z woreczka jednego suchara, polał go tłuszczem roślinnym i odciął kozikiem kawałek słoniny — to była racja dzienna, którą wyznaczył był sobie przed ucieczką, obliczając cały zapas na trzydzieści dni. Dzień był piękny, słońce, choć biało-różowe od mrozu, zdawało się budzić przyrodę do życia. Szedł teraz raźniej, oddychając pełną piersią, wpatrzony w zielonkawy zarys gałęzi pod grubą warstwą śniegu. Mijał polany, na których olbrzymie jodły archangielskie, wydarte z grzęzawiska wichrem północnym, sterczały ku niebu rozczapierzonymi piszczelami korzeni oblepionymi zamarzniętym błotem, jak gdyby z najgłębszych wnętrzności ziemi wyciągały martwe ręce, przeraźliwie ogołocone z gnijącego ciała. Długim kijem nakłuwał przed sobą drogę, aby uniknąć wykrotów i zapadni. Co godzinę przystawał, nasłuchując uważnie, ale pościg nie nadchodził. Wyglądało na to, że psy gończe zmyliły trop; przy lekkim chodzie walonki nie pozostawiały w sypkim i suchym śniegu żadnego śladu.

Tego wieczoru wstąpiła w jego serce nadzieja i wykopawszy znowu kryjówkę w zasypanym śniegiem dole, rozpalił w niej większy niż przedtem ogień. Po raz pierwszy też, koło północy, zapadł w nerwowy sen i obudził się dopiero o świcie. Jego plan przewidywał zbliżenie się do osiedla ludzkiego po tygodniu marszu, w odległości co najmniej stu kilometrów od obozu. Czwartego wieczoru, gdy kopał jak zwykle swoją kryjówkę i zarzucał ją naciętymi gałęziami, zauważył nagle na horyzoncie łunę, a potem błyskawiczny sztych reflektoru, który przebił zasłonę nieba i cofnął się natychmiast z powrotem. Zdrętwiał z przerażenia: znaczyło to, że gdzieś w pobliżu

obóz. Tej nocy nie rozpalił w ogóle ogniska i omal zamarzł na śmierć, siedząc w śniegu w buszłacie ciągniętym na głowę, z dłońmi wtulonymi w rękawy i nogami opartymi na podłożonej gałęzi. Rano podniósł się ostatnim wysiłkiem woli ze swego śnieżnego fotelu, ledwie rozprostował kości i zaczął wolno rozcierać śniegiem odmrożone części ciała. Ruszył w drogę nieco później, pocieszając się, że mija jeden z ostatnich „łagpunktów" — może Niandomę? — w odległości kilkudziesięciu kilometrów od Jercewa. Nie mógł się jednak obronić przed uczuciem niepokoju i nie zważając na swoje przykazanie słoneczne, wziął kierunek w bok od miejsca, z którego zobaczył poprzedniego wieczoru światło reflektora, na północny zachód. Szedł coraz wolniej, potykając się i upadając, z trudem przełknął swoją zwykłą rację dzienną, przykładał do rozpalonego czoła okłady ze śniegu. Był bliski załamania się i choć tego dokładnie nie pamiętał, wydawało mu się, że z oczu płyną mu łzy, mimo że nie płakał. Wokoło panowała cisza, każdy krok pęczniał i rozbrzmiewał nie kończącym się echem. Przeląkł się nagle tak bardzo swojej samotności, że zaczął mówić sam do siebie po raz pierwszy od sześciu lat po fińsku. Rychło zabrakło mu do tego monologu tematu i słów, powtarzał więc tylko słowa jeszcze bardziej zamierzchłe i jeszcze dłużej nie używane — słowa zapamiętanej z dzieciństwa modlitwy.

Upewniwszy się, że wieczorem nie widać na horyzoncie żadnej łuny, rozpalił znowu większe ognisko i przespał całą noc, budząc się, gdy płomień przygasał. Wstał z uczuciem dziwnego rozdwojenia: był i nie był sobą, pamiętał, że uciekł, i wydawało mu się, że idzie do pracy, czuł gorączkę i zupełną drętwotę całego ciała, wiedział, co ma robić, i szedł jednocześnie przed siebie jak człowiek pogrążony w śnie lunatycznym. Jedno jest pewne: zapomniał tego dnia zupełnie o kierunku, szedł po prostu przed siebie. Po południu usiadł pod drzewem i za-

padł natychmiast w sen. Obudził się w nocy, przejęty bezgranicznym lękiem; krzyknął głośno — wydawało mu się, że słyszy odpowiedź. Zerwał się ze swego miejsca i zaczął biec, ale po paru krokach potknął się, upadł twarzą w śnieg i przeleżał tak chwilę. Potem podniósł się wolno i próbował uporządkować myśli — tylko jedna wracała natrętnie: że musi za wszelką cenę rozpalić ogień. Była to szósta noc jego ucieczki. Przy ognisku odtajał trochę i powziął postanowienie, że skoro świt musi poszukać jakiegoś osiedla ludzkiego, aby odpocząć i przeleżeć chorobę. Nazajutrz rano zjadł suchara i kawałek słoniny i ruszył znowu w drogę, nie zważając zupełnie na kierunek. Późnym popołudniem zobaczył daleko za lasem parę pióropuszy dymu. Szedł coraz szybciej, coraz niecierpliwiej, ale dopiero pod wieczór na skraju polany zapaliło się kilka światełek. Nie zdejmując ubrania więziennego, wszedł do pierwszej z brzegu chaty. I tutaj, na ławce koło pieca, stracił na dobre przytomność.

Wieś, do której po siedmiodniowym błądzeniu doszedł Karinen, leżała w odległości około piętnastu kilometrów od obozu jercewskiego. Chłopi odwieźli go do Jercewa, a stamtąd strażnicy zabrali go do izolatora, gdzie nieprzytomnego skatowano tak, że przez trzy miesiące walczył ze śmiercią, a potem jeszcze dwa miesiące leżał w szpitalu. Mówiono, że Samsonow nie wysłał w ogóle pościgu, wiedząc, że Karinen albo padnie w lesie, albo przyjdzie z powrotem do obozu. I istotnie przyszedł. „Od obozu nie można uciec, przyjaciele — kończył zawsze swą opowieść Karinen — nie dla nas wolność. My przykuci do obozu na całe życie, chociaż nie nosimy łańcuchów. Możemy próbować, błądzić, ale w końcu wracamy. Taki los. Przeklęty los". „Nie bieduj, Rusto Piotrowicz — pocieszali go przejętymi głosami więźniowie — opłaciło się. Zawsze to tydzień wolności i pięć miesięcy szpitala". „To prawda — odpowiadał ze smutkiem — ale uciec nie można. Tu nasze życie,

bratcy, tu nasza gibiel. Nawet sama wolność nam przeciwna, więc jakże uciekać?"

— Chodźmy spać — mówili więźniowie, patrząc na siebie znieruchomiałym wzrokiem — kończy się wychodnoj dień. Zawtra opiat' na rabotu.

I po chwili na pryczach szły szeptem z ust do ust, jak podawane coraz dalej hasło więzienne, te przejmujące słowa, których grozy nie zrozumie nikt, kto nie był w obozie sowieckim: ZAWTRA OPIAT' NA RABOTU.

Część druga

Głód

Z moich obserwacji obozowych wynika, że kobiety znacznie gorzej znoszą głód fizyczny i seksualny niż mężczyźni. Proste prawo życia obozowego głosiło tedy, że łamiąc opierającą się kobietę głodem fizycznym, zaspokaja się jej obie potrzeby naraz. Mówię o tym bez cienia cynizmu. Jeżeli wspominanie tego wszystkiego, co działo się w Europie w czasie ostatniej wojny, ma mieć w ogóle jakiś sens, to trzeba, abyśmy zapomnieli na chwilę o zasadach zwykłej moralności, jaką żyli nasi dziadowie i ojcowie w drugiej połowie dziewiętnastego wieku i w pierwszych dziesiątkach lat stulecia, które zdawało się urzeczywistniać na naszych oczach pozytywistyczny mit postępu. Ortodoksyjni marksiści twierdzą, że nie istnieje w ogóle moralność absolutna, gdyż wszystko, co dzieje się z człowiekiem, uwarunkowane jest jego położeniem materialnym. Znaczyłoby to, że każda epoka, każdy kraj i każda klasa społeczna tworzą swoją własną moralność lub że wszystkie te trzy czynniki razem tworzą coś, co nazywamy niepisanym kodeksem postępowania ludzkiego w danym miejscu na ziemi. Doświadczenia niemieckie i sowieckie potwierdzają do pewnego stopnia to przypuszczenie. Okazało się mianowicie, że dolna granica instynktownej wytrzymałości i przebiegłości ciała ludzkiego, poza którą zwykliśmy dotąd liczyć na moc charakteru lub świadome działanie wartości duchowych, nie istnieje w ogóle; słowem — że nie ma

takiej rzeczy, której by człowiek nie zrobił z głodu i bólu. Ta „nowa moralność" nie jest już kodeksem uczciwego postępowania ludzkiego, ale kodeksem umiejętnego postępowania z ludźmi, i najeżona dziś wyostrzonymi kłami, tradycją swą sięga jeszcze do ząbkującej dziecinnie Inkwizycji hiszpańskiej. Nie przeoczajmy zbyt pospiesznie tego faktu. Wspólne w obu tych nurtach jest przeświadczenie, że człowiek pozostawiony sam sobie — bez wiary w objawiony system wartości duchowych lub narzucony system wartości materialnych — jest bezkształtną kupą gnoju. Rewolucja genetyczna Łysenki odwróciła pokrewne w gruncie rzeczy tendencje w Kościele katolickim. Tam człowiek ginie w odmętach grzechu i potępienia, jeśli nie spłynie nań światło łaski nadprzyrodzonej, tu może być taki, jakim go uczynią zmienione sztucznie warunki przyrodzone; i tu, i tam jednak jest bezwolnym przedmiotem w czyichś rękach, a od wstępnego sformułowania celu życia ludzkiego na ziemi zależy jedynie, czy na kupie gnoju wyrośnie żądany okaz hodowli biologicznej, czy błogosławiony kwiat duszy ludzkiej. Osobiście nie należę ani do ludzi, którym potworne przeżycia wojenne kazały złożyć akces do „nowej moralności", ani do ludzi, którzy widzą w nich jeden więcej dowód tego, jak kruchą istotą jest człowiek we władzy Szatana. Przekonałem się wielokrotnie, że człowiek jest ludzki w ludzkich warunkach, i uważam za upiorny nonsens naszych czasów próby sądzenia go według uczynków, jakich dopuścił się w warunkach nieludzkich — tak jakby wodę można było mierzyć ogniem, a ziemię piekłem. Rzecz jednak w tym, że kiedy chcę obiektywnie opisać obóz sowiecki, muszę zstąpić do najgłębszych czeluści piekieł i nie szukać na przekór faktom ludzi tam, gdzie z dna wody letejskiej spoglądają na mnie twarze umarłych i żyjących może jeszcze towarzyszy, przekrzywione drapieżnym grymasem osaczonych zwierząt i szepcące zsiniałymi od głodu i cierpienia

wargami: „Mów całą prawdę, jacyśmy byli, mów, do czego nas doprowadzono".

Na obronę kobiet wypada jednak może dodać, że moralność obozowa — jak każda zresztą moralność — wytworzyła również swoją własną hipokryzję. I tak na przykład, nikomu by do głowy nie przyszło obwiniać o cokolwiek młodego chłopca, który dla polepszenia swej doli został kochankiem starej lekarki, ale ładna dziewczyna oddająca się z głodu odrażającemu starcowi z „chleboriezki" była, rzecz prosta, „bladzią". Nikt nie kwestionował jako „prostytuowania się" dobrego prawa niemal wszystkich brygadierów i techników do comiesięcznego wypłacania się donosami w Trzecim Oddziale, ale kobieta wychodząca za zonę do naczelnika była „prostytutką", i to najgorszego typu, bo łamiącą solidarność więźniów wobec ludzi wolnych. Było rzeczą naturalną, że nowo przybyły więzień oddawał brygadierowi resztki swego ubrania z wolności, aby uzyskać pewne względy przy procentowym obliczaniu normy (od którego zależała wysokość racji obozowej) i podziale pracy, ale gorszyło niektórych, gdy uboga dziewczyna, uginająca się pod ciężarem topora w lesie, oddawała mu pierwszego lub drugiego wieczoru wszystko, co posiadała, czyli własne ciało. Ta hipokryzja zależała zresztą najczęściej od charakteru przedobozowych powiązań środowiska. Więzień kradnący chleb swemu towarzyszowi zginąłby prawdopodobnie pod razami „urków", którzy byli na ogół najwyższymi prawodawcami i sędziami w zakresie etyki obozowej; ale wśród Polaków znany był pewien ksiądz, ukrywający swą godność duszpasterską w łachmanach więźnia, który za spowiedź i rozgrzeszenie brał 200 gramów chleba (czyli o 100 gramów mniej niż stary Uzbek wróżący z ręki) i chodził po swojej parafii w aureoli świętości. Gdy się zastanawiam nad przyczynami tego złożonego i trudnego zjawiska, dochodzę do wniosku, że w każdym większym skupisku ludzkim istnieje podświadoma dążność do wle-

czenia pod pręgierz „opinii publicznej" przychwyconych na gorącym uczynku ofiar, aby się tym tanim kosztem nieco samemu wybielić. Kobiety nadawały się do tego znakomicie, bo rzadko miały szanse do kupczenia czym innym poza własnym ciałem, a poza tym przyniosły ze sobą do obozu obciążenie konwencjonalnej obłudy moralnej z wolności, w myśl której każdy mężczyzna biorący kobietę w czasie pierwszych paru godzin flirtu uważany jest zazwyczaj za zabójczego uwodziciela, a każda kobieta oddająca się świeżo poznanemu mężczyźnie uchodzi za ladacznicę. Dla Rosjan, nawykłych do „ślubów za pięć rubli" i kopulacji uprawianej na wzór potrzeb fizjologicznych w wychodkach publicznych, nie był to właściwie problem istotny i służył raczej za przedmiot drwin z równouprawnienia kobiet w nowym ustroju, ale więźniowie cudzoziemscy (nie wyłączając komunistów) nieraz załamywali ręce nad „ogólnym upadkiem obyczajów moralnych w Rosji". Tak czy owak prawdą jest, że głód najczęściej łamał kobiety, kiedy je zaś raz złamał, nie było już zapory na równi pochyłej, po której staczały się na samo dno upodlenia seksualnego. Niektórym przyświecała w tym nie tylko nadzieja polepszenia swej doli lub znalezienia możnego opiekuna, ale i nadzieja macierzyństwa. Nie należy tego rozumieć zbyt sentymentalnie. Cała rzecz polega na tym, że kobiety ciężarne zwolnione są w obozie od pracy na trzy miesiące przed rozwiązaniem i na sześć miesięcy po urodzeniu dziecka. Sześć miesięcy to był okres przewidziany na odkarmienie dziecka do stanu, w którym można je było odebrać matce i uwieźć w niewiadomym kierunku. Barak macierzyński w Jercewie pełny był zawsze ciężarnych kobiet, które z wzruszającą powagą popychały przed sobą niewidzialne wózki swych pękatych brzuchów, spiesząc do kuchni po zupę. O uczuciach natomiast, o prawdziwych uczuciach, trudno jest mówić, gdy się uprawia miłość na oczach współwięźniów lub w najlepszym razie w składzie sta-

rych ubrań na przepoconych i śmierdzących łachach obozowych. Po latach zostaje z tego wspomnienie wstrętu, podobne do grzebania się w szlamie opróżnionej sadzawki, głęboka niechęć do siebie i do kobiety, która zdawała się niegdyś tak bliska...

W parę tygodni po moim przyjeździe do obozu — o ile mnie pamięć nie myli, w styczniu 1941 roku — przyszła etapem z więzienia młodziutka Polka, córka oficera z Mołodeczna. Była naprawdę śliczna: smukła i wiotka jak kłos chwiejący się na wietrze, o dziewczęco świeżej twarzyczce i maleńkich piersiach, ledwie rysujących się za granatową bluzeczką mundurka gimnazjalnego. Jury złożone z „urków" oceniło młodą klaczkę bardzo wysoko i nazywało ją odtąd — prawdopodobnie dla zaostrzenia swego proletariackiego apetytu — „generalską doczką". Dziewczyna trzymała się jednak świetnie: wychodziła do pracy z podniesioną dumnie główką i błyskawicami gniewnych spojrzeń przeszywała każdego mężczyznę, który ośmielił się do niej zbliżyć. Wracała wieczorem do zony trochę pokorniejsza, ale dalej nieprzystępna i skromnie wyniosła. Prosto z wartowni szła do kuchni po zupę i nie wychodziła już nigdy z baraku kobiecego po zmroku. Wyglądało więc na to, że nie wpadnie tak łatwo w sidła nocnych łowów, a możność złamania jej głodem przy pracy utrudniał fakt, że przydzielona została do mieszanej kobieco-inwalidzkiej brygady 56., która na bazie żywnościowej przebierała jarzyny lub łatała worki. (Więźniowie z 56. nie mieli wprawdzie dostępu do naszych źródeł kradzieży, ale praca ich była stosunkowo lekka). Nie znałem jeszcze wówczas na tyle obozu, aby móc przewidzieć, jak się ta cicha walka skończy, toteż bez wahania przyjąłem zakład o pół pajki chleba z inżynierem Polenko, zawiadowcą składu jarzyn na bazie, że dziewczyna nie ulegnie. Cała ta gra podniecała mnie w sposób, że tak powiem, patriotyczny — zależało mi na tym, żeby barwy biało-czerwone załopotały dum-

nie na maszcie zwycięskiej cnoty. Po siedmiu miesiącach pobytu w więzieniu ani mi w głowie były jeszcze kobiety i naprawdę skłonny byłem uwierzyć pogróżkom sędziego śledczego, że „żyć będę, ale przespać się z kobietą nie zachcę". Wykorzystując swą pozycję tragarza zaprzyjaźnionego z „urkami", zagrałem więc nieuczciwie wobec Polenki i przedstawiwszy się dziewczynie jako student z Warszawy (żeby uniknąć pozorów mezaliansu), zaproponowałem jej fikcyjne małżeństwo, które w ramach etyki obozowej uchroniłoby ją na pewien czas od łapanki przez osobliwe *ius primae noctis*. Nie pamiętam już teraz, co odpowiedziała, ale musiało to być coś w rodzaju „jak pan śmie", bo dałem za wygraną. Polenko dostał ją do składu jarzyn i pilnie doglądał, żeby nie kradła nadpsutych marchewek i solonych pomidorów z beczek. Mniej więcej w miesiąc po zakładzie przyszedł wieczorem do naszego baraku i bez słowa rzucił na moją pryczę podarte majtki kobiece. Odważyłem mu dokładnie, i również w milczeniu, pół pajki chleba.

Odtąd dziewczyna odmieniła się zupełnie. Nie spieszyła się jak przedtem po zupę do kuchni, ale wróciwszy z bazy, goniła się po zonie do późnej nocy jak nieprzytomna kotka w okresie marcowego parzenia. Miał ją, kto chciał, pod pryczą, na pryczy, w separatkach techników, w składzie ubrań. Ilekroć mnie spotykała, odwracała głowę, zaciskając konwulsyjnie usta. Raz tylko, gdy zaszedłszy przypadkowo do składu kartofli na bazie, przyłapałem ją na kartoflisku z brygadierem 56., garbatym pokurczem Lewkowiczem, wybuchnęła spazmatycznym płaczem i wracając wieczorem do zony, tamowała łzy dwiema drobnymi piąstkami. Spotkałem ją w roku 1943 w Palestynie. Była już zupełnie starą kobietą. Zmęczony uśmiech na pomarszczonej twarzy odsłaniał szczerby w spróchniałych zębach, a przepocona koszula drelichowa pękała od dwóch obwisłych piersi, wielkich jak u karmiącej matki.

W Jercewie znany był powszechnie inny epizod, nie dlatego zresztą, żeby był wyjątkowy lub niecodzienny, ale dlatego, że jego bohaterka stawiała dość długi jak na precedensy obozowe opór. Tym razem chodziło o kruczowłosą Tanię, śpiewaczkę opery moskiewskiej, która przypłaciła wyrokiem dziesięcioletnim parę nadprogramowych tańców na balu dyplomacji zagranicznej. Skierowano ją z miejsca jako „politycznie podejrzaną" do brygady „lesorubów". Cóż ta filigranowa dziewczyna o wąskich, delikatnych dłoniach mogła robić w lesie? Chyba tylko dorzucać gałęzie do ogniska, gdyby trafiła na ludzkiego brygadiera. Miała jednak nieszczęście podobać się niskiemu „urce" Wani i olbrzymim toporem oczyszczała zwalone jodły z kory. Wlokąc się o parę metrów za brygadą rosłych chłopów, przychodziła wieczorami do zony i resztkami sił ruszała do kuchni po swój „pierwszy kocioł" (400 gramów chleba i dwa talerze najrzadszej zupy — poniżej 100% normy). Było widoczne, że ma gorączkę, ale „lekpom" (pomocnik lekarza, coś w rodzaju felczera) przyjaźnił się z Wanią i nie chciał jej dać za nic zwolnienia. Trwało to wszystko dwa tygodnie; po upływie tego rekordowego jak na brygadę leśną terminu Tania przydreptała wieczorem do baraku „lesorubów" i nie patrząc w twarz brygadierowi, zwaliła się ciężko na jego pryczę. Miała ten szczęśliwy instynkt, że potraktowała całą sprawę na wesoło i została czymś w rodzaju markietanki brygadowej aż do chwili, gdy jakaś pożądliwa łapa naczelnika wyciągnęła ją za włosy z grzęzawiska i posadziła za stołem rachmistrzów obozowych. Słyszałem ją potem parę razy śpiewającą ładne piosenki rosyjskie w baraku „chudożestwiennoj samodiejatielnosti" przy wtórze głuchych pomruków „moskowskaja bladź", które dochodziły z brygady „lesorubów". Co by było, gdyby przestała się podobać swemu „naczalniczkowi" i wróciła do „chłopów z lasu?"

Głód, głód... Potworne uczucie, zamieniające się w końcu w abstrakcyjną ideę, w majaki senne, podsycane coraz

słabiej gorączką istnienia. Ciało przypomina przegrzaną maszynę, pracującą na zwiększonych obrotach i zmniejszonym paliwie, zwłaszcza gdy w okresach przesilenia zwiotczałe ręce i nogi upodobniają się do starganych pasów transmisyjnych. Jaka jest granica jego działania, poza którą chyląca się do upadku godność ludzka odzyskuje na nowo swą zachwianą równowagę? Nie ma żadnej. Ileż to razy ja sam, rozpłaszczywszy pałającą twarz na oblodzonej szybie kuchni, żebrałem niemym spojrzeniem u złodzieja leningradzkiego Fiedźki o jeszcze jedną chochlę „rzadkiego"? A czyż najlepszy mój przyjaciel, stary komunista i towarzysz młodzieńczych lat Lenina, inżynier Sadowski, nie wyrwał mi raz na opustoszałym pomoście obok kuchni blaszanki z zupą, aby nie dobiegłszy z nią nawet do wychodka, wychłeptać po drodze gorącą ciecz spragnionymi wargami? Jeżeli istnieje Bóg, niech karze bezlitośnie tych, którzy łamią ludzi głodem.

Jedyne możliwości dorywczego zaspokajania głodu mieli tragarze w okresach zmniejszonej czujności na bazie żywnościowej i więźniowie bez konwoju, którzy wychodzili do pracy poza zonę na mocy specjalnych przepustek. Za zoną nie było jednak również najlepiej. Z wartowni widzieliśmy nieraz ogonki przed małym drewnianym domkiem u wejścia do miasteczka. Cała straż i administracja obozowa miały prawo kupować w nim codziennie poza normalnym przydziałem dwa kilogramy czarnego chleba i kawałek końskiej kiełbasy, a raz na tydzień pół litra wódki. W głębi miasteczka istniał wprawdzie jeszcze jeden sklepik, tak zwany „spiecłarok", ale otwierał swoje podwoje tylko dziesięciu wymienionym imiennie dygnitarzom obozowym. Na czele tej listy kroczył naczelnik obozów kargopolskich, „kapitan gosudarstwiennoj biezopasnosti" Kolicyn, za nim szedł naczelnik Trzeciego Oddziału NKWD obozów kargopolskich, na trzecim miejscu figurował naczelnik zaopatrzenia

obozów kargopolskich, Blumen, na czwartym naczelnik obozu w Jercewie, Samsonow, a potem sześciu naczelników głównych „łagpunktów". Z nich wszystkich najlepiej pamiętam Blumena, ponieważ cała baza żywnościowa trzęsła się ze strachu, ilekroć przychodził na inspekcję. Opasłego wieprza, z olbrzymim złotym zegarkiem na przegubie prawej ręki i niezliczoną ilością pierścieni na palcach obu rąk, poprzedzał zawsze w mroźnym powietrzu niewidoczny obłoczek perfum. Mówił mało i prawie zawsze to samo: „Nado czestno rabotat', zakluczonnyje, eto wam nie kurort", ale jak żywa stoi mi przed oczyma jego wściekła, nalana gęba, gdy spostrzegłszy nadgniłą marchewkę za pazuchą jednej z robotnic, rozerwał jej bluzkę i koszulę na piersi i wychłostał pulchną łapką po obu policzkach. Ten fakt był na bazie przedmiotem nietrudnych do odgadnięcia komentarzy. Nikt, kto nie przeżył obozów sowieckich, nie potrafi zdać sobie sprawy z rozmiarów antysemityzmu w Rosji, tym gwałtowniejszego i bardziej zaciekłego, że tłumionego i tępionego od góry. Tak więc gruba dziesiątka zaopatrywana była nieco lepiej i nieraz nasz dobroduszny konwojent nie umiał powstrzymać westchnienia skargi, gdyśmy wyładowywali „szampanskoje" lub „konfiety" dla „spiecłarka". Mieli i oni — tam na wolności — swoją hierarchię, swoje drobne zawiści i kłopoty...

*

Jedynie w łaźni ocenić można było naocznie skutki głodu, w barakach bowiem więźniowie spali na ogół nie rozdziani. Mała izdebka tonęła zawsze w szarówce sączącego się przez brudne szyby światła i w kłębach pary, unoszących się z wielkiej drewnianej kadzi wrzątku. Przed wejściem do niej oddawało się na żelaznych obręczach ubranie i bieliznę do odwszenia i otrzymywało w zamian za to mały kawałek szarego mydła wielkości

kamienia, jakiego używa się do gry w domino. Odwszone ubrania, nawleczone żelaznymi kolczykami na długi drąg, przynosił po trzydziestu minutach z dezynfektora stary pop i opuściwszy żerdź do tyłu, zrzucał na podłogę w sionce. Przyjemnie było poczuć na czystym ciele twarde plastry rozgrzanego płótna. Innej formy zmiany bielizny nie było; chodziliśmy do łaźni mniej więcej co trzy tygodnie i były to jedyne chwile, kiedy myliśmy się naprawdę, nie poprzestając na wilżeniu śniegiem zaropiałych oczu, twardych jak skorupa nozdrzy i zamulonych ust. Chudy i półnagi nauczyciel z Nowosybirska — podobny do jogi hinduskiego, gdy zaciągniętymi mętną błoną oczami przyglądał się kąpiącym — wydzielał nam w łaźni po dwa cebrzyki wody; jeden wrzącej i jeden zimnej. Blade cienie o zapadniętych brzuchach i klatkach piersiowych, na owrzodzonych nogach sterczących jak dwie połamane zapałki ze szpulki bioder i o sflaczałych genitaliach zwisających w przekłutym worku, uginały się pod ciężarem cebrzyków, dysząc ze zmęczenia w parnym zaduchu izdebki. Nauczyciel z Nowosybirska spełniał tu rolę eunucha z łaźni tureckiej, bo wykonywał niezmiennie swe funkcje, gdy do kąpieli przychodziły kobiety. Za szczyptę machorki na papierosa można się było od niego dowiedzieć, czy mają ładne piersi i uda, czy stare spłaszczyły się już jak kloce uderzane młotem mechanicznym tak, że ich głowy wyrastają wprost z rozdętych monstrualnie bioder i nóg powykręcanych na podobieństwo sękatych konarów, a młode czy zachowały jeszcze resztki dziewczęcej wstydliwości i wyraźną linię ramion.

W ów dzień ukradł mi ktoś z ławki kawałek mydła i mimo woli zakląłem wściekle w języku ojczystym. Stojący obok nad cebrzykiem gorącej wody niski, siwiejący staruszek podniósł na mnie łagodne oczy i zapytał, z trudem wymawiając każde słowo po polsku:

— Znał pan może Tuwima?

— Osobiście nie — odpowiedziałem, ogłuszony tym niezwykłym pytaniem — ale z czytania...

— No, to niech mi pan umyje plecy.

Gdy nacierałem jego wychudłe plecy mydłem, wyjaśnił mi wszystko, pokasłując bez przerwy. Profesor Borys Lazarowicz N. skończył przed wojną gimnazjum rosyjskie w Łodzi i wyjechał po rewolucji do Rosji. Z tych czasów pamiętał młodszego od siebie gimnazjalistę Tuwima, a dopiero potem dowiedział się o nim z prasy jako o znanym poecie polskim. W roku dwudziestym piątym pan N., wówczas już profesor literatury francuskiej w klasie prozy Instytutu Briusowa w Moskwie, sprowadził z Łodzi młodziutką dziewczynę Olgę, ożenił się z nią, umieścił na politechnice i po paru latach postarał się dla świeżo upieczonego inżyniera elektryka o posadę w jednej z fabryk moskiewskich. W roku 1937 państwo N. zostali aresztowani i skazani na dziesięć lat za prowadzenie salonu literackiego w Moskwie, w którym zajmowano się wyłącznie literaturą polską. Po trzech latach rozłąki spotkali się przypadkowo w jednym z „łagpunktów" kargopolskich i przyjechali teraz razem (wypadek nie notowany w kronice obozów sowieckich) do Jercewa.

Tegoż jeszcze wieczoru poznałem Olgę, młodą i ładną kobietę, która spojrzeniem pełnym smutku i niemego uwielbienia wodziła za swym nieporadnym mężem, a nazajutrz byliśmy już wszyscy troje serdecznymi przyjaciółmi. Miły staruszek wyrzucony został niedawno jako wybrakowany robotnik na szmelc i z kartką „pierwszego kotła" odesłany do Trupiarni; jego żonę przydzielono w Jercewie do 56. brygady na bazie żywnościowej, gdzie łatała worki i przebierała zgniłe jarzyny. Profesor N. nie potrafił znieść głodu i żył myślą o jedzeniu jak największą, starczą namiętnością swego życia. Przynosiłem mu nieraz z bazy parę pieczonych kartofli lub skrawek solonej „treski" (olbrzymiej ryby północnej, podobnej w smaku do sztokfisza) i dopiero gdy połknął łapczywie

wszystko, co wsunąłem mu niepostrzeżenie do ręki, udawało mi się wyciągnąć go na zwierzenia. W Instytucie Briusowa — który pomyślany był jako szkoła przyszłych pisarzy z klasami prozy, poezji, dramatu i krytyki literackiej — wykładał prozę francuską, głównie Balzaca. Opowiadał mi o dziwnych kolejach losu, jakie przebyła twórczość Balzaca w Rosji sowieckiej, sterowanej wśród burz i nawałnic zmieniającymi się nieustannie kursami politycznymi. W pierwszych latach po rewolucji Balzac był czczonym powszechnie autorem *Chłopów*; w latach trzydziestych ten entuzjazm opadł w krzyżowym ogniu krytyki marksistowskiej, która przypuściła gwałtowny szturm na jego rojalistyczno-zachowawcze Okopy Świętej Trójcy; tuż przed Wielką Czystką stał się znowu modny jako niezrównany piewca porastających w tłuszcz nuworyszów z każdej gwardii przybocznej panującego reżimu. Pamiętam również, że wygłodzony staruszek zaklinał mnie ze łzami w oczach, żebym — jeśli wyjdę kiedykolwiek na wolność — czytał tylko największego pisarza rosyjskiego Gonczarowa, a zwłaszcza jego „genialne studium o Cervantesie". Raz zaś, w dowód przyjaźni i zaufania, przyniósł mi numer „Intiernacjonalnoj Litieratury" i z niepohamowanym obrzydzeniem kazał mi przeczytać artykuł jakiegoś komunisty angielskiego, *Upadok i razruszenije Britanskoj Impierii.*

Stary profesor polubił mnie szczerze i śmiem nawet twierdzić, uważał mnie po trosze za swego ucznia, ja zaś jeszcze dzisiaj — choć niewiele przecież mogłem się od niego nauczyć w obozie — zaliczam go z wdzięcznością w poczet mistrzów mojej młodości. Bywało, że po nocnej zmianie oczekiwał mnie na wartowni jak zniecierpliwiony profesor w seminarium i nie dając mi skończyć porannej zupy, ciągnął mnie w słoneczne dnie na małą ławeczkę w pobliżu drutów. Siadaliśmy wówczas obok siebie — on drżący z przejęcia, a ja półżywy ze zmęczenia — i wpatrzeni w białą kartę zaśnieżonej równiny,

poliniowaną długimi szeregami drutów i poprzecinaną co parę metrów kluczami wiolinowymi słupów, śpiewaliśmy jak z nut nasze poranne *colloquium*. Musiałem powtarzać wolno wszystko, czego się nauczyłem na poprzednich lekcjach; ilekroć się pomyliłem, staruszek poprawiał mnie rozdrażnionym głosem, a gdy udało mi się przebrnąć zwycięsko przez wilcze doły, najeżone nazwiskami, faktami i jego ulubionymi powiedzeniami, dawał mi „otliczno", wszystkie drobne potknięcia kładąc na karb klejących się oczu i „nocznogo truda". Czasem, ku mojej radości i dumie, nasze role na lekcjach się zmieniały i profesor wysłuchiwał uważnie wszystkiego, co działo się w literaturze europejskiej i polskiej w czasie jego pobytu w więzieniu. Pamiętam, jak jego zgaszone daremną walką z głodem oczy zapłonęły na chwilę, a na obwisłe policzki wystąpiły ceglaste wypieki, gdy mu opowiadałem o tomistycznej teorii sztuki Maritaina, którą poznałem na Uniwersytecie Warszawskim w przeddzień wybuchu wojny. Ta idylla trwała zaledwie trzy miesiące. W marcu 1941 roku profesora N. odesłano etapem do Mostowicy — w sam czas, bo w Jercewie zaczynał się straszliwy głód, a na bazie coraz trudniej było o parę pieczonych kartofli.

Pierwsze oznaki wielkiego głodu pojawiły się z końcem zimy 1941 roku, a na wiosnę już cały obóz zmartwiał i przyczaił się w oczekiwaniu decydującego ciosu. Zupa w kuchni zrzedła, chleb był coraz częściej nie doważony, znikły zupełnie śledzie, które dodawano niekiedy na „trzeci kocioł" (stachanowski) ku nieopisanej radości starego Dimki. Skutki nie dały na siebie również długo czekać. Brygady wracały z pracy coraz powolniejszym krokiem, wieczorem ledwie się można było przepchnąć na ścieżkach w zonie przez grupki błądzących po omacku „kurzych ślepców", w poczekalni lazaretu czekały — przygotowane już zawczasu na oględziny lekarskie — spuchnięte kłody obnażonych nóg pokryte

ropiejącymi ranami szkorbutu, duże sanie przywoziły codziennie z lasu jednego lub dwóch „lesorubów" zemdlonych z wycieńczenia. Głód nie kończy swego władania w nocy, przeciwnie, niewidzialnym swym orężem atakuje skryciej i celniej. Jeden jedyny Iganow, stary Rosjanin z brygady ciesielskiej, modlił się do późnej nocy, ukrywszy twarz w dłoniach. Reszta spała w martwej ciszy baraku gorączkowym snem agonii, łapiąc ze świstem półotwartymi ustami powietrze, przewracając się niespokojnie z boku na bok, majacząc i szlochając rozdzierającym szeptem przez sen. Mnie samemu śniły się wówczas sceny erotyczno-ludożercze; miłość i głód wróciły do swego wspólnego pnia biologicznego i wyzwoliły z najgłębszych zakamarków podświadomości kobiety ulepione z surowego ciasta, pokąsane w niesamowitych orgiach, ociekające krwią i mlekiem, oplątujące rozpaloną głowę ramionami pachnącymi jak świeże pędy. Budziłem się zlany potem i zaczadzony zazwyczaj o tej porze, gdy w odległości dwóch kilometrów od zony mknął jak świetlista strzała dźwięku ekspres z Moskwy do Archangielska. Iganow modlił się jeszcze, a Dimka — mimo że pop — przyglądał mu się z nienawistną pogardą, wystukując drewnianą łyżką swoje świeckie godzinki głodu na wyciągniętej sztywno protezie. Od paru dni Dimka zgodził się za dodatkowy talerz zupy pomagać trzem niedołężnym asenizatorom i wracał przed północą kusztykiem do baraku mokry i prześmierdły jak szczur klozetowy. Stary nałóg kazał mu jeszcze czasem zajrzeć do cebrzyka pomyj, ale na czystym dnie nie było już od dawna ani jednej główki od śledzia. Raz wrócił z niezmiernie tajemniczą i rozradowaną miną i wyciągnąwszy zza pazuchy kawał krwistego mięsa, przypiekał go długo na wygasającym ognisku. „Niech on się tu modli — śmiał się szeptem, gdyśmy szarpali zębami łykowatą pieczeń — a my sobie tymczasem w czwórkę, haps, zabłąkanego pieska do latryny". „Naturalnie — odpowie-

działem, śmiejąc się również — psy Panaboże pilnują na łańcuchach królestwa niebieskiego i nie zawieruszą się nigdy do obozu". W baraku, niby w kostnicy, sen wyciskał z dwóch leżących nieruchomo szeregów żywych trupów coraz słabsze westchnienia, bulgocące jak bańki na powierzchni zatrutego bajorka cichym płaczem.

Zwykło się mówić, że „potrzeba jest matką wynalazków", ale trzeba mi było aż dwóch miesięcy, aby się zorientować, że z mąki zmiecionej po wyładowaniu każdego wagonu można gotować papkę, która świetnie zakleja dziury w żołądku. Odtąd chodziliśmy na bazę z małymi blaszankami i w przerwie obiadowej, wystawiwszy przed stróżówką wartę, mieszaliśmy patykami na gorącej blasze lekarstwo na głód. W drugiej połowie maja udoskonaliłem tę technikę jeszcze bardziej i na pół godziny przed zakończeniem dziennej pracy i powrotem do zony miesiłem w kociołku duży kawał zaczynu, aby zaraz potem cienką i równą warstwą surowego ciasta oblepić w najciemniejszym rogu cerowni worków nagie piersi pani Olgi. Tak wywatowana, przechodziła ona obronną ręką przez wszystkie rewizje na wartowni, drżąc jedynie na myśl o dniu, w którym strażnik u wrót obozu, poprzestający wobec kobiet na pobieżnym tylko macaniu, zastąpiony zostanie przez ospowatą dozorczynię Nadieżdę Michajłownę. Spotykaliśmy się po zmroku w składzie starych ubrań, dzieląc ugotowane kluski na cztery równe części: jedną dla magazyniera szmaciarni za „lokal", jedną dla Dimki i dwie dla nas. Bywa, że i w obozie ziścić można najśmielsze sny.

Z Mostowicy nadchodziły tymczasem smutne wieści. Więźniowie przechodzący etapem przez „pieriesylnyj" opowiadali mi, że stary profesor umiera z głodu, nie myje się i nie goli, nie wychodzi z Trupiarni poza godzinami posiłku i żebrząc na pomoście przed kuchnią, dostaje często ataków obłędu głodowego. Z brudnego skrawka papieru, jaki pani Olga otrzymała od niego

przez okazję na parę dni przed wybuchem wojny rosyjsko-niemieckiej, wyczytaliśmy jednak zdanie, z którego wynikało, że nie ze wszystkim jeszcze rozluźniły się władze jego umysłu.

„Skaży, pożałujsta, Gustawu Josifowiczu — pisał — czto ja ponimaju tiepier wielikolepno, kak choroszyj socriealist był Knut Gamsun".

Krzyki nocne

> My, ludzie bici — mówili — mamy odbite wnętrzności; oto dlaczego krzyczymy po nocach.
>
> Dostojewski, *Zapiski z martwego domu*

Mimo że światło paliło się w barakach od zmroku do świtu, mieliśmy bardzo wyraźne poczucie zbliżającej się nocy.

Po pracy i zupie wieczornej więźniowie mieli jeszcze dwie do trzech godzin wytchnienia. Spędzali je różnie: jedni, przysiadłszy ze zwieszonymi nogami na pryczach, cerowali swoje znoszone ubrania obozowe lub pisali listy na drewnianych kuferkach; inni wybierali się w odwiedziny do znajomych; młodsi szli pod barak kobiecy; stachanowcy, którym przysługiwało prawo korzystania ze sklepiku obozowego, wyruszali doń, aby się upewnić, czy na pustych półkach w ciemnej izdebce nie pojawiła się przypadkiem końska kiełbasa — jedyny produkt, wystawiany w obozie na sprzedaż mniej więcej co trzy miesiące; chorzy przygotowywali się do wizyty w ambulatorium, a brygadierzy wypełniali w pośpiechu ostatnie wykazy dla „normirowszczika". We wszystkich tych czynnościach jedna cecha była wspólna — naśladowały one niezdarnie i na swój sposób życie na wolności. Często dla bystrego obserwatora był to niby taniec cieni, zapożyczających gesty, odruchy i nawyki z dawnego życia, celebrujących tym gorliwiej samą formę, im mniej w niej było treści. Słyszało się niekiedy więźniów mówiących: „Zawsze grywałem po kolacji w warcaby" albo: „Moja żona skarżyła się zawsze, że zamiast spać, chodzę po cudzych kominkach. Ot, priwyczka kak priwyczka,

została na całe życie". Naśladownictwo wolności było, rzecz prosta, podświadome, ale bez niego życie w obozie byłoby nie do zniesienia, i nikt, kto wiedziony instynktem samozachowawczym bronił się w ten jedyny sposób przeciwko beznadziejności i rozpaczy, nie zastanawiał się, czy przebywa w świecie rzeczywistych zjawisk czy urojonych zjaw. Można się spierać, jak dalece ta postawa była jedynie naturalną formą zachowania się ludzi, którzy większą część swego życia spędzili na wolności, nie zaś sztucznym odruchem samoobronnym martwych za życia niewolników, lecz jedno pozostaje niewątpliwe: niepodobna zrozumieć niewoli, nie przykładając do niej najbardziej nawet skrzywionych i wypaczonych miar wolności.

Opis ten obejmuje zresztą jedynie nielicznych więźniów, którzy pogrążając się podobnie jak inni w topieli obozu, próbowali przecież wydobyć się z jej wirów i głębi rozpaczliwymi ruchami rąk. Większość bowiem — przerażająca większość, do której na początku i pod koniec pobytu w obozie i ja się zaliczałem — jeżeli schodziła z prycz po zjedzeniu zupy wieczornej, to chyba tylko po to, by dopełnić pustkę w żołądkach litrem wrzątku, który stał w rogu każdego baraku. Proces rozkładu był tu więc zdumiewający: lenistwo i przymusowa ociężałość przyspieszały śmierć, a nienaturalne ożywienie oddalało ją na czas trudny do przewidzenia. Można było być pewnym, że więzień, który tonąc nie tylko nie uczynił najmniejszego ruchu, ale przeciwnie, lał w siebie w przystępie szału głodowego bezużyteczny balast wrzątku, pójdzie którejś nocy na dno jak kamień, a nazajutrz świt wyrzuci na mieliznę pryczy jego obrzękłe i monstrualnie wzdęte zwłoki. Jeżeli omijała go śmierć podobna do pęknięcia nadmuchanego pęcherza, puchł stopniowo, potem wracał na krótko do siebie, by wreszcie lec w Trupiarni obok takich samych jak on szkieletów ludzkich obciągniętych skórą. Ciekawe, że koleje życia obozowego więźniów, którzy przed śmiercią bronili się pewną mini-

malną choćby ruchliwością, były wręcz odwrotne; zachowawszy przez parę lat stosunkowo dobrą kondycję fizyczną, zaczynali pewnego dnia gwałtownie puchnąć i umierali na ogół z obrzęku głodowego w chwili, gdy znużone serce nie było już w stanie dostarczyć krwi na tak wydłużonych arteriach komunikacyjnych.

W każdym razie w warunkach życia i pracy, jakie dane były więźniom w obozie, najskromniejsza nawet dyscyplina wypoczynku wymagała ogromnych wysiłków woli lub takich pokus, które byłyby silniejsze od śmiertelnego zmęczenia po jedenastogodzinnej pracy o głodzie. Dla większości więźniów powrót do zony i tak bardzo przez cały dzień upragnione spoczęcie na pryczy były złudną i samobójczą formą wzmocnienia organizmu.

Wieczorem barak, opustoszały w kilku zaledwie miejscach, przedstawiał osobliwy widok. Na niektórych pryczach więźniowie leżeli bez ruchu, zdjąwszy tylko buty, i wpatrywali się bezmyślnie w swoich sąsiadów z przeciwka, oszczędzając sobie najmniejszego nawet poruszenia ręką lub nogą; na innych tworzyły się małe grupki rozmawiających w bezładnych pozycjach półleżących i one to nadawały barakowi charakter szpitala, gdzie nawet w godzinach wolnych od zabiegów lekarskich mówi się tylko bardzo przyciszonym szeptem; goście z innych baraków zbierali się na ogół albo przy piecu, albo na pryczach swych gospodarzy i jako jedyni więźniowie w pełni ubrani wyglądali jak ludzie zdrowi, odwiedzający chorych znajomych. Palące się bez przerwy światło kilku żarówek zaostrzało ten obraz w sposób realistyczny, ale bynajmniej nie niesamowity. Było w nim coś ze spokoju, z ulgi, z parującego zmęczenia i ze smutku przymusowego odosobnienia. Atmosfera baraku zdawała się mieć w sobie pocieszający akcent prowizorium. Błyski ognia palącego się na kominku odbijały się matowymi refleksami w taflach szyb — białych od wewnątrz, a krystalicznie czarnych od zewnątrz. Patrząc od drzwi, można było

spiętrzone na pryczach łachy wziąć za porzucone w nieładzie posłania, a onuce, suszące się na glinianym okapie pieca i na sznurkach przewieszonych między pionowymi belkami stropów, za świeżo wypraną bieliznę. Nie wygląd baraku był więc straszny. Straszny był wygląd jego mieszkańców, gdy się od drzwi szło coraz dalej w głąb i chwytało po drodze spojrzenia, w których cień śmierci — jak w szpitalach dla nieuleczalnie chorych — rozwijał się już do lotu na skrzydłach nocy. Gdyż więźniowie, którzy po powrocie do zony rzadko schodzili z prycz, mieli bardzo wyraźne poczucie zbliżającej się nocy i oczekiwanie na nią liczyli przyspieszonym biciem serca.

Pamiętam, jak pierwszego wieczoru po przyjeździe do obozu wróciłem jeszcze na chwilę z ambulatorium do baraku i przystanąłem zdumiony wyrazem twarzy starca, który siedział przy piecyku do połowy rozebrany i żelaznym prętem grzebał w ognisku. Jego pomarszczone, zwiotczałe policzki opadały niemal na wyliniałą miotełkę brody, odsłaniając ogromne, rozjarzone oczy szaleńca. Nie potrafię już dziś dokładnie powiedzieć, jaki był ich wyraz, ale teraz nawet nie mogę się obronić przed uczuciem, że patrzyłem w oczy człowieka martwego za życia, człowieka, który wie, że umarł już dawno, choć jego wyschnięte serce tłucze się jeszcze ciągle w pustym worku ciała. Była w nich nie rozpacz zbliżającej się śmierci, ale beznadziejność trwającego na przekór wszystkiemu życia. Dobrze jest mówić o nadziei tym, którzy oczekują czegoś od przyszłości; ale jak natchnąć nią człowieka zbyt słabego, aby położyć kres swoim cierpieniom własną ręką? Jak przekonać o tym jedynym przywileju wolnej woli w niewoli człowieka z gruntu religijnego, który nawet w swych błaganiach o błogosławieństwo śmierci oczekuje jej jak najwyższego daru nieba? Wszystko się skończyło, wszystko pękło, pozostała jedynie najstraszliwsza tortura życia w próżni, a przecież ta ręka, przeznaczona, zdawałoby się, do tego,

by uciszyć niepotrzebne bicie serca, rzuca nagle pogrzebacz i kreśli jak ognistym mieczem szeroki znak krzyża od zmarszczonego czoła poprzez obrośniętą pierś do fałdów brzucha, podwiązanych cienkim rzemieniem. Jest istotnie w życiu niektórych więźniów coś nieodgadnionego i wstrząsającego; zdają się mieć ostatnią nadzieję, że zabije ich w końcu beznadziejność, i zadręczając się w milczeniu tym nieludzkim cierpieniem, wykrzesują zeń nikłą iskierkę nadziei, jaką daje myśl o śmierci. Religijność ich nie jest więc religijnością ludzi, którzy wierzą w mistyczne odkupienie dusz strudzonych wędrówką ziemską, ale wdzięcznością dla religii, głoszącej wieczne odpoczywanie. Są to religijni samobójcy, Chrystusowi czciciele śmierci, wierzący w wyzwoleńczą potęgę grobu, a nie w życie pozagrobowe. Śmierć urasta w ich pojęciu do rozmiarów najwyższego dobra, na które jedynie warto czekać, gdy już od dawna wszystko inne zawiodło. Może dlatego, że kładą na jej błogosławioną obietnicę tak przejmujący akcent, łatwiej zrozumieć ich nienawiść do życia. Więźniowie o martwych i płonących niesamowitym blaskiem oczach nienawidzą siebie i innych tylko za to, że wbrew najskrytszym nadziejom ciągle jeszcze żyją. „Powinniśmy umrzeć — słyszałem ich niejednokrotnie mówiących — my, gnój ludzki, powinniśmy umrzeć dla własnego dobra i bożej chwały".

Poznałem potem nieco bliżej tego człowieka. Stary góral czeczeński (mały, autonomiczny rejon na Kaukazie) pracował na bazie przy wybiórce kartofli. Raz jeden tylko, gdy mu podarowałem kawałek solonej „treski", opowiedział mi trochę o sobie, przyglądając mi się nieufnie spod krzaczastych brwi spojrzeniem, które w świetle dnia zmieniało się z szalonego na dzikie. Do reszty otoczenia, nie wyłączając najbliższych sąsiadów na pryczy, odnosił się wrogo.

Kolektywizacja pozbawiła go niewielkiego gospodarstwa na stokach Kaukazu — kilku morgów ornej ziemi

i pastwiska. Aresztowano go w roku 1936, gdy odmówił wydania worka pszenicy i zabiwszy dwa barany z kolektywnego stada, które powierzono jego opiece, zakopał poćwiartowane mięso w ziemi. Rodzinę, złożoną z żony i trojga dzieci, zesłano w niewiadomym kierunku i nigdy już nie dowiedział się o jej losie. Na śledztwie z uporem odmawiał wskazania kryjówki i wydania pszenicy. Skatowano go tak, że jeszcze w roku 1941 miał na całym ciele sine plamy, ale uroiwszy sobie, że jest to jedyna, na jaką go stać, forma zemsty za zniszczenie całego życia, nie wykrztusił z siebie do końca ani słowa. Po ostatnim przesłuchaniu odniesiono go nieprzytomnego do celi, a w kilka dni później — gdy już było jasne, że raczej umrze, niż powie, gdzie ukrył mizerną resztkę swego własnego niegdyś dobytku — odesłano go z wyrokiem piętnastoletnim najpierw do Kotłasu, a w roku 1939 do Kargopola.

— Co mi zostało — pytał — poza śmiercią? Rodziny nie mam, do kołchozu nie pójdę, bo jestem za stary, gór już nigdy nie zobaczę... Modlę się codziennie o rychłą śmierć.

Istotnie, co wieczór stary Czeczeniec zjadał swoją zupę, grzebał chwilę w ognisku żelaznym prętem, ukrywszy czasem zaczerwienioną od żaru twarz w żylastych dłoniach, właził z powrotem na pryczę, zmawiał krótką modlitwę i zasypiał. I dziwna rzecz: właśnie on, który był „człowiekiem bitym", „miał odbite wnętrzności", nie krzyczał nigdy po nocach; niekiedy tylko jęknął cicho z bólu, przewracając się z boku na bok, lub majaczył szeptem przez sen o śmierci i Bogu...

*

Nie o takich jednak jak on więźniach myślałem, zaczynając ten rozdział. Myślałem o tych, którzy się boją śmierci i w których oczach ten lęk odmalowuje się wieczorem jako lęk przed nocą. Dopiero pod koniec pobytu

w obozie uświadomiłem sobie lepiej, z jakich uczuć składała się ta codzienna agonia oczekiwania.

Więzień przychodzący po pracy do zony miał pewność, że z każdym dniem swego pobytu w obozie przeskakuje zdrowiem i wytrzymałością fizyczną całe lata i zbliża się do śmierci z szybkością, wyłączającą świadomość umierania. Śmierć — w obozie właśnie dlatego, że łamała brutalnie prawa czasu, że groziła nieustannie, a uderzała znienacka i nieoczekiwanie — nabierała metafizycznej nieobliczalności, stawała poza czasem naszego życia, wyłamywała się z rytmu naszego biologicznego istnienia. Więzień szedł do ambulatorium i dowiadywał się, że mu nic nie jest; czuł jednak, że jeśli nie jest chory na chorobę, która ma swą określoną nazwę i objawy, to przecież oddycha z trudem, robi pod siebie, płacze bez powodu, gdy jest przez chwilę sam, dotyka drżącymi rękami serca ściśniętego w kleszczach bólu, potyka się i upada na równej drodze, puchnie w zastraszający sposób, odpędza na próżno sprzed oczu ogniste płaty. Na zupełne wycieńczenie organizmu nie ma niestety innego lekarstwa poza lepszym i obfitszym jedzeniem lub długim wypoczynkiem; ambulatorium zaś nie było kuchnią, a do Trupiarni odsyłało się tylko więźniów z nieuleczalną wadą serca, gruźlicą, pelagrą w ostatnich stadiach i ostrą awitaminozą połączoną z owrzodzeniem całego ciała. Była to więc może przesada, ale każdy więzień zasypiał codziennie z myślą, że śmierć zaskoczy go właśnie tej nocy we śnie. Bał się tego zaskoczenia. Bał się umrzeć, nie wiedząc, kiedy, jak i na co umiera.

Drugim motywem naszego lęku przed śmiercią, ukrytym w rojeniach wyobraźni za czarną zasłoną nocy, było to, co w normalnych warunkach osłabia na ogół jej przerażającą fascynację — wspólność. Każdego z nas porażała świadomość, że tuż obok leżą ludzie tak samo bezbronni i wystawieni na podstępny cios wroga. Czemu tak było — nie umiem powiedzieć. Przypuszczalnie dzieliła nas

wszystkich ta bezradność. Można, poczuwszy nagle dławiący uścisk śmierci na gardle, wzywać na pomoc ludzi zdrowych, ale jak poruszyć serca, które z głuchym łomotem dobijają się rozpaczliwie do wrót wschodzącego dnia, nie płosząc ich i nie paraliżując znienacka daremnym krzykiem? Defoe opisuje w *Journal of the Plague Year* ludzi omijających się nawzajem z obawy przed dżumą. Robiliśmy to samo, ale bez równie oczywistych powodów. Można by prawie uwierzyć, przyglądając się nam nocą w baraku, że śmierć jest zaraźliwa. Baliśmy się zarazić nią innych, nosząc już przecież za skórą jej zaczątki. Była to czysta gra pozorów, ale tak silna i przekonywająca, że z nastaniem nocy każdy więzień krył się na parę godzin w twardej skorupie snu, jak gdyby nawet najcichszym westchnieniem nie chciał przypominać o swoim istnieniu śmierci, skradającej się na sąsiedniej pryczy. Każdy z nas postępował tak samo, ale każdy też z przerażeniem chyba myślał, że jest współtwórcą i zarazem ofiarą tego milczącego porozumienia zadżumionych. I trudno powiedzieć, czy większy ból sprawiała nam myśl, że nie wytrąci nas nigdy z letargu samozachowawczego krzyk konających towarzyszy, czy świadomość, że nikt nie usłyszy również naszego wołania o pomoc. Był to najjaskrawszy zapewne, jaki dane mi było w życiu oglądać, przykład solidarności w egoizmie. Nigdy się o tych sprawach głośno nie mówiło, ale nie było w baraku więźnia, który by z goryczą i niepokojem nie wspomniał chwili, gdy bez najmniejszego drgnienia i spod przymrużonych powiek śledził zwłoki wynoszone w nocy z baraku.

Śmierć w obozie była straszna także i przez swoją anonimowość. Nie wiedzieliśmy, gdzie się grzebie umarłych i czy po śmierci więźnia spisuje się najlapidarniejszy choćby akt zejścia. W czasie pobytu w szpitalu widziałem dwukrotnie przez okno przylegające do drutów ogrodzenia sanie, wywożące zwłoki za zonę. Wyje-

chały na drogę prowadzącą do tartaku, a potem skręciły nagle w lewo, na rzadko uczęszczaną ścieżkę, którą przed laty wydeptały pierwsze brygady „lesorubów", i znikły na skraju horyzontu, oderwawszy się jak zdmuchnięta wiatrem plamka od białej płaszczyzny śniegu, by utonąć w bladoniebieskiej ścianie lasu. Tu kończył się zasięg mojego wzroku i tu również zamykała się dla nas wszystkich szczelnie granica pomiędzy życiem a śmiercią. Ten samotny i smutny kondukt pogrzebowy zdążał prawdopodobnie ku jakiejś opuszczonej porębie leśnej, której położenia nie znał w obozie nikt prócz niemego woźnicy. Próbowaliśmy go nieraz wybadać, gdzie ukryto nasz więzienny cmentarz, ale nieszczęsny Ukrainiec wzruszał tylko ramionami, kiwał smętnie głową i krztusząc się z wysiłku, dobywał ze ściśniętego gardła kilka niezrozumiałych dźwięków. Ci, co znali lepiej jego mowę, twierdzili, że ma na myśli leśniczówkę, zbudowaną parę lat temu w miejscu, gdzie kończyła się pierwsza droga obozowa. Nie wydawało nam się to jednak prawdopodobne choćby dlatego, że zimą żadna łopata nie ruszyłaby tam zamarzniętej ziemi, a latem rozmokła polana pękała jak nagrzany owoc kasztanu, wciągając coraz głębiej w bagniste czeluście zawalony domek, obnażone korzenie drzew i drewniany tor dla samochodów. Świadomość, że nikt nigdy nie dowie się o ich śmierci i o tym, gdzie ich pochowano, była dla więźniów jedną z największych tortur psychicznych. Można być człowiekiem niereligijnym, nie wierzyć w życie pozagrobowe, ale trudno pogodzić się z myślą, że raz na zawsze wymazany zostanie jedyny materialny ślad, który przedłuża istnienie ludzkie i nadaje mu wyrazistą trwałość w pamięci ludzkiej. Ta forma lęku przed śmiercią, lub raczej przed zupełnym unicestwieniem, przybierała z biegiem lat u niektórych więźniów charakter dręczącej obsesji. Powstawały ciche układy wielostronne, które w razie uratowania się jednego z uczestników nakładały nań obo-

wiązek powiadomienia rodzin na wolności o dacie śmierci i przybliżonym miejscu pochowania reszty, na ścianach baraków pojawiały się wydrapane w tynku nazwiska więźniów, które pozostali przy życiu towarzysze mieli uzupełniać we właściwym czasie krzyżykami i datami, każdy więzień przestrzegał dokładnie regularnych odstępów w korespondencji z rodziną, aby nagła przerwa mogła dać przybliżone pojęcie o dniu jego śmierci. Wszystko to jednak nie było w stanie stłumić naszego niepokoju na myśl o tym, że obóz sowiecki pozbawił miliony swych ofiar jedynego przywileju, jaki dany jest każdej śmierci — jawności — i jedynego pragnienia, jakie odczuwa podświadomie każdy człowiek — przetrwania w pamięci innych.

Wieczorem więc rozmowy na pryczach dosięgały gorączkowego napięcia pożegnalnych szeptów, a w dwie lub trzy godziny później — około dziesiątej — przygasały, sycząc jeszcze gdzieniegdzie jak rozżarzony miał polany wodą. Od tej chwili spóźniony przybysz do baraku przechodził między pryczami, czując na sobie krzyżujące się spojrzenia leżących. Wszystko ucichało, ale sen długo jeszcze nie nawiedzał więźniów. Kilku modliło się, siedząc na pryczy z łokciami opartymi na podciągniętych lekko kolanach i z twarzami zatopionymi w splecionych dłoniach. Inni leżeli bez ruchu, podłożywszy ręce pod głowę, i wpatrywali się w milczeniu w twarze leżących naprzeciwko towarzyszy. Bezkształtne usypiska ciał ludzkich, łachmanów i barłogów, stłoczone przed chwilą jeszcze w rogach baraku, rozpełzały się na pryczach jak wydmy piaszczyste pokarbowane równomiernym odpływem fal morskich. Światło żarówek zdawało się przyćmiewać za kłębami dymu z machorki, a dogasające na kominku drzewo tliło się coraz słabiej, migocąc na przemian to czerwonymi, to czarnymi refleksami. Za oknami była noc biała od mrozu i rozpłaszczona na szybach lodowatymi kwiatami, wyślizgane de-

ski trzeszczały na ścieżkach od kroków ostatnich przechodniów. Wytężywszy słuch, można było złowić w ciszy nocnej dalekie ujadanie psów i stuk buforów na dworcu jercewskim. Obóz zapadał powoli w sen. Około północy w baraku rozlegało się już pierwsze chrapanie, a w ślad za nim zrywały się ze świstem ciche i przejmujące jęki. Po chwili potężniały, przybierały na sile i zamieniały się prawie w przeciągłe zawodzenie, przerywane suchym łkaniem. Nagle ktoś krzyknął gwałtownie, ktoś inny zrywał się ze snu i ze skrzyżowanymi na piersiach rękami — jak gdyby bronił się przed nieznanym napastnikiem — siadał na pryczy, wodząc dokoła błędnym spojrzeniem, i oprzytomniawszy naraz, kładł się na powrót na swoim barłogu z rozdzierającym westchnieniem. Wystarczyło obudzić się późno po północy, aby znaleźć się już — jak w sercu wzbierającej burzy — wśród bezładnych majaczeń sennych, nieprzytomnych okrzyków, w których imię Boga przeplatało się z imionami wzywanych nadaremnie krewnych, spazmatycznych szlochów i przeraźliwych jęków. Więźniowie szamotali się niespokojnie we śnie, chwytali się za serce, uderzali wstrząsanymi płaczem ciałami o twarde wyrko pryczy, zasłaniali się przed czymś szeroko rozpostartymi dłońmi, powtarzali monotonnie swoje „pomiłuj". Jeden jedyny Dimka siedział nieporuszony obok cebrzyka pomyj i oparłszy się rękami o wyciągniętą sztywno protezę, spoglądał obojętnie na kłębowisko ciał zaplątane w sidłach nocy wypłowiałymi oczami, w których suchy płomień bólu nie zaświecił już od lat ani jednej łzy.

Nasz barak wypływał na bezksiężycowe morze ciemności i niby okręt widmo uciekał ścigany co nocy przez śmierć, unosząc pod swym pokładem śpiącą załogę skazańców.

Zapiski z martwego domu

Któregoś wieczoru, gdyśmy jak zwykle zaczęli przekraczać brygadami bramę zony, nasz wzrok zatrzymał się na dużym afiszu, przylepionym do „czerwonej tablicy stachanowców" u rozstajnych ścieżek obozowych. „Godzina ósma. Kino — wołał afisz. — Wielki walc. Barak chudożestwiennoj samodiejatielnosti".

Był to drugi w Jercewie pokaz filmowy, a pierwszy za mojej bytności w obozie. Rok temu wyświetlano sowiecki film historyczny, na którym Michaił Stiepanowicz W. oglądał samego siebie, jedzącego pieczeń z carskiego stołu, i wycierał co chwilę zaczerwienione oczy na honorowym miejscu, w pierwszym rzędzie zarezerwowanym dla wolnych urzędników obozowych. O nowym filmie chodziły już po obozie słuchy od paru miesięcy, ale nikt w nie nie wierzył. „Co tam kino — mówili więźniowie — daliby lepiej dolewkę zupy albo sto gramów chleba więcej". W gruncie rzeczy jednak te słowa nie odpowiadały prawdzie. Kino było czymś więcej niż chleb i jeśli więźniowie wyrażali się o nim pogardliwie, to tylko dlatego, że wierzyli w spełnienie się jedynie takich pragnień, do których na pozór nie przywiązuje się żadnej wagi.

Barak „chudożestwiennoj samodiejatielnosti" mieścił się w pobliżu kuchni i w okresach przepełnienia „pieriesyłki" służył również jako barak tranzytowy dla więźniów przechodzących z innych „łagpunktów" przez Jer-

cewo. Pieczę nad nim i nad wszystkim, co się w nim działo, sprawował naczelnik „kulturno-wospitatielnoj czasti", zwanej także w skrócie „kawecze". Do stanowiska naczelnika „kawecze" mógł pretendować tylko człowiek wolny lub zwolniony więzień, który odsiedział swój wyrok w obozie za przestępstwo pospolite; jego pomocnika wyznaczano również spośród „bytowików". Wszystkie te środki ostrożności przedsiębrano, aby uchronić więźniów od zetknięcia z literaturą wywrotową i od umiejętnie zamaskowanych akcentów antysowieckich w przedstawieniach urządzanych co pewien czas w obozie. W istocie rzeczy jednak pomyślane one były znacznie na wyrost. Biblioteczka „kawecze" zawierała wszystkiego kilkadziesiąt egzemplarzy *Woprosow leninizma* Stalina, trochę obcojęzycznych wydawnictw propagandowych Gosizdatu, parę kompletów klasyków rosyjskich oraz kilkaset zbroszurowanych uchwał i przemówień z posiedzeń Wierchownogo Sowieta. Za cały czas pobytu w obozie próbowałem tylko czytać *Utwory zebrane* Gribojedowa i przeczytałem dwukrotnie *Zapiski z martwego domu* Dostojewskiego — obie te książki otrzymałem jednak w wielkiej tajemnicy od współwięźniów; z biblioteki „kawecze" wypożyczyłem sobie dla zachowania pozorów *Woprosy leninizma* Stalina, *Folkłor Riespubliki Komi* i przemówienia rewolucjonistki hiszpańskiej Dolores Ibárruri (Pasionarii). Pamiętam, że w książce Pasionarii podkreśliłem ołówkiem dumne zdanie, wypowiedziane przez nią w okresie obrony Madrytu: „Lepiej umrzeć niż żyć na kolanach", i odtąd książka cieszyła się w obozie dużą poczytnością aż do czasu, kiedy ją z obiegu wycofała specjalna komisja kontrolna NKWD z Wołogdy. Widocznie te piękne słowa, które po raz pierwszy w życiu usłyszałem na zebraniu gimnazjalnego kółka komunistycznego w Polsce, brzmiały w obozie inaczej niż na wolności.

Niepotrzebnie też obawiały się władze obozowe o przedstawienia teatralne. Gdyby nawet istniały jakieś ukryte

zamiary przemycenia akcentów antysowieckich w teatrze więziennym, to nie było ich w czym przemycić. Przedstawienie mogło się składać tylko z produkcji muzycznych i wokalnych — wszelkie wstawki konwersacyjne i dramatyczne były zabronione. Prawo było jednak prawem i zwolniony po trzyletnim wyroku złodziej moskiewski Kunin urzędował w „kawecze" w asyście starego Pawła Iljicza, który odsiadywał ósmy rok w obozach za zamordowanie brata.

„Kawecze" mieściło się w małej komórce obok jednego z baraków, a wchodziło się doń z rzadko uczęszczanej ścieżki tuż koło drutów. Przy żelaznym piecyku siedział siwy jak gołąb Paweł Iljicz i podlepiał książki, wycinał ozdoby z kolorowego papieru lub pięknymi literami kaligrafował na stole nazwiska stachanowców na „czerwoną tablicę". „Paweł Iljicz — mówili więźniowie, przybierając odruchowo od progu ugrzecznioną pozę — kniżeczku by kakuju poczitat' ". „Jaką?" — pytał, nie podnosząc oczu znad roboty, Iljicz. „Eto uż my wam dowieriajem, czto budiet intieriesnaja". „Naczalnika dieło" — drapał się z zakłopotaniem w głowę nasz bibliotekarz.

Kunin mieszkał za zoną, ale jadał w obozie. Wysoki, szczupły, w czapce z zadartym do góry daszkiem, sukiennej kurtce i butach z cholewami, o twarzy wilka stepowego i nerwowych ruchach rąk — poruszał się po obozie z łatwością i zadomowieniem, typowym dla doświadczonych i bywałych więźniów. Mówiono o nim, że wyrok, który ukończył w Jercewie w roku 1939, był jego trzecim z kolei pobytem w obozie, ale on sam nigdy o tym nie wspomniał. Chodził po zonie żywym krokiem, często wstępował do baraków, przesiadywał z więźniami po parę godzin, i chociaż ten styl życia należał w pewnym sensie do jego obowiązków, czuliśmy, że tęskni za czasami, kiedy w podartym buszłacie leżał obok swych współtowarzyszy na górnej pryczy, wypatrując myszkującymi oczami, co by tu jeszcze można wygrać w karty lub

komu zajrzeć do kuferka. „Nado kulturno żyt', zakluczonnyje" — powtarzał zawsze, uśmiechając się z wyższością przy słowie „zakluczonnyje", i wyglądało na to, że było to jedno ze zdań, których nauczył się na pamięć, gdy mu przed dwoma laty powierzono misję kształcenia i wychowywania więźniów. W pewien sposób wzruszający był jego stosunek do Pawła Iljicza, z którym dzielił niegdyś pryczę w baraku murarzy. Jadał z nim zupę z jednej miski, dzielił się z nim papierosami, przynosił mu czasem zza zony pół bochenka chleba lub trochę wódki. Paweł Iljicz odwzajemniał mu tę życzliwość posłuszeństwem i przywiązaniem, i chociaż przypuszczaliśmy, że sam na sam mówią sobie jak dawniej po imieniu, przy nas nie ośmielił się nigdy zwrócić się do niego inaczej jak „grażdanin naczalnik". Kunin lubił ten tytuł i było widoczne, że przywiązuje doń większą uwagę niż do wszystkich swoich czynności kulturalno-wychowawczych. Nie potrafiłby już żyć poza obozem, ale nie zamierzał rezygnować z godności, która po tylu latach poniewierki więziennej wywyższała go ponad pospólstwo i „wrogów ludu". Starsi więźniowie, pamiętający go z dawnych jeszcze czasów, twierdzili, że bierze teraz odwet za nie spełnione nigdy sny o brygadierstwie. Późnym wieczorem Kunin odprawiał Pawła Iljicza do baraku i przyjmował w swojej „kulturno-wospitatielnoj czasti" kochanki obozowe. Zmieniał je równie często jak dawniej i mówiono nawet żartobliwie, że nie pozbawiony jest pewnych talentów pedagogicznych, jeśli chodzi o nowo przybyłe etapami dziewczęta, lub że mógłby sobie założyć szkółkę z samych tylko dzieci, które urodziły mu „łagiernice" na pryczach baraku macierzyńskiego.

Cała działalność „kawecze" sprowadzała się do wypożyczania książek z biblioteki obozowej i do urządzania przedstawień w baraku „chudożestwiennoj samodiejatielnosti". Kunin nie czytał prawdopodobnie w życiu ani jednej książki, ale znał zasady ich wydawania w obozie.

Pierwsze pytanie, jakie otrzymywał więzień w wypożyczalni obozowej, brzmiało: „Jaki paragraf?" Polityczni mogli ubiegać się o dzieła Stalina i literaturę propagandową tylko po uprzedniej rozmowie z Kuninem; przestępcy pospolici natomiast mieli dostęp do wydawnictw politycznych bez ograniczeń. Ta procedura dogadzała więc w rezultacie większości zainteresowanych — pospolici bardzo rzadko odczuwali potrzebę przeczytania czegokolwiek poza obwieszczeniami na „czerwonej tablicy", a polityczni mieli zrozumiałą awersję do studiowania teorii, którym zawdzięczali swoje uwięzienie. Od czasu do czasu jednak zwracaliśmy się dla zachowania pozorów do Kunina z prośbą o egzemplarz *Woprosow leninizma* i wówczas rozmowa z naszym wychowawcą miała mniej więcej następujący przebieg: „Władza sowiecka nie pozbawia tych, którzy zbłądzili, prawa zrozumienia własnych błędów. Jakie zagadnienie polityczne interesuje was najbardziej?" „Kolektywizacja wsi albo: problem socjalizmu w jednym kraju, albo: uprzemysłowienie". „Towarzysz Stalin daje znakomity wykład na ten temat w szkicu pod tytułem..." Nie ulegało wątpliwości, że Kunin nauczył się na pamięć przewodnika po książce Stalina, nie znając jej treści, gdyż unikał wszelkich dyskusji szczegółowych. Nikt też nie ośmieliłby się wprawić go w zakłopotanie pytaniem na temat zagadnienia nie poruszonego przez towarzysza Stalina w *Woprosach leninizma.* Związki Kunina z Trzecim Oddziałem były nam wszystkim aż nazbyt dobrze znane i one to sprawiały, że staraliśmy się figurować w jego kartotece na liście abonentów książki, która nie bez powodów uważana jest w Rosji sowieckiej za biblię.

Jak w wielu podobnych wypadkach, ten zwyczaj był prawdopodobnie szczątkową pozostałością przepisów, które ustalone zostały w Moskwie w czasach, gdy obozy traktowano istotnie jako instytucje na pół wychowawcze. Było coś z Gogola w tym ślepym trzymaniu się urzęd-

niczej fikcji na przekór praktyce życia — coś z edukowania „martwych dusz". Kunin miał bowiem większe jeszcze ambicje — wynalazł gdzieś ustawę o walce z analfabetyzmem w obozach i usiłował za wszelką cenę zorganizować wśród więźniów wieczorne kursy dokształcające. Można było prawie uwierzyć, patrząc, jak się uwija w barakach w poszukiwaniu kandydatów, że na podobieństwo gogolowskiego Cziczikowa dostaje za każdą upolowaną duszę dodatkowe wynagrodzenie. Ale tego było już więźniom za wiele; mogli ostatecznie iść raz na parę miesięcy do „kawecze" i wypożyczywszy pierwszą lepszą książkę, położyć ją nie czytaną pod wezgłowiem z buszłatu; nikt jednak nie potrafiłby ich zmusić, aby walcząc z głodem, znużeniem i śmiercią, uczyli się czytać i pisać; nikt poza bagnetami NKWD — gdyby uczęszczanie na naukę w obozie nie było, na szczęście, dobrowolne. Toteż wszyscy więźniowie zapewniali solennie Kunina, że opanowali trudną sztukę czytania i pisania jeszcze na wolności, chociaż w dzień świąteczny trudno się było opędzić w barakach prośbom o napisanie listu do domu. A Kunin pisał pewnie raporty do władz, że w „jego" obozie analfabetyzm został wytępiony ze szczętem...

Przedstawienia więc pozostały jedyną dziedziną, w której „kawecze" mogło liczyć na pełne poparcie więźniów. Wśród zwolnionych od pracy Kunin znajdował zawsze dostateczną ilość ochotników do wycinania ozdób z kolorowego papieru i rozlepiania ich na ścianach baraku „chudożestwiennoj samodiejatielnosti". Więźniowie — zwłaszcza starsi — robili to z przyjemnością, jak gdyby brali udział w przystrajaniu kościoła. Wróciwszy wieczorem do baraku, opowiadali nam z przejęciem o wyglądzie „teatru", prosili „lesorubów" o przyniesienie z lasu świeżych gałązek jodłowych, a robotników tartacznych o trociny do posypania podłogi. W dzień przedstawienia barak teatralny przybierał prawdziwie odświętny wygląd.

Wszystkie ściany oblepione były kolorowymi wycinankami, między wiązaniami stropów i belek zieleniły się gałęzie jedliny, a deski podłogi aż się świeciły od czystości. Więźniowie zdejmowali u progu czapki, otrząsali w sieni walonki ze śniegu i zajmowali kolejno miejsca w ławkach, pełni uroczystego skupienia i religijnej nieledwie czci. Potem widziało się już tylko długie szeregi ogolonych głów i szare węzły rąk zaplecione na kolanach. W baraku „chudożestwiennoj samodiejatielnosti" grzeczność była czymś obowiązującym, toteż spóźnionym kobietom ustępowano bez wahania miejsca w pierwszych rzędach ławek. W drzwiach i pod wszystkimi ścianami stały również gromady więźniów, ławki bowiem nie mogły nigdy pomieścić wszystkich widzów. Na chwilę przed rozpoczęciem przedstawienia milkły rozmowy i szepty, a z różnych stron baraku rozlegały się niecierpliwe głosy: „Cisza, cisza, zaraz się zacznie". Wejście Samsonowa w otoczeniu sztabu obozowego stanowiło sygnał dla Kunina.

Wychodził na proscenium, witał ukłonem „naczalstwo" i dawał więźniom znak, aby się uciszyli. „Zakluczonnyje — rozpoczynał swoje tradycyjne przemówienie — władza sowiecka umie przebaczyć i ocenić uczciwą pracę. Plan produkcyjny powierzony obozowi został wypełniony. W nagrodę za to zobaczycie za chwilę... Ten akt wyrozumiałości powinien was zachęcić do jeszcze bardziej wytężonej pracy dla dobra naszej sowieckiej ojczyzny, której staniecie się kiedyś również pełnoprawnymi obywatelami". Przez widownię przechodził pomruk zadowolenia. Teatr miał w sobie istotnie coś z przedsionka wolności.

Na pierwszym za mojej bytności w obozie przedstawieniu dawali — jak już wspomniałem — film amerykański z życia Straussa *Wielki walc*. Poprzedził go krótkometrażowy film sowiecki, którego treścią był wyjazd grupy studentów-komsomolców z Moskwy na roboty rol-

ne w czasie ferii letnich. Utrzymany w tonie propagandowym, pełen przemówień, deklaracji i pieśni o Stalinie, miał jednak kilka pięknych zdjęć i zabawny epizod, który rozśmieszył więźniów do łez. Jeden ze studentów — jak sądzić można było z wyglądu i akcentu rosyjskiego, Żyd — nie mógł sobie pierwszego dnia poradzić z łopatą, i oparłszy ręce na stylisku, zadumał się: „Nie dla mnie łopata. U mienia baszka rabotajet, nie ruki". Na sali rozległy się śmiechy. „Widzisz go — wołali więźniowie — kakoj chitrienkij Jewriej! Naczelnikować mu ochota! A kopać ziemię to kto będzie? Do łagru by go na roczek, dwa!" Kiedy film skończył się wreszcie tryumfem dobra i niezdarny student zajął pierwsze miejsce w socjalistycznym wyścigu pracy, a potem z ogniem w oku wygłosił przemówienie o ustroju, w którym praca rąk wyniesiona została na najwyższy piedestał, widownia siedziała niepocieszona i pogrążona w milczeniu. Milczenie było jedyną bronią, na jaką stać było więźniów, gdy każde nieostrożne słowo mogło brzmieć jak buntownicze wyzwanie.

Ale dopiero *Wielki walc* wzruszył nas i przejął do głębi. Nigdy bym nie uwierzył, że może powstać sytuacja, w której przeciętny amerykański film muzyczny — pełen kobiet w tiurniurach, mężczyzn w obcisłych żakietach i żabotach, rozjarzonych żyrandoli, sentymentalnych melodii, tańców i scen miłosnych — będzie w stanie odsłonić przede mną prawie raj utracony innej epoki. Tłumiłem łzy i czułem gorączkę, która przyspieszonym biciem serca dławiła mnie za gardło, dotykałem chłodnymi dłońmi rozpalonej twarzy. Więźniowie przyglądali się filmowi nieporuszeni, w ciemności widziałem tylko rozwarte szeroko usta i oczy chłonące nieprzytomnie wszystko, co działo się na ekranie. „Kakaja krasota — szeptały przejęte głosy — jak ludzie żyją na świecie..." W swym naiwnym zachwycie, odgrodzeni od świata, zapominali, że akcja filmu toczy się pół wieku temu, i oglądali przeszłość jak zakazany owoc teraźniejszości.

„Czy i my kiedyś pożyjemy jak ludzie? Czy skończy się nasza ciemność grobowa, nasza śmierć za życia?" Słyszałem te pytania obok, wypowiedziane tak wyraźnie, jak gdyby mi je ktoś szepnął na ucho. I choć na tle żargonu obozowego mogła się wydawać niezwykła ta przesada językowa, nie drgnąłem ze zdziwienia. Barak „chudożestwiennoj samodiejatielnosti", postacie przesuwające się na ekranie, dźwięki orkiestry, skupione twarze widzów, westchnienia mające w sobie coś z wewnętrznego odtajania — wszystko to spychało nas w przeszłość i otwierało dawno zamarłe źródła wzruszeń.

Słowa tak niezwykle brzmiące w obozie szepnęła mi na ucho moja sąsiadka, Natalia Lwowna. Znałem ją od dawna, ale tylko przelotnie. Wiedziałem, że pracuje w biurze rachmistrzów obozowych, mimo że brak urody powinien by ją raczej kwalifikować do lasu. W wieku dwudziestu paru zaledwie lat była już wyjątkowo stara i brzydka — ociężała, niezgrabna, o dużych, chorobliwie wyłupiastych oczach, rzadkich włosach i obwisłych policzkach, na których pokazywały się czasem ceglaste wypieki. Należała w obozie do kilkudziesięcioosobowej grupy więźniów, którą określano skrótem KWŻD. Te cztery litery oznaczały kolej wschodniochińską (Kitajsko-Wostocznaja Żeleznaja Doroga), sprzedaną przez rząd sowiecki 23 marca 1935 roku Japonii, a raczej rządowi Mandżukuo. Wszyscy Rosjanie, którzy przed rokiem 1935 zamieszkiwali na terenach kolei wschodniochińskiej, a po jej sprzedaży optowali na rzecz Rosji, zostali aresztowani i z wyrokami dziesięcioletnimi zesłani do obozów Północy. Nazwa kolei wschodniochińskiej stała się w ten sposób umowną nazwą paragrafu kodeksu sowieckiego i wraz z paroma innymi (KRD — kontrriewolucyonnaja diejatielnost', KRA — kontrriewolucyonnaja agitacyja, SOE — socyalno-opasnyj elemient, czyli element niebezpieczny społecznie, SP — socyalnoje proischożdienije, czyli pochodzenie społeczne, PS — promyszlennyj sabo-

taż, czyli sabotaż przemysłowy, SChW — sielsko-choziajstwiennoje wrieditielstwo, czyli szkodnictwo rolne etc., etc.) tworzyła nieoficjalny żargon, który pozwalał więźniom orientować się szybko i bez zbędnych indagacji w charakterze przestępstwa świeżo poznanych współtowarzyszy. Ludzie z KWŻD tym się różnili od pozostałych Rosjan, że mimo swej narodowości bliżsi byli w reakcjach i sposobie myślenia cudzoziemcom niż własnym rodakom, jak gdyby większą część życia spędzili poza granicami Związku Sowieckiego.

Mówiono, że Natalia Lwowna zawdzięcza swoją pracę w biurze rachmistrzów chorobie serca. Sama nigdy się z tym nikomu nie zwierzyła, ale można było poznać z jej wolnego, ostrożnego chodu, z ruchów ciała kontrolowanych nieustannie napiętą czujnością i z przeciągłego sposobu mówienia, że jej uwaga skoncentrowana jest na jakimś cierpieniu, które niby źle zabliźniona rana otwiera się przy każdym ostrzejszym szarpnięciu. Musiał jednak istnieć inny jeszcze powód, że nawet z chorobą serca nie poszła do pracy fizycznej, aby po paru tygodniach skończyć w szpitalu, skoro poza swoją dobrocią, cierpliwością i pokorą nie miała nic do zaofiarowania. W moim osobistym przekonaniu ratowała ją paradoksalnie właśnie brzydota. Nikt się nią nie interesował, nikomu więc nie mogło zależeć na tym, by ją torturą pracy zmusić do uległości. Natomiast na swój sposób rozbrajała i ujmowała wszystkich — nie wyłączając „urków" — jej niezmierna uprzejmość, stała gotowość do usług i bezinteresowność. W obozie uczucia ludzkie odżywały najczęściej wówczas, gdy litość zaspokajała resztki miłości własnej. Natalia Lwowna zdawała się być kimś tak niepozornym, że jej śmierć nie zwróciłaby niczyjej uwagi, tak jak nie zwracało niczyjej uwagi jej smutne życie.

Wyszliśmy z baraku „chudożestwiennoj samodiejatielnosti" razem, w tłumie więźniów. Noc była piękna, gwiaździsta, biała — nieboskłon uniósł się nagle w górę,

jak gdyby rozepchnęły go nad obozem czyjeś ręce, w mroźnym powietrzu głosy rozmawiających dźwięczały prawie radośnie, a kroki ugniatały na ścieżkach świeży śnieg. W dół od baraku, w którym wyświetlano film, zona opadała ku drutom łagodną pochyłością i wznosiła się na horyzoncie niewielkim wzgórzem, za którym o północy słychać było gwałtowny łomot wagonów i przenikliwy gwizd pociągu. Więźniowie nie spieszyli się teraz do swoich baraków. Stali tłumnie na wszystkich ścieżkach, wspominali z przejęciem sceny z filmu, spierali się o najdrobniejsze szczegóły, naśladowali grę aktorów i jednocześnie spoglądali ku wzgórzu zasłaniającemu tor kolejowy z Moskwy do Archangielska, jak gdyby dopiero teraz uprzytomnili sobie, że u celu tych spojrzeń rozpościera się wolność, której fragment odsłonił się przed chwilą ich oczom na ekranie. Jak niewiele trzeba, aby się znowu po ludzku cieszyć! Zdawało się, że nie będzie końca tym rozmowom, w których każde słowo zawierało więcej treści, niż jej było w całym filmie. „Obywatelu naczelniku — wołali więźniowie do przechodzącego przez szpaler w tłumie Kunina — z całego serca dziękujemy za przedstawienie! Żyć teraz ochota, ech, żyć ochota..."

Natalia Lwowna płakała. Szedłem obok niej zakłopotany tak wolno, aby nie wyprzedzać jej ostrożnego chodu, i tak cicho, aby nie płoszyć jej wzruszenia. Czyż mogłem wiedzieć, dlaczego płacze — ja, który znałem ją dotąd tylko z opowiadań i z widzenia? Wydawało mi się, że wszystkie dziewczęta w obozie musiały dziś płakać, ujrzawszy naraz tyle strojów, tańców i scen miłosnych. Ale na zakręcie ścieżki prowadzącej do baraku kobiecego przystanęła i tłumiąc z wysiłkiem łzy, zapytała: „Czy pan myśli, że ja płaczę z tęsknoty za tamtym życiem?" Spojrzałem na jej brzydką twarz, na obwisłe policzki porysowane mokrymi strużkami, na ogromne oczy, które nagle za szklistą zasłoną wydały mi się prawie ładne,

i zawahałem się. „Tak myślę, Natalio Lwowna — powiedziałem wreszcie, sądząc, że jej to sprawi przyjemność — i pani pewnie lubiła kiedyś tańczyć". „Och, nie — odparła żywo — nie tańczyłam nigdy w życiu. Ale siedzę już pięć lat w obozie i ciągle jeszcze nie umiem się opanować, gdy widzę, że to wszystko już było, to samo, przed laty... Że mieszkamy od wieków w martwym domu" — spojrzała na mnie uważnie. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć; zdawało mi się, że każdym słowem mogę zadrasnąć jej najbardziej osobiste uczucia. „Niech pan tu poczeka — powiedziała nagle — coś panu przyniosę". Poszła do swojego baraku szybszym niż zwykle krokiem i po chwili wróciła zdyszana, kryjąc pod buszłatem na piersiach jakiś przedmiot. „Niech pan to przeczyta — powiedziała drżącym głosem — ale niech pan nikomu nie mówi, od kogo pan dostał. Tego nie wolno już dziś czytać". Po czym dodała z uśmiechem: „Zwłaszcza tutaj". Wziąłem z jej rąk zniszczoną, rozsypującą się książkę i spojrzałem na okładkę: *Zapiski z martwego domu* Dostojewskiego, Petersburg 1894.

Minęły dwa miesiące, w czasie których przeczytałem dwukrotnie *Zapiski z martwego domu*, a Natalię Lwownę widywałem tylko z daleka w zonie i pozdrawiałem ją zawsze przyjaznym ruchem ręki. Przyglądała mi się z niepokojem w oczach, jak gdyby chciała wyczytać w mojej twarzy, czy lektura Dostojewskiego zrobiła na mnie oczekiwane wrażenie. Uciekałem jednak od rozmów, ale już w chwilę potem żałowałem tego postanowienia, patrząc, jak wolnym krokiem odchodzi do swojego baraku i wita po drodze wszystkich przechodzących uprzejmym skinieniem głowy.

Unikałem jej zaś dlatego, że od przeczytania pierwszych paru stronic Dostojewskiego do chwili, kiedy po raz drugi i ostateczny zamknąłem książkę, patrząc na końcowe słowa: „Tak, z Bogiem! Wolność, nowe życie, zmartwychwstanie...", żyłem w stanie asfiksji, podobnym

do przebudzenia z długiego śmiertelnego snu. Nie to w Dostojewskim było wstrząsające, że potrafił opisać nieludzkie cierpienia tak, jak gdyby stanowiły tylko naturalną część ludzkiego losu, ale to, co uderzyło również Natalię Lwownę: że nie było nigdy najkrótszej nawet przerwy pomiędzy jego a naszym losem. Czytałem *Zapiski* wieczorami, w nocy i w dzień, kradnąc sobie sen, oczyma przekrwionymi od zmęczenia, z sercem bijącym jak wahadło dzwonu, z szumem w głowie, który wzmagał się niby odpływające w nieskończoność echo kropel wody, gdy spadając w miarowych odstępach czasu w to samo miejsce czaszki, rozłupują ją za każdym razem potężnym uderzeniem młota. Był to w moim życiu więziennym jeden z najcięższych okresów. Kryłem się z tą książką, czytałem ją pod naciągniętym na głowę buszłatem, chowałem w najpewniejszym miejscu na pryczy, pod ruchomą deską u wezgłowia; nienawidziłem jej i kochałem ją zarazem, tak jak ofiara potrafi się w pewien szczególny sposób przywiązać do narzędzia tortur. Po powrocie z pracy sprawdzałem najpierw z niepokojem, czy leży na swoim miejscu, a jednocześnie pragnąłem podświadomie, aby przepadła bezpowrotnie, wyzwalając mnie raz na zawsze od tego koszmaru życia bez nadziei. Nie wiedziałem jeszcze, że jedyną rzeczą, przed którą należy się w więzieniu bronić bardziej uporczywie niż przed głodem i śmiercią fizyczną, jest stan pełnej świadomości. Żyłem dotąd jak inni więźniowie: uciekając instynktownie od konfrontacji z własnym życiem. Ale Dostojewski swoim skromnym i przewlekłym trochę opowiadaniem, w którym każdy dzień w katordze ciągnie się, jak gdyby trwał całe lata, porwał mnie i niósł na grzbiecie czarnej fali, torującej sobie w podziemnych chodnikach drogę w wieczną ciemność. Próbowałem płynąć pod prąd, ale na próżno. Wydawało mi się, że nigdy przedtem nie żyłem naprawdę, zapomniałem, jak wyglądały twarze moich najbliższych i krajobrazy mojej mło-

dości. Na kamiennych, ociekających wodą i połyskujących w ciemnościach ścianach podziemnego labiryntu, przez który niosła mnie czarna fala *Zapisków z martwego domu*, widziałem natomiast w nieprzytomnej i rozgorączkowanej wyobraźni długie szeregi nazwisk tych, co tu byli przed nami i zdążyli wydrapać w skale ślad swego istnienia, zanim zalał ich i pochłonął z ledwie dosłyszalnym bulgotem wieczny mrok. Domyślałem się, że na klęczkach czepiali się rozpaczliwie oślizgłych załomów kamienia, że upadali i podnosili się na krótko, że wzywali pomocy głosem, który wybuchał jak kamienny krzyk i ginął zaraz w martwej ciszy kanału, że zakrzywionymi palcami chwytali się każdego występu w skale, aby jeszcze po raz ostatni spróbować wyszarpnąć się z prądu, znoszącego po drodze wszystko i wszystkich ku martwemu morzu przeznaczenia. A jednocześnie, gdy uległszy na koniec, opadali na dno jak topielcy ciemności, czarna fala przynosiła na ich miejsce innych, coraz nowych, tak samo upadających pod ciężarem cierpienia, tak samo wyrywających się daremnie z jej śmiertelnych wirów — nas, nas, nas...

Największą męczarnię tego półsnu stanowił niepojęty fakt, że przestały w nim działać prawa czasu — pomiędzy zniknięciem naszych poprzedników a naszym pojawieniem się nie było najmniejszej przerwy. W ten sposób nabierał on charakteru czegoś nieodwracalnego — przeznaczenia, w którym dla patrzących z boku wieczność znaczy tyle co zmrużenie oka, a dla skazanych na swój los zmrużenie oka trwa wieczność. Nawet najdrobniejsze szczegóły powtarzały się z upiorną dokładnością. Czyż więźniowie „martwego domu" nie szeptali również z przerażeniem u schyłku dnia świątecznego: „zawtra opiat' na rabotu?" Z takim uczuciem nie można w obozie żyć zbyt długo. I im zachłanniej piłem z zatrutego źródła *Zapisków z martwego domu*, tym większą — tajemną prawie — radość znajdowałem w myśli, która po raz

pierwszy od roku błysnęła mi w głowie: myśli o samowyzwoleniu przez samobójstwo.

Na szczęście Natalia Lwowna okazała się bardziej ode mnie nałogową czytelniczką Dostojewskiego, bo po dwóch miesiącach zjawiła się w naszym baraku i wywoławszy mnie do zony, powiedziała cicho: „Chciałabym dostać od pana z powrotem *Zapiski*. Nie mogę bez nich żyć. Nie mam nikogo na świecie i ta książka zastępuje mi wszystko". Po raz pierwszy i jedyny dowiedziałem się wówczas od niej samej czegoś o jej życiu, choć dawniej już mówiono mi, że jej ojca rozstrzelano natychmiast po powrocie z terenów sprzedanej Japończykom kolei wschodniochińskiej. Wróciłem do baraku i wyciągnąłem Dostojewskiego ze schowka pod ruchomą deską na pryczy. Oddawałem jej *Zapiski* z mieszanymi uczuciami; żal mi było tej książki, dzięki której żyłem w obozie krótko z otwartymi oczami, mimo że to, co ujrzały, miało wszelkie pozory śmierci; a jednocześnie cieszyłem się skrycie na myśl o wyzwoleniu od dziwnego i niszczącego uroku, jaki rzuciła na mnie ta proza tak nasycona beznadziejnością i rozpaczą, że życie stawało się w niej cieniem jedynie nie kończącej się agonii codziennego konania.

— Miała pani rację, Natalio Lwowna — powiedziałem, pomagając jej ukryć książkę pod buszłatem.

Spojrzała na mnie z wdzięcznością, a na jej brzydkiej twarzy pojawił się na okamgnienie cień radosnego prawie podniecenia.

— Wie pan, że od chwili, kiedy zdobyłam tę książkę w obozie, moje życie nabrało świeżej treści? Czy pan potrafi w to uwierzyć? Szukać nadziei u Dostojewskiego!... — zaśmiała się z przymusem.

Przyglądałem się jej ze zdumieniem. Gdzieś w kącikach jej wielkich, chorobliwie wypukłych i nieruchomych oczu czaił się ledwie dostrzegalny błysk szaleństwa. Na drżące z zimna wargi wystąpił zagadkowy grymas — ni

to uśmiech, ni znak bólu. Odgarnęła z czoła rzadkie kosmyki włosów, pozlepiane śniegiem i lekko zamarznięte. Byłem pewien, że wybuchnie znowu płaczem, ale ciągnęła dalej spokojnym, wytrzymanym do ostateczności głosem.

— Jest zawsze miejsce na nadzieję, gdy życie okazuje się czymś tak beznadziejnym, że staje się nagle naszą wyłączną własnością... Czy pan mnie rozumie? Naszą wyłączną własnością. Gdy nie widać już znikąd ratunku, najmniejszej szczeliny w otaczającym nas murze, gdy nie można podnieść ręki na los właśnie dlatego, że jest losem, pozostaje jeszcze jedno — obrócić ją przeciwko samemu sobie. Och, pan nie potrafi chyba zrozumieć, jaka pociecha tkwi w odkryciu, że ostatecznie należy się tylko do samego siebie — przynajmniej w wyborze rodzaju i czasu śmierci... Tego mnie nauczył Dostojewski. Kiedy w roku 1936 znalazłam się w więzieniu, cierpiałam bardzo; wydawało mi się, że pozbawiono mnie wolności, bo w jakiś sposób na to zasłużyłam. Ale teraz! Teraz, kiedy wiem, że cała Rosja była zawsze i jest po dziś dzień martwym domem, że zatrzymał się czas pomiędzy katorgą Dostojewskiego a naszymi własnymi mękami — jestem wolna, zupełnie wolna! Umarliśmy już dawno, a tylko nie chcemy się do tego przyznać. Niech pan pomyśli: tracę nadzieję, gdy odżywa we mnie pragnienie życia; odzyskuję ją na nowo, gdy odczuwam w sobie pragnienie śmierci.

Odwróciłem się jeszcze od drzwi baraku, aby zapamiętać ją odchodzącą. Szła przez zonę wolnym krokiem, skrzyżowawszy na piersiach ręce, jak gdyby przytrzymywała nimi chore serce i drogocenny skarb swojej książki, równie pożółkłej i przedwcześnie postarzałej, jak jej twarz. Uniosła lekko ramiona i stąpała ostrożnie w gumowych łapciach, zostawiając po sobie ślady, które przysypywał natychmiast świeży śnieg.

*

O następnym przedstawieniu teatralnym dowiedzieliśmy się znacznie wcześniej, gdyż na parę tygodni przedtem w zonie czyniono już doń przygotowania. Obejmowały one zaledwie trzy osoby. Paweł Iljicz zachodził — jako wysłannik Kunina — wieczorami do baraków i zebrawszy swoją małą grupę teatralną, ruszał z nią na próbę do „kawecze". Z grubsza więc wiedzieliśmy już zawczasu, jaki będzie program drugiego spektaklu w obozie. Primadonna opery moskiewskiej, Tania, miała śpiewać lekkie piosenki rosyjskie; marynarz leningradzki z brygady tartacznej, Wsiewołod Prastuszko, miał śpiewać pieśni marynarskie; fryzjer żydowski z Warszawy, który przeprawił się przez Bug na sowiecką stronę w marcu 1940 roku, Zelik Lejman, miał grać na skrzypcach. Przygotowywano zatem koncert, ale w obozie określało się wszystkie imprezy w baraku „chudożestwiennoj samodiejatielnosti" mianem „przedstawienie".

Z tego tria koncertowego wypadałoby opisać bliżej „naszego" Wsiewołoda i Zelika Lejmana.

O Wsiewołodzie mówiło się „nasz", gdyż był w pewien sposób ulubieńcem obozu. W każdym baraku, do którego przychodził wieczorami w odwiedziny, witały go przyjazne okrzyki i zaproszenia na pryczę. Zrzucał zazwyczaj buszłat i paradował w koszulce marynarskiej w niebieskie pasy, mrugając zabawnie do wszystkich i uśmiechając się spod szczoteczkowatych wąsików. Wsiewołod był przywiązany do swoich żeglarskich wspomnień i uważał się za wielkiego barytona, ale nie dawał się uprosić do śpiewu z byle jakiej okazji, drocząc się i krygując jak rozkapryszona sukcesami artystka. „Nie, bratcy — mówił — śpiewać to ja będę nie kiedy wy zechcecie, ale kiedy sam zechcę. Głosu nie mam na zawołanie". Przerywały mu śmiechy. „No, to opowiedz coś, Wsiewołod. Podróżowałeś przecie po świecie niemało. A potem pokaż cyrk. Pokaż, Wsiewołod-duszko, cyrk" — prosili więźniowie przymilającymi się głosami.

Wsiewołod opowiadał chętnie o sobie, zaczynając zawsze od wczesnego dzieciństwa. Mimo że koloryzował i przesadzał, w jego opowiadaniach powtarzały się pewne stałe elementy, które można było od biedy uznać za kanwę prawdy. Pochodził z Mińska i jako dziecko ulicy tułał się od najmłodszych lat po przytułkach dla „biezprizornych", aby wreszcie, w osiemnastym roku życia, wylądować w leningradzkim pułku piechoty morskiej. Potem zabrano go do floty handlowej i odtąd Wsiewołod podróżował przez trzy lata po szerokim świecie. Opowiadał o dalekich krajach z nutą przechwałki w głosie i wydawało się, że w każdym z nich przeżył jakąś niezwykłą przygodę, ale choć plątał często miejsca i wypadki, jedno było pewne: swoje uwięzienie w Rosji zawdzięczał awanturze miłosnej w Marsylii w roku 1935. Wsiewołod wykradł się na ląd, spędził noc w lupanarze portowym i wrócił dopiero nad ranem na pokład. Nie to jednak go zgubiło; ostatecznie kapitan okrętu mógłby zatuszować jego romans, ale cóż — kiedy w pół roku później przyszła do Leningradu na adres i nazwisko Prastuszki kartka z Marsylii. Prostytutka francuska, z którą spędził noc, była widocznie komunistką i nie mogła pominąć tak wyjątkowej okazji, aby nawiązać kontakt z kimś „stamtąd". Nasz Wsiewołod zapłacił więc za swoją wyprawę marsylską podwójnie: wyrokiem dziesięcioletnim i syfilisem. Najbardziej jednak zdumiewające było to, że nie uważał bynajmniej swego losu za niezasłużony. „Życie, bratcy — kończył zawsze sentencjonalnie — jest jak fala morska. Utrzymasz się na grzbiecie — wyrzuci cię na bezpieczny brzeg; nie utrzymasz się — poniesie cię coraz dalej od brzegu".

„Cyrk" Wsiewołoda był czymś niezwykłym. Miał wytatuowane na całym ciele — na piersiach, ramionach, brzuchu i udach — postacie akrobatów, klownów i tancerek, obręcze i przeszkody, lwy, słonie i konie z pięknymi kitami na głowach i w zdobnej uprzęży. Uproszony

przez więźniów, rozbierał się do naga, siadał na ławce przy piecu i naciągając umiejętnie skórę to na brzuchu, to na udach, to na piersiach, to na bicepsach — kurcząc ją i rozkurczając — odgrywał w sposób genialny najprawdziwsze sceny cyrkowe: lwy przeskakiwały w powietrzu przez obręcze, konie brały przeszkody, słonie stawały na tylnych nogach, tancerki wiły się w nieprzytomnych skrętach ciała, błazny w wysokich spiczastych czapach i bufiastych szarawarach fikały kozły, piramidalnie ustawieni akrobaci stąpali ostrożnie na lince. Rozgrzawszy się, Wsiewołod stawał się prawdziwym artystą: zapominał o otoczeniu, poruszał szybko rękami jak wirtuoz biorący ostatnie akordy, skręcał się, wydłużał i kurczył, a jego krępa, szeroka postać wydawała się istotnie areną cyrkową, którą w nieprzytomnej orgii tratują ludzie i zwierzęta. Po dziesięciu minutach opadał ze znużenia, wycierał marynarską koszulką pot z całego ciała i wodził dokoła tryumfalnym spojrzeniem maleńkich chytrych oczu, poruszając przy tym jak chrabąszcz wąsikami i spłaszczonym nosem. W baraku długo rozbrzmiewały brawa — więźniowie przepadali za „cyrkiem" Wsiewołoda. „Artysta, artysta — mówili z przejęciem, podając mu usłużnie części ubrania, a czasem nawet kawałek chleba — u niego kawecze w sztanach".

Innego zupełnie typu artystą był Zelik Lejman. Znaliśmy go wszyscy z zakładu fryzjerskiego obok łaźni, gdzie urzędował ze starym golibrodą jercewskim, Antonowem. Mimo że urodził się i całe życie spędził w Warszawie, nie chciał nigdy rozmawiać z nami po polsku. Antonow określał go w poufnych rozmowach z więźniami jako „stukacza", czyli donosiciela, i wydawało się to o tyle prawdopodobne, że Zelik uszedł cudem losu swych komunizujących współwyznawców z Polski, których setkami, jak ławicę szprotek, zaganiano na powolną śmierć do lasu.

Po klęsce wrześniowej 1939 roku młodzież żydowska z dzielnicy północnej w Warszawie i z gett w małych

miasteczkach polskich zajętych przez Niemców ruszyła jak chmura wygnanego ptactwa nad Bug, zostawiwszy starszych na pastwę krematoriów i komór gazowych, a szukając dla siebie ocalenia i lepszego losu w „ojczyźnie proletariatu światowego", która zbliżyła się nagle na odległość kilkudziesięciu kilometrów od Warszawy. W miesiącach zimowych 1939–1940 Bug był na całej swej długości widownią niesamowitych scen, dających dopiero przedsmak tego, co się już nieuchronnie zbliżało, aby pogrążyć miliony mieszkańców Polski w pięcioletniej agonii powolnego konania. Niemcy nie zatrzymywali uciekinierów, ale pałkami i kolbami karabinów dawali im po raz ostatni na drogę poglądową lekcję swej filozofii „mitu rasy"; po tamtej stronie linii demarkacyjnej stali w długich futrzanych szubach, budionowskich „pikielhaubach" i z bagnetami zatkniętymi na karabinach strażnicy „mitu klasy", witając uciekających do Ziemi Obiecanej wędrowców spuszczonymi ze smyczy wilczurami lub ogniem z lekkiej broni maszynowej. Na dwukilometrowym pasie neutralnym wzdłuż Bugu obozowały w ciągu grudnia, stycznia, lutego i marca — pod gołym niebem, na mrozie, wietrze i śniegu — tłumy nędzarzy okrytych pierzynami i czerwonymi kołdrami, paląc w nocy ogniska lub dobijając się do pobliskich chat chłopskich z prośbą o pomoc i schronienie. Na podwórzach tworzyły się małe targi wymienne — za jedzenie i pomoc w przeprawie przez Bug płacono ubraniem, kosztownościami i dolarami. W każdej chałupie nadgranicznej mieściła się melina przemytnicza; ludność osiadła bogaciła się błyskawicznie i święciła swój nieoczekiwany tryumf. Trudno się było niekiedy przepchnąć wśród cieni, które snuły się pod oknami, zaglądając do wnętrza i stukając w szyby, a potem odchodziły — skurczone i jak gdyby wyżęte z nadziei — do swoich rodzinnych ognisk. Większość wracała pod okupację niemiecką, gdzie w ciągu następnych paru lat wyginęła

prawie ze szczętem w krematoriach Oświęcimia, Majdanka, Bergen-Belsen i Buchenwaldu, część jednak nie dawała za wygraną i czekała uporczywie sposobnej chwili. Czasem w nocy od bezkształtnej masy ludzkiego tłumu odrywał się jakiś cień, przebiegał zaśnieżonym polem kilkaset metrów i schwytany w reflektor z sowieckiej strony, padał od serii z karabinu maszynowego twarzą w śnieg. W tłumie rozlegały się wówczas rozdzierające okrzyki pomieszane z wybuchem spazmatycznego płaczu, dziesiątki rąk podnosiły się wraz z wąskimi płomieniami ognisk ku górze, jak gdyby wygrażały gniewnie niebu, po czym wszystko zamierało znowu w bezruchu i niemym wyczekiwaniu.

W ciągu tych paru miesięcy przez szczeliny w linii demarkacyjnej udało się przecież przecisnąć wielu uciekinierom i niegdyś polskie, a po wrześniu 1939 roku sowieckie miasta: Białystok, Grodno, Lwów, Kowel, Łuck i Baranowicze zaludniły się komunistyczną młodzieżą żydowską, która po wszystkim, co przeżyła na granicy, zdawała się szybko wracać do swoich snów o życiu wolnym od uprzedzeń rasowych. Rosjanie przyglądali się temu z początku obojętnie i rozpoczęli rekrutację na dobrowolny wyjazd w głąb Rosji. Ta branka miała charakter opcji: albo paszport sowiecki, albo powrót do miejsca zamieszkania. I wówczas stała się rzecz niezwykła: ci sami ludzie, którzy jeszcze parę miesięcy temu z narażeniem życia przekradali się do Ziemi Obiecanej, rozpoczęli teraz exodus w odwrotnym kierunku, do ziemi niewoli faraońskiej. Rosjanie przyglądali się i temu obojętnie, ale musieli zapamiętać sobie dobrze ten pierwszy egzamin lojalności kandydatów na obywateli Związku Sowieckiego. W czerwcu 1940 roku, po klęsce Francji i upadku Paryża, padł sygnał wielkiej czystki na Kresach Wschodnich i setki pociągów towarowych zaczęły uwozić do więzień, obozów i na zesłanie najautentyczniejszy lumpenproletariat żydowski z miast

i miasteczek polskich — robotników, rzemieślników, chałupników, pokątnych domokrążców. Pojawiwszy się w obozach, stali się najbardziej zapiekłymi przeciwnikami sowieckiego komunizmu, bardziej nieprzejednanymi niż starzy więźniowie rosyjscy i więźniowie cudzoziemscy. Z nie spotykaną u nikogo innego zaciekłością i pasją przesadzali teraz w swojej nienawiści, tak jak niegdyś przesadzali w swej miłości. Wychodzili do pracy tylko dlatego, by uniknąć rozstrzelania, ale w lesie grzali się cały dzień przy ognisku, nie wyrabiając nigdy powyżej pierwszego kotła, a w zonie grzebali wieczorami z głodu w śmietniku i umierali szybko w surowym klimacie Północy ze słowami nieprzytomnych przekleństw na ustach i gniewnym ogniem oszukanych proroków w oczach. Pędzono ich zazwyczaj do „karnej" Aleksiejewki, zostawiając u nas tylko takich jak Zelik Lejman — lojalnych i pokornych więźniów sowieckich. Zelik bowiem odsunął się od swoich rozgoryczonych współwyznawców i postanowił — również z pewną przesadą — rozpocząć w obozie nowe życie. Nie dość, że donosił — co ostatecznie nie było takie dziwne, skoro został fryzjerem obozowym po dwóch zaledwie tygodniach ogólnych robót — ale zabawiał nas podczas golenia przemówieniami pochwalnymi na cześć Stalina i zdobyczy Rewolucji Październikowej, obiecując sobie rychłe przedterminowe zwolnienie. Nie można mu było nic zrobić, bo donosił i rzadko wychodził do zony ze swojej komórki obok fryzjerni, którą dzielił z Antonowem, ale więźniowie go nienawidzili. Do pewnego stopnia ratował go również fakt, że pięknie grał na skrzypcach. Często wieczorami przystawaliśmy obok zakładu fryzjerskiego, zaglądając przez okno do wnętrza. Zelik stał przed lustrem i skłoniwszy łagodnie dużą głowę o bladej twarzy, odstających uszach i szklistych bezbarwnych oczach nad drewnianym pudłem skrzypiec, wydobywał z nich dziwnie piękne i dziwnie smutne melodie. Widział nas w lustrze

i wpatrywał się w nas bez ruchu wzrokiem przepełnionym nienawiścią i pogardą. Widzieliśmy niekiedy i my własne twarze i było coś przejmującego, a nawet tragicznego w tych krzyżujących się w lustrze spojrzeniach.

Poszedłem na drugie przedstawienie w obozie z panią Olgą i Natalią Lwowną. Mimo głodu barak „chudożestwiennoj samodiejatielnosti" był pełny. Więźniowie mieli twarze szare i obrzękłe, ale w ich oczach tlił się ognik zainteresowania. Tym razem jednak przemówienie inauguracyjne Kunina powitane zostało milczeniem. Głód jest ojcem sceptycyzmu i niedowierzania. Było coś odrażającego i rozjątrzającego w obietnicy, że staniemy się kiedyś „pełnoprawnymi obywatelami Związku Sowieckiego", gdy nie byliśmy pewni, czy nas ta łaska zastanie jeszcze przy życiu. Słuchaliśmy Kunina spokojnie i na pozór uważnie, powstrzymując się siłą od okrzyków protestu. W okresach najwyższego nasilenia głodu (głodni byliśmy w obozie zawsze, ale za „prawdziwy" głód uważaliśmy tylko taki stan, w którym na wszystko dokoła patrzy się jak na obiekt do zjedzenia) obie strony żyły w atmosferze zaostrzonej instynktownie czujności — byle desperacki odruch mógł spowodować wybuch, toteż więźniowie trzymali palce na ustach, a strażnicy na cynglach odbezpieczonych karabinów. Przypominało to trochę taniec wojenny dzikich, w którym przeciwnicy przedzieleni ogniskiem poruszają się godzinami w takt głuchej melodii bębna, przyglądając się sobie nawzajem z nieufnością i rosnącą zawziętością.

Wszyscy troje mieliśmy też oprócz głodu świeżo w pamięci inne przeżycia: pani Olga żegnała przed miesiącem odchodzącego etapem do Mostowicy męża, starego profesora Borysa Lazarowicza N., i musiała się domyślać, że ogląda go prawdopodobnie po raz ostatni w życiu; dla Natalii Lwowny zbliżał się dzień odejścia na ogólne roboty wobec „sokraszczenija sztata" w biurze obozowym; ja zaś zaledwie dziesięć dni temu dowiedzia-

łem się o tragicznej śmierci Miszy Kostylewa. Mimo to postanowiliśmy pójść na przedstawienie, żeby nie opuszczać tak niezwykłej okazji i — jak długo to było możliwe — trzymać się za wszelką cenę rutyny życia obozowego. Nawet Natalia Lwowna, która od ostatniej naszej rozmowy o Dostojewskim z kolei mnie unikała, dała się uprosić i przydreptała do baraku „chudożestwiennoj samodiejatielnosti" prowadzona pod rękę przez panią Olgę.

W baraku zgasły światła, a potem zapaliły się trzy lampki u stóp proscenium. Była to innowacja Kunina i powitaliśmy ją westchnieniem zachwytu. Widownia, pogrążona w ciemnościach i obrysowana niewyraźnie odblaskiem światła ze sceny, wyglądała teraz niesamowicie, jak załoga górnicza w zatopionej kopalni. Woskowe maski więźniów połyskiwały żółto na tle czarnych strzępów ubrań i ścian, a półotwarte usta zdawały się wzywać raczej ratunku lub powietrza niż występów scenicznych. W baraku było duszno, śmierdziało potem, ekskrementami, moczem i tym specyficznym, słodkawomdłym zapachem, jaki wydzielają ropiejące od cyngi rany i przesycone zgnilizną ubrania. Zaczerwienione z wycieńczenia i rozjarzone z głodu oczy widzów przywarły kurczowo do sceny. Przedstawienie się zaczęło.

Pierwsza wystąpiła Tania. W białej plisowanej sukni z koronkami, którą Kunin pożyczył za zoną, wyglądała ślicznie. W prawej ręce trzymała kolorową chusteczkę, powiewając nią chwilami w czasie śpiewu i chwytając ją zgrabnym ruchem w obie ręce, gdy gestykulacja piosenki tego wymagała. Jej drobna twarz z małym, zadartym do góry noskiem i olbrzymimi oczami, okolona grubym konturem czarnych włosów, była znowu — jak niegdyś pewnie, na deskach opery moskiewskiej — roześmiana i szczęśliwa. Zaczęła od pełnej wdzięku piosenki rosyjskiej o „toczkach", której cały urok polega nie tyle na treści, ile na bogatych wariacjach słownych, ale po pierwszych paru frazach z kąta „lesorubów" rozległy się

syki i głośne okrzyki „moskowskaja bladź". Tania przerwała i spojrzała na salę spłoszona — nieledwie ogarnięta paniką. W jej pięknych oczach zabłysły nagle łzy i zdawało nam się przez chwilę, że ucieknie ze sceny, nie dokończywszy nawet tej jednej piosenki. Wtem, zdjęta jakby desperackim postanowieniem, podjęła na nowo i usiłowała na próżno zagłuszyć swym cienkim głosikiem te dwa piekące, skandowane z uporem słowa. „Tania, Tanioczka — szeptała obok mnie z przejęciem Natalia Lwowna. Samsonow odwrócił się w kierunku kąta, z którego dochodziły okrzyki, i naraz wszystko ucichło. Tania śpiewała dalej, choć nie mogła już odzyskać tej swobody, z jaką zaczęła piosenkę o „toczkach". Sala wysłuchała jej do końca z obojętnym spokojem i kiedy Tania dygnęła wreszcie, skłoniwszy teatralnym gestem głowę na piersi, rozległy się bardzo nieśmiałe brawa. Biedna Tania! Przeżyła pewnie swoją porażkę boleśnie, śpiewała bowiem na scenie po raz pierwszy od roku 1937. Ale cóż, musiała zapłacić za to, że rzuciła więźnia dla człowieka wolnego...

Żywszy kontakt z widownią udało się dopiero nawiązać naszemu Wsiewołodowi. Wbiegł na scenę energicznym krokiem w swojej koszulce w niebieskie pasy i wypożyczonym na tę okazję za zoną marynarskim deklu ze złoconym napisem „krasnyj flot", przystanął, przyłożył prawą dłoń do czoła powyżej oczu i zaczął się rozglądać po sali, jak gdyby ze szczytu bocianiego gniazda szukał wzrokiem na horyzoncie zarysów dalekiego lądu. Rozległy się oklaski i śmiech. „Brawo, Wsiewołod — przekrzykiwali się nawzajem z uciechą więźniowie — choroszyj moriak, nastojaszczij moriak". Wsiewołod skłonił się głęboko i zaczął „nastawiać" głos, charcząc przeraźliwie, odkasłując i obmacując dwoma palcami lewej ręki krtań. Najwidoczniej był przekonany, że prawdziwy artysta nie rozpoczyna występu bez tych wstępnych ćwiczeń, i przestrzegał swych czynności zawodowych bardzo pilnie. Więźniowie spoglądali to na siebie, to na scenę

i kręcili z podziwu głowami. „Znajet swojo dieło Wsiewołod" — mówili szeptem.

Głosem, od którego zadrżały nagle ściany baraku, Wsiewołod zaśpiewał najpierw piosenkę z filmu sowieckiego *Dzieci kapitana Granta*. Ryczał wspaniale, gestykulując rękami i całym ciałem, ruszając wąsikami i przewracając oczami tak, że świeciły z daleka jak dwa srebrne talary. Widownia słuchała go z zapartym oddechem i nie tajonym zachwytem. Po piosence *Kapitan, kapitan, ułybnijties'* zaśpiewał parę innych, także marynarskich, których treści i nazw już dziś nie pamiętam, a każdą nagradzaliśmy równie hucznymi oklaskami. Wreszcie gestem wielkiego aktora poprosił o ciszę, zapowiadając na finał *Raskinułos' morie szyroko*. Z wyrazu jego twarzy wywnioskowałem, że w przeciwieństwie do poprzednich będzie to pieśń smutna. W baraku zapanowało milczenie. Wsiewołod stanął bokiem do widowni, wyciągnął przed siebie ręce, stał tak chwilę i nagle zaintonował głosem nabrzmiałym łzami:

Raskinułos' morie szyroko,
Igrajut wołny na niom,
Towariszcz, my jediem dalo-o-ko,
Podalsze od russkoj ziemli...

Gdy skończył i miał jeszcze po raz ostatni powtórzyć refren, odwrócił się błyskawicznie do widowni i uniósłszy niby więzienny prorok obie ręce do góry, zaprosił nas krótkim „wmiestie" do śpiewu. I stała się rzecz dziwna. Z kilkuset piersi wydarł się ni to śpiew, ni rozpaczliwy okrzyk:

Towariszcz, my jediem dalo-o-ko,
Podalsze od russkoj ziemli...

Więźniowie podnieśli się jak na dany znak z ławek i wpatrzeni w batutę rąk Wsiewołoda, powtarzali urzeczeni te dwie dziwne linijki. Na wszystkich twarzach malowało się wzruszenie, a w niektórych oczach za-

świeciły się nawet łzy. I choć śpiewane z takim przejęciem słowa miały w obozie wymowę przekleństwa rzuconego przez przykutych do galer niewolników „russkoj ziemli", brzmiała w nich jednocześnie nostalgia... Nostalgia za ziemią męki, głodu, śmierci i upokorzeń, za ziemią wiecznego strachu, twardych jak kamień serc i wypalonych płaczem oczu, za jałową ziemią pustynną, prażoną bezlitośnie przez gorące tchnienie szatana... I nigdy już potem nie zrozumiałem na krótko choćby tak wyraźnie jak wówczas, że więźniowie rosyjscy żyją poza granicami Rosji i nienawidząc jej, tęsknią do niej zarazem z całej siły swych zdławionych uczuć.

Nie ochłonęliśmy jeszcze w pełni z występu Wsiewołoda, a Natalia Lwowna siedziała obok mnie z twarzą ukrytą w dłoniach, gdy na scenie pojawił się w ciemnym ubraniu z wolności Zelik Lejman. Ukłonił się trochę sztywno i wyniośle, ale już po chwili, skoro tylko oparł na ramieniu skrzypce, położył na nich głowę i jedną ręką podniósł do góry smyczek, drugą zaś wpił się drapieżnie w szyjkę gryfu, jego rysy i ruchy nabrały miękkości, a skażoną nienawiścią twarz wygładził cień smutku. Nie pamiętam już dziś niestety, co grał, rozbolała mnie bowiem głowa, poczułem przejmujący głód i oparłszy jak Natalia Lwowna głowę na rękach, zapadłem w stan gorączkowego odrętwienia. Wiem tylko, że koncert Zelika Lejmana musiał trwać bardzo długo, bo słuchając płynących z oddali, jak gdyby zza obitej wojłokiem ściany, dźwięków skrzypiec, zdążyłem prześnić na jawie cały ten okres mego życia, gdy jako młody chłopiec przysłuchiwałem się z ulicy małego miasteczka polskiego śpiewnym lamentom i zawodzeniom nad zburzeniem Jerozolimy, które w każdy Sądny Dzień dochodziły zza okopconych szybek na pół zawalonej synagogi. Boże, jakimż ten Zelik Lejman był Żydem! Jak szlochał na swoich skrzypcach, jak się na przemian miotał i korzył, jak płonął zemstą niby krzak gorejący, uderzając gniew-

nie smyczkiem w struny, i jak się modlił żarliwie zwrócony twarzą ku tej stronie świata, w której na gruzach zburzonej Jerozolimy miała kwitnąć znowu gajami oliwkowymi Ziemia Obiecana — jak grał swój i swego narodu los, nie znający granic pomiędzy miłością a nienawiścią!

Ocknąłem się półprzytomny na dźwięk oklasków. Zelik Lejman kłaniał się powściągliwie, a na wąskich, zaciśniętych kurczowo ustach błąkał mu się pogardliwy uśmieszek. Więźniowie zaczęli się podnosić z ławek i klaszcząc jeszcze, przygotowywali się do wyjścia. Odwróciłem się w kierunku Natalii Lwowny — jej miejsce było puste. Ktoś z boku powiedział mi, że zasłabła i wyszła z teatru zaraz na początku koncertu skrzypcowego. Powłócząc ciężko nogami, przepychaliśmy się w zaduchu ku drzwiom, za którymi noc wiosenna zapaliła już wszystkie gwiazdy i pachniała ostrym, orzeźwiającym powiewem odwilży.

*

W parę tygodni po tym pamiętnym przedstawieniu — na krótko przed wybuchem wojny rosyjsko-niemieckiej — obóz obiegła wiadomość, że Natalia Lwowna usiłowała popełnić samobójstwo, przecinając sobie żyły obu rąk zardzewiałym scyzorykiem. Jej sąsiadka na pryczy zaalarmowała jednak na czas wartownię i Natalię Lwowną przeniesiono do szpitala, gdzie spędziła blisko dwa miesiące, wracając wolno i opornie do życia. Po wypisaniu ze szpitala nie wróciła już do biura rachmistrzów, ale pracowała przez pewien czas w kuchni obozowej, skąd ją wyrzucono za wynoszenie jedzenia więźniom. Potem posłano ją na bazę do cerowania worków, gdy ja pracowałem już na birży drzewnej. Widywałem ją często w zonie i pozdrawiałem jak dawniej z daleka, ale nie zamieniliśmy nigdy więcej ani słowa. Są tajemnice, które łączą, są jednak i takie, które w wypadku klęski na zawsze — dzielą.

Na tyłach *otieczestwiennoj wojny*

> Jeśli chodzi w ogóle o donosy, to zazwyczaj kwitną one w więzieniu. Donosiciel nie podlega w więzieniu najmniejszemu upokorzeniu; nie do pomyślenia nawet byłoby oburzać się na niego. Nie stronią od niego, przyjaźnią się z nim, tak że gdybyście zaczęli w więzieniu wytykać całą podłość donosu, nikt by was nie zrozumiał.
>
> Dostojewski, *Zapiski z martwego domu*

Partia szachów

Wybuch wojny rosyjsko-niemieckiej wprowadził zasadnicze zmiany w moim życiu: 29 czerwca zostałem wraz z innymi cudzoziemcami i rosyjskimi więźniami politycznymi usunięty z bazy żywnościowej i odesłany do nowo utworzonej brygady 57., która krótki okres lata miała spędzić na sianokosach w porębach leśnych, a na jesień i zimę przewidywana była jako brygada pomocnicza w pracach na tartaku i przy załadowywaniu okorowanych jodeł na otwarte platformy wagonów.

Ten ostatni tydzień spędzony na bazie pozwolił mi jednak zorientować się w rozmiarach zaskoczenia niemieckiego i nie ukrywanego popłochu psychicznego, z jakim straż i administracja obozowa przyjęły wybuch wojny. Pierwszy odruch miał w sobie coś z osłupienia i niesamowitego strachu; dopiero oświadczenie Churchilla, z którego wynikało, że „Anglia jest z nami, a nie przeciwko nam", przyniosło pewne odprężenie. Nasz konwojent przywitał je głośnym „urra!", podrzucając po kozacku futrzaną czapkę i karabin z bagnetem do góry, i zaczął nam opowiadać z podnieceniem, jak to „Anglia nigdy jeszcze nie przegrała wojny", zapomniawszy widać

ze szczętem, że jeszcze parę dni temu ta sama Anglia była maleńką wysepką, którą „Niemcy zarzucą czapkami". Podobny zwrot dokonał się również — w znacznie inteligentniejszej oczywiście formie — w tonie radia sowieckiego. Komunikaty i komentarze polityczne, przepełnione do niedawna jeszcze dziką *Schadenfreude* z okazji każdego sukcesu niemieckiego na Zachodzie, wezbrały teraz jak ropiejący wrzód jadem antyniemieckim i przemieniały się w czułe gruchanie, ilekroć mowa była o Anglii i państwach okupowanych. Tak wyglądała zmiana partnerów w tańcu — na zewnątrz. W istocie pierwsze odgłosy nadciągającej burzy usłyszeliśmy już wcześniej. Nie uszedł naszej uwagi komunikat TASS z pierwszych dni czerwca, dementujący „w jak najbardziej kategorycznej formie rozsiewane na Zachodzie pogłoski o przeniesieniu paru dywizji syberyjskich z Dalekiego Wschodu nad Bug"; komunikat stwierdzał spokojnie, że wspomniane wyżej ruchy wojsk odbywają się w ramach normalnych manewrów letnich, i przypominał dalej, że dobrosąsiedzkie stosunki rosyjsko-niemieckie, przypieczętowane paktem sierpniowym, przetrwają niezawodnie podłe intrygi imperialistycznych podżegaczy wojennych na Zachodzie. Inżynier ceramik Sadowski, towarzysz młodzieńczych lat Lenina i Dzierżyńskiego, niegdyś wicekomisarz lekkiego przemysłu w jednym z rządów porewolucyjnych, nachylił się do mnie i szepnął mi na ucho, że zaprzeczenia TASS są dla inteligentnych ludzi w Rosji tym, czym uczciwe doniesienia prasowe w Anglii lub Francji. Toteż jego wybuch wojny nie zdumiał zupełnie; co się zaś tyczy dalszego jej biegu i wyniku, wstrzymał się z wyrażeniem swego poglądu aż do upływu pierwszego miesiąca walk na froncie.

Przemówienia radiowego Stalina, wygłoszonego nazajutrz po ataku niemieckim na Rosję, wysłuchaliśmy na bazie, stojąc przed drewnianą dyżurką urzędnika intendentury kargopolskiej. Była to mowa złamanego starca;

głos mu się zacinał, przechodził w dramatyczne akcenty, rozbrzmiewał pokornym ciepłem we wszystkich frazach patriotycznych. Staliśmy w milczeniu, z opuszczonymi głowami, ale widziałem nieomal, jak gorąca fala radości podpływa do wszystkich grdyk, dławi za gardła spazmem nadziei, zasnuwa zmętniałe od głodu i zmęczenia oczy bielmem półprzytomnej ślepoty niewolników, dla których każda ręka otwierająca wrota kaźni jest ręką Opatrzności. W pierwszych tygodniach wojny mówiło się o niej wśród więźniów mało i ostrożnie, ale prawie zawsze tak samo: idą naprzód! I jest może miarą upodlenia i rozpaczy, do jakiej doprowadził swe ofiary system nowoczesnego niewolnictwa, fakt, że nie licząc tysięcy prostych Rosjan, Ukraińców i „nacmenów", dla których Niemcy byli naturalnym sojusznikiem w walce ze znienawidzonymi kołchozami, bez mała wszyscy komuniści europejscy i rosyjscy, ludzie światli, wykształceni i mądrzy, oczekiwali z dnia na dzień z podnieceniem i zniecierpliwieniem przyjścia hitlerowskich oswobodzicieli. Myślę z przerażeniem i głębokim wstydem o Europie przedzielonej na pół Bugiem, w której po jednej stronie miliony niewolników sowieckich modliły się o wyzwolenie z rąk armii hitlerowskiej, a po drugiej miliony nie dopalonych ofiar niemieckich obozów koncentracyjnych pokładały ostatnią nadzieję w Armii Czerwonej.

Ludzie wolni dostępni mojej obserwacji, to znaczy nasi stróże obozowi, reagowali, rzecz prosta, inaczej. Dla nich cały problem sprowadzał się do pytania: *Quis custodiet custodes?* Od pierwszego uczucia zwierzęcego niepokoju o los „socjalistycznej ojczyzny", który u Rosjan — moim zdaniem — ma charakter organicznego kompleksu niższości wobec Niemców, przeszli do niepokoju o sprawy bardziej bliskie i uchwytne, bo o los własny. Chodziło głównie o to, czy w związku z wymaganiami frontu nie zacznie się w obozie „sokraszczenije sztata", innymi słowy, czy nie wypadnie zamienić wygodnej i spokojnej

posady na dalekiej Północy na niepewną tułaczkę po okopach. Po dwóch tygodniach wojny te obawy rozwiały się w sposób jak najbardziej nieoczekiwany. Było coś zdumiewającego i nieprawdopodobnego w tym nowym fakcie: komunikaty wojenne wymieniały codziennie nazwy miejscowości przyfrontowych położonych coraz dalej na wschód, a do Jercewa przybywały codziennie świeże kontyngenty młodych i rosłych żołnierzy NKWD przeznaczonych do wzmocnienia załogi obozów nad Morzem Białym, w odległości trzystu kilometrów od Archangielska! Dwudziestoosobowe brygady więźniów wychodziły teraz do pracy pod eskortą dwóch uzbrojonych konwojentów*, a pierwsza danina krwi, jaką obóz złożył na ołtarzu zagrożonej ojczyzny, polegała na wypowiedzeniu bezwzględnej walki potencjalnym wrogom wewnętrznym; usunięto wszystkich „politycznych" z odpowiedzialnych stanowisk technicznych, zastępując ich ludźmi wolnymi, wypędzono wszystkich Niemców nadwołżańskich z biur obozowych do brygad leśnych (gdzie zażywali zresztą szacunku wśród więźniów rosyjskich jako przyszli rządcy tego kraju), odesłano do innych brygad wszystkich więźniów cudzoziemskich i politycznych z bazy żywnościowej, aby zapobiec zatruciu artykułów spożywczych przeznaczonych dla spółdzielni na wolności, podwojono w trybie doraźnym wyroki wszystkim więźniom podejrzanym o szpiegostwo na rzecz Niemiec, wstrzymano bezterminowo, „aż do odwołania", zwalnianie więźniów politycznych, którzy kończyli właśnie lub mieli wkrótce skończyć odsiadywanie kary, zamknięto w izolatorze obozowym paru oficerów polskich, z natury rzeczy posądzanych o sympatie proniemieckie. Obóz odetchnął, a ustępująca początkowo w popłochu fala patriotyzmu wróciła na swoje dawne miejsce, jeszcze bardziej grzywia-

* Jeśli przyjąć, że w Rosji było podówczas 20 milionów więźniów, to operacja musiała kosztować władze sowieckie około miliona doborowych żołnierzy, zupełnie bezużytecznych dla frontu.

sta, groźna i wezbrana. Nie bez wpływu na poprawę samopoczucia patriotycznego załogi obozu był także drobny fakt, którego mimowolnym świadkiem stałem się w ostatnim dniu pobytu na bazie. Wyładowaliśmy mianowicie wagon wieprzowiny litewskiej w pięknych opakowaniach jutowych, ostemplowanych niemieckim znaczkiem importowym. Transport nie zdążył już widać do adresata i po długich podróżach dobił do spokojnego portu w Jercewie. Został też, dla upamiętnienia wybuchu „otieczestwiennoj wojny", rozdzielony sprawiedliwie między „spiecłarok" i ubogi sklepik w pobliżu zony.

Miesiąc minął i nic się nie działo. Sadowski, zapytany na sianokosach o swoje przewidywania na przyszłość, rozłożył na trawie parę patyków, dwa wiechcie siana i garstkę różnokolorowych jagód i rozpoczął interesujący wykład. Jego zdaniem decydujące były pierwsze cztery tygodnie walk. Słuchając oficjalnych komunikatów sowieckich, należało mieć przed oczyma pamięci mapę Rosji i zadawać sobie pytanie, w jakim tempie posuwa się naprzód pochód niemiecki. Jeżeli w bardzo szybkim — to źle, jeżeli w przeciętnie szybkim — to nic groźnego. Klęska Rosji byłaby bowiem możliwa tylko w wypadku, gdyby porażkom na froncie towarzyszyły oznaki wewnętrznego rozkładu na tyłach. Otóż jedynie Armia Czerwona, cofająca się w takim popłochu i tempie, że musiałyby ją powstrzymywać przytknięte do pleców bagnety wojsk NKWD, mogłaby — wzięta w dwa ognie — obrócić się przeciwko swym rodzimym prześladowcom i zapoczątkować wojnę domową w Rosji. Nic podobnego nie wchodziło w grę. Wojska sowieckie cofały się we względnym porządku („w organizowannom poriadkie wieszczej") i mogły się tak cofać aż do Uralu, gdzie od lat budowano z olbrzymim nakładem środków technicznych i ofiar ludzkich (uralskie obozy pracy!) zapasowy ośrodek przemysłu wojennego. W jakiej sytuacji i przy jakich awantażach strategicznych Rosja odniesie osta-

teczne zwycięstwo nad Niemcami, zależy od taktyki wojenno-politycznej jej zachodnich sprzymierzeńców.

Przyjąłem ten pogląd za swój, wydał mi się bowiem logiczny, w mojej sytuacji osobistej natomiast zaszły od czasu podpisania paktu polsko-sowieckiego i ogłoszenia amnestii dla więźniów polskich w Rosji zasadnicze zmiany. Mogłem już teraz pragnąć klęski sowieckiej tylko dla zaspokojenia uczucia zemsty; nie dyktował mi jej zaś ani zdrowy rozsądek, ani uczucia, jakie żywiłem dla Niemców. Znalazłem się tedy wśród 15 do 20 najwyżej więźniów na dwa tysiące w Jercewie, którzy na przekór trwającym jeszcze ciągle klęskom sowieckim na froncie wschodnim mieli odwagę twierdzić, że Rosja nie ulegnie. Miałem też za to później — jak się dalej okaże — drogo zapłacić w... Trzecim Oddziale NKWD obozów kargopolskich.

Sytuacja nas, Polaków, zmieniła się po pakcie Sikorski—Majski i amnestii w sposób aż nadto widoczny. Przed wybuchem wojny rosyjsko-niemieckiej uważano nas za „antigiermanskich faszystow" i tchórzów, od końca czerwca do końca lipca za proniemieckich faszystów i nie takich znowu tchórzów, w pierwszych dniach sierpnia za bojowników wolności i sojuszników. Nasz nowy konwojent z 57. brygady, który — jak mi mówiono — nie szczędził dawniej Polakom obraźliwych wymówek za klęskę wrześniową i „porywanie się z motyką na słońce", poklepał mnie na wieść o amnestii po ramieniu i rzekł: „Mołodiec, budiem wmiestie bit' Giermancew". Nie w smak mi było to nagłe zbratanie z dwóch względów: po pierwsze więzień nie przebacza nigdy swemu dozorcy, a po drugie obracało ono przeciwko mnie współtowarzyszów niewoli, którzy nie urodzili się na swoje nieszczęście Polakami, lecz do których przywiązałem się był wielokrotnie głębiej i serdeczniej niż do własnych rodaków. Po amnestii bowiem Rosjanie i cudzoziemcy odsunęli się od Polaków z niechęcią, uważając ich odtąd za przy-

szłych współuczestników w złowrogim dziele obrony więzień i obozów sowieckich.

W grudniu 1941 roku Stalin przemówił po raz drugi. Nie zapomnę nigdy tego twardego głosu, tych słów wybijanych jak gdyby kamienną pięścią, tego przeszywającego i zimnego tonu człowieka o nerwach ze stali. Mówił, że ofensywa niemiecka zatrzymana została na przedpolach Moskwy i Leningradu, że dzień zwycięstwa nad niemieckimi barbarzyńcami jest bliski i że lwia część zasługi za ten najwspanialszy od czasów Kutuzowa tryumf oręża rosyjskiego spada nie tylko na bohaterskich krasnoarmiejców, lotników, marynarzy, partyzantów, robotników i kołchoźników, ale i na tych, którzy czuwali nad „uprocznienijem tyła wtoroj otieczestwiennoj wojny". Zebrani w baraku więźniowie słuchali tego przemówienia z wyrazem beznadziejnej rozpaczy w twarzach, a ja przypomniałem sobie teorię Sadowskiego i posiłki NKWD przysłane nazajutrz po wybuchu wojny na odsiecz załodze obozów kargopolskich. Tak, to my tutaj byliśmy częścią „uprocznionnogo tyła wtoroj otieczestwiennoj wojny".

*

Takie jest (być może, nieco za szerokie) tło polityczne wypadku, jaki rozegrał się w pierwszych dniach lipca 1941 roku w baraku technicznym w Jercewie. Nazwa „barak techniczny" wymaga jednak również krótkiego choćby wyjaśnienia. Mieścił się on w Jercewie na zakręcie ścieżki prowadzącej z naszego baraku na wartownię i zamieszkany był wyłącznie przez więźniów, zatrudnionych w obozie według kwalifkacji zawodowych z wolności. Wśród szczęśliwych wybrańców losu przeważali inżynierowie i technicy z wyższym wykształceniem, ale nie brakło też paru humanistów, którzy w drodze wyjątku mieli prawo piastować podrzędne stanowiska w dziale

administracji i gospodarki obozowej. Piszę „wybrańcy losu", bo przydział do grupy technicznej dawał pewne przywileje mieszkaniowe, odzieżowe i żywnościowe, których pozbawieni byli — rzecz jasna — ludzie z wyższym wykształceniem, odesłani z braku odpowiednich wakansów do ogólnych baraków i na ogólne roboty. Barak techniczny urządzony był znacznie przyzwoiciej niż wszystkie inne, z odstępami pomiędzy indywidualnymi pryczami i dwoma solidnymi stołami na skrajach, a jego mieszkańcy otrzymywali poza nieprzemakalną kurtką z płótna żaglowego i parą prawdziwych butów juchtowych z cholewami specjalny kocioł „iteerowski" (ITR — inżeniersko-tiechniczeskije raboczije), równy co do ilości „stachanowskiemu", ale wzmocniony łyżką tłuszczu roślinnego i porcją surówki „cyngotnej". W ubogiej strukturze społecznej obozu „iteerowcy" byli więc arystokracją drugiego stopnia, ograniczoną w sprawowaniu władzy nad współwięźniami bardziej niż elita „urków", która obsiadła organy wykonawcze, niemniej jednak wyniesioną wyraźnie przywilejami i stylem życia ponad szarą masę proletariatu niewolniczego — czymś w rodzaju najemnej inteligencji despotycznego reżimu wojskowego. Oczywiście wszyscy — nie licząc lejtnanta Armii Czerwonej Zyskinda, naczelnika więzienia wewnętrznego w zonie (izolatora), który dostał dwa lata za kradzież pieniędzy z kasy pułkowej — mieli wyroki dziesięcio- lub piętnastoletnie za działalność kontrrewolucyjną i z chwilą wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej zdublowani zostali na swoich stanowiskach przez tępych nieuków z wolności. Do „kotła iteerowskiego" przywiązany był w zasadzie cichy warunek *sine qua non*, od którego mogli się uchylić jedynie wybitni specjaliści nie do zastąpienia w swej dziedzinie — obowiązek donosu. Nikt się temu nie dziwił i nikogo to nie gorszyło — ostatecznie dzień następuje zawsze po nocy. Co środę wieczorem przychodziła do zony przystojna Rosjanka z grubą teczką,

„starszyj lejtienant NKWD" Strumina, i niby ksiądz, przybyły do odległej wioski dla odprawienia cichej mszy, pozdrawiała wszystkich przechodzących więźniów uprzejmym „zdrawstwujtie", które brzmiało jak „pochwalony", aby w chwilę potem rozłożyć na stole w maleńkim pokoiku przylegającym do jednego z baraków swój przenośny konfesjonał.

Miałem w baraku technicznym wielu znajomych. Dystyngowany inżynier hydrolog o twarzy starego arystokraty angielskiego, Fienin, wypytywał mnie często z sympatią o stosunki panujące w Polsce; z wiedeńczykiem, inżynierem Weltmannem, grywałem w szachy; Ormianin, inżynier konstruktor Machapetian, był mi przyjacielem bliższym niż brat; historyk Jerusalimskij, niegdyś pogromca profesora Tarlego, a teraz skazaniec nie rozstający się ani na chwilę z pękatym *Napoleonem* swego szczęśliwszego oponenta*, zbliżył się do mnie przez Machapetiana. Jedynie nierozłączna para „dwóch gorkistów", lekarz wiedeński, dr Loevenstein, i konstruktor lotnisk, inżynier Mironow, witała mnie i żegnała zawsze pełnym rezerwy i powściągliwości pozdrowieniem. Nazywano ich tak w obozie, parafrazując znaną piosenkę sowiecką o „trzech tankistach", bo dostali obaj po dziesięć lat za Gorkiego. Dr Loevenstein, dobroduszny grubas w złotych okularach, był lekarzem przybocznym wielkiego pisarza rosyjskiego w okresie ostatnich dni jego życia i swoją obecnością w obozie zadawał kłam wszelkim pogłoskom o otruciu starego barda rewolucji październikowej; milczący i zamknięty Mironow natomiast miał nieszczęście zbudować lotnisko, z którego wystartował niefortunnie, rozbiwszy się po paru minutach lotu, olbrzymi samolot sowiecki nowego typu, „Gorkij".

---

* Wiktor Weintraub wspomina o nim w odbitce z „Tek historycznych" pt. *Blaski i nędze dziejów życia prof. Tarlego.*

Miałem dzięki Machapetianowi dozwolony wstęp do baraku technicznego o każdej porze dnia i nocy, toteż korzystałem z niego — nadużywając może nawet trochę praw gościnności — prawie co wieczór, tak bardzo byłem spragniony ludzkiej rozmowy, uprzejmych zwrotów grzecznościowych i tej szczególnej atmosfery sarkastycznego szyderstwa, nieodłącznej przecież od każdego większego skupiska inteligenckiego. Muszę tu bowiem dodać, że człowiek zmęczony upiornym absurdem życia sowieckiego mógł znaleźć chwilę wytchnienia i odprężenia nerwowego tylko w baraku technicznym. Jego mieszkańcy uważali wszystko to, co się z nimi i obok nich działo, za kiepski żart sceniczny, w którym bandyci grają rolę policjantów, a policjanci siedzą pod ścianami w kajdankach na rękach. Jedynie w antraktach głodu i wzmożonego terroru obozowego śmiechy w baraku cichły, ustępując miejsca niespokojnym szeptom kuluarowym na temat dalszego biegu tej nazbyt już długo trwającej tragifarsy. Nie bardzo więc mogłem się domyślić, o czym donoszą Struminej ci ludzie, z których każdy powiedział już swemu sąsiadowi na ucho tyle, ile trzeba, aby w normalnych warunkach na wolności zarobić bez trudu na drugi wyrok.

Tak oto, opisawszy już w tym opowiadaniu szachownicę i rozstawiwszy na niej figury, mogę nareszcie przystąpić do królewskiego gambitu. W upalny wieczór lipcowy siedzieliśmy nad szachami przy jednym stole — Loevenstein z Mironowem i ja z Weltmannem. W baraku było cicho, paru „iteerów" spało, Machapetian i Jerusalimskij pisali na kolanach listy, a Zyskind czytał książkę z nogami założonymi na półkę górnej pryczy. Weltmann ogrywał mnie zawsze niemiłosiernie, ale lubił ze mną grać dlatego, że jak każdy partacz obmyślałem na głos po niemiecku parę ruchów naprzód, co mu dawało złudzenie, że siedzi w niedzielę w swoim *Kaffehausie* i studiuje uważnie z przyjaciółmi kącik szachowy w „Wiener Zeitung". Punktualnie o północy głośnik radiowy został

włączony i zaczęły się „poslednije izwiestija". Przerwaliśmy grę dopiero wtedy, gdy drzwi baraku otworzyły się z trzaskiem i na salę wtoczył się, czepiając się błądzącymi rękami prycz, młody technik, którego nazwiska już dzisiaj nie pamiętam. Spiker skończył właśnie odczytywanie rozkazu dziennego naczelnego dowództwa i przeszedł do komunikatów z frontu. Miał do zakomunikowania tylko tyle, że samoloty sowieckie strąciły trzydzieści pięć samolotów nieprzyjaciela, a piechota odbiła w brawurowym przeciwnatarciu dwie małe wioski na Ukrainie. Młody technik słuchał tego oparty o pionową belkę pryczy, z nogą założoną na nogę. Gdy głośnik został wyłączony, otrząsnął się jak topielec wyciągnięty z wody i z desperacką zawziętością pijaka krzyknął na cały głos:

— Ciekawe byłoby usłyszeć, ile naszych samolotów strącili Niemcy!

W baraku zapanowała taka cisza, że słyszałem przesunięcie figury na szachownicy „dwóch gorkistów" i szelest papieru listowego Machapetiana. Tylko Zyskind zamknął gwałtownie książkę, zeskoczył z pryczy i poszedł w noc. Młody technik odepchnął się silnie od belki, i zwaliwszy się z łoskotem na ławkę obok naszego stołu, oparł rozkudłaną głowę na rękach. Z sąsiedniej szachownicy spadła od nagłego uderzenia łokci o stół jedna figura; podnosząc ją z ziemi, Mironow syknął cicho:

— Jak się, idioto, upijesz, to zatkaj sobie chustką gębę!

Pijany podniósł na chwilę głowę i machnął lekceważąco ręką. Po kwadransie zabrało jego i Machapetiana dwóch oficerów z Trzeciego Oddziału.

Graliśmy dalej, jak gdyby nic nie zaszło, przerywając tylko na chwilę, aby wysłuchać sprawozdania Machapetiana, który łamiącym się głosem opowiedział nam, jak w obecności Zyskinda musiał potwierdzić i podpisać tekst słów wypowiedzianych przez oskarżonego. Około pierwszej wrócił Zyskind i nie patrząc nikomu w oczy, położył się w tej samej pozycji na pryczy, z twarzą

zasłoniętą otwartą książką. Weltmann miał właśnie szachować po raz drugi, gdy za zoną rozległ się krótki wystrzał i utonął zaraz w wełnistych pakułach nocy. Spojrzałem na jego twarz z uczuciem duszności i mdłości: była zmięta, postarzała, skurczona strachem.

— Trybunał wojenny — szepnął cicho, trzymając w palcach za grzywę drewnianego konia, gotowego do skoku.

— Poddaję partię — rzekłem, roztrącając drżącą ręką figury na szachownicy.

Zyskind czytał nieporuszony, a nasi sąsiedzi grali dalej: Loevenstein wiszący nad szachownicą jak drapieżny ptak, a Mironow rozparty na łokciach przystawionych do brzegu stołu, z głową wciśniętą głęboko w ramiona.

— Szach! — wykrzyknął tryumfalnie Loevenstein.

— Mój drogi, ja nie zauważyłem tego laufra — bronił się Mironow, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

— Otóż to. Właśnie dlatego — mat. Trzeba mieć oczy na właściwym miejscu, kiedy się gra w szachy.

Po czym odwrócił się w kierunku pryczy, na której leżał Zyskind, i przecierając chusteczką złote okulary, powiedział z ledwie dostrzegalnym błyskiem sarkazmu w mądrych oczach:

— Słyszeliście „poslednije izwiestija", towarzyszu Zyskind? Z nas wszystkich tylko wy jedni macie szansę stanąć wkrótce w szeregach obrońców ojczyzny i... (tu przerwał) szczerze wam tego zazdroszczę. Co się zaś tyczy chorych z izolatora, to przyprowadźcie mi ich jutro do ambulatorium po apelu porannym.

Zyskind odchylił książkę i skinął głową na znak zgody.

Sianokosy

Droga na sianokosy wiodła obok bazy wąską i krętą ścieżką przez podmokłą porębę okalającą obóz, potem drewnianym torem przez młody zagajnik, znowu ścieżką

przez trzy świeże poręby w pobliżu rozwalonej i butwiejącej szopy, która służyła kiedyś za skład narzędzi, skokami przez kilkadziesiąt podkładów na torfowisku i drewniany mostek nad strumieniem, kluczącym marszem przez wykroty w następnym zagajniku i wreszcie — na olbrzymią polanę, otoczoną nie tkniętym jeszcze lasem, gdzie nazajutrz po ustąpieniu śniegów podnosiła się ku słońcu szeroka i ostra trawa mokradłowa, sięgająca niskiemu człowiekowi do pasa.

Mój Boże, sianokosy! Czy mogłem był przypuszczać, gdy jako młody chłopiec uczyłem się dla zabawy kosić w Kieleckiem, że będę kiedyś zarabiał w ten sposób na życie... A przecież wspominam dziś ten okres ze wzruszeniem i radością, bo nigdy już potem nie zaznałem równie szczęśliwego, jeśli chodzi o intensywność i świeżość, przeżycia, które pisarze nazywają wewnętrznym zmartwychwstaniem. Od prawie roku wyszedłem po raz pierwszy tak daleko za zonę i jak niegdyś listków trawy na jedynym spacerze w więzieniu grodzieńskim, tak teraz dotykałem z bijącym sercem kwiatów, drzew i krzewów. Mimo że droga była ciężka i długa (po sześć kilometrów w każdą stronę), szedłem o świcie w brygadzie wyciągniętej gęsiego lekkim i sprężystym krokiem, a wieczorem wracałem do zony opalony, spracowany, nasycony powietrzem, jagodami i krajobrazem, przesiąknięty zapachem lasu i siana — jak giez chwiejący się na cienkich nóżkach, gdy się opije końską juchą.

Na czele brygady 57. stanął stary cieśla Iganow, ten sam, który modlił się zawsze do późnej nocy na pryczy, człowiek cichy, spokojny, uczynny, rozkochany do szaleństwa w robocie gospodarskiej. Nie korzystał nigdy z przywilejów brygadierskich, lecz wpisawszy szybko na drewnianą deszczułkę nazwiska swoich podwładnych, chwytał za kosę, stawał razem z nami w szeregu i dopiero na godzinę przed końcem zaczynał obliczać równymi krokami wymiary skoszonych łanów, aby je przemnożyć

wieczorem w baraku przez współczynniki norm. Obaj konwojenci drzemali najczęściej w dwóch kopkach siana na skrajach polany, tak że czasem widać było z daleka tylko srebrne iglice bagnetów, zatknięte na szczytach stogów obok zaostrzonych wierzchołków żerdzi umacniających i tradycyjnych gałązek zielono-czerwonej jarzębiny. Żyło nam się więc zacisznie i dobrze. Wychodziliśmy do pracy dość wcześnie, bo w zonie szarzało jeszcze, a na opalowym niebie dogasały ostatnie gwiazdy. Po godzinnym marszu niebo przybierało już kolor konchy z masy perłowej, błękitno-różowej na obrzeżach, a białej w środku. Bywało, że wchodząc na polanę, płoszyliśmy stado pasących się łosi i długo jeszcze potem słyszeliśmy tętent ich racic, zarzucając z powrotem widłami na stogi rozwłóczone i stratowane siano. Raz nawet Iganow pokazał nam na skraju lasu duże legowisko wymoszczone w mchu, na którym walały się kłaki sierści i grona nie dojedzonej jarzębiny, i przytknąwszy ostrożnie nos do parujących ekskrementów, upewniał nas, że jeszcze pół godziny temu barłożył się tu olbrzymi niedźwiedź archangielski. Ledwie wzeszło słońce za lasem, ustawialiśmy się na polanie jak do obławy i szerokimi zakosami kładliśmy falujące łany na boki, zostawiając za sobą długie szeregi skoszonej trawy, równe jak skiby świeżo zoranej ziemi. Około dziewiątej przerywaliśmy na kwadrans pracę; jedyna osełka wędrowała z rąk do rąk i szorstkim podbrzuszem ślizgała się łukowatymi zakolami po błyszczących w słońcu brzeszczotach kos. Z dźwiękiem gwizdka tartacznego w południe rozchodziliśmy się parami lub trójkami pod stogi siana i zjadłszy trochę ocalonego od wczoraj chleba z jagodami i jarzębiną, zasypialiśmy od razu snem tak kamiennym, że zrozpaczony Iganow musiał nas budzić o pierwszej gwałtownymi szarpnięciami za nogi.

Lato północne jest krótkie, upalne i przesycone trującymi wyziewami moczarów i bagien. W ciągu paru godzin południowych niebo — szkliste o świcie i wzdęte

jak niebieski żagiel pod wieczór — marszczy się i drży w rozżarzonym powietrzu jak zetlała cynfolia ze srebra nad płomieniem świecy. Wiele razy, zaalarmowani słupami czarnego dymu za zagajnikiem, biegliśmy z konwojentami na pobliskie poręby gasić pożar torfu, suchego mchu i nie uprzątniętego drzewa, wzniecony czerwoną głownią słoneczną. W pierwszych dniach września zaczynają się na Północy ulewy i trwają cały miesiąc. Pamiętam wzruszenie, z jakim ostatniego dnia sianokosów biegłem wraz z całą brygadą i konwojentami do walącej się szopy przydrożnej, aby się schronić przed burzą z deszczem i gradobiciem. Przemoczeni do koszul staliśmy pod spróchniałym dachem, o który rozpryskiwały się z trzaskiem krople gradu, za oknami huczała ciepła, jesienna burza, targane wiatrem okiennice zamykały się i otwierały ze zgrzytem na zardzewiałych zawiasach, odsłaniając na okamgnienie zieloną porębę, zgięte wierzchołki drzew i niebo pocętkowane różowymi błyskawicami. Grzebałem kijem w popiele i czułem, jak wraz ze ściekającą z czoła i policzków wodą napływają mi do ust gorzkie łzy. Wystarczyło odwrócić się plecami do dwóch postaci wspartych na karabinach, aby poczuć się wolnym. A przecież sianokosy się kończyły, minął już miesiąc od ogłoszenia amnestii, setki Polaków wychodziły codziennie na wolność, a ja wracałem po raz ostatni z otwartej przestrzeni, gdzie czuje się smak życia, do odrutowanej zony, gdzie sypia się na jednym barłogu ze śmiercią.

Na sianokosach zaprzyjaźniłem się ze starym bolszewikiem, Sadowskim. Polubiłem go za jakąś wewnętrzną prawość, fanatyczną solidarność w pożyciu więziennym i inteligencję ostrą jak brzytwa — wybaczając mu nawet to, że posługiwał się nią najchętniej, gdy chodziło o rozcięcie przysłowiowego włosa na czworo. Sadowski pozostał bowiem komunistą, a raczej człowiekiem, który jest już za stary, aby się cofnąć, i dochowuje ślepo wiary

swoim dawnym przekonaniom, lękając się skończyć tak jak ów wieczny młodzieniec z bajki, co złamawszy śluby czarnoksięskie, obrócił się natychmiast w kupę trupich szczątków. „Gdybym i w to przestał wierzyć — mówił mi często — nie miałbym po co żyć". „To" oznaczało w praktyce głębokie przywiązanie do tradycji „starej gwardii" — głównie Lenina i Dzierżyńskiego — oraz błysk nienawiści w oczach, gdy mowa była o Stalinie. Lenin — opowiadał mi — ostrzegał często przed śmiercią swych starych towarzyszy, że „ten chytry Gruzin, który lubił przepieprzony i przesolony szaszłyk barani, przesoli również i przepieprzy Rewolucję" *. Ze skąpych jego napomknień o życiu osobistym wiedziałem tylko tyle, że ma dorosłego syna we Władywostoku, ale nic o nim nie wie od chwili aresztowania, to jest od roku 1937, a na pytanie o żonę odpowiadał zawsze bolesnym skurczem twarzy i przymknięciem oczu. Przypuszczam, że zajmował istotnie przed aresztowaniem dość wysokie stanowisko w hierarchii partyjnej, bo raz opowiadał mi o fałszerstwach statystycznych w Rosji, które doprowadziły w roku 1930 do zupełnego wyginięcia paru narodowości (między innymi Polaków), a kiedy indziej rozwodził się z ożywieniem, jak w czasie zadyszki historyków, zmęczonych pościgiem za zmianami w oficjalnej orientacji historiozoficznej, przegadał całą noc z Jemieljanem na temat przypuszczalnego kursu sowieckiego rewizjonizmu historycznego w najbliższej przyszłości. Na pytanie, o jakiego to chodzi Jemieljana, odpowiedział z prostotą i lekkim zdziwieniem, że o Jarosławskiego — wodza Ligi Antyreligijnej w Sowietach. Sadowski był opętany demonem logicznego rozumowania — wszystko, co dawało się logicznie wytłumaczyć, było dla niego tym samym słuszne i godziwe. Nieraz w zaślepieniu i jakimś obłędnym

* To powiedzonko, bardzo popularne w Rosji wśród starych komunistów, cytuje również za *Mein Leben* Trockiego Isaac Deutscher w książce o Stalinie.

transie somnambulicznym dochodził do tego, że jego wywód zbliżał się krok po kroku do czystek, których sam padł ofiarą, jako do logicznej konkluzji pewnych niezbitych założeń dialektycznych Rewolucji Październikowej. Szturchnięty znienacka najpospolitszym argumentem osobistym, budził się jak lunatyk przechadzający się nad przepaścią i wzruszał ramionami z łagodnym uśmiechem. Tak zapewne uśmiechał się Hegel, gdy na uwagę, że jego teorie nie zgadzają się z faktami, odpowiadał spokojnie: „Tym gorzej dla faktów". Sadowski miał jednak jeszcze zawsze w zanadrzu swoją ulubioną „anegdotkę japońską". Głosiła ona, że dekret cesarski, nakazujący Japończykom uchylanie kapelusza przed urzędnikami, zaopatrzono w drugiej instancji adnotacją „zakazać noszenia kapeluszy i zastąpić je czapkami", w trzeciej „zakazać wszelkiego nakrycia głowy", a w ostatniej „ściąć wszystkim urzędnikom głowy, żeby nie mieli na czym nosić kapeluszy i czapek". W podobny sposób katolicy mówią o dogmacie nieomylności papieża w sprawach wiary i tłumaczą ludzkie potknięcia ułomnych sług Kościoła w sprawach świeckich. Trzeba widzieć starych komunistów w obozach sowieckich, aby się przekonać, że komunizm jest religią.

Po ukończeniu sianokosów brygadę 57. odesłano na tak zwaną birżę drzewną, gdzie do południa piłowała kloce dla gatrów tartacznych, a resztę dnia ładowała jodły masztowe na otwarte wagony. Zaczął się w moim życiu okres bardzo ciężki. Organizm, zahartowany zastrzykiem witamin na sianokosach, miast uodpornić się przeciwko dalszym trudom, zareagował ostrą cyngą. Wszystkie zęby chwiały mi się w dziąsłach jak w miękkiej plastelinie, na udach i nogach poniżej kolan wystąpiły ropiejące czyraki, tak bolesne i zagnojone, że nie zdejmowałem już w nocy spodni, żeby ich nie odrywać od ran, i spałem w tych zaschniętych watowanych ochraniaczach, podłożywszy sobie pod pięty zwinięty w rulon buszłat; wieczorem poczciwy Iganow prowadził mnie do

zony za rękę jako nowego „kurzego ślepca". Praca na birży wydawała mi się ponad ludzkie siły, choć przecież po stachanowskich wyczynach na bazie powinienem był uważać ją za swego rodzaju odpoczynek. Ziębłem na deszczu i lodowatym chłodzie, szczękając wypadającymi zębami, chwytałem się po każdych paru pociągnięciach piły za serce uwięzłe w krtani, upadałem coraz częściej pod jodłami masztowymi ku cichej i cierpliwej rozpaczy Sadowskiego, zaprzęgniętego na przodzie. Sadowski nie wytrzymał jednak również długo, choć zareagował na nowe cierpienie nie cyngą, ale obłędem głodowym. Wtedy to właśnie wyrwał mi na opustoszałym pomoście przed kuchnią blaszankę z zupą. Przysiągłbym, że mnie nie poznał, mimo że patrzył mi prosto w twarz szeroko rozwartymi, zaropiałymi oczyma. Wybaczyłem mu wówczas, wybaczam mu tym bardziej i teraz — jemu lub jego trupim szczątkom. Znalazł się poza zasięgiem działania czarodziejskich zaklęć swojej młodzieńczej wiary, tam gdzie logiczny umysł człowieka nie panuje już nad zwierzęcymi odruchami ciała.

Do wszystkich tych udręk dołączyła się największa: amnestia omijała mnie z niepojętym uporem. Codziennie wieczorem szedłem, brodząc po omacku przez zonę, do baraku „pieriesylnego", gdzie zatrzymywały się na noc transporty Polaków, spieszące z innych „łagpunktów" na wolność. W dzień porzucałem robotę, ilekroć na birży pojawiał się podoficer z Drugiego Oddziału z kartką papieru w ręku, aby mu się nasunąć przed oczy — zapomniany, a może nawet skreślony przez omyłkę z listy żywych. Gdyby nie Machapetian, załamałbym się w tych dniach męczącej niepewności. Tylko on jeden był niestrudzony w pocieszeniach, przynosił mi wieczorem zupę z kuchni, suszył mi onuce, wysłuchiwał z nie słabnącym zainteresowaniem teorii polityczno-wojskowych, które mi zaszczepił Sadowski, wypytywał o poglądy na dalszy bieg wojny, chwalił za obiektywizm w ocenie potencjału

gospodarczo-wojskowego Rosji, gładził dobrotliwie po ogolonej głowie, gdy byłem bliski rozpaczy, zabierał na szachy do baraku technicznego. O, był mi bratem, a może nawet więcej, bo bratem i przyjacielem w jednej osobie. Musiałem jednak i ja wysłuchiwać jego opowieści o „dawnych dobrych czasach", gdy jako zastępca komisarza przemysłu lotniczego Ormiańskiej SSR cieszył się przyjaźnią „samego Mikojana".

W listopadowy wieczór wracałem ostrożnie po wyślizganych gołoledzią deskach do baraku, gdy zatrzymał mnie przed szopą rzemieślników obozowych jakiś niski więzień. Wieczory jesienne nie są tak ciemne jak zimowe, toteż „kurza ślepota" polega wtedy raczej na niepewnym błądzeniu niż na bezradnym szamotaniu się w niewidzialnych sidłach nocy. Poznałem go, jeszcze zanim wprowadził mnie do swojego warsztatu; widywałem parę razy tego starego szewca ormiańskiego u Machapetiana, gdy w dni swoich świąt szeptali cicho w obcym języku. Uchodził w obozie za człowieka niezmiernie uczciwego i mówiono nawet, że nie przyjmuje chleba za naprawę butów naczelnikowskich. Usadowiwszy mnie na niskim zydlu szewskim, upewnił się, że za przepierzeniem nie ma już ani jednego krawca, i przyglądał mi się długo w milczeniu.

— Słuchaj — powiedział wreszcie — czy to prawda, że ty rozpowiadasz w obozie o zwycięstwie Rosji?

— Tak — odpowiedziałem — a bo co?

— Jest taka rzecz — przysiadł się do mnie — wiesz, że dyżurka „upołnomoczennoj" (Struminej) przylega do tamtego rogu baraku, gdzie pracują krawcy?

— Wiem — odpowiedziałem, tknięty po raz pierwszy złym przeczuciem.

— Otóż — ciągnął dalej stary szewc — mój znajomy krawiec wydłubał w ścianie dziurę między belkami. Zasłania ją w dzień płytką tynku, a w środę wieczorem słucha, o czym rozmawia Strumina z kapusiami. Wczoraj zawołał mnie, ale nie tylko dlatego, że była mowa o tobie...

— O mnie?

— Tak, o tobie. Strumina zapytała najpierw, jakie są nastroje w obozie. Kapuś odpowiedział, że z wyjątkiem paru „czestnych graždan Sowietskogo Sojuza", którzy dopiero w obozie zrozumieli swoje błędy, wszyscy pragną zwycięstwa Niemiec. „To zrozumiałe — odpowiedziała Strumina — a kak etot Polacziszka?" Kapuś przyszedł tu właśnie po to, żeby powiedzieć, że „etot Polacziszka Grudzinskij" jest zupełnie innego zdania. „Nic dziwnego — odparła Strumina — zawarliśmy przecież układ z rządem polskim i ogłosiliśmy amnestię". Kapuś nie dał jednak za wygraną. Wszyscy Polacy przecież, mimo że wychodzą na wolność, mówią w „pieriesylnym" szeptem o klęsce Rosji i pragną jej równie gorąco, jak ci, co zostają w obozie. „Więc co?" — zapytała Strumina. Otóż to, że ten Grudzinskij nie jest na pewno zwykłym studentem, za jakiego się podaje, ale trockistą albo kimś bardzo znacznym, „sotrudnikom Becka". O, bo wy nie wiecie, graždanko Strumina, jak on rozumnie „tołkujet po politiczeskim diełam". „Jest umowa z Sikorskim" — wahała się Strumina. Zapewne, ale w każdej umowie są zastrzeżenia i klauzule. Wypuśćcie go tylko na wolność, a zobaczycie, co będzie, jeżeli go wyślą do Ameryki. Czy nie lepiej „zadzierżat' go w łagierie do Osobogo Sowieszczanija NKWD w Moskwie i razobłaczit' kak szpiona?" „Zobaczymy" — przecięła Strumina.

— Słuchaj — rzuciłem się ku niemu bez tchu — czy nie można było przez tę szparę zobaczyć, kto to był?

— Nie trzeba było. Poznałem głos.

— Kto? — zapytałem, ściskając go kurczowo za rękę.

— Zastanawiałem się długo, czy powinienem...

— Mów — krzyczałem nieprzytomny z wściekłości — na litość boską, mów!

— Machapetian — odrzekł cicho, nie patrząc mi w oczy.

Męka za wiarę

Pod koniec listopada 1941, w cztery miesiące po ogłoszeniu amnestii dla więźniów polskich w Rosji, kiedy nie miałem już żadnej nadziei na wytrzymanie do wiosny następnego roku i pożegnałem się prawie ostatecznie z myślą o zwolnieniu z obozu, postanowiłem ogłosić głodówkę protestacyjną.

Z blisko dwustu Polaków pozostało nas w samym Jercewie sześć osób. Codziennie przechodziły przez centralę dziesiątki więźniów z Mostowicy, Ostrownoje, Kruglicy, Niandomy i obu Aleksiejewek. Obóz wyludnił się w tragiczny dla nas sposób. Wydawało się, że jeśli nie umrzemy szybko, podzielimy los „starych Polaków" z Ukrainy, których od kraju rodzinnego oderwała rewolucja roku 1917 i którzy do czasu „amnestii" z roku 1941 uważali się za Rosjan. I rozumieliśmy teraz lepiej ich gorycz, gdy się dowiedzieli, że układ polsko-sowiecki uważa ich również za Rosjan.

Moja głodówka była nie tyle aktem odwagi, ile krokiem, w którym desperackie szaleństwo miało wszelkie pozory zdrowego rozsądku. Byłem bliski ostatniego stadium cyngi i zupełnego wycieńczenia, a starzy więźniowie przepowiadali mi nie więcej niż pół roku życia; z drugiej strony głodówka była w Rosji czymś zupełnie nie znanym i nie praktykowanym i w normalnych czasach — a cóż dopiero w czasie wojny! — traktowano ją jak sabotaż, karany drugim wyrokiem lub niekiedy na-

wet śmiercią; nie mogłem też oczekiwać, że mój organizm wzmocni się po iluś tam dniach dobrowolnego nieprzyjmowania pokarmów i napojów. O wszystkim tym wiedziałem nie gorzej od moich przyjaciół więziennych, którzy mi odradzali tę decyzję. Ale przeważyła straszliwa myśl, że umierając za parę miesięcy, będę niby smak piołunu rozgryzał świadomość poddania się bez walki. Dopóki choć jeden Polak przechodził przez Jercewo na wolność, istniała ciągle jeszcze minimalna nadzieja, minimalna szansa przypomnienia o sobie aktem samozniszczenia. Ryzykowałem skrócenie sobie życia zaledwie o parę miesięcy, ale choć i takie postanowienie wymaga znacznej determinacji, stawka była zbyt wielka, bym mógł się wahać. Wreszcie, człowiek pogrzebany żywcem i przebudzony nagle wśród nocy nie rozumuje; jeśli nawet wie, że rozpaczliwym szamotaniem się obsunie na siebie coraz więcej świeżo zruszonej ziemi, bije pokrwawionymi palcami w wieko trumny z całej siły swej rozpaczy.

Nie tak łatwo jednak było przekonać o tym moich towarzyszy, a przecież bez nich głodówce zabrakłoby charakteru solidarnego odruchu. Zbieraliśmy się w ciągu paru wieczorów w kącie jednego z baraków: inżynier leśnik M., nauczyciel ze Stanisławowa B., policjant ze Śląska T., urzędniczka bankowa ze Lwowa Z., właściciel tartaku na Wileńszczyźnie L. i ja. Ich wątpliwości wahały się pomiędzy przesadnym lękiem a przesadną nadzieją. Jeszcze nie wszystko stracone — dowodzili — a głodówka, jako przestępstwo popełnione już po amnestii, pogorszy naszą sytuację i wyłączy nas spod działania ustawy amnestyjnej. Poza tym któż zaręczy, że nawet po podpisaniu w Londynie układu polsko-sowieckiego będą nas traktowali inaczej niż własnych obywateli, a przecież głodówka i odmowa wyjścia do pracy karane są w Rosji śmiercią... Nie, nie wszystko jeszcze stracone, cała nadzieja w Bogu... Nie może to być, aby zatrzymano

w obozie prawdziwych Polaków, wypuszczając na wolność ludzi, którzy jeszcze do niedawna zapierali się swojej polskości...

A jednak było. Trudność naszego sporu polegała na tym, że obie strony posługiwały się w nim z konieczności argumentami wyłącznie irracjonalnymi. Moi towarzysze wierzyli w sprawiedliwość wyroków boskich i w moc zobowiązań międzynarodowych, ja zaś w możliwość przebłagania losu sprowokowaniem go. 30 listopada wieczorem, gdy wydawało mi się, że jestem prawie zdecydowany rozpocząć głodówkę sam, zaszedłem jeszcze po raz ostatni do naszego wspólnego kąta w baraku B. Inżynier M. siedział jak zwykle w najciemniejszym rogu dolnej pryczy, oparłszy chudą ascetyczną twarz o rozjarzonych nieprzytomnie oczach na dłoniach, i spoglądał na mnie z lękliwą przyjaźnią. Nauczyciel ze Stanisławowa i oficer rezerwy B., który po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej został osadzony w centralnym izolatorze i dopiero niedawno wrócił do Jercewa z Drugiej Aleksiejewki, zdawał się szukać błędnym wzrokiem wyjścia z pierścienia obławy i unikał wyraźnie mojego spojrzenia. T. i L. grali z udawaną obojętnością w warcaby, a pani Z. zaplotła drobne ręce na brzuchu i szeptała zmartwiałymi wargami modlitwę. Wyglądali tak razem w przyćmionym świetle baraku jak grupa zabłąkanych turystów w załomie skalnym, którzy gotowi są na ostatni, desperacki wysiłek, jeśli przewodnik weźmie na siebie pełną odpowiedzialność za wynik. Stałem przed nimi ogarnięty również lękiem, nie wiedząc, co począć.

— Przypominam wam moją historię z Machapetianem — powiedziałem wreszcie. — Kto z was ma prawo być pewny, że i jego również nie zakopał w obozie jakiś absurdalny donos? Po podpisaniu paktu Ribbentrop—Mołotow komuniści niemieccy ogłosili w więzieniu moskiewskim głodówkę. I co? Z sześciuset głodujących wypuszczono pięciuset kilkudziesięciu i fakt, że na własne oczy

widziałem w naszym „pieriesylnym" pod koniec lutego trzech z zatrzymanych, świadczy chyba najlepiej o tym, że nikogo nie rozstrzelano.

Te dwa argumenty zrobiły nagle nieoczekiwane wrażenie i przez chwilę poczułem jak gdyby żal, że ustąpili tak szybko. Było już jednak za późno. Zgodziliśmy się, że w głodówce nie weźmie udziału inżynier M. — człowiek chory ciężko na serce i jedyny wśród nas Polak, któremu mogliśmy wszyscy zaufać przeniesienie na wolność wieści o nas, jeśli ten bunt zaprowadzi nas przed trybunał wojenny, a jemu dane będzie ocaleć — i jeszcze tegoż wieczoru zanieśliśmy swój chleb i kartki na zupę do biura Samsonowa. Pamiętam, że pomyśleliśmy także o jedynym środku ostrożności, jakim było indywidualne odnoszenie chleba w półgodzinnych odstępach czasu i niespotykanie się już potem w zonie. Z opowiadań naszych rosyjskich towarzyszy znaliśmy bowiem kodeks sowiecki na tyle, by wiedzieć, że jakiekolwiek wystąpienie przeciwko obowiązującym w Rosji przepisom staje się automatycznie niewybaczalną zbrodnią, jeśli ma charakter zorganizowanej konspiracji. Kości były rzucone.

Okres poprzedzający głodówkę nauczył mnie paru ciekawych rzeczy o samym sobie. Po amnestii, kiedy zwolnienie zdawało się być tylko kwestią czasu, odczuwałem w stosunku do moich rosyjskich towarzyszy więziennych coś w rodzaju wyrzutów sumienia, że wyjdę jako Polak (a nie jako zwykły więzień) na wolność w imię obrony tego porządku rzeczy w Rosji, który był przyczyną ich uwięzienia i cierpień. Teraz zaś wrota obozu, zagrodziwszy mi drogę do wolności, zamknęły przede mną również drogę do wielkoduszności. Niepostrzeżenie dla samego siebie zacząłem ich nienawidzić z całego serca, z najgłębszego dna mojego nieszczęścia, jak gdyby to oni byli odpowiedzialni za to, co się stało, jak gdyby to oni trzymali mnie niewidzialnymi rękami za postrzępione poły buszłata, wciągając coraz głębiej we

własne grzęzawisko rozpaczy, abym nie ujrzał nigdy światła dnia, skoro ich oczy próbowały na próżno przebić od lat wieczne ciemności nocy. Stałem się podejrzliwy, opryskliwy i skryty; unikałem najbliższych przyjaciół i z chorobliwą nieufnością przyjmowałem wszelkie dowody życzliwości. Ten stan psychiczny pchnął mnie w nie mniejszym stopniu niż względy rozumowe i odruch rozpaczy do głodówki. W pewien sposób chciałem własnym życiem zaświadczyć o swoim ostatnim prawie do wolności, którego oni — wieczni niewolnicy — nie ośmieliliby się nigdy zażądać dla siebie. Było w moim zachowaniu się coś odrażającego i poniżającego, a jednak nie mogłem się przed nim obronić, gdyż człowiek nie może się nigdy obronić przed samym sobą. Ani przedtem, ani potem nie stoczyłem się w obozie tak nisko jak wówczas, gdy pragnąłem zemsty na moich współtowarzyszach więziennych za to jedynie, że groziło mi podzielenie na zawsze ich przeklętego losu.

Wśród sześciu osób, które związały się głodówką, stosunki układały się też nie najlepiej. Mimo pozorów przyjaźni i zażyłości, jakie wytwarza wspólna walka, nie ufaliśmy sobie nawzajem i czekaliśmy w napięciu, kto z nas zdradzi lub załamie się pierwszy. W zaślepieniu i lęku przed próbą, która nas połączyła, podejrzewaliśmy nawzajem, że głodówka może się stać dla każdego z nas okazją do wydobycia się z niewoli kosztem innych. Tak zapewne zachowują się rozbitkowie, uchodzący z życiem w jedynej ocalałej łodzi ratunkowej ku nieznanemu i dalekiemu lądowi; są sobie nieodzowni, gdyż każda para rąk ma do obsłużenia parę wioseł, ale nie zapominają ani na chwilę o tym, że każdy wioślarz oznacza także szybsze wyczerpanie się niewielkiego zapasu żywności. Tak i my: to prawda, że rozpocząć głodówkę samemu znaczyłoby dać się odłączyć od reszty pozostałych w obozie Polaków; ale to prawda również, że rozpoczęcie głodówki razem groziło nadaniem jej niebezpiecznego

piętna zorganizowanej akcji. A co będzie, jeżeli któreś z nas się załamie? Czy uratuje się pogrążając innych, czy raczej dopomoże im do szybszego zwycięstwa? Nasze losy były sprzęgnięte tak jak losy ludzkie na ziemi — każdy ruch w kierunku wyzwolenia musiał pociągnąć za sobą czyjeś cierpienie. Widzieliśmy jak na dłoni, z przeraźliwą jasnością milczenia, co kryje się w sercu człowieka: rzadki dar szlachetności w chwilach stosunkowego bezpieczeństwa i ziarno upadku w obliczu śmierci. Bardziej niż nasza śmiałość łączyły nas nasza małość i nasze tchórzostwo. Zdecydowaliśmy się na działanie, gdy ten milczący szantaż mógł nas tylko albo nieodwołalnie rozdzielić, albo równie nieodwołalnie skazać na siebie. I nie było w tej atmosferze napięcia rzeczą przypadku, że podając sobie w przeraźliwie posępny wieczór listopadowy ręce na znak zgody, postanowiliśmy wyłączyć z głodówki i pozostawić na uboczu inżyniera M., jako zastaw i porękę naszej uczciwości w tej ostatniej próbie. Za oknami baraku szalała śnieżna zawieja, a na stoliku obok pryczy B. chwiał się żółty płomyk zapalonego przed chwilą ogarka. B. zgodził się milczącym skinieniem głowy, ale po jego bladej twarzy przemknął się gorzki uśmiech.

We własnym baraku, do którego wróciłem po odniesieniu chleba, przywitała mnie cisza. Umilkły nagle rozmowy przy stole, najbliżsi sąsiedzi na pryczy odsunęli się ode mnie, jak gdybym przyszedł tu z zadżumionego miasta, zaprzyjaźnieni więźniowie unikali moich spojrzeń i odpowiadali niechętnie na pytania. Wieść o naszej głodówce rozeszła się już po obozie, wywołując poruszenie i lęk. Uczucia moich rosyjskich towarzyszy musiały być równie kłopotliwe, jak moje. Od czasów amnestii odnosili się do mnie z rezerwą i prawie niechęcią, upatrując nieomal złamanie solidarności więziennej w tej perspektywie przedwczesnego i cudownego ocalenia. Długie miesiące oczekiwania, powolna utrata

nadziei zbliżyły ich znowu do mnie, lecz dokładnie z tych samych powodów oddaliły mnie od nich. Podejrzewałem bowiem, że chcą mi okazać nie współczucie, ale radość skazańców, którzy nędzną pociechę dla siebie czerpią z rozpaczy innych. Podobnie zawiłe reakcje budziła głodówka. Nie mógł nie poruszyć ich i w pewien sposób zafascynować fakt, że ktoś ośmiela się podnieść rękę na niewzruszone prawa niewoli, których nie tknął dotąd żaden odruch buntu; ale jednocześnie działał instynktowny, wyniesiony jeszcze z wolności lęk przed mimowolnym zaplątaniem się w sprawę grożącą trybunałem wojennym. Gdzież pewność, że śledztwo nie ujawni rozmów prowadzonych w baraku przez „buntowszczika" natychmiast po dokonaniu przestępstwa? Kto zaręczy, że nieopatrznie szepnięte słówko otuchy lub solidarności nie stanie się w ustach donosicieli podżeganiem do buntu? Nie, nie! — lepiej trzymać się od tej sprawy z daleka, dopóki Trzeci Oddział nie zajmie stanowiska. Przy tym wszystkim działały także inne, bardziej ukryte motywy. Nasz bunt był buntem cudzoziemców. Jeśli się nie uda, będzie dodatkowym dowodem, że nawet „ludzie stamtąd" nie są w stanie zrobić wyłomu w murze więziennym, który odgrodził Rosję od reszty świata. Jeśli się natomiast powiedzie, czyż nie unaoczni wszystkim z aż nazbyt jaskrawą wyrazistością, że także i za drutami obozu inne są w Rosji prawa dla cudzoziemców, a inne dla swoich? Czyż nie pogrąży w jeszcze większej beznadziejności tych, którzy musieli uważać się za swoich? W położeniu bez wyjścia lepiej jest mimo wszystko mieć świadomość, że nie zdarzają się wyjątki od reguły losu. Nic tak nie pociesza okrutnie we własnym nieszczęściu jak widok cudzego nieszczęścia; i nic tak nie odbiera bezpowrotnie nadziei jak myśl, że mają do niej prawo tylko wybrani.

Byłem więc sam. Leżąc na pryczy, przyglądałem się barakowi z uczuciem osamotnienia i strachu. Jak zwykle

wieczorem więźniowie przygotowywali się do snu, szepcąc jeszcze cicho między sobą i susząc onuce przy piecu. Paru gotowało w kociołkach oskrobiny z kartofli i zgniłe skrawki rzepy, wygrzebane w śmietniku obozowym obok kuchni. Przejmujący głód zdawał się ciągle daleki końca, ale wkroczył już w okres, w którym stał się nagle prawie obojętny i podobny do znieczulenia całego organizmu. Nadchodzi chwila, kiedy człowiek głodny zaczyna odczuwać bardziej dotkliwie niż głód fizyczny — głód wyobraźni. Wszystko, o czym myśli, układa się w nieprzytomne rojenia o jedzeniu, a dominującym uczuciem staje się paniczny lęk przed obumieraniem i usychaniem ciała. I kto wie, czy możliwość oszukania głodu nie bywa wówczas ważniejsza niż jego zaspokojenie. Nawet śnieg nabiera stałej konsystencji: można go jeść jak kaszę.

W sferze uczuć ludzkich istnieje dziwne zjawisko, które jest czymś więcej niż zwykłym przyzwyczajeniem, bo prawie samobójczym prawem bezwładu psychicznego. Chcę przez to powiedzieć, że na samym dnie nędzy ludzkiej zdarzają się chwile, kiedy każda możliwość zmiany — choćby to nawet miała być zmiana na lepsze — wydaje się czymś ryzykownym i niebezpiecznym. Słyszałem o żebrakach, którzy tym nieufniej odnoszą się do swoich dobroczyńców, im więcej mogą od nich otrzymać ponad zwykłą jałmużnę — dach nad głową lub pracę zamiast paru groszy wrzuconych do nadstawionej czapki. Poniżej pewnego poziomu życia wytwarza się w człowieku coś w rodzaju fatalistycznego przywiązania do swojej doli, coś w rodzaju gorzkiego doświadczenia, że każda zmiana może być tylko zmianą na gorsze. „Dajcie mi spokój — zdaje się mówić — i tyle tylko, ile trzeba, abym nie umarł". Ludzie o konserwatywnym usposobieniu wyciągają z tego wniosek, że nie należy nikogo uszczęśliwiać wbrew jego woli, i mają pod jednym względem rację: szczęście nie jest nigdy dla biorących tym, czym wydaje się dającemu. Ale jakkolwiek by było, czło-

wiek w nędzy zaczyna po pewnym czasie ulegać dziwnemu jej urokowi i podejrzliwie traktuje możność nieoczekiwanego wydobycia się z niej, nauczywszy się dotąd cenić tylko takie obroty losu, które wprowadzały w jego życiu zmiany drobne, ale trwałe i pewne. Bywałem w obozie bliski uwierzenia, że skoro człowiek skazany jest na swój los, nie powinien się przeciwko niemu buntować. I rzecz zdumiewająca: leżałem na pryczy i przyglądałem się moim towarzyszom z goryczą za to, że chcieli mnie przykuć na zawsze do swojego własnego losu, a jednocześnie poczułem nagle nieokreślony żal, próbując się odeń sam oderwać. Wystarczyło spojrzeć na ich twarze, by zobaczyć, że za rok większości nie będzie już wśród żywych, a przecież o ileż się czułem bezpieczniejszy i mniej samotny z nimi w obliczu śmierci niż bez nich w tej ostatniej pogoni za życiem! Gdyż było coś naprawdę niewzruszonego i ostatecznego w widoku tych ludzi, którzy boso, z zaczerwienionymi od ognia i pokrytymi twardą szczeciną twarzami pilnowali swych kociołków, grzebiąc bezmyślnie patykami w palenisku, lub układali się do snu na pryczach, wpatrzeni przekrwionymi z wycieńczenia i głodu oczami w mętne światło żarówek. W baraku było już o tej porze cicho; czasem jakiś więzień zwlekał się z trudem ze swego legowiska i zataczając się jak pijany, potrącając po drodze zwisające zewsząd nogi, szedł ku cebrzykowi chwoi, aby ugasić pragnienie. Prycza w rogu, na której wieczorami wysiadywał w milczeniu Dimka, postukując drewnianą łyżką w protezę, była teraz pusta — naszego „dniewalnego" odesłano niedawno do Trupiarni. Zbliżała się noc. Byłem sam, straszliwie sam.

Tej nocy nie zmrużyłem oka. Leżałem na wznak na twardych deskach, zaplótłszy ręce pod głową, i raz jeszcze usiłowałem uporządkować w myślach to wszystko, co się stało. Po północy barak pogrążył się już na dobre we śnie, żarówki zatliły się wątlejszym światłem, a ze wszyst-

kich prycz — z dołu, z boków i z przeciwka — odezwały się pierwsze krzyki nocne, pomieszane z niewyraźnymi majaczeniami i suchym urywanym płaczem, który przypominał to kaszel, to nawoływanie się sów w ciszy leśnej. Było duszno, odrzuciłem więc — jak moi sąsiedzi — buszłat i połykałem chciwymi haustami nagrzane powietrze. Przymknąwszy oczy, słyszałem w przerwach pomiędzy krzykami i płaczem przedwieczorne cmokanie karpi w szuwarach opustoszałego stawu, otworzywszy je widziałem na pół uchylone usta, z których na odległość nawet zionął przez spróchniałe zęby słodkawy smród zgnilizny, i białka połyskujące w ciemnych oczodołach. Za oknami rozpościerała się biała noc, przywarłszy do szyb lodowatymi liśćmi paproci. Patrolujące zonę smugi światła z narożnych reflektorów przebijały barak na wylot w równomiernych odstępach czasu, wydobywając z półmroku dolnych prycz twarze śpiących, i znikały błyskawicznie jak szable tnące miękką zasłonę nocy.

Bardziej od głodówki groźna była odmowa wyjścia do pracy. W obozach sowieckich tak zwany „otkaz" stanowi jedno z najpoważniejszych wykroczeń przeciwko regulaminowi wewnętrznemu. Na Kołymie, gdzie wskutek odcięcia obozów przez większą część roku od stałego kontynentu istnieje zupełnie specyficzny i okrutny *régime*, regulowany rozporządzeniami miejscowymi, a nie centralnymi, odmowę wyjścia do pracy karze się z miejsca rozstrzelaniem bez sądu; w innych obozach — rozebraniem więźnia do naga i pozostawieniem go na mrozie aż do ugięcia się lub śmierci; w jeszcze innych — najpierw izolatorem o wodzie i dwustu gramach chleba, a w wypadku recydywy sądem i drugim wyrokiem — pięcioletnim dla przestępców pospolitych, dziesięcioletnim lub skazującym na śmierć dla politycznych. W Jercewie „otkazczikow" recydywistów zabierano po paru miesiącach do centralnego izolatora za zoną i nigdy już nie zdradzono nam, co się z nimi stało. Istniały jednak poważne przy-

puszczenia, że serie z karabinów maszynowych i salwy karabinów ręcznych, które słyszeliśmy co pewien czas za zoną, pochodzą nie, jak nam mówiono, ze strzelnicy dla załogi obozu, ale z zasłoniętego przed wzrokiem ludzkim dziedzińca głównego izolatora. Po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej władze obozowe nie ukrywały przed nami faktu, że weszły w życie nowe przepisy, które zwykłym sądom „ludowym" w miasteczkach położonych w pobliżu obozów nadały nowe uprawnienia wojennych trybunałów doraźnych, w praktyce — nieograniczoną władzę nad życiem więźniów. Do najcięższych przestępstw, jakich można było dokonać w obozie po 22 czerwca 1941, należały szerzenie defetyzmu wojennego i odmowa wyjścia do pracy, która w świetle wyjątkowego ustawodawstwa obronnego kwalifikowała się jako sabotaż wysiłku wojennego. Wszystko to było aż nazbyt jasne, ale pozostawało mimo to ciągle jedno pytanie: w jakiej mierze układ Sikorski—Majski wyrywał nas, Polaków, z trybów mechanizmu sowieckiego prawa wojennego. Na tej ostatniej cienkiej nitce zawisła cała nasza głodówka. I nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że już pierwsze godziny wstającego za zmatowiałymi szybkami baraku dnia dadzą nam na to pytanie wyczerpującą odpowiedź. W równaniu ryzyka była to jedyna niewiadoma i od niej zależało, czy znak równości zwróci się przeciwko nam jak dwie wymierzone w pierś lufy karabinów, czy ułoży się jak otwarte na roścież wrota obozu.

Nad ranem zasnąłem tak twardo, że przespałem „podjom" i obudziło mnie dopiero ostre szarpnięcie za nogi. Obok mojej pryczy stał Zyskind i bez słowa, ruchem głowy tylko, kazał mi iść ze sobą. Zwlokłem się z barłogu, nałożyłem czapkę, przewiązałem buszłat sznurkiem i wyszedłem za nim z opustoszałego baraku do zony. W zonie było również pusto i spokojnie, „dniewalni" odgarniali przed barakami śnieg, z kuchni, małej komórki, w której gotowano wrzątek, i łaźni szedł szeroki-

mi zagonami dym, i rozmazawszy się na dachach, odrywał się gwałtownie od okapów jak puszczony nagle i zwijający się rulon papieru. Drogą od kuchni jechały wolno w kierunku bramy sanie z pustą beczką, na której siedział okrakiem przygarbiony i smutny woziwoda Kola, poganiając oszronionego gniadosza prętem z jałowca. Zobaczywszy mnie z Zyskindem, odwrócił się, jak gdyby chciał krzyknąć, ale po chwili skulił się jeszcze bardziej, szarpnął ku sobie lejce i dźgnął konia batem. Koło ambulatorium stało już kilku chorych więźniów. Poranek był mroźny, suchy i przenikliwie ostry — 1 grudnia.

Zamiast zaprowadzić mnie do izolatora, Zyskind obszedł ze mną wszystkie baraki, w których mieszkała reszta głodujących, i dopiero potem — w szóstkę — ruszyliśmy w kierunku biura naczelnika obozu, Samsonowa. Samsonow przyjmował nas po kolei, ale rozmowy były jednobrzmiące. Siedział za biurkiem na tle dużej mapy ściennej Związku Sowieckiego, portretów Stalina (dużych rozmiarów) i Berii (znacznie mniejszy), wykresów planu produkcyjnego oraz schematycznego planu obozu i spoglądał na mnie spod futrzanej czapy spokojnym, prawie po ojcowsku karcącym wzrokiem, w którym co chwilę pojawiały się jednak zimne ukłucia nienawiści.

— Kto cię namówił do głodówki?

— Nikt. Zdecydowałem się na nią sam.

— Po co głodujesz?

— Domagam się zwolnienia z obozu na podstawie amnestii dla obywateli polskich uwięzionych w Rosji lub prawa skomunikowania się z przedstawicielem Polski przy rządzie sowieckim.

— Czy słyszałeś o specjalnych trybunałach, które w czasie wojny mają prawo rozstrzeliwać więźniów za odmowę wyjścia do pracy? Czy wiesz, że głodówka jest otwartym buntem przeciwko sowieckiej władzy i sowieckiemu prawu?

— Tak.

— Podpisz tu, że o tym wiesz.

— Nie podpiszę. Od chwili zawarcia układu polsko-sowieckiego w Londynie jestem obywatelem zaprzyjaźnionego państwa i nie podlegam prawu sowieckiemu.

— Milcz. Zyskind, zabierz tę polską swołocz do izolatora!

Zyskind wskakiwał sprężyście do gabinetu i z okrzykiem: „Tak jest, obywatelu naczelniku!", wyprowadzał nas przed barak. Pierwsze przesłuchiwanie było skończone. Przyglądaliśmy się sobie nawzajem w milczeniu, ale z wyrazem ulgi na twarzach i tylko pani Z. zbladła, szczękając zębami, a B. obcierał rękawem pot z czoła.

Około dziewiątej byliśmy już wszyscy w izolatorze. Izolator wewnętrzny mieścił się w samym rogu zony obok drutów i „bociana", przy którym wyglądał jak kurnik. Mały, murowany domek z zakratowanymi okienkami wielkości ludzkiej głowy otoczony był jeszcze dodatkowo ogrodzeniem z drutu, aby nie powstały najmniejsze wątpliwości, że spełnia rolę więzienia w więzieniu. Więźniowie omijali go zawsze z daleka, nie spoglądając nawet w kierunku ścian z szarego kamienia przedziurawionych otworami, z których zionęła ciemna pustka. Czasem jednak dochodziły z izolatora śpiewy lub krzyki i wówczas przystawaliśmy na ścieżce tyłem do jego murów, a twarzą do własnych baraków, aby nie wywołując podejrzeń posłuchać, czy nasi towarzysze czegoś się od nas nie domagają. W izolatorze wewnętrznym osadzano więźniów za drobne przestępstwa popełnione w zonie lub za poważne przestępstwa przed odesłaniem do centralnego izolatora za zoną, który był już normalnym więzieniem obsługującym także wolnych obywateli miasta Jercewa. Trzeba tu opisać pokrótce choćby warunki życia w izolatorze, by rozproszyć zawczasu przypuszczenia, że nie był on karą, skoro do nielicznych marzeń więźniów należała również ucieczka od tortury pracy w obozie do błogosławionego stanu bezczynności w pra-

wdziwym więzieniu. Przede wszystkim więzień osadzony w izolatorze otrzymywał tylko 200 gramów chleba i wodę; po drugie, okienka w małych celach nie były ani oszklone, ani nawet zabite deskami, temperatura powietrza wewnątrz była więc nie o wiele wyższa niż na zewnątrz; po trzecie wreszcie, więzień miał prawo zabrać do izolatora tylko to, w czym wychodził do pracy — koce, derki i siennik zostawiał w baraku. W niektórych wypadkach zaś kara izolatora ograniczona była jedynie do pory nocnej — więzień wychodził normalnie za dnia do pracy i wracał wieczorem prosto z wartowni do swojej celi, ale otrzymywał za to w przeciwieństwie do innych „pierwszy kocioł", czyli 300 gramów chleba i dwa talerze najrzadszej zupy. Izolator był więc karą i więźniowie obiecywali nieraz z dziecinnym płaczem poprawę, byle tylko się zeń wydobyć.

Okienko mojej celi wychodziło na zonę i przytknąwszy twarz do zimnej kraty, mogłem ogarnąć wzrokiem część baraków z kuchnią i łaźnią. Obok mnie, w sąsiedniej celi, umieszczono policjanta ze Śląska T., prostolinijnego i uczciwego człowieka o szerokiej, trochę mongolskiej twarzy, który z nie znanych nam bliżej powodów ukrywał w obozie swe prawdziwe nazwisko i zawód, uchodząc powszechnie za górnika, i był jednym z najlepszych w Jercewie „lesorubów". Cela T. — położona po mojej prawej ręce, gdy stałem twarzą do okna — przylegała do celi pani Z., a przez nią do cel pozostałych głodujących; po mojej lewej siedział elektrotechnik z Rostowa nad Donem, Gorbatow, który znalazł się w izolatorze za obrazę wolnego urzędnika w elektrowni jercewskiej. Okienko T. za narożnikiem wychodziło na drogę prowadzącą z miasta do obozu, część domów mieszkalnych w Jercewie i odgałęzienie drogi w kierunku centralnego izolatora. Moja cela była tak niska, że mogłem dosięgnąć sufitu ręką, i tak wąska, że jednym dużym krokiem przechodziłem od ściany T. do ściany Gorbatowa. Połowę przestrzeni na długość zajmowały dwie prycze —

dolna i górna — zbite z nie heblowanych desek i zwrócone wezgłowiami w stronę okna. Na górnej pryczy nie sposób było usiąść, nie dotykając zgiętymi plecami pułapu celi, na dolną natomiast wchodziło się ruchem nurka głową do przodu, a wychodziło odpychając — jak pływak na mieliźnie — ciało rękami od desek. Odległość pomiędzy krawędziami pryczy a drzwiami, obok których stał kibel, wynosiła nie więcej niż pół normalnego kroku. Wybrałem więc po namyśle górną pryczę (chociaż szedł na nią przejmujący chłód z otwartego okna, nawiewając w pobliżu parapetu cienką warstewkę śniegu), bo była przestronniejsza, a spacer na skrawku gołej ziemi o wymiarach krok na pół kroku groził obłędem. Obie boczne ściany z czerwonej cegły pozwalały porozumiewać się stosunkowo swobodnie z sąsiadami, i to nawet nie za pomocą stukania, ale głośnym szeptem po przytknięciu ust do szpar, z których wypadały kawałki skamieniałego wapna. Przed odejściem na obiad Zyskind sprawdził jeszcze raz drzwi celi. Zazgrzytał klucz w zamku, odchyliła się zastawka „judasza" i miękki chód walonek oddalił się powoli, tonąc w lodowatej ciszy.

Pierwszy dzień spędziłem na oglądaniu celi i zony przez małe okienko nad górną pryczą. Dziwne było patrzeć na towarzyszy więziennych, spieszących do baraków, zatrzymujących się na ścieżkach, pozdrawiających się z daleka — z okna więzienia w więzieniu: wydawali się nieomal ludźmi wolnymi. Ale nie zazdrościłem im. Po tylu miesiącach życia stadnego samotność była znowu — jak niegdyś w szpitalu — świeżym i orzeźwiającym uczuciem. Było mi przeraźliwie zimno, nie odczuwałem jednak głodu. Gdzieś na dnie świadomości czaiła się iskra dumy, jak gdybym już posiadł był wywalczoną z trudem wolność. Tysiące ludzi walczy na świecie o różne sprawy, nie wiedząc, że nawet możliwość klęski ma w sobie coś pokrzepiającego i zdobywczego, jeśli przybiera postać męczeństwa. Ludzie pokonani w walce o coś,

w co wierzą, biorą na siebie z ochotą męczeństwo jak gorzką nagrodę swej samotności. Rzecz jednak w tym, że mało jest takich, u których wytrwałość ciała dorównywa sile wiary. Zaraz bowiem pierwszego dnia wieczorem, gdy w mojej celi zapaliła się żarówka i posłyszałem dobiegający z zony brzęk kociołków, poczułem nagle głód i nieokreślony strach i od tej chwili — mimo że nie przyjmowałem nawet wody — oddawałem aż do końca głodówki mocz po parę razy w ciągu dnia i nocy.

W nocy spałem źle, budziłem się często i miałem sny tak zagadkowe, nieuchwytne i nie powiązane, że mimo rozpaczliwych wysiłków nie byłem w stanie przypomnieć ich sobie już w chwilę po przebudzeniu. Trzęsąc się z zimna, wcisnąłem się w róg górnej pryczy jak najdalej od okna, podkurczyłem nogi, tak że dotykały kolanami brzucha, schowałem prawie całą głowę pod buszłatem i ukryłem dłonie w rękawach. W tej pozycji mogłem uleżeć na jednym boku nie dłużej niż godzinę, ale ponieważ wydała mi się najrozsądniejsza i najlepiej chroniła od chłodu, nie zmieniłem jej już do końca pobytu w izolatorze. Nazajutrz głód ustąpił, wzmogło się natomiast poczucie samotności. Zwlokłem się z pryczy i przez parę chwil poruszałem się dla rozgrzewki na małym skrawku ziemi, zacinając się w boki rękami. Kiedy poczułem nareszcie, że krew zaczyna żywiej krążyć w zdrętwiałych częściach ciała, zapukałem do celi T.

— Jak się czujesz? — zapytałem.

Za ścianą rozległ się głośny łomot jakby upadającego ciała, potem ostrożny chrobot w szparze i wreszcie spokojny głos odpowiedział:

— Piekielnie zimno, ale idzie wytrzymać. A ty?

— Dobrze. Co z resztą?

— Nie odpowiadają.

Zrobiłem krok do przeciwległej ściany i zapukałem znowu.

— Jak długo siedzisz, Gorbatow?

— Pięć dni. Jeszcze mam drugie tyle.

— Ciężko?

— Głodno. Żreć ochota, a chleba dają na jeden ząb. Ty z tą głodówką zwariowałeś. Nie wytrzymasz...

— Nie twoja sprawa...

Przysiadłem na brzeżku dolnej pryczy, wpatrując się bezmyślnie w kibel. Ale Gorbatow okazał się rozmowniejszy od T.

— Wiesz, kto obok mnie siedzi?

— ?

— Trzy siostrzyczki za wiarę.

— Niemożliwe!

— Tak, tak. Śpiewają i modlą się. Próbowałem z nimi rozmawiać, ale nie odpowiadają. Prawiczki — zaśmiał się i zakrztusił jednocześnie kaszlem.

Jak przez mgłę przypomniałem sobie opowiadaną w zonie szeptem historię trzech sióstr zakonnych, z pochodzenia Węgierek, których nikt z nas nie widział na oczy. Mówiono, że przyszły do jercewskiego izolatora etapem z Niandomy, gdzie odsiadywały wyrok od roku 1938. Pracowały w Niandomie uczciwie do jesieni 1941 i nagle któregoś dnia odmówiły wyjścia z zony, nie chcąc „służyć Szatanowi". Wśród więźniów w Jercewie mówiło się o tej sprawie dużo, ale w październiku cała sprawa ucichła i byłem przekonany, że trzy zakonnice albo już od dawna nie żyją, albo siedzą w centralnym izolatorze. Gdyż stan wojenny nadawał ich tajemniczemu szaleństwu cechy samobójstwa.

Z celi T. rozległo się pukanie.

— Co tam u ciebie tak ciurka? Cieknie z dachu?

— Nie, odlewałem się.

— Przyjmujesz wodę?

— Nie.

— Obleciał cię strach?

— Nie, mam widocznie chory pęcherz.

T. zaśmiał się i dorzucił parę słów, ale oderwałem ucho od szpary. Przez długą godzinę stałem w milczeniu oparty o pryczę, czując, jak moja dawna pewność siebie ustępuje miejsca niepokojowi i szuka gorączkowo ratunku w ambicji. Bywają w życiu człowieka chwile — zwłaszcza po okresach stałego podsycania próżności odwagą zamiarów — gdy nogi uginają się nagle, jakby były z waty, i jedyne, czego naprawdę się pragnie, to uciec nie oglądając się nawet za siebie.

— Wiesz, kto siedzi w izolatorze? — zapukałem znowu do T.

— No?

— Trzy zakonnice od Szatana.

— Ciągle? I czego chcą?

— Męka za wiarę — odpowiedziałem bez namysłu, nie zdając sobie nawet wówczas sprawy, że pożyczam to określenie od Dostojewskiego.

— Tak jak my — powiedział.

— Przesadzasz, my chcemy tylko na wolność — odpłaciłem mu z ulgą, ale zaraz potem zapukałem do drugiej ściany.

— Gorbatow, przekaż trzem siostrzyczkom pozdrowienie od głodujących Polaków.

— Oszalałeś? Ja chcę stąd wyjść. Dość, Zyskind idzie...

Istotnie, na ścieżce przed izolatorem rozległy się kroki, a potem z trzaskiem otwarły się drzwi wejściowe. Zyskind krzątał się chwilę na korytarzu i wreszcie zgrzytnąwszy kluczem w zamku mojej celi, wszedł do wewnątrz i bez słowa położył na górnej pryczy rację chleba. Dokładnie to samo musiał zrobić także i w innych celach, bo słyszałem oddalający się stopniowo zgrzyt klucza i miarowe zamykanie drzwi. Przyglądałem się długo świeżej porcji chleba, ale nie czułem głodu; i mimo że odtąd Zyskind przynosił mi ją codziennie o tej samej porze, przyjmowałem jego wizyty z rosnącą apatią.

Wieczorem drzwi mojej celi otworzyły się znowu. Ktoś kopnięty od progu gwałtownie wtoczył się do środka jak ogromna piłka ze szmat i utonął w jamie dolnej pryczy. Po kwadransie drzwi celi uchyliły się lekko i Zyskind wsunął przez szparę najpierw talerz dymiącej zupy, a potem kromkę chleba. Nieznajomy zerwał się z pryczy, uderzył głową o górne deski, zaklął i rzucił się na podłogę. Jadł głośno i łapczywie — mlaskając, żłopiąc i siorbając gorącą ciecz, miażdżąc błyskawicznie żuchwami chleb. Trwało to wszystko nie dłużej niż minutę — po chwili bowiem usłyszałem już charakterystyczne cmokanie języka wylizującego talerz, dźwięk pustej blachy rzuconej o podłogę i zwierzęcy pomruk zadowolenia — ale wystarczyło, abym poczuł nagle kleisty smak grudki śliny, kropelki potu na czole i osłabienie bliskie utraty przytomności. Kiedy się ocknąłem, nieznajomy chrapał już pode mną, wydmuchując z przeraźliwym świstem powietrze i bełkocąc przez sen. Rano zabrano go do pracy, a wieczorem przyprowadzono znowu do mojej celi. I chociaż spędziliśmy ze sobą pięć nocy, nie zamieniliśmy nigdy ani słowa i nie widziałem ani razu jego twarzy. Gdy jadł — leżałem na górnej pryczy, obejmując wzrokiem zaledwie skrawek podłogi obok drzwi i kibel, gdy wychodził — spałem lub udawałem, że śpię. W ciemnościach wieczoru widywałem tylko przez ułamek sekundy jego cień, skulony, zmięty i wtrącony od progu gwałtownym uderzeniem prosto na dolną pryczę. Nie ulegało wątpliwości, że miał odegrać wobec mnie rolę złego ducha-kusiciela, ale mimo to przywiązałem się do niego, gdyż we wlokącym się niemiłosiernie wolno strumieniu czasu był teraz jedynym trwałym punktem, o który mogłem zaczepić wydrążoną jak pusta skorupa wyobraźnię.

Czwartego dnia głodówki osłabłem już do tego stopnia, że z trudem schodziłem do kibla, a resztę dnia spędzałem bez ruchu na pryczy, drzemiąc niespokojnym, urywanym konwulsyjnie snem nawet w dzień. Ten gorą-

czkowy sen przynosił mi pewną ulgę, jak gdyby pełniejszy smak samotności, ale jednocześnie pogrążał mnie w dziwnych stanach lękowych i odbierał mi powoli poczucie rzeczywistości. Nie odczuwałem ani głodu, ani nawet chłodu, budziłem się natomiast często w półkrzyku, nie wiedząc w pierwszej chwili, gdzie jestem i co tu robię. Bardziej realnie niż dotąd również uprzytamniałem sobie w rzadkich chwilach przytomności umysłu smutek i gorycz umierania, usiłując na próżno przypomnieć sobie całe dotychczasowe życie, jak gdybym szukał pociechy w tej możliwości spojrzenia po raz ostatni w twarz człowieka, który nosił niegdyś moje nazwisko — był mną. Ze wszystkich objawów śmierci ten proces odłączania się od własnej osobowości jest chyba najstraszniejszy i najbardziej sprzyja nawróceniu. Cóż bowiem pozostaje, jeśli się nawet nie wierzy, że kiedyś, na tamtym brzegu wędrówki ziemskiej, nastąpi na powrót cudowne przeniknięcie się ciała porzuconego na deskach cierpienia i wyciekającej zeń jak krew z żył treści życia? Były to chwile, kiedy żałowałem, że zeskorupiawszy w obozie, nie potrafię się modlić; byłem jak jałowa, wysuszona na żużel i spękana w słońcu pustynnym skała, z której dopóty nie wytryśnie żywy zdrój, dopóki jej nie dotknie cudowna laska.

Około południa drzwi celi otworzyły się i stanął w nich nie znany mi dotąd dygnitarz NKWD w mundurze przekreślonym na ukos pasem koalicyjnym, rozpiętym płaszczu skórzanym i czerwono-niebieskiej czapce ze złoconym godłem sowieckim. Przez ramię zaglądał mu do celi Samsonow w swym futrzanym kołpaku i zapiętej pod szyję szubie.

— Nazwisko? — rzucił ostro nieznajomy, rozgarnąwszy poły płaszcza tak, że widać było jedną dłoń na pochwie pistoletu.

Uniosłem się z trudem na pryczy i wymówiłem powoli nazwisko, ale nagle wydało mi się, że nieznajomy

odrywa pokrywę pochwy od złotego guziczka i obejmuje wypielęgnowanymi palcami połyskującą czarno rękojeść pistoletu. Serce zabiło mi gwałtowniej, a wszystka krew zdawała się spływać do nieznośnie przepełnionego pęcherza. Przymknąłem oczy. Jak huk wystrzału padło następne pytanie:

— Przerwiesz głodówkę?

— Nie! — odpowiedziałem czym prędzej rozpaczliwym okrzykiem. — Nie, nie! — powtórzyłem szybko i opadłem na pryczę, zlany potem i czując, że pęcherz klęśnie jak przekłuta piłka.

— Trybunał wojenny! — usłyszałem jak przez sen.

Drzwi celi zamknęły się z trzaskiem.

Nie wiem, jak długo spałem, ale było już szaro, gdy obudziło mnie gwałtowne pukanie w ścianę z celi T.

— Pani Z. zemdlała — mówił gorączkowo — zabrali ją do szpitala...

— A reszta?

— Nie wiem. Nie ma komunikacji przez pustą celę. Słyszałem dużo kroków na korytarzu. Myślałem, że ty też, bo pukam już od godziny. Grozili ci?

— Tak.

— Trzymasz się?

— Tak — odpowiedziałem po namyśle.

Pod wieczór Zyskind przyniósł mi porcję chleba i zamiast wyjść jak zwykle bez słowa, wcisnął mi do ręki skrawek papieru. Podczołgałem się do żarówki. „Jesteśmy wszyscy troje w szpitalu — pisał B. — przerwijcie głodówkę. Teraz jest jasne, że nie doprowadzi ona do niczego". Przestukałem ten list do T., ale pokwitował go tylko przekleństwem. Zwinąłem się z ulgą do snu, gdy przez próg wpadł do celi z łomotem nieznajomy i po chwili zaczął z przejęciem żłopać na ziemi swoją zupę.

Nazajutrz obudziłem się z dziwnym uczuciem, że się duszę. Łapałem z trudem powietrze, ręce i nogi zdawały

się rozsadzać ubranie i wylewać kłębami mięsa na zewnątrz, a całe ciało było jak gdyby mocno skrępowane postronkami. Nie poruszając się z miejsca, podniosłem do oczu jedną rękę — była spuchnięta tak, że znikł w niej zupełnie przegub, a na obu stronach dłoni potworzyły się miękkie i obrzękłe poduszki. Podniosłem się wolno i przyjrzałem się nogom — przelewały się powyżej kostki przez brzegi gumowych trzewików. A więc to była prawda: zaczynałem puchnąć z głodu. Rozsznurowałem buty, oswobadzając pokryte krzyżującymi się pręgami stopy, i zacząłem z trudem rozdzierać wzdłuż szwów nogawki watowanych spodni. Każdy ruch sprawiał mi ukłucie bólu, gdyż musiałem oddzierać zeskorupiały puklerz z krwi i ropy od skóry, ale nie ustałem, aż dopiero gdy zobaczyłem dwie nagie i czerwone kłody nóg, pokryte wrzodami, z których sączyła się wolno żółto-różowa ciecz. Dotykałem tych nóg, jakby nie były moje — palec tonął najpierw w miękkim cieście ciała, a potem odskakiwał jak od napompowanej kiszki samochodowej. Aby ściągnąć buszłat, musiałem jednak zejść z pryczy. Dopiero po wszystkim usiadłem ze zmęczenia na podłodze, oparłszy się plecami o ścianę. Teraz mogłem swobodnie puchnąć, miałem znowu dość przestrzeni. Nie było mi zimno, czułem tylko mdłość i zawroty głowy. I ani się spostrzegłem, gdy zasnąłem z głową opuszczoną na dwie miękkie i mokre od krwi poduszki nóg.

Musiało być nie później niż czwarta po południu, bo przez małe okienko przenikała jeszcze do celi smuga światła, gdy w ścianie Gorbatowa ozwało się nie pukanie, ale nerwowy łomot. Nie zmieniając prawie pozycji, odstukałem i przyłożyłem ucho do szpary.

— Wyprowadzili przed chwilą siostry — mówił szybko — wieczorem wracam do zony. Wsiego choroszego. Przeczołgałem się do przeciwległej ściany.

— Wyjrzyj przez swoje okienko — powiedziałem — wyprowadzili przed chwilą siostry.

— Dobrze — odpowiedział T. — zapukam później i opowiem ci.

Czekałem przejęty niezrozumiałym strachem i podnieceniem. Głowa ciążyła mi jak dojrzała dynia, rany na obnażonych nogach przyschły w czasie snu, ale zaogniwszy się powodowały tak nieznośne swędzenie, że zacząłem je znowu rozdzierać, bawiąc się bezmyślnie cienkimi strupkami. Było mi duszno i poczułem znowu parcie w pęcherzu, ale nie miałem siły wstać... Równocześnie z falą ciepła w spodniach zobaczyłem na podłodze małą kałużę.

— Widziałem — zapukał T.

— Opowiedz dokładnie — poprosiłem.

— Wyprowadzili je za zonę w stronę centralnego izolatora. Więcej nie widać, już szarzeje...

— Jak wyglądały?

— Normalnie. Trzy kobiety z rozczochranymi nieludzko włosami. Zdaje się, że jeszcze młode.

— Duży konwój?

— Dwóch strielków ze sztykami.

— Opowiedz jeszcze. Jak szły?

— Normalnie. Nic więcej nie widziałem. Za zoną już prawie ciemno. Dobranoc.

Wdrapałem się na pryczę, kalecząc sobie nogi o krawędzie desek, i wcisnąłem się w swój kąt. Przeleżałem tak bez ruchu chleb Zyskinda, łomot ciała nieznajomego i jego zwierzęcy posiłek na ziemi. Czas płynął teraz szybko, wpadłem bowiem w stan sennego odrętwienia na jawie. Było już pewnie koło północy, gdy od strony strzelnicy rozległy się trzy krótkie salwy. Zdążyłem jeszcze jak błysk wystrzału uchwycić to ostrzeżenie, bo zaraz potem ogarnęła mnie ciemność.

Za dnia Loevenstein, który odwiedził mnie w izolatorze, nie ukrywał przede mną prawdy.

— Mój drogi — powiedział, korzystając z chwilowej nieobecności Zyskinda — masz zdrowe serce, ale naj-

zdrowsze nawet serce nie potrafi długo pompować krwi do takich sparszywiałych i opuchłych nóg. Radzę ci przerwać głodówkę nielegalną — uśmiechnął się lekko — i wrócić do głodówki dozwolonej, a nawet zalecanej przez prawo. Pożyjesz sobie jeszcze trzy miesiące w ciszy i cieple Trupiarni, a do tego czasu może się przecież coś zmienić...

Odpowiedziałem przeczącym ruchem głowy. Czułem się teraz lepiej, zszedłem nawet z pryczy, żeby odprowadzić starego lekarza do drzwi. Ale tej nocy — siódmej od chwili rozpoczęcia głodówki, a szóstej w izolatorze — poczułem nagle ostry ból serca i przejmujący strach. Nie ma rzeczy gorszej niż strach bezprzedmiotowy, strach przed nieznanym, przed groźną tajemnicą, która zdaje się czaić wszędzie — tuż obok, w pobliżu gardła, przy palcach nóg, w lewym rogu klatki piersiowej... Nieznajomy poruszył się pode mną we śnie i westchnął ciężko. Odzyskałem na chwilę pewność siebie, ale gdy ucichł znowu, pomyślałem nagle nie wiadomo dlaczego, że umarł, i osunąłem się szybko z górnej pryczy na ziemię. Biłem przeraźliwie długo — wieczność całą! — w ścianę T., cały czas mając niezachwianą prawie pewność, że na odległość wyciągniętej ręki leży trup, bojąc się odwrócić doń na krótką choćby chwilę plecami, aż wreszcie poczułem między zgiętymi konwulsyjnie palcami coś lepkiego i przerwałem pukanie. Nikt nie odpowiadał. A więc i on nie żyje? Zbierałem oddech do ostatniego rozpaczliwego okrzyku, jak gdybym chciał go wydrzeć z najgłębszych trzewi tej agonii strachu przed śmiercią, gdy obok rozległo się najpierw pukanie, a potem pytanie:

— Co się stało?

— Żyjesz! A więc żyjesz!

— Źle się czuję, słabo mi...

— Przerwijmy głodówkę, przegraliśmy ją, gdy tamci odeszli... Rozstrzelali zakonnice...

— Ja nie — odpowiedział z nieoczekiwaną siłą.

Nie ruszyłem się z miejsca. Ale gdy nieznajomy westchnął znowu i zakrzyczał coś przez sen, usnąłem twardo pod ścianą po raz pierwszy od wielu tygodni z uczuciem spokoju.

Ósmego dnia wieczorem nieznajomy nie przyszedł jak zwykle do celi, natomiast Zyskind otworzył drzwi i kazał mi się przygotować do wyjścia.

— Dokąd? — zapytałem.

Na korytarzu czekałem chwilę, aż Zyskind otworzy drzwi T. Gdy wyszedł wreszcie, przyglądałem się chwilę jego obrzękłej głowie i wyczytałem w jego spojrzeniu wysiłek, jaki maluje się zazwyczaj w oczach ludzi, którzy rozpoznają z trudem znajomą twarz.

— Koniec? — zapytał cicho.

— Nie wiem — wzruszyłem ramionami — nie ma strielków.

Na wartowni podpisaliśmy w obecności oficera Trzeciego Oddziału tekst depeszy do profesora Kota, urzędującego ambasadora Rzeczypospolitej w Kujbyszewie, i ruszyliśmy z Zyskindem do małego szpitalika, który otworzono niedawno w drugim końcu zony. Szliśmy, trzymając się pod rękę, z dziwną lekkością, jak gdybyśmy się mieli za chwilę oderwać od ziemi. W zonie padał gęsty śnieg, zasypując baraki aż po jarzące się światła okien. Było cicho, pusto i spokojnie.

*

Uratował nam życie milczący „stary Polak" z Ukrainy, doktor Zabielski, który wbrew otrzymanym wyraźnie instrukcjom, dał nam zamiast normalnej porcji chleba i zupy po dwa zastrzyki z mleka. Uniknęliśmy w ten sposób piorunującego skrętu kiszek i pod wieczór następnego dnia, zjadłszy pierwszy od dziewięciu dni talerz rzadkiej kaszy, wyruszyłem do latryny. W małej, prowizorycznie zbitej i osłoniętej tylko paroma deskami ko-

mórce przeżyłem największą w życiu męczarnię fizyczną, gdy stwardniały na kamień żużel, z którego w ciągu ośmiu dni głodówki mój organizm wyssał wszystkie soki, torował sobie przez kiszki drogę, szarpiąc je i kalecząc do krwi. Jak żałośnie musiałem wyglądać, przykucnięty tak na oblodzonej desce w podwianym wiatrem buszłacie i wpatrzony w smaganą zadymką śnieżną równinę oczami, z których ciekły łzy bólu i dumy!

Trupiarnia

Kresem wędrówki ziemskiej w obozie była Trupiarnia, duży barak położony między kuchnią a pomieszczeniem dla ciężarnych kobiet, do którego kierowano więźniów niezdolnych do pracy przed ostatecznym skreśleniem z listy żywych.

Sam wyrok skazujący na Trupiarnię nie był jednak nieodwołalny i podlegał po pewnym czasie rewizji. Więzień odchodził na podstawie orzeczenia lekarzy do Trupiarni, jeśli przestawał być „rabotiagą", a stawał się „dochodiagą" — słowo, którego sens najlepiej oddaje „dogorywanie". Ale — w teorii przynajmniej — istniała zawsze możliwość regeneracji organizmu, jakkolwiek nawet w wypadku młodszych więźniów sam odpoczynek, któremu nie towarzyszyło lepsze odżywianie, nie wystarczał, aby wskrzesić na nowo stygnące życie. Trupiarnia bowiem oznaczała tylko zwolnienie od tortury pracy, nie przynosiła natomiast zwolnienia od męki głodu. Wprost przeciwnie, głód staje się naprawdę groźny i prowadzi na krawędź obłędu dopiero w okresach bezczynności, kiedy jest dość czasu na to, aby go sobie dokładnie uprzytomnić, aby nasycić myślą o nim każdą minutę nieruchomego leżenia na pryczy. Toteż tłum żebraków, oczekujący codziennie wieczorem przed kuchnią na rozdanie resztek zupy z kotłów, składał się przeważnie z mieszkańców Trupiarni.

Najbardziej zdumiewającą właściwością Trupiarni było to, że w samym pierwotnym zamierzeniu miała ona

przypuszczalnie przywracać wycieńczonych więźniów do stanu względnej przydatności do pracy, a w praktyce spełniała taką rolę, jaką wyrażała jej żargonowa nazwa — kostnicy, domu przedpogrzebowego. Racja żywnościowa — w przybliżeniu na poziomie „drugiego kotła" — nie mogła w żadnym razie wpłynąć decydująco na zahamowanie procesu obumierania tkanek, a typowe choroby Północy — cynga i pelagra — były nieuleczalne w ramach symbolicznej kuracji surówkowej. Tylko bardzo silny organizm, wycieńczony pracą, ale nie przeżarty jeszcze rdzą choroby, miał szanse zebrania na powrót sił do życia — do czasu ponownego załamania się. Powtórna selekcja lekarska (podobna do stosowanej w niemieckich obozach koncentracyjnych „wybiórki" starców i niedołężnych więźniów „do gazu") dzieliła więc mieszkańców Trupiarni na „słabosiłkę" i „aktirowkę". Pierwszą kategorię otrzymywali więźniowie, którzy mieli jeszcze widoki powrotu do pracy po okresie wypoczynku w Trupiarni; przyznawano im niewielki dodatek żywnościowy, tak zwane „słabosilnoje pitanije", i organizowano w „słabkomandę", używaną do lżejszych robót pomocniczych w zonie. Druga nazwa oznaczała diagnozę nieuleczalności w warunkach obozowych — czyli w praktyce wyrok skazujący na powolną śmierć w Trupiarni; więźniowie z „aktirowki" nie byli już wzywani do żadnej pracy, ale nie otrzymywali też żadnego dodatku żywnościowego. Pozostawało im tylko czekać cierpliwie na koniec.

Rzadkie wypadki powrotu ze „słabosiłki" do życia i pracy czyniły i z tego nawet podziału fikcję, ale mieszkańcy Trupiarni — zdając sobie na ogół sprawę z faktu, że płyną mimo sztucznych rozróżnień w jednej łodzi — zabiegali niemniej usilnie o zaliczenie do kategorii pierwszej. W gruncie rzeczy chodziło tu nawet nie tyle o ów dodatek żywnościowy, ile o wyrok śmierci zawarty w słowie „aktirowka". Nie tak łatwo było zapłacić cenę utraty resztek nadziei za zupełny spokój

i bezczynność. Nikt, myśląc o baraku, do którego prędzej czy później prowadziły wszystkie drogi życia w obozie, nie ośmielał się porównywać go ze szpitalem. Stał on trochę na uboczu, samotny, zasypany śniegiem, z połyskującymi jak oczy ślepca oknami i powiewającą na dachu niby chorągiew kapitulacyjna białą płachtą dymu, opuszczony przez nadzieję i omijany przez żywych — rzekłbyś: już nie w obozie, lecz za drutami, na tamtym brzegu wiecznej wolności... A przecież w tej ostatniej podróży nie towarzyszyły mu nawet uczucia litości. „Barachło, śmiecie — mówiło się o Trupiarni w zonie — darmo jedzą chleb. I dla nas, i dla nich byłoby lepiej, gdyby im skrócono cierpienia".

Szedłem ze szpitala do Trupiarni z innymi nieco uczuciami niż moi rosyjscy towarzysze. Pięciodniowy pobyt w szpitalu nie wpłynął na moją spuchliznę i nie zagoił mi ran na nogach — wprost przeciwnie, odprężenie nerwowe po głodówce odsłoniło teraz cały organizm do nowego ataku cyngi — ale wspomnienie zwycięstwa było jeszcze dość świeże, aby podsycić na nowo zetlałą już zupełnie nadzieję. Trupiarnia wydawała mi się najlepszym rozwiązaniem w sytuacji, w której bez gorączki nie miałem formalnego prawa do leżenia w łóżku szpitalnym, a z perspektywą bliskiego już może zwolnienia wolałem leżeć bezczynnie na pryczy obok śmierci, niż trzymać się kurczowo życia przy pracy. W pewien sposób więc szedłem między trędowatych, osłonięty nieprzenikalnym pancerzem przeciwko trądowi. I znowu, jak niegdyś, poczułem coś w rodzaju zawstydzenia, że los coraz wyraźniej spycha mnie z dróg, które przede mną wydeptały tysiące spuchniętych i owrzodzonych nóg więźniów sowieckich.

Droga prowadziła obok ambulatorium, dobudówki do baraku technicznego i baraku macierzyńskiego. Przystawałem co chwilę, kładąc na śniegu zawiniątko z całym moim dobytkiem więziennym i przyglądając się zonie.

W dole, oświetlony mroźnym słońcem grudniowym i okopany wysokimi zaspami, stał mój dawny barak, do którego wiedziałem, że już nigdy nie wrócę. Dwie ciężarne kobiety szły wolno w kierunku ambulatorium, podpierając z boków pękate brzuchy czerwonymi od mrozu dłońmi. Za drutami jak okiem sięgnąć ciągnęła się biała pustka, obrysowana na horyzoncie grubą linią lasu. Przed wejściem do Trupiarni zatrzymałem się jeszcze, żeby przerzucić zawiniątko na drugie ramię i złapać oddech. W tej samej chwili z mojego dawnego baraku wyszła brygada tragarzy i skierowała się w stronę łaźni. Ileż czasu minęło, gdy chodziłem tak razem z nimi, ileż nowych, nie znanych mi twarzy zajęło miejsce tych, których nazwiska tylko kołatały się jeszcze w ludzkiej pamięci! Znalazłszy się na wysokości Trupiarni, ktoś z brygady rozpoznał mnie, machnął ręką i krzyknął wesoło: „Zdrawstwuj, drużok! Podychat'?"

W Trupiarni przywitały mnie ciekawe spojrzenia z obu rzędów górnych i dolnych prycz. Rzuciłem tłumok na stół i począłem szukać Dimki. Znalazłem go w samym rogu, na dolnej jak zwykle pryczy (miał ze swoją protezą zrozumiałą niechęć do wspinania się na górę, chociaż uważał, ze leżenie **nad** innymi więźniami znakomicie poprawia samopoczucie), drzemiącego spokojnie z nieodłączną drewnianą łyżką w ręce. Zmizerniał od czasu swojej „aktirowki", ale siwiejąca, przystrzyżona pięknie w klin broda nadawała jego nieruchomej twarzy wyraz rezygnacji i spokoju. Obudził się, gdy dotknąłem lekko jego ramienia. Przez chwilę zdawał się mnie nie poznawać, napinając boleśnie spojrzenie zmętniałych od snu i bezbarwnych jak dwa sople lodu oczu, lecz zaraz potem uniósł się na pryczy, a twarz rozpogodziła mu się serdecznym uśmiechem. Wstyd powiedzieć — nie widziałem go od chwili, kiedy zebrawszy w naszym dawnym baraku swoje łachy, uścisnął mi na pożegnanie rękę przed odejściem do Trupiarni. „Synok — mówił teraz

prawie przez łzy — słyszałem o wszystkim. Mołodiec! Chleb ci oddali za osiem dni?" — zapytał niespokojnie, szukając wzrokiem mojego zawiniątka. Jakież szczere było jego oburzenie, gdy się dowiedział, że w dniu ukończenia głodówki stos chleba z mojej celi w izolatorze został z rozkazu Samsonowa odesłany z powrotem do „chleboriezki". Nie pytał jednak o powód mojego przybycia do Trupiarni. Odgadł już wszystko tym szóstym zmysłem, który starym więźniom pozwala czytać w twarzach towarzyszy jak w otwartej księdze.

W pobliżu legowiska Dimki odnalazł się również inżynier M., który odwiedził nas był niedawno dwa razy w szpitalu, ale unikał rozmowy na temat przebiegu głodówki. Dzięki jego taktowi cała sprawa poszła już w zapomnienie, pozostawiając wszystkim sześciorgu Polakom równy udział w nadziei. Było coś ładnego i przekonywającego w tym samorzutnym geście solidarności, który obył się bez jednego nawet słowa wyjaśnień. M. był w Trupiarni także nowicjuszem, do niedawna bowiem pozwolono mu mimo zaliczenia do „słabosiłki" mieszkać w ogólnym baraku. Leżał teraz na górnej pryczy i poznałem go z daleka po długich nogach, obwiązanych szmatami i wysuniętych znacznie poza krawędź desek. Pociągnięty za nogę, ocknął się z zamyślenia — a może modlitwy? — i ulokował mnie na pryczy obok siebie. Tak więc zamieszkałem w Trupiarni na trzech wąziutkich deskach, gdyż mój sąsiad z prawej — nauczyciel z Nowosybirska, który wydzielał niegdyś wodę w łaźni — nie chciał mi ustąpić ani o milimetr więcej miejsca.

Około południa wrócił do Trupiarni Sadowski. Mówiono o nim, że codziennie rano i wieczorem wyprawia się do kuchni na żebry i wraca z pustym kociołkiem, co nie znaczyło zresztą wcale, że z pustym żołądkiem, Sadowski bowiem był już w tym stadium głodu, kiedy gorących zlewków z kotła nie można nawet donieść do baraku, lecz wypija je się na stojąco, parząc sobie usta.

W rzadkich chwilach jasności umysłu Sadowski rozmawiał i opowiadał równie jak dawniej interesująco i żywo, bywały jednak dnie, kiedy zdawał się nikogo nie dostrzegać, siedział nieruchomo na ławce przy stole obok pieca, wpatrzony z nieprzytomnym uporem w jeden punkt, przyczajony jak gdyby i gotów skoczyć każdemu natrętowi do gardła, a z tej obłąkanej zadumy wyrywał go tylko brzęk kociołków za oknem oznaczający porę posiłków. Pomiędzy nim a Dimką istniał w Trupiarni rodzaj cichej, ale zaciekłej rywalizacji, obaj bowiem uchodzili za najwytrwalszych żebraków na kuchni i nieraz zapewne wchodzili sobie wzajemnie w drogę. Dimka odnosił się do niego z nie ukrywaną niechęcią, nadając jej niekiedy bez powodów akcenty polityczne; stary bolszewik daleki był teraz od dawnych popisów dialektycznych, które doprowadzały go niegdyś na skraj logicznego samounicestwienia, a jeśli w ogóle mówił, to tylko po to, by wspominać. Z moim przybyciem do Trupiarni stosunki pomiędzy nimi poprawiły się jednak na tyle, że często wieczorami, doprosiwszy M., zasiadaliśmy w czwórkę przy wspólnym stole do gry w warcaby lub do rozmowy. Ale nigdy nie zdarzyło mi się widzieć ich rozmawiających samych i nigdy też nie wychodzili na kuchnię razem z pozostałymi mieszkańcami Trupiarni.

Trupiarnia różniła się swoim wyglądem znacznie od pozostałych baraków. Na pierwszy rzut oka robiła wrażenie domu noclegowego dla włóczęgów i żebraków i w pewnym sensie była nim naprawdę. Za dnia część więźniów wychodziła do zony w poszukiwaniu jedzenia lub do lekkich robót pomocniczych, a reszta leżała na pryczach, rozmawiając półgłosem, cerując ubrania, grając w karty, pisząc listy. Najbardziej uderzająca była w Trupiarni cisza. Nikt jej nie wymagał ani tym bardziej nie regulował, a jednak była przestrzegana tak ściśle, jak gdyby chroniła ją niepisana umowa. Więźniowie rozmawiali ze sobą szeptem i zwracali się do siebie grzecz-

nie — z tą typową wstydliwą uprzejmością, która od razu od progu rzuca się w oczy w szpitalach dla nieuleczalnie chorych. Gdyby nie fakt, że wielu więźniów nie było w stanie powstrzymać swoich potrzeb fizjologicznych, Trupiarnia mogłaby również uchodzić za najczystszy i najschludniejszy barak w zonie. Nie mieliśmy wprawdzie własnego „dniewalnego", ale codziennie inny więzień szorował podłogę, mył stoły i ławki, przecierał szmatą szyby w oknach, palił w piecu i przynosił wodę. Nad niektórymi pryczami wisiały wycinanki z kolorowego papieru, obrazki wycięte z gazet i fotografie rodzinne w ramkach ze srebrnej blachy z zatkniętym u góry zwiędłym kwiatkiem. Mieszkało nas w Trupiarni około stu pięćdziesięciu; barak był widny, dobrze utrzymany, z odstępami pomiędzy pryczami co dziesiąte legowisko. Nieraz po śniadaniu wybuchały spory o to, do kogo należy sprzątanie, w dzień bowiem czas dłużył nam się przeraźliwie, zdawał się wyciekać powoli z naszych żył wraz z życiem. Dopiero pod wieczór, kiedy do zony wracali z nowinami więźniowie ze „słabkomandy", a w baraku zapalały się światła, Trupiarnia ożywiała się na krótko i wybuchała nieoczekiwanymi rezerwami życia. Już sam widok więźniów, grających przy stołach w warcaby lub zbierających się gromadkami w załomach między pryczami, działał pokrzepiająco. Barak pęczniał od ciepła, otwierając nam rany na nogach, serca i usta. Światło rozpryskiwało się pękami promieni o migające na tle ciemności białe tafelki szybek. Niekiedy rozlegały się śmiechy, głosy przekraczały granicę szeptu, a z dalszych prycz zrywały się nieśmiało dźwięki organków i wzbiwszy się w powietrze, trzepotały się jak ćmy nocne w jasnym kręgu żarówek. Ale z nastaniem nocy w Trupiarni zapadała znowu martwa cisza, aby pęknąć nagle za ścianą snu jak wezbrany wrzód krzykami i majaczeniami, których ton bardziej był przejmujący, ostry i rozpaczliwy niż w zwykłych barakach. Trupiarnia tonęła

w dusznym cieple oddechów, gorączkowym śnie i smrodzie ekskrementów.

Pod maską pozorów kryła się jednak inna rzeczywistość, którą można było zobaczyć i rozpoznać jedynie po dłuższym okresie zadomowienia w Trupiarni. Żebraczy i włóczęgowski styl życia wytwarza nawet w więzieniu swoje własne prawa, podobne w karykaturalny sposób do praw rządzących życiem normalnych więźniów. Zazdrość na przykład powściągana była w ogólnych barakach faktem, że nikt nie mógł zjeść więcej, niż zapracował; wzajemną nienawiść przytępiała nieco wspólna praca; rozpacz cichła często pod tłumikiem zmęczenia. Wszystko to odpadało w Trupiarni. Czas, wlokący się nielitościwie wolno czas, i pustka bezcelowego oczekiwania napełniały barak atmosferą, w której wzbierająca stopniowo złość omal nie zrywała wszystkich tam sztucznej uprzejmości. Siedząc na pryczach w przegniłych łachmanach, z zarośniętymi twarzami i zwisającymi luźno kłodami nóg, więźniowie przyglądali się sobie podejrzliwie, śledzili nawzajem każde swoje poruszenie, chcieli wiedzieć o sobie wszystko. Ludzie dogorywający nie mogli nie dostrzegać we wzroku swych towarzyszy pytania „kiedy?". Ludzie wracający do zdrowia chełpili się tym w sposób okrutny. W tym kłębowisku dogasających namiętności ludzkich najstraszniejsze było to, że dawały one o sobie po raz ostatni znać w sposób tak skryty, a jednocześnie jaskrawy. Wróciwszy któregoś wieczoru z zony do baraku, zastałem nauczyciela z Nowosybirska — tego samego, który kiedyś za szczyptę machorki opowiadał nam o nagich kobietach w łaźni — opartego swobodnie, z rękami w kieszeniach i niedopałkiem papierosa w kąciku ust, o belkę pionową pryczy i pastwiącego się nad dwoma nieuleczalnymi pelagrykami. „To są kobiety — krzyczał swym piskliwym głosikiem przy wtórze śmiechów z sąsiednich prycz — nogi, uda, piersi, szkoda marzyć, bratcy, nie dla was te rozkosze". I niepostrzeże-

nie dla samego siebie ulegałem również powoli prawom Trupiarni. Nie zapomnę nigdy dnia, w którym udało mi się na parę godzin wcisnąć do pomocy na kuchnię. Wieczorem, kiedy umyłem już wszystkie kotły i najadłem się do syta na miejscu (pracującym w kuchni nie wolno było wynosić jedzenia do zony), zobaczyłem nagle w wychuchanym w oblodzonej szybie okienku najpierw twarz Dimki, a potem Sadowskiego, i dwie wypychające się nawzajem z otworu pod szybą ręce, w których tkwiły puste kociołki. Jeden z kucharzy spuścił znienacka zastawkę, a żebrzące ręce zadrgały z bólu, ale nie wypuszczając kociołków cofnęły się błyskawicznie na zewnątrz. Patrzyłem przez chwilę na to, co się działo po **tamtej** stronie szyby, ze wstrętem, prawie z odrazą, choć i ja przecież zacząłem od niedawna chodzić wieczorami po resztki zupy do kuchni. Jest błędem przypuszczać, że tylko żebrak, który wydobył się z nędzy, potrafi zrozumieć niedolę swych dawnych towarzyszy. Nic tak nie odpycha i nie wywołuje sprzeciwu, jak podsunięty nagle człowiekowi przed oczy obraz jego własnej doli człowieczej, doprowadzonej do swych krańców.

Jednocześnie przecież Trupiarnia sprzyjała pogłębieniu przyjaźni wśród więźniów, którzy znali się przedtem w zonie. Przeszło rok żyłem jak syn z ojcem z Dimką, ale dopiero teraz, w czasie długich rozmów w Trupiarni, poznałem bliżej historię jego życia. Był młodziutkim popem w Wierchojańsku, gdy wybuchła rewolucja. Przez parę pierwszych lat pozostawiono go w spokoju, potem jednak sam zrzucił sukienkę duchowną i został kancelistą. Około roku 1930 ożenił się i wyjechał na południe Rosji jako zwykły robotnik. Pracował ciężko, zbliżywszy się na swój sposób do komunizmu, i zapomniał prawie zupełnie o przeszłości. Dimka był jedynym człowiekiem, jakiego spotkałem w obozie, który wymazał trzydzieści lat swego życia tak dokładnie, że zdawał się z trudem poruszać wśród chwiejnych i niewyraźnych widm mło-

dości. Jego młodzieńczość pochodziła z faktu, że narodził się jak gdyby po raz drugi w roku 1925. Jego dojrzała mądrość natomiast zapuściła po kryjomu głębokie korzenie w zamierzchłą i nie istniejącą już przeszłość. Zrosło się w nim w tajemniczy sposób dwóch ludzi i on sam nie wiedział często, który jest prawdziwy. Z młodości pozostał mu serdeczny, współczujący i instynktownie religijny stosunek do ludzkiego cierpienia, ale ilekroć sobie to uświadamiał, szukał w popłochu schronienia w cynicznej drwinie z każdej wiary. Jedyne, co się naprawdę liczy — i tu przemawiał przez niego młody, zepsuty przedwczesną walką o życie chłopiec — to zjeść jak najwięcej i spać jak najdłużej, „sochranit' żyzń", jak powiadał. Ale jak większość ateistów nie podejrzewał nawet, że akt jego buntu religijnego był w swojej istocie bardziej chrześcijański niż tysiące cudownych nawróceń. Zapytany któregoś wieczoru, kiedy przestał defnitywnie wierzyć w Boga, odpowiedział, że w roku 1937, gdy odrąbał sobie siekierą na „lesopowale" stopę, aby odejść do szpitala i uratować wiarę w swoją własną wolę, w siebie — w człowieka. Pod tym względem był jaskrawym przeciwieństwem Sadowskiego, który do ostatniej przytomnej chwili w Trupiarni zachował pogardę dla człowieka i wiarę w abstrakcyjny system, zbudowany przez myśl ludzką. Dimka został aresztowany w roku 1936 za swoją zapomnianą zbrodnię „popowstwa" i należał do starej, wymierającej już gwardii „pionierów" kargopolskich. Wraz z nim aresztowano i zesłano do Środkowej Azji żonę i dwoje dzieci. Od pięciu lat nic nie wiedział, i co dziwniejsze — nie chciał wiedzieć o ich losie.

Innego zupełnie typu człowiekiem był M. Mimo łachmanów miał wygląd arystokraty i nosił się jak arystokrata. Bardzo wysoki i szczupły, o rasowej, pociągłej twarzy, w której głęboko osadzone oczy wyrażały smutek i dumę zarazem, poruszał się w baraku z delikatnym namysłem

i nie z każdym wdawał się w rozmowę. Więźniowie go nie lubili i szanowali jednocześnie. Potrafił trzymać się na uboczu, nie raniąc nikogo, ale nie stronił od żadnej sprawy, która miała bardziej trwałe znaczenie. Mógł się wydawać śmieszny każdemu, kto go bliżej nie znał: niesamowicie długie nogi i ręce wlokły się za nim jak u kukły o obluźnionym sznurku, a z nosa i oczu ciekły mu nieustannie cienkie strużki, żłobiąc sobie na wynędzniałej twarzy drogę w kierunku ust. M. cierpiał nie tylko na serce; bardziej bolesne były częste ataki migreny na tle zaburzeń mózgowych, w czasie których siedział przy stole oparłszy głowę na dłoniach, z zaciśniętymi kurczowo oczami, jak gdyby próbował za wszelką cenę usnąć. Dolegał mu również niedopływ krwi do kończyn i było rzeczą naprawdę przejmującą patrzeć, jak na próżno stara się ogrzać przy piecu, wisząc nieomal jak własny wydłużony cień nad ogniem. Zdarzało się, że przystawał nieoczekiwanie obok prycz, opierał się o belkę, przymykał oczy i przyciskał dłonie do skroni; wiedziałem wówczas, że przygotowuje się do odparcia niebezpieczeństwa. Ale nie usłyszałem z jego ust nigdy słowa skargi i nie dał też nigdy zawładnąć sobą uczuciu głodu. Był głodny — wiedzieliśmy o tym dobrze — a przecież nawet to, co dostawał, zjadał ze spokojem i godnością. Jedyną jego cichą namiętnością, przed którą nie umiał się do końca obronić, było natomiast palenie. Nieraz obejrzawszy się dokoła, podnosił z ziemi niedopałki i chował je szybko do kieszeni. Wiedziałem również, że co drugi dzień odcina połowę swojej głodowej racji chleba i sprzedaje ją w zonie za szczyptę machorki. W pewien sposób zgubiło go to palenie, gdyż tak jak mnie zatrzymano go po amnestii w obozie na podstawie donosu „nariadczika", do którego chodził często na papierosa i... rozmowę. Z poglądów był konserwatystą, ale interesowały go naprawdę tylko trzy sprawy: Bóg, Polska i żona. Rosjanie aresztowali go w jednym ze wschodnich

województw, gdzie był wysokim urzędnikiem ministerstwa rolnictwa, w trzy dni po wkroczeniu do Polski, 20 września 1939 roku, i skazali najpierw na śmierć, a potem na dziesięć lat więzienia. Jeszcze w więzieniu w Baranowiczach dowiedział się, że żonę zesłano w głąb Rosji, i odkąd znalazłszy się w obozie, otrzymał nareszcie prawo pisania co miesiąc jednego listu, usiłował z nią na próżno nawiązać kontakt. Jego straszliwe bóle głowy wynikały na pewno w dużym stopniu z faktu, że w chwilach samotności koncentrował z coraz większym wysiłkiem wzrok pamięci na jedynym przedmiocie — na obrazie żony. Ale nocą (gdyż spałem obok niego na pryczy) znajdował pewną ulgę w modlitwie. Nie widziałem nigdy w życiu człowieka, który by się tak pięknie modlił jak M. Uniósłszy się na pryczy, zasłaniał twarz dłońmi i szeptał cicho słowa modlitwy głosem tak przejmującym, nabrzmiałym bólem i łzami, jak gdyby korzył się u stóp krucyfiksu porażony bezgranicznym zachwytem dla Tego, którego ciało umęczone na krzyżu nie wydało z siebie ani słowa skargi... „Za kogo się tak modlisz?" — zapytałem go kiedyś, nie mogąc usnąć. „Za wszystkich ludzi" — odpowiedział spokojnie. „Za tych, co nas tu trzymają, też?" „Nie — odparł po namyśle — to nie są ludzie".

Tak więc wieczorami siadywaliśmy czasem w czwórkę przy jednym stole. Dimka lubił bardzo warcaby, toteż grywałem z nim często, chociaż nużyła mnie trochę monotonia ruchów. Sadowski i M. komentowali ostrożnie ostatnie wydarzenia na froncie, przyglądając się naszej grze. Sadowski, który sam był z pochodzenia Polakiem (urodził się w Grodnie, ale wyjechał z rodzicami w głąb Rosji jeszcze przed rewolucją 1917 roku), nie znosił M. za jego mimowolną „pańskość" i religijność. Również Dimka patrzył na M. z ukosa, a przecież mimo to stanowiliśmy razem jedną z najbardziej zżytych grup w Trupiarni. Nieraz, gdy w baraku zapalało się światło

i więźniowie poczynali schodzić z prycz do stołów, puste miejsce w naszym kącie robiło wrażenie dotkliwej wyrwy.

Przed Bożym Narodzeniem wszystkim sześciorgu Polakom dano do przeczytania i podpisania krótkie oświadczenie: „Zadierżan w łagierie po rasporiażenii Osobogo Sowieszczanija NKWD w Moskwie", ucinając w ten sposób gwałtownie okres pełnego nadziei oczekiwania. Zacząłem się teraz przyglądać Trupiarni innym okiem. Wyglądało na to, że trzeba się będzie w niej zadomowić na dłużej, jeżeli nie — na zawsze.

Boże Narodzenie obchodzone było w obozie w sposób nieoficjalny i prawie zakonspirowany. Wszystkie święta o charakterze religijnym wymazane zostały z kalendarza sowieckiego jak najskrupulatniej, ustępując miejsca rocznicom historycznym związanym z rewolucją październikową i żywotami komunistycznych świętych; na wolności niedzielę zastąpił oficjalny „wychodnoj dień", przypadający z reguły w poniedziałek. Wśród młodszych więźniów, wychowanych już prawie zupełnie w tradycji bolszewickiej, spotykało się takich, którzy nie znali nawet podań chrześcijańskich stojących u źródeł układu świąt. Ale starzy więźniowie przechowywali w pamięci i w sercach stary kalendarz, stosując się po kryjomu i skromnie do jego przepisów. W czasie pierwszego Bożego Narodzenia w roku 1940 uderzył mnie w wilię uroczysty wygląd baraku i duża ilość więźniów z zaczerwienionymi od płaczu oczami. „Wszystkiego najlepszego — mówili, ściskając mi rękę — na przyszły rok na wolności". To było wszystko. Ale kto zna obóz sowiecki, ten wie, że było to bardzo wiele. Gdyż słowa „wolność" nie wzywa się w Rosji nadaremno.

Boże Narodzenie 1941 roku postanowiliśmy uczcić w sposób wyjątkowy właśnie dlatego, że witaliśmy je znowu z uczuciem zupełnej beznadziejności. Wieczorem do Trupiarni przyszła pozostała czwórka Polaków i zanim zaczęliśmy się łamać przechowywanym specjalnie

na tę chwilę chlebem, pani Z. ofiarowała każdemu z nas chusteczkę z wyhaftowanym orzełkiem, gałązką jedliny, datą i monogramem. Trudno było dociec, jak potrafiła zdobyć na ten cel nici i cienkie płócienko, a jeszcze trudniej uwierzyć, że mimo ciężkiej pracy na birży drzewnej poświęciła na ich wyszycie co najmniej pięć wieczorów. W każdym razie dotykaliśmy tych chusteczek z nieśmiałą radością (przechowuję swoją do dzisiaj) i zapomnieliśmy dzięki nim na chwilę, że cała nasza wieczerza wigilijna miała się składać z kromki chleba i kubka wrzątku. Było zapewne coś budzącego mimowolny szacunek w tej gromadce ludzi pochylonych nad pustym stołem i płaczących z tęsknoty z dala od swej ojczyzny, bo mieszkańcy Trupiarni przyglądali nam się z prycz z powagą, a Dimka i Sadowski wyszli szybko do zony. Późnym wieczorem rozmowa potoczyła się nieco żywiej i do dziś pamiętam opowiadanie B., którego jako oficera rezerwy wojsk polskich aresztowano w baraku nazajutrz po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej i osadzono w centralnym izolatorze. B. rozpoczął niechętnie (większość więźniów ma zabobonny lęk przed wspominaniem śledztwa i wszystkiego, co się z nimi działo od chwili aresztowania do wyroku), ale w miarę mówienia nabrał rozpędu, jakby sprawiało mu ulgę to wyjawienie przeżyć osłoniętych zazwyczaj w obozie tajemnicą, a kiedy skończył, Trupiarnia pogrążona już była w głębokim śnie.

Opowiadanie B.

„22 czerwca w nocy nie mogłem usnąć. Prycza wydawała mi się twardsza niż zwykle. Nie przestawałem myśleć o zmianach, jakie może przynieść wybuch wojny. Dopiero nad ranem zapadłem w nerwowy sen.

Ledwie usnąłem, poczułem, że ktoś mnie budzi inaczej niż w czasie codziennego «podjomu». Obok mojej

pryczy stał zastępca Samsonowa i kazał mi się szybko ubierać. Nie pozwolił mi się jednak dokładnie ubrać, obiecując, że zaraz wrócę do baraku.

Wszyscy jeszcze spali i obóz zalegała cisza. W kancelarii NKWD czekała na mnie Strumina w asyście dwóch uzbrojonych żołnierzy. Byłem ciągle jeszcze zaspany, ale otrzeźwił mnie podsunięty do podpisu akt oskarżenia, z którego wynikało, że jestem aresztowany za powtórną zdradę Związku Sowieckiego. Mimo nacisku nie podpisałem. Strumina kazała mnie dwóm żołnierzom odprowadzić do centralnego izolatora. Nie pozwolono mi zabrać z baraku pozostałych części ubrania, obiecując dostarczyć mi je do więzienia.

Cela, do której mnie wtrącono, miała rozmiary 3 na 5 metrów i piętrowe prycze. Małe okna z grubymi żelaznymi kratami zabite były od zewnątrz deskami. W niewielkim otworze nad drzwiami znajdowała się odrutowana żarówka. Byłem sam. Zaczynałem zdawać sobie sprawę z tego, co się stało, ale ciągle jeszcze nie wiedziałem, za co i dlaczego mnie aresztowano. Tak czy owak — pomyślałem — jestem podwójnym więźniem.

Po godzinie drzwi się otworzyły i weszło nowych pięciu więźniów z Jercewa. Byli przerażeni. — Wojna — powtarzali ciągle — będziemy wszyscy rozstrzelani. — Za co? — zapytałem. — Dla postrachu — padła odpowiedź. Nad ranem w celi było już 22 więźniów, reszta z innych „łagpunktów". Wybrałem na pryczy miejsce obok okna, miałem do tego prawo jako pierwszy w celi. Śmierć zaglądała mi w oczy, ale instynkt samozachowawczy jeszcze działał.

Dzień upływał nam na wspólnym roztrząsaniu ewentualnych przyczyn aresztowania. Byłem w celi jedynym Polakiem. Obok mnie leżał Ukrainiec Selezjonka, adwokat z Polski. Z innych „łagpunktów" przygnano dwóch generałów sowieckich, czterech prawników — jeden z nich, profesor prawa uniwersytetu moskiewskiego

Grosfeld, podawał się za «nauczyciela Stalina» — dwóch dziennikarzy, czterech studentów, wyższego urzędnika NKWD, byłego komendanta obozu i byłego urzędnika gospodarczego obozu. Wśród pozostałych pięciu znajdował się fryzjer moskiewski, który bardziej niż my rozpaczał nad swym losem i losem pozostawionej w Moskwie rodziny.

Atmosfera w celi stawała się z każdym dniem cięższa. Ciepłe lato archangielskie, tysiące komarów wlatujących do celi przez maleńki otwór zwany oknem, roje pluskiew na pryczach — wszystko to pogłębiało w nas poczucie nierealnego i przeraźliwego zarazem koszmaru.

Rozpoczęły się śledztwa. Co nocy wzywano dwóch lub trzech więźniów do NKWD. Wracali zazwyczaj nad ranem pobici i roztrzęsieni. Zmuszano ich do fikcyjnych zeznań i podpisywania gotowych już protokołów. I tak na przykład, wspomniany już fryzjer z Moskwy golił pierwszego dnia po wybuchu wojny więźnia-Żyda, który zażartował, że teraz obozy staną się punktami rekrutacyjnymi Czerwonej Armii. Fryzjer odpowiedział ze śmiechem: «Tak, ale ciebie nie wezmą, bo trzeba by krzywych karabinów, by móc strzelać zza węgła. Ale ostatecznie i takich karabinów u nas nie brak, więc może jednak pójdziesz do wojska». Za te słowa oskarżono go, że zdradził swój kraj. Inny więzień skomentował obcięcie racji chleba po wybuchu wojny pytaniem: «Co z nami będzie za miesiąc, jeżeli już teraz brak chleba?» Oskarżono go również o zdradę Związku Sowieckiego.

Przyszła kolej na mnie. Zaprowadzono mnie w nocy do siedziby NKWD, odległej o kilometr od centralnego izolatora. W pokoju, do którego mnie wepchnięto, nie było oprócz biurka i dwóch krzeseł ani jednego mebla. Wszedł kapitan NKWD z teczką dokumentów, jak się później okazało — akt z mojego poprzedniego śledztwa. Pozwolił mi usiąść i poczęstował mnie papierosem;

jako niepalący odmówiłem jednak. Przeglądanie dokumentów trwało około dwóch godzin, które ciągnęły się jak wieczność. Milczenie przerwał sędzia śledczy, rozpoczynając długi wykład na temat wojny z Niemcami, potęgi Związku Sowieckiego oraz mądrości i nieomylności Stalina. Gdy skończył, podał mi do przeczytania i podpisania gotowy już protokół. Zarzucano mi, że jako syn rolnika zgodziłem się być urzędnikiem w burżuazyjno-kapitalistycznej Polsce (B. był nauczycielem gimnazjalnym), a ponadto opowiadałem współwięźniom o życiu na Zachodzie, dopuszczając się tym zdrady Związku Sowieckiego. Nie podpisałem. Sędzia śledczy wstał i kopnął mnie nagle tak mocno, że spadłem z krzesła. Po czym kazał mi zrobić przysiad i rozpoczął śledztwo na nowo. Nie poddawałem się. Kopnął mnie znowu, grożąc tym razem rewolwerem. Śledztwo trwało do siódmej rano, a przez cały ten czas nie wolno mi było ani usiąść na ziemi, ani podnieść się z przysiadu. Rano sędzia śledczy kazał mnie zaprowadzić na wartownię i pilnować, abym nie usnął. Przesiedziałem na wartowni do dziesiątej wieczorem bez posiłku i wody. Wezwany ponownie do sędziego śledczego, odmówiłem podpisania protokołu i powtórzyła się ta sama historia, co poprzedniej nocy. Sędzia śledczy kopał mnie nieustannie i bił po twarzy. Nad ranem odprowadzono mnie do celi zupełnie wycieńczonego.

Pozostawiono mnie w spokoju przez dwa tygodnie. Wszyscy moi towarzysze w celi mieli już za sobą ukończone śledztwa.

Po upływie dwóch tygodni wezwano mnie znowu do podpisania protokołu. Tym razem w pokoju sędziego śledczego zastałem czterech świadków (również więźniów), z których dwóch nie widziałem nigdy w życiu na oczy. Ich zeznania były beznadziejnie obciążające, ale nie poddawałem się dalej. Mój inkwizytor stracił panowanie nad sobą, bił mnie na oślep i groził, że nawet bez podpisania protokołu «zastrzeli mnie jak psa».

Minęło parę dni. Niektórzy towarzysze w celi doradzali mi, abym podpisał akt oskarżenia, inni twierdzili, że powinienem się trzymać. W tym czasie zaczęły się rozprawy sądowe. Wzywano z celi w nocy po dwóch. Zasądzeni nie wracali już do naszej celi, lecz do celi położonej naprzeciwko. Korytarz w izolatorze był bardzo wąski, toteż mogliśmy się porozumiewać przez maleńki otwór, w którym znajdowała się odrutowana lampka. Z przeciwka dochodziły ciągle okrzyki, donoszące o wyrokach skazujących na śmierć. W okresie paru dni zostało nas w celi tylko pięciu: jeden generał sowiecki, Grosfeld (ów rzekomy «nauczyciel Stalina»), jeden student, adwokat Selezjonka i ja. Którejś nocy zabrano także i ich. Zostałem sam. Wrócili jednak nad ranem pełni nowych nadziei. «Naszą sprawę odroczono — mówili — mamy jeszcze przed sobą trochę życia». Po tygodniu obudził nas o północy niezwykły ruch na korytarzu. Otworzyły się drzwi celi śmierci i naszym sąsiadom z przeciwka kazano wychodzić. Opierających się wywlekano siłą. Słyszałem płacz i krzyki. Nasz znajomy fryzjer zawołał głośno: «Kto mnie słyszy i zostanie żywy, niech powie kiedyś mojej rodzinie w Moskwie, że mnie zastrzelono». Po paru minutach rozległy się na dziedzińcu więziennym pojedyncze wystrzały i krzyki. Czy potraficie sobie wyobrazić, co się ze mną działo? Serce przestało mi bić i czułem w mózgu każdą żyłkę osobno. Po paru dniach zabrano z celi moich czterech towarzyszy. Nie wrócili tym razem. Zostałem znowu sam.

Upłynęło parę tygodni. Którejś nocy obudzono mnie i zaprowadzono do szkoły jercewskiej na rozprawę sądową. Komplet sędziowski składał się z dwóch kobiet. Prokuratorem była również kobieta. Czekałem na wyrok śmierci. Prokurator wstał i oświadczył jednak, że na podstawie umowy zawartej przez rząd polski w Londynie z rządem sowieckim nie będę w ogóle sądzony. Nie mogłem w pierwszej chwili pojąć, o co chodzi. Na kartce

kalendarza, leżącego na stole sędziowskim, przeczytałem datę: 29 sierpnia. Podejrzewałem podstęp. Powtórzono mi drugi raz decyzję sądu i odprowadzono do celi.

Dopiero w celi uświadomiłem sobie, że w czasie mojego dwumiesięcznego pobytu w izolatorze musiały zajść na wolności jakieś zmiany. W pierwszych dniach września zapowiedziano mi przez otwór w drzwiach, że mam być gotów za dziesięć minut do drogi. Na dziedzińcu czekało już sześciu więźniów i pięciu żołnierzy NKWD. Ruszyliśmy w nieznane.

Wieczorem nasz konwój dotarł do Drugiej Aleksiejewki. Obóz karny w Aleksiejewce podzielony jest na dwie części. W jednej części, tak zwanej wolnej zonie, więźniowie żyją normalnie we wspólnych barakach. W drugiej, tak zwanej izolacyjnej, która odgrodzona jest wysokim parkanem i drutami, przebywają brygady karne. Skierowano nas oczywiście do zony izolacyjnej.

Rano, gdy wypędzono nas do pracy, miałem możność bliższego zorientowania się w warunkach życia w Aleksiejewce. Mimo dotkliwego mrozu więźniowie byli zupełnie niemal bosi i obdarci i ledwie się poruszali z wycieńczenia. Na moich oczach dwóch więźniów upadło i skonało przy bramie. Zgodnie z życzeniem komendanta obozu, Soroki, wychodzącym do pracy przygrywała harmonia. Pierwszego od razu dnia zmarło w naszej brygadzie przy pracy trzech więźniów. W zonie izolacyjnej silniejsi mordowali bezkarnie słabszych i zabierali im chleb. Po dwóch tygodniach udało mi się uzyskać zezwolenie na przeniesienie się do wolnej zony. Ta część mojej historii może was już mniej interesować. Wystarczy może, jeśli powiem, że w wolnej zonie znalazłem barak zamieszkany wyłącznie przez 123 więźniów polskich. Któregoś dnia postanowiliśmy wszyscy nie wychodzić do pracy, żądając zwolnienia z obozu w myśl amnestii. Cała ta historia z amnestią była w dziejach obozów sowieckich czymś tak bez precedensu, że Soroka

zamiast — jak to zazwyczaj w takich wypadkach robił — posłać do baraku oddział żołnierzy z lekkim karabinem maszynowym i powystrzelać jego mieszkańców co do jednego, odesłał nas pospiesznie do Kruglicy. Stamtąd mnie jedynego posłano pod koniec września etapem do Jercewa. O reszcie nic nie wiem. Wierzcie mi — zakończył swą opowieść B., a głos załamał mu się z przejęcia — wracałem do Jercewa jak do domu".

*

Trupiarnia płynęła wolno ku swemu przeznaczeniu. W styczniu zacząłem powtórnie puchnąć i coraz rzadziej schodziłem z pryczy, jedząc tylko to, co mi przynosił Dimka. Nie czułem jednak głodu. Leżałem całymi dniami bez ruchu na pryczy, doświadczając największej łaski, jaka może być dana człowiekowi umierającemu — łaski wspomnień. Śniło mi się najczęściej (gdyż był to właściwie półsen), że późnym wieczorem wracam ze stacji w Kieleckiem do domu. I choć była już noc, widziałem dokładnie, jak gdyby w czarnym świetle, najpierw piaszczystą drogę obok toru, potem zagajnik, dużą polanę z opustoszałą willą, strumień obok wzgórza, na którym w czasie poprzedniej wojny chowano zabite konie artyleryjskie, i wreszcie drogę prowadzącą nad nasz stary, zarośnięty szuwarami staw. Schodziłem ku płytkiej rzeczce, przeskakiwałem parę kamieni i groblą wysadzaną wysokimi olchami szedłem wolno w kierunku domu. Wieczór był chłodny, ale wysuszony całodziennym upałem, księżyc w pełni wisiał nad naszym starym młynem jak błyszczący dukat, oparłszy się lekko o iglicę piorunochronu, od strony łąk dolatywał krzyk dzikich kaczek i plusk żerujących karpi. W pobliżu dwóch modrzewi, które w mojej dziecinnej wyobraźni były niegdyś miejscem spotkań duchów przywalonych w dzień wielkim kamieniem młyńskim, poczułem dawny lęk i począłem

biec. Otworzyłem ostrożnie furtkę ogródka i wspiąłem się na występ muru pod oknem; przy stole siedział ojciec, nasza gospodyni, obie siostry, brat z żoną i jej córką. Pukałem w szybę i w chwili, kiedy zrywali się wszyscy od stołu, aby mnie po tylu latach powitać, budziłem się na pryczy płacząc, z rękami przyciśniętymi kurczowo do serca. Ten sen wracał tak dokładnie i niezawodnie, że znalazłem nową radość w oczekiwaniu nań, w pokornym przywoływaniu go, gdy w baraku zaczynało już szarzeć.

Ale zanim dobiła do ostatniej przystani, Trupiarnia przeszła jeszcze przez niejedną burzę. Któregoś wieczoru stary „kołchoźnik" z okolic Kaługi zlazł z pryczy i bijąc z całej siły w pusty kociołek, zapowiedział nam „koniec wszystkich cierpień" — własne swoje nadejście, „Chrystusa w łachmanach więźnia". Przywitany śmiechem, stanął twarzą do prycz, a plecami do pieca i przyglądał nam się chwilę — groźny, wyniosły, prawie wspaniały z otwartymi szeroko ramionami i zaciętą twarzą szaleńca — po czym odwrócił się błyskawicznie i runął w ogień. Poparzonego zabrano go jeszcze tegoż wieczoru do szpitala.

Kiedy indziej Sadowski, który od paru dni z nikim nie rozmawiał, ustawił stół w poprzek baraku, usiadł przy nim jak za biurkiem i wykrzykując jakieś obce nazwiska, dorzucał do każdego przerażający w swej monotonii i zaciekłości rozkaz: TO JEST REWOLUCJA! RASSTRIELAT'! POD STIENKU! POD STIENKU! Trwało to wszystko nie dłużej niż kwadrans, ale może dlatego, że był moim przyjacielem, ten upiorny krzyk, w którym zawarł całe swoje życie — od przeszłości poprzez teraźniejszość aż po przyszłość — utkwił mi najgłębiej w pamięci jako ostatni akord mojego pobytu w Trupiarni.

Ural 1942

19 stycznia 1942 roku wieczorem podoficer Trzeciego Oddziału z kartką w ręku przypomniał sobie nareszcie o moim istnieniu. Nazajutrz rano żegnało mnie obok wartowni tylko dwoje przyjaciół — Dimka i pani Olga — gdyż z moimi polskimi towarzyszami pożegnałem się wcześniej. Sadowski, którego obudziłem w Trupiarni, aby mu powiedzieć „do widzenia", spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem i zakląwszy ordynarnie, nakrył z powrotem głowę śmierdzącym buszłatem; od miesiąca gorączkował i wszystkie potrzeby fizjologiczne załatwiał, nie ruszając się z pryczy. Dimka zwlókł się z barłogu, przyodział czystą koszulę (w której koniecznie chciał być pochowany) i powłócząc drewnianą protezą, prowadził mnie pod rękę na wartownię. „Synok — powtarzał trzęsącymi się wargami — synok, sczastliwoj żyzni. Nam uże gibiel, my uże bywszyje ludi, no ty jeszczo mołodoj, synok, tiebie swoboda połagajetsia". Pani Olga, która wychudła i sczerniała od czasu, kiedy ją posłano do ładowania drzewa na birży, nie mogła powstrzymać łez. Było mi strasznie. Dante nie wiedział, że nie ma na świecie cierpienia większego, niż doznawać szczęścia na oczach nieszczęśliwych, jeść w obecności głodnych. Ucałowałem ich w milczeniu. Z baraku wybiegł jeszcze stary Iganow (był to pierwszy w nowym roku „wychodnoj dień") i odciągnąwszy mnie na bok, poprosił, abym mu wrzucił na wolności kartkę pocztową do rodziny. Za

zoną ruszyłem wolno — nareszcie po dwóch latach bez konwoju — do Drugiego Oddziału, gdzie przygotowano dla mnie dokumenty. Na zakręcie drogi odwróciłem się jeszcze raz, aby ogarnąć obóz ostatnim spojrzeniem. Dimka machał mi z daleka drewnianym kijem, a pani Olga wracała zmęczonym krokiem do baraku kobiecego.

W Drugim Oddziale przedłożono mi spis miejscowości, do których mogłem dostać bilet i prawo pobytu. O wojsku polskim nie było mowy. Ugrzeczniony oficer NKWD nie wiedział rzekomo, gdzie się ono znajduje, a gdyby nawet wiedział, to i tak na nic by się to nie zdało, bo najdalszy promień trasy zwolnieniowej z obozów kargopolskich sięgał tylko do Uralu. Wybrałem na chybił trafił Złatoust pod Czelabińskiem, ale nigdy doń nie dojechałem. Duże miasta — takie jak Swierdłowsk lub Czelabińsk — były jako „reżymnyje goroda" zamknięte dla więźniów zwolnionych z obozów pracy.

Na stacji w Jercewie dowiedziałem się, że najbliższy pociąg do Wołogdy odjedzie nazajutrz o świcie. Znalazłem więc sobie ciepłe legowisko w poczekalni pod piecem i dotykając ciągle szeleszczących dokumentów i kartki Iganowa na piersi, ruszyłem na zwiedzanie miejsc, które dawniej obserwowałem z daleka, przez druty. Wstyd powiedzieć, ale kartki Iganowa nie wrzuciłem nigdy i gdy piszę te słowa, leży ona przede mną na stole. W promieniu kilkuset kilometrów od obozu bałem się panicznie zbliżyć do każdej napotkanej skrzynki pocztowej, jak gdyby sparaliżowany myślą, że za współudział w tym przestępstwie mogę wrócić do Jercewa, a za Uralem zapomniałem o niej na śmierć w nieprzytomnym pościgu za wojskiem. Biedny, zacny Iganow! Długo pewnie, modląc się nocą na pryczy, nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że ta kartka oddana w tak pewne, zdawałoby się, ręce nie dotarła do adresata. Dziś czytam ją jak dokument wyciągnięty z butelki, którą na bezpieczny brzeg wyrzuciła burzliwa fala. Adresowana jest

do żony w Kazachstanie, mimo że Iganow pochodził znad Wołgi, z czego wnoszę, że po aresztowaniu starego cieśli jego rodzinę zesłano do Azji. W tekście, poza licznymi pozdrowieniami dla wszystkich bliższych i dalszych krewnych, których imiona opatrzone są nieodmiennie zwrotem „mnogo uważajemyj", znajduję tylko jedno zdanie, usprawiedliwiające próbę ominięcia cenzury obozowej: „ja poka żyw i zdorow". Szczerze wątpię, czy można je jeszcze uważać za aktualne po pięciu latach, jakie zostały Iganowowi do odsiedzenia.

Z pagórka w pobliżu stacji widać było wieczorem obóz jak na dłoni. Z baraków unosiły się w górę pionowe słupy dymów, w oknach paliły się już światła i gdyby nie cztery sylwetki „bocianów", siekące noc długimi nożami reflektorów, Jercewo mogłoby uchodzić za cichą osadę tartaczną, zażywającą szczęścia i odpoczynku po ciężkim dniu pracy. Wytężywszy dobrze słuch, można było bowiem usłyszeć brzęk łańcuchów i kołowrotków studziennych — znamię nie zamąconego niczym spokoju od niepamiętnych na ziemi czasów.

*

W Wołogdzie nasz pociąg wjechał na ślepy tor, a konduktor oświadczył spokojnie, że na razie podróż skończona. Niedaleko więc ujechałem i mogłem mieć słabą nadzieję, że dotrę w tym tempie przed wiosną do najbliższego oddziału wojsk polskich. Przyjechałem jednak na dworzec wołogodzki dość wcześnie, aby na gołej ziemi w olbrzymiej poczekalni zarezerwować sobie miejsce do spania. Mieszkało tu już od miesiąca kilkuset amnestionowanych więźniów, wśród których poza garstką Polaków większość stanowili małowyrokowi przestępcy pospolici, zwolnieni przedterminowo z obozów pracy jako „dobrowolcy". W dzień wyganiano ich do miasta na żer, a w nocy hala dworcowa służyła na mocy rozpo-

rządzenia NKWD za dom noclegowy. Waham się zawsze, ilekroć próbuję opisać cztery noce spędzone w Wołogdzie, nie wierzę bowiem, aby literatura mogła staczać się bezkarnie aż tak nisko, nie ponosząc żadnego uszczerbku jako sztuka nadawania ekspresji artystycznej rzeczom powszechnie znanym i odczuwanym. Dość więc będzie, jeśli powiem krótko, że spaliśmy obok siebie tylko na jednym boku — ugnieceni jak śledzie w beczce — a każda próba przedarcia się w nocy do najbliższego kibla kończyła się zazwyczaj czyjąś śmiercią. W żółtawozielonym świetle żarówek nocnych twarze śpiących, przedziurawione półotwartymi ustami, z których unosiły się wyziewy nieludzkiego smrodu, i owinięte w łachmany, wyglądały jak woskowe maski pośmiertne topielców. Pół biedy jeszcze, jeśli noga idącego trafiała na pierś, unoszoną niespokojnym oddechem snu — krótki jęk, podobny do nagłego udławienia się, ostrzegał, że należy ją usunąć nieco w bok; ale sam, niezupełnie jeszcze oprzytomniawszy po przebudzeniu się, stąpnąłem raz nieostrożnie na czyjąś głowę i z tylną nogą uwięzioną między sprasowanymi ciałami przechyliłem się całym ciałem do przodu, czując, jak pod ciężkim butem trzeszczy z chrzęstem elastyczna masa, a spod podeszwy tryska krwawa miazga. W chwilę potem zwymiotowałem do kibla, choć nie po to wcale tu przyszedłem. Codziennie rano wynoszono z poczekalni na ciężarówki około dziesięciu trupów, rozebranych już przez współtowarzyszy snu do naga.

O świcie wypędzano nas do miasta na żebry. Znalazłem sobie na przedmieściu małą uliczkę robotniczą, gdzie około południa siwa staruszka wzywała mnie skinieniem głowy — upewniwszy się przedtem, że nikt nie podgląda — do kuchni i częstowała kubkiem nie słodzonego odwaru z liści i kromką czerstwego chleba. Nie zamieniliśmy ze sobą nigdy ani słowa poza moim „spasibo" i jej „idi s Bogom". Raz, błądząc bez celu po

mieście, wyszedłem na maleńki placyk i odnalazłem w czerwonej kamienicy ekspozyturę Ludowego Komisariatu Wojny, coś w rodzaju biura werbunkowego dla ochotników. Tęgi kapitan przyjął mnie za biurkiem na tle olbrzymiej mapy ściennej Związku Sowieckiego, poczęstował uprzejmie papierosem i na pytanie, gdzie tworzy się armia polska, odpowiedział, że postąpiłbym znacznie rozsądniej, wstępując do Armii Czerwonej. Kiedy indziej znowu stanąłem przed sklepem w ogonku po chleb. Będę pamiętał przez całe życie scenę, jaka się tam rozegrała. Ranny żołnierz sowiecki, który stracił pod Leningradem prawą nogę, przytaszczył się na kulach do ogonka i zapytał grzecznie, czyby go nie wpuszczono do sklepu poza kolejką, bo wyszedł parę dni temu ze szpitala i nie potrafi jeszcze ustać zbyt długo na zdrowej nodze. Odpowiedział mu wrogi szmer i złośliwe uwagi, że nie ma się do czego spieszyć, skoro o jednej nodze i tak nie wróci już na front. W jego twarzy malowała się taka rozpacz, że oddałbym mu chętnie swój chleb, gdybym na dwóch chorych nogach miał najmniejszą choćby szansę doczekania się swojej kolejki. Tak oto pogarda dla uszkodzonego i wycofanego z obiegu mechanizmu ludzkiego przeniknęła również w dół i znieprawiła uczciwe w gruncie rzeczy serca. Wojna nie była w Wołogdzie, w styczniu 1942 roku, szczególnie popularna. W ogonkach sarkano na ograniczenia żywnościowe i chaotyczny pobór do wojska, który wiele rodzin ogołocił zupełnie z pracujących mężczyzn, a dwukrotnie nawet słyszałem ciche pytanie: „Kiedyż wreszcie przyjdą ci Niemcy?" Węzeł wołogodzki zakorkowany był transportami pogruchotanych mebli, instalacji fabrycznych i maszyn z Leningradu. We wszystkich większych gmachach publicznych biwakowali żołnierze, wycofani na krótki odpoczynek z frontu, i oni to obsiadali wieczorami mieszkania prywatne jak chmara zgłodniałego ptactwa, przygrywając smętnie na organkach i szukając gorączkowo wódki. Nie

było więc na co czekać w Wołogdzie. Piątego dnia rano, zamiast iść jak zwykle do miasta, wyszedłem na tory i około południa uczepiłem się pociągu w nieznane, który przystanął na minutę w odległości kilometra od dworca wołogodzkiego.

W ciepłym i wygodnym wagonie przywitali mnie z pewnym zdziwieniem, ale bez słowa protestu, drzemiący oficerowie marynarki wojennej, którzy jechali służbowo z Archangielska nad Morze Czarne. Po raz pierwszy od wyjścia z obozu zetknąłem się, słuchając ich rozmów, z dyskretną falą patriotyzmu rosyjskiego. Nie musiała ona jednak być zbyt spontaniczna, bo po każdym „pobiedim", nieodłącznym od najświeższych rewelacji na temat nowych pagonów i orderów, rozmawiający pogrążali się na powrót w drzemce, kryjąc oczy za obsuniętymi daszkami czapek. Po trzech godzinach jazdy konduktor wykrył mnie w przedziale i wysadził na maleńkiej stacyjce Buj.

*

W owym Buju los uśmiechnął się do mnie tak, jak tylko potrafi się uśmiechać do ludzi przywiedzionych na skraj rozpaczy. Noc przespałem na dworcu, a rano poszedłem zwiedzać miasteczko. Buj jest mieściną małą, lecz wcale ładną i ze swoją złoto-zieloną cerkiewką na rynku przypomina Sokółkę pod Grodnem. Wszedłem do niej zdumiony, że na próchniejących wrotach nie ma jak w Witebsku napisu „antirieligioznyj muziej"; w mrocznej i chłodnej nawie klęczały obok siebie trzy stare kobiety. Na dźwięk moich kroków podniosły głowy i wyszły szybko z cerkwi, nie patrząc na siebie i za siebie. Byłem widać za młody, aby nie budzić lęku i podejrzeń.

Dzień był słoneczny i mroźny, ale bez wiatru, na śniegu sypkim jak piasek kroki miały dźwięk pewny siebie, prawie radosny. Wyszedłem za miasto w puste

pole, pobłądziłem w małych uliczkach, wróciłem na rynek; wszędzie zamknięte okiennice i ani żywej duszy. W pobliżu drewnianej remizy strażackiej znalazłem na śmietniku duży kawał czarnego chleba. Oskrobałem go z brudu i pleśni kozikiem obozowym i rozmoczywszy w śniegu, zjadłem łapczywie. W poczekalni stacyjnej było jeszcze ciągle pusto, ale ten poranny spacer dał mi tyle radości, że na widok samotnego zawiadowcy w czerwonej czapce, wystukującego w ciszy poranka złoconym młoteczkiem tajemnicze znaki na taśmie telegrafu, spod gruzów zrobaczywiałej pamięci wydobyła się po raz pierwszy od dwóch lat czepliwa fraza poetycka — pierwsza strofa *Piotra Płaksina*. Nie było więc ze mną tak źle, jeśli zaczynałem sobie przypominać wiersze.

Mój Piotr Płaksin ze stacji Buj gdzieś w wołogodzkim powiecie przyglądał mi się również spode łba od paru minut. Wreszcie podniósł się zza stołu, podszedł do mnie i zapytał, czybym nie wyładował wagonu podkładów kolejowych, który od tygodnia już stoi na bocznicy kolejowej z braku robotników w mieście, w zamian za talerz zupy i kilogram chleba. Gdybym nie zjadł przed godziną śniadania obok remizy strażackiej, zgodziłbym się bez chwili wahania. Teraz jednak ceniłem się wyżej. Zażądałem miejsca w najbliższym pociągu idącym do Swierdłowska. Płaksin wzruszył ramionami i wrócił do pracy. Po kwadransie targ zaczął się od nowa. Stanęło ostatecznie na tym, że dostanę zaraz talerz zupy na rozgrzewkę, a jeśli wydołam do wieczora, pojadę do Swierdłowska ekspresem z Moskwy, który o północy zatrzymuje się na minutę w Buju. Dokładnie o jedenastej w nocy przyszedłem z pokrwawionymi rękami i odmrożonymi nogami po zapłatę. Płaksin, który jak jego poprzednik ze stacji Chandra Unyńska miał najwidoczniej pewien sentyment do Polaków, dotrzymał słowa. Po północy siedziałem już skulony na korytarzu ciemnego wagonu pulmanowskiego, mknącego z Moskwy do Swierdłowska.

Zasnąłem szybko i w miarę jak tajałem w cieple wagonu, pogrążałem się w coraz przyjemniejszych marzeniach sennych. Obudziła mnie ręka wyciągnięta z ciemnego przedziału na korytarz i zapraszająca do wnętrza. Niechętnie i z pewnym lękiem wszedłem do przedziału. W przyćmionym świetle niebieskiej lampki z trudem rozróżniłem sześć drzemiących na siedząco kobiet. Ta, która mnie zaprosiła, obudziła delikatnym poszturchiwaniem swoje towarzyszki i po paru minutach piłem już na wyścielanej poduszkami ławce przedziału ocukrzoną herbatę z termosu, przegryzając ją chlebem z omastą. Moje gościnne towarzyszki podróży okazały się robotnicami moskiewskiej fabryki metalurgicznej, która wraz z przyczepionymi na platformach maszynami ewakuowała się w całości na Ural. Były dla mnie bardzo dobre i nie zapomnę im nigdy nie tyle tego, że ukrywały mnie aż do Swierdłowska na górnej półce przedziału i dzieliły się ze mną całym swoim skąpym jedzeniem, ale tego, że uszanowały we mnie człowieka, nie brzydząc się moimi zawszonymi łachami i znosząc mężnie fetor, jaki wydzielał się z mojego brudnego i gnijącego ciała. O pobycie w więzieniu i obozie wspomniałem tylko raz, ale umilkłem natychmiast, stropiony wyrazem strachu i nieufności w ich oczach. Rozmawialiśmy za to dużo o wojnie, o przygotowywanej ofensywie zimowej, o częściowej ewakuacji przemysłu wojennego z Moskwy, o okrucieństwach niemieckich na ziemiach okupowanych. Być może uległem wówczas sugestii, jaką stwarza zawsze okazana nieoczekiwanie życzliwość ludzka, lub padłem ofiarą osłabionej kontroli nerwów, rozluźnionych nagle po tylu bolesnych przeżyciach w bezpiecznym cieple przedziału, ale wydaje mi się, że nigdy już potem — nawet w armii polskiej w Rosji — nie zetknąłem się z taką szczerą i ujmującą licytacją patriotyzmu. Robotnice prześcigały się nawzajem w opowiadaniach na temat męstwa i poświęceń ludności oblężonej Moskwy, na temat własnej

pracy, która trwała często z niewielkimi przerwami całe dnie i noce, na temat gotowości, z jaką porzuciły teraz domy i rodziny, by na wezwanie „prawitielstwa i partii" pospieszyć na Ural; niekłamany również był błysk nienawiści i zapału w ich oczach, gdy zapewniały, że nie zawahają się oddać życia, aby obronić własną ojczyznę przed najazdem niemieckim. Utkwiła mi szczególnie w pamięci jedna — młoda jeszcze dziewczyna w szóstym miesiącu ciąży, która przy każdym szarpnięciu wagonu skręcała się z bólu, a mówiąc kładła wychudłe i spracowane dłonie na pękatym brzuchu, jak zbiedzona wieśniaczka holenderska z wczesnych płócien van Gogha. Do czego jest zdolny nieludzki wysiłek pracy sowieckiej, przekonałem się zresztą później. Trzeciego dnia pobytu w Swierdłowsku wybrałem się na samotną przechadzkę za miasto i w małej kotlinie ujrzałem robotnice moskiewskie, jak uwijały się bez rękawic przy maszynach, ustawionych na prowizorycznych rusztowaniach z belek. Padał gęsty śnieg, gdy robotnicy budowlani przybijali nad głowami swych towarzyszek pracy pierwsze dachówki do związanych naprędce stropów.

Większą część podróży przespałem jednak na siatce górnej półki i pamiętam tylko tyle, że pociąg zatrzymał się dłużej na dwóch stacjach: w Wiatce i w Permie.

*

30 stycznia przyjechałem do Swierdłowska. Tę datę podaję po raz pierwszy nie z pamięci, ale z notatnika. Był jeszcze jednym dowodem mojego szybkiego powrotu do zdrowia fakt, że natychmiast po przyjeździe do Swierdłowska przyszła mi ochota do pisania i za ostatnie kopiejki kupiłem sobie na stacji notes z ołówkiem. „Miasto — odcyfrowuję w nim po siedmiu i pół roku ledwie czytelne, wytarte pismo — wygląda jak mapa warstwicowa z plasteliny. Stary Jekaterynburg jest prze-

ważnie drewniany. Nawet w śródmieściu spotyka się parterowe domki ze śmiesznymi kopułkami i ciętymi w drzewie ornamentami — to architektura kupiectwa rosyjskiego. Dalej widać murowane gmachy fabryk z długimi kominami i murowane również cerkwie. Trzecia warstwa to Swierdłowsk nowoczesny — pospolite, ohydne domy, poobwieszane portretami Stalina i Lenina, malowidłami i łozungami. Miasto nie tyle żyje intensywnie, co przewala się z boku na bok jak ranne zwierzę, toczone przez ludzkie robactwo. Wojnę widać na każdym kroku. Tu żyje teraz przeszło dwa miliony tubylców, uciekinierów i ewakuowanych. Ogonki, ogonki. Twarze bardzo zmęczone. Na ulicy, gdzie zgrupowano instytucje oficjalne, wojewódzkie i wydziały narkomatów, chleba i zupy się nie wydaje — nie ma po co stać w ogonkach. Wojska niewiele, sporo natomiast nowobrańców w cywilu (łapciach), z karabinami na ramieniu. Widać na każdym kroku wysiłek organizacyjny, ale bez większych skutków. Miasto żyje samowolnie — kto się sam czegoś nie dobije, nic nie dostanie. Wieczorem nieco przyjemniej — ożywia się w tramwajach, ludno na ulicach. Swierdłowsk nie podlega obowiązkowi zaciemnienia".

Nie wolno zapominać, że ten bezbarwny, ale dość — jak sądzę — wierny opis wyszedł spod ołówka człowieka niepiśmiennego od dwóch lat. Co w nim uderza, to pewna przesada (to „ranne zwierzę"!) tak typowa dla każdego młodego pisarza, który usiłuje chwytać rzeczy na gorąco. Gdybym próbował dziś wywołać ten sam obraz z pamięci, położyłbym większy nacisk na ludzi, a mniejszy na architekturę. Pamiętam więc robotników wracających wieczorem z fabryk i przystających pod megafonami ulicznymi dla wysłuchania ostatnich komunikatów wojennych. Twarze mieli ziemiste, nie ogolone, ledwie rozświetlone przygasłym wzrokiem. Słuchali w milczeniu, a potem rozchodzili się grupkami lub pojedynczo na wieczorną „politgramotę". Przygarbione cie-

nie topniały po chwili w szarzejącej zadymce śnieżnej jak szczury wodne, wypełzłe o zmroku z przerębli na pękniętą krę. Niemy tłum przepychał się wolno przez zatkane gardziele ulic na place miejskie, rozpraszał się w ogonkach i nikł w oświetlonych drzwiach stołówek. Jedynie rozdzwonione tramwaje tworzyły żywszy kontrast z wielką gwiazdą pięcioramienną, zbudowaną z płonących żarówek na dachu jednego z narkomatów. Pamiętam żołnierzy w budionowskich pikielhaubach, wyrąbujących rano na oblodzonej jezdni drogę dla czołgów; na klęczkach dźgali cierpliwie skorupę lodu ostrymi młoteczkami. Około południa ostry gwizdek u wylotu ulicy poderwał z chodnika wszystkich oficerów dozorujących. Po chwili w czystym i nasłonecznionym powietrzu przypłynął z oddali obłoczek perfum, a w ślad za nim pojawił się na jezdni generał sowiecki obwieszony orderami, w otoczeniu sztabu. Szedł wolno, roztrącając gwałtownymi kopnięciami buta klęczących żołnierzy. Pamiętam wspaniale uzbrojoną i wyekwipowaną dywizję syberyjską w białych kombinezonach z ptasich futerek i w futrzanych hełmach z otworami na oczy i usta, która w drodze z Dalekiego Wschodu na front leningradzki spędziła na dworcu w Swierdłowsku parę godzin. Żołnierze jedli na oczach zgłodniałego tłumu konserwy i suchary z białego chleba, lecz ani jeden nie podał nie dojedzonych resztek dłoniom drżącym z przejęcia i wyczekiwania. Pamiętam wreszcie żołnierza sowieckiego, który na skwerze przed dworcem swierdłowskim robił sobie fotografię pamiątkową dla rodziny i rozpostarłszy na piersi prawą dłoń — jak Balzac ze znanego dagerotypu — nie pozwolił fotografowi nacisnąć gumowej gruszki dopóty, dopóki nie wydobył na wierzch spod rękawa szynelu ogromnego zegarka ręcznego...

Pierwszego zaraz dnia po przyjeździe zamieszkałem na dworcu swierdłowskim wśród garstki Polaków, którzy uświadomili mnie szybko, że najbliższy pociąg do Czela-

bińska podstawią najwcześniej za dziesięć dni, że po zupę trzeba chodzić codziennie do unieruchomionego wagonu za torami, że z każdą samotną kobietą czekającą na pociąg można się przespać w rogu obok przechowalni, a o armii polskiej nikt w Swierdłowsku nie słyszał. Po południu wyszedłem do miasta szukać mieszkania Krugłowów. W wigilię zwolnienia z obozu w Jercewie jeden z więźniów w baraku „pieriesylnym" poprosił mnie, żebym — jeśli zahaczę w wędrówce na wolności o Swierdłowsk — odwiedził żonę i dwoje dzieci generała Krugłowa, który żyje dotąd w „łagpunkcie" Ostrownoje i po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej otrzymał dodatkowy wyrok zaoczny, zaokrąglający siedem pozostałych mu jeszcze do odsiedzenia lat do lat piętnastu. Misja nie była zbyt przyjemna, ale uczepiłem się tego adresu jak jedynego trwałego punktu oparcia na wolności. Na wąskiej uliczce, której nazwy już dziś nie pamiętam, odnalazłem brudną kamienicę czynszową, a w niej stara stróżka wskazała mi, prowadząc mnie przez podwórze i przyglądając mi się podejrzliwie, małe mieszkanko na parterze. Zastałem tylko 14-letnią Lidię Krugłową, śliczną dziewczynę o czarnych, zamyślonych oczach, która siedziała przy stole nad stertą książek i zeszytów. Przyjęła mnie uprzejmie, a nawet z pewną radością, gdy się dowiedziała, że przyjeżdżam z obozu, w którym siedzi jej ojciec. Ciemny pokój zawalony był po sufit wypłowiałymi antykami, z jedynego okna, zasłoniętego po części zamiast szyb arkuszami dykty i naoliwionego papieru, sączyło się żółte światło przedwieczornej godziny. W mieszkaniu panował taki ziąb, że mała Krugłowa odrabiała lekcje w futerku narzuconym na ramiona, w filcowych walonkach i w wełnianych rękawiczkach bez palców. Umyłem się porządnie w kuchni po raz pierwszy od dwóch miesięcy. Czekając potem na Krugłową-matkę, odrabiałem długo z Lidką lekcje i zaprzyjaźniłem się z nią szybko nad mapami i zadaniami aryt-

metycznymi. Wieczorem wróciła matka. Była jeszcze bardzo piękna, mimo śladów zmęczenia i niedospania, i rogowych okularów, zza których spoglądały smoliste jak u Lidki oczy. Położyła na stole kilowy bochenek chleba i rzuciła pytające spojrzenie na córkę. Na wieść o tym, że przynoszę pozdrowienia od męża, odwołała mnie natychmiast do kuchni.

— Czy pan powiedział Lidoczce — zapytała z niepokojem — że jej ojciec dostał nowy wyrok?

— Nie — odpowiedziałem — zupełnie zapomniałem. W obozie nie przywiązuje się zbyt dużej wagi do wyroków, bo przekroczyły już dawno granicę, poza którą mogłyby się jeszcze wydawać prawdopodobne do odsiedzenia.

— Ach, mój Boże, jak to dobrze — zawołała, nie zwracając uwagi na mój dwuznacznik — bo widzi pan, Lidoczce tak dokuczają nauczyciele i koledzy uwięzieniem ojca, że nie poszłaby za nic do szkoły, gdyby się dowiedziała, że mój mąż dostał nowy wyrok.

Wróciliśmy do pokoju, gdy stara niania, która przyszła przed chwilą jak zwykle do swoich dawnych państwa na wspólną kolację, nakrywała już do stołu. Na białym obrusie pojawiła się waza gorącej zupy i samowar. Byłem wzruszony, a zdaje się nawet, że onieśmielony. Siwiuteńka jak gołąb niania ukroiła mi kromkę chleba ze swojej racji i podała mi ją przez stół, zapewniając, że na starość chleb jej nie służy. Siedzieliśmy przy kolacji, grzejąc zziębnięte ręce na gorącej blasze samowaru. Krugłowa nie zapytała ani razu o męża i ucinała natychmiast karcącym spojrzeniem swych smutnych, aksamitnych oczu wszystkie aluzje obozowe. Rozmawialiśmy więc o rzeczach obojętnych. Krugłowa opowiadała, że pracuje jako maszynistka bardzo ciężko, a zarabia mało, i że ledwie może wieczorami ustać na nogach, gdy wzywają całe biuro na „politgramotę". Potem, że jej osiemnastoletni syn, który zawsze pragnął być oficerem, nie został

przyjęty do wojska „za ojca" i kopie teraz fortyfikacje pod Leningradem w pomocniczej formacji „dobrowolców". Lidka żaliła się prawie z płaczem, że nie chcą jej „za ojca" przyjąć do komsomołu i nie ma prawa uczęszczać po szkole na gry i zabawy sportowe, ale za dwa lata, „kiedy wróci papieńka", wszystko się odmieni. Stara niania kiwała się sennie na krześle jak sowa, szepcąc bezzębnymi ustami swoje monotonne „Gospodi, pomiłuj". Po kolacji rozłożyliśmy pod porcelanowym kloszem lampy naftowej duży atlas i ze śmiechem planowaliśmy w trójkę dalekie podróże za granicę. Stara niania bowiem nie chciała się do nas za nic przyłączyć. „Wy o mienia nie zabotities' — mówiła — ja w Rossiei rodiłas' i w Rossiei choczu umirat' ". Było mi tak dobrze, że rozmarzyłem się nagle i ze łzami w oczach pomyślałem, wiele bym dał za to, żeby choć jedną noc przespać pod ludzkim dachem — ot, w tej małej kuchence na podłodze. Krugłowa nie zapraszała mnie jednak, przeciwnie, coraz częściej spoglądała na zegarek. W ciągu dwóch lat pobytu w więzieniach i obozach zatraciłem prawie zupełnie poczucie wrażliwości i grzeczności, ale teraz, w tej atmosferze arystokratycznego ubóstwa, czułem się tak onieśmielony, że z trudem przeszła mi przez gardło prośba o przenocowanie.

— Czy pana ktoś widział wchodzącego? — zapytała blednąc Krugłowa.

— Tak — odpowiedziałem — przyprowadziła mnie tu stróżka.

— Nie mogę — zaniosła się histerycznym płaczem — na miłość boską, nie mogę. Mąż w więzieniu, dzieci jak parszywe owce, ledwie nam dają oddychać. Czy pan wie, co to jest być włóczonym po nocach przez NKWD, prosić o pracę jak o jałmużnę? Na litość boską, niech pan nie sprowadza na ten dom nowego nieszczęścia! Niech pan idzie natychmiast i niech pan tu nie wraca!

Po północy wracałem przez opustoszałe już ulice miasta na dworzec swierdłowski.

Mój dzienniczek notuje w tym miejscu w słowach wzruszająco naiwnych i sentymentalnych romantyczną historię, która z perspektywy siedmiu lat nie wydaje się jednak aż tak romantyczna. Rzecz w tym, że piątego dnia pobytu w Swierdłowsku poznałem na dworcu młodą Gruzinkę, Fatimę Sobolewą, która jak my wszyscy czekała drzemiąc na ławce na pociąg do Magnitogorska. Poczułem do niej słabość nie tyle dlatego, że była wyjątkowo ładna — jej okrągła twarz o śniadej, pokrytej delikatnym meszkiem cerze wyglądała w futrzanym kołpaczku jak zjawisko; długie, krucze warkocze upinała na dzień w węzeł, a przed nocą rozczesywała je na popielatej szubie, śmiejąc się w ciemności zębami z kości słoniowej — ale dlatego, że często wyciągała z koszyczka ser, zimne mięso i masło do chleba. Fatima była urzędniczką Gorispołkoma w Magnitogorsku, partyjną komunistką, i to ów bilet partyjny właśnie otwierał przed nią zamknięte drzwi wszystkich „spiecłarków". W Swierdłowsku ugrzęzła na parę dni w drodze powrotnej z Omska, gdzie odwiedziła rannego męża — również Gruzina — oficera pułku artylerii, stacjonowanego w dniu wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej na Litwie. Mówiła o tym ze śmiechem, przekomarzając się zabawnie.

— Z niego już nic nie będzie — zapewniała mnie wielokrotnie — amputowali mu obie nogi. Biedny bo biedny, ale trudno przecież spać całe życie z kaleką.

Zaprzyjaźniliśmy się szybko i raz czy dwa poszliśmy nawet w ciemny kąt obok przechowalni. Fatima namawiała mnie, żebym porzucił myśl o wojaczce i pojechał z nią do Magnitogorska.

— Co za czepucha — mówiła rozżalonym głosem — ileż tego życia pozostało człowiekowi? Do Czerwonej Armii cię nie ciągną, więc czego się pchasz? Obrazowanije u tiebia kakoje to jest', nieużeli ja, czlen partii, tiebia na choroszej rabotie nie ustroju?

Młoda Gruzinka nie chciała uwierzyć niczemu, co jej opowiadałem o obozach.

— Czepucha, czepucha — potrząsała kategorycznie główką — w Sowietskom Sojuzie takich wieszczej niet. Każdy człowiek może się nabawić cyngi na Północy, a ubranie też nietrudno zedrzeć przy robocie. Nogi wyleczysz, na ubranie dostaniesz tałonczik i dieło oformleno.

Gdyśmy jednak wychodzili wieczorem do miasta i brodząc w śniegu, szli bez celu przed siebie, nerwowym uściskiem za ramię powstrzymywała każdy przypływ moich reminiscencji obozowych.

— Czy cię przynajmniej tego nie nauczyli w obozie — szeptała z przejęciem, oglądając się za siebie — że za bołtownię najłatwiej popaść na ulicy? Czy można rozpoznać twarze przechodniów w ciemności?

Istotnie, nie można było. Czarny tłum przeciskał się ulicami ciągle na te same place — szumiący, wezbrany, ale przerażająco anonimowy. Przed oświetlonymi oknami stołówek przystawaliśmy na chwilę, żeby przeczytać najświeższy jadłospis z nieśmiertelną „szczi" na czele.

— No i czegoż ty mnie — pytałem — nie zaprosisz nigdy ze swoim biletem partyjnym do stołówki? Wstydzisz się moich łachmanów?

— Nie, nie to — powiedziała — ale mogą poznać i napisać do Gorispołkomu.

— A w Magnitogorsku nie poznają?

— W Magnitogorsku co innego. Zawsze jest lepiej, jak się samemu mówi. Mogą nie pozwolić, ale nie ukarzą nigdy za brak „riewolucyonnoj bditielnosti".

Dziesiątego dnia mojego pobytu w Swierdłowsku Fatima pojechała do Magnitogorska. Jeszcze z okna wagonu wychyliła swą puszystą główkę i krzyknęła głośno: „Nie zapomnij, Leninskaja 19, kwartira 21".

Nazajutrz rano powitaliśmy na dworcu swierdłowskim z religijną prawie czcią pierwszego oficera polskiego, który jechał ze swojej jednostki macierzystej do Archan-

gielska po rodzinę. Powiedział nam, że najbliższa misja wojskowa armii polskiej urzęduje w Czelabińsku, a ostatnia dywizja polska w Rosji tworzy się w Kazachstanie.

*

W Czelabińsku nasza gromadka*, na której czele stanął energiczny porucznik Cz., odnalazła w pobliżu fabryki traktorów elegancki hotel „Ural", a w nim szefa polskiej misji wojskowej, wysokiego kapitana w *battle-dressie* i z trzcinową laseczką. Przyjął nas bez oznak szczególnego rozrzewnienia i ledwie słuchając naszych chaotycznych opowieści, otworzył w pokoju okno, mimo że luty nie należy na Uralu do najcieplejszych miesięcy. Dostaliśmy wszyscy po 10 rubli i zapewnienie, że jeżeli Rosjanie nie będą stawiali przeszkód, przeprowadzi naszą grupę przez zaimprowizowaną naprędce komisję lekarską (był wśród nas, na szczęście, jeden lekarz) i wystara się dla nas o oddzielny wagon oraz o dokumenty podróży do Kazachstanu. Na pożegnanie szef misji wręczył porucznikowi Cz. kilkanaście krzyżyków z napisem *Pledge for Victory* i tyleż litanijek do Ostrobramskiej na welinowym papierze. „Niech pan to rozda swoim ludziom, panie kolego — mówił, wypychając nas delikatnie za drzwi — w obozach zapomnieli na pewno o Bogu". Byliśmy więc nareszcie ludźmi, choć zapomnieliśmy istotnie w obozach o Bogu, a teraz skierowaliśmy pierwsze kroki na dworzec, gdzie — jak nas zapewniono zaraz po przyjeździe — można było w pobliżu magazynów żywnościowych ukraść zawsze coś do jedzenia.

Mój dzienniczek urywa się w tym miejscu — byłem widocznie zbyt zajęty i podniecony transportem do wojska — toteż zamiast skrupulatnych dotąd zapisków i spo-

* W Czelabińsku spotkałem trzech moich przyjaciół z obozu, których zwolniono wkrótce po mnie — inżyniera M., T. i B. Nie dowiedzieliśmy się natomiast nigdy, co się stało z L. i panią Z.

strzeżeń znajduję w nim tylko dokładną trasę podróży: Czelabińsk — Orsk — Orenburg — Aktiubińsk — Aralsk — Kyzył Orda — Arys — Czimkent — Dżambuł — Ługowoje. Wyruszyliśmy w pierwszych dniach lutego z Czelabińska wagonem towarowym, zaopatrzonym w dwa piętra drewnianych prycz, dwa wiadra, worek mąki, worek kaszy i dwie dziury w podłodze na najpilniejsze potrzeby, a 9 marca byliśmy już w Ługowoje. Nie pamiętam z tej podróży prawie nic, bo nie ruszaliśmy się z miejsc w obawie, że nie odnajdziemy potem naszego wagonu, który doczepiano na każdej większej stacji do innego pociągu. Spędziliśmy ten miesiąc na pryczach, zajęci na przemian to załatwianiem najpilniejszych potrzeb, to iskaniem wszy w szwach ubrań. Jedynie w Orsku, gdzie nasz wagon musiał czekać parę godzin na następny pociąg, utkwił mi w pamięci wspaniały krajobraz zachodu słońca na zaśnieżonym stepie — z niebem mieniącym się od ciemnego błękitu do rdzawej czerwieni i z rudawo-brunatnymi wielbłądami, które na swych kołyszących się garbach niosły przez step samotnych wędrowców na stację.

12 marca przyjęto mnie do dziesiątego pułku artylerii lekkiej, dziesiątej dywizji piechoty w Ługowoje. Pierwszym człowiekiem, na którego natknąłem się w Ługowoje, niosąc przez deszcz do namiotu nowy *battledress*, bieliznę, parę butów i menażkę — był chuderlawy kapitan K., którego w więzieniu witebskim taszczyłem codziennie z barłogu do kibla, bo nie mógł już chodzić o własnych siłach. Potrąciłem go przez nieuwagę, zjeżdżając ze śliskiego pagórka na rozmokłych butach, i otworzyłem ze zdumienia tak szeroko ramiona, że całe zawiniątko wypadło mi w błoto. Spojrzał na mnie groźnie, otrzepał świetnie skrojony frencz i zagroził mi raportem karnym natychmiast po umundurowaniu. Byłem więc naprawdę w wojsku, wśród rodaków, którzy po wszystkim, co przeżyli w ciągu ostatnich dwóch lat, wracali szybko do siebie.

Dziesiąta dywizja, złożona prawie w całości z najpóźniej zwolnionych, a więc i najbardziej schorowanych i niedożywionych więźniów, wyewakuowana została jako pierwsza z Rosji do Persji. 26 marca nasz pułk przewieziono pociągiem towarowym przez Dżambuł — Arys — Taszkent — Dżyzak — Samarkandę — Bucharę — Czardżou — Aszchabad do Krasnowodzka nad Morzem Kaspijskim; 30 marca załadowano go na dwa statki: „Agamali Ogły" i „Turkmenistan"; 2 kwietnia zaś spałem już na piaszczystej plaży w Pahlevi, poza granicami kraju, w którym — jak czytam w moim dzienniczku — „można zwątpić w człowieka i sens walki o to, aby mu było lepiej na ziemi".

Epilog: upadek Paryża

Trudno sobie wyobrazić, do jakiego stopnia można skazić naturę ludzką.

Dostojewski, *Zapiski z martwego domu*

1

O upadku Paryża dowiedzieliśmy się w Witebsku od maleńkiego czarnego więźnia, którego wepchnięto któregoś dnia czerwcowego 1940 roku do naszej celi. Lato było już w pełni, na rozpalonym do białości błękicie nieba, w którego skrawek ujęty w ramę okienną wpatrywaliśmy się codziennie w milczeniu i z bezmyślnym uporem, przelatywały cienie niewidzialnych ptaków i grzęzły z krzykiem w lepkiej jak miód ciszy letniego popołudnia. Prawie natychmiast po przyjeździe do Witebska, w pierwszych dniach czerwca, nauczyliśmy się spoglądać bez słowa w niebo, codziennie świeższe, codziennie bardziej wzdęte gorącym podmuchem powietrza. W naszej celi przeważali wojskowi, rozbitkowie pierwszej pokonanej przez Niemców armii świata. Gdy jeszcze upały nie stały się zbyt dokuczliwe, zwykli byli podnosić się po obiedzie na barłogach, czyścić — popluwając na nie z bliska — ciężkie buty wojskowe, trzeć godzinami o brzeg rękawa metalowe guziki i ukryte w tobołkach orzełki i okręcać starannie nogi sukiennymi owijaczami. Twarze mieli porośnięte twardą szczeciną, pod którą marszczyła się brudna skóra, głowy ogolone jak nieforemne bryły z kamienia, karki pokryte czyrakami, wargi popękane i spuchnięte, oczy zaczerwienione od zmęczenia, a nogi od odparzeń. W tych

oczach — prostych, uczciwych i wiernych — wysuszonych przez gorący wiatr klęski i pełnych jeszcze krwawego odblasku wojny, łzy ciężkie jak ołów samotności pojawiały się tylko wtedy, gdy na dalekim horyzoncie ciszy kopyta końskie uderzały co pewien czas metalicznie o bruk ulicy.

Nieznajomy położył swój tłumoczek na kiblu, rozejrzał się nieufnie dokoła i przysiadł nieśmiało na brzegu pierwszego od drzwi legowiska. Miał w sobie coś z ptaka, który wpadł zatrzepotawszy skrzydłami do klatki i z zaciągniętymi bielmem oczkami, z półotwartym zakrzywionym ostro dziobem — uczepił się rozpaczliwie drewnianego drążka. W celi zapanowało milczenie. Przebywaliśmy wszyscy w więzieniach sowieckich od paru miesięcy, a więc dość długo, aby wiedzieć, że na dziesięciu nowo przybyłych do celi więźniów co najmniej pięciu przysyłano z innych cel na przeszpiegi. Ciche, szeptem prowadzone rozmowy urwały się w pół słowa nawet w tych rogach celi, do których nie mogło przecież dosięgnąć ucho nieznajomego. Przygarbione postacie więźniów skurczyły się jeszcze bardziej, jak gdyby wypuszczono z nich powietrze, ręce objęły zgięte kolana, urzeczone spojrzenia zawisły na drobnej twarzy przekrzywionej grymasem strachu. Było jasne, że aby przełamać otaczający go zewsząd mur podejrzliwości, nieznajomy musi przemówić pierwszy.

Ale nie wyglądał na donosiciela. W jego niepozornej postaci o długich rękach i wykrzywionych kabłąkowato nogach, w ptasiej twarzy uskrzydlonej jak gdyby parą odstających ponad miarę uszu, w czarnych oczach myszkujących niespokojnie wśród sąsiadów — wyczuwało się raczej wielką tragedię, jedną z wielu, jakie wojna odsłoniła w życiu tych, którzy w niewoli upatrywali dla siebie najlepszą rękojmię wolności. Podniósł nagle głowę znad tobołka i szepnął głosem przejmująco cichym:

— Paryż padł...

Ktoś z siedzących bliżej rozdmuchał ten ledwie tlący się szept w ostry płomień okrzyku:

— Paryż padł!

Skulone postacie rozluźniły się, prawie na wszystkich legowiskach rozległy się westchnienia. Rozłożyliśmy się wygodnie z twarzami zwróconymi w kierunku okien, z rękami splecionymi na karkach. Nie mieliśmy więc na co czekać. Paryż padł. PARYŻ, PARYŻ. Było to nie do uwierzenia, ale nawet ludziom najprostszym, ludziom, którzy nigdy na oczy nie widzieli Francji, upadek Paryża zwiastował śmierć ostatniej nadziei, klęskę bardziej nieodwracalną niż kapitulacja Warszawy. Noc niewoli, która zawisła nad Europą czarną chmurą, przesłoniła nam również w Witebsku jedyny skrawek nieba pocięty kratą więzienną.

— Paryż padł — powiedział po raz drugi nieznajomy i naraz chowając twarz w dłoniach, wybuchnął gorzkim, długo powstrzymywanym płaczem.

2

Poznałem go bliżej w ciągu następnych paru tygodni i w pewien sposób zbliżył nas ten Paryż. Opowiedział mi wieczorami dzieje swego życia, tak banalne, że mogłyby służyć za tekst do podręczników o ostatniej wojnie. Urodził się w Grodnie jako syn bogatego kupca żydowskiego i po ukończeniu gimnazjum wyjechał w roku 1935 na studia do Paryża. W Paryżu został komunistą, próbował nawet przedrzeć się do Hiszpanii w czasie wojny domowej, ale partia kazała mu zostać na miejscu i organizować komórkę studentów cudzoziemskich na wydziale architektury uniwersytetu paryskiego. Studiował więc tę swoją architekturę i w czerwcu 1939 roku otrzymał dyplom inżyniera, a w miesiąc później — tuż przed wybuchem wojny — wrócił do Polski.

Byłoby rzeczą daremną dociekać, na czym polegał jego komunizm. W chwilach największej jasności dawał do zrozumienia, że miało to być połączenie Le Corbusiera z Marksem, w którym sprzeczności gospodarcze kapitalizmu rozwiązują się planowaniem Utopii urbanistycznej. Brzmi to naiwnie, a nawet śmiesznie, ale jego żydowski idealizm, uznający królestwo niebieskie tylko z tego świata, szukał gorączkowo oparcia w konstrukcjach racjonalistycznych i znalazł je w olbrzymich miastach-ogrodach, zamieszkanych przez proletariat paryski i biedotę z gett polskich.

Po wkroczeniu wojsk sowieckich do Grodna, we wrześniu 1939 roku, został referentem budowlanym zarządu miejskiego i wytrwał na tym stanowisku do maja 1940 roku, kiedy go aresztowano za odmowę dobrowolnego wyjazdu w głąb Rosji. Upadek Paryża był więc dla niego czymś znacznie bardziej dotkliwym niż dla nas: oznaczał bowiem nie tylko ostateczny podbój kontynentu, ale cios zadany miastu, w którym wylęgła się jego utopia, przez kraj sprzymierzony z ojczyzną jego utopii.

Cela polubiła go szybko, bo umiał wieczorami opowiadać żywo i plastycznie o życiu w wolnym Paryżu. Ale poza dramatem zdradzonego idealisty przeżywał jeszcze inny dramat, kto wie, czy nie cięższy i bardziej bolesny: dramat podwójnej lojalności. Uważał się w głębi serca za Polaka. Kiedy jednak nazajutrz po przybyciu do naszej celi komendant bloku zapytał go na apelu wieczornym o narodowość, odpowiedział cicho, patrząc w ziemię:

— Jewriej.

3

W czerwcu 1945 roku zderzyłem się z nim prawie w Rzymie, wychodząc w południe z redakcji pisma wojskowego, w którym podówczas pracowałem.

— Dowiedziałem się, że tu pracujesz — powiedział nieśmiało — i przyjechałem z Florencji, żeby cię zobaczyć...

— Ale skąd, skąd ty tutaj?

— Och, to dłuższa historia — odpowiedział z uśmiechem — chodźmy gdzieś na kawę.

O tej porze trudno jest usiedzieć w nagrzanych słońcem kawiarniach i tawernach rzymskich, toteż postanowiliśmy iść do mojego hotelu. Rzym wracał już powoli do życia. Na rozprażonym bruku ulicy dudniły kopyta końskie, obdarty i smutny tłum przeciekał wszystkimi mostami na Zatybrze i zatrzymywał się w pół drogi, patrząc na brudne fale rzeki. W oddali rysował się jak uskrzydlona skała Zamek Anioła.

Nie wytrzymał i zaczął swoją opowieść. Zabrano go z celi witebskiej w miesiąc po mnie i odesłano z wyrokiem dziesięcioletnim do obozów nad Peczorą. Pracował ciężko, najpierw na „lesopowale", a potem przy spławianiu drzewa, i kiedy wybuchła wojna rosyjsko-niemiecka, był bliski końca. Amnestia ominęła go właśnie dlatego, że zapytany niegdyś w celi o narodowość, odpowiedział: „Jewriej". Rosjanie nadali umowie polsko-sowieckiej swoją własną interpretację; za obywateli polskich uważali tylko ludzi narodowości polskiej, zatrzymując w obozach Ukraińców, Białorusinów i Żydów zza linii Curzona, a pod koniec roku 1941 nawet Żydów z centralnej Polski i województw zachodnich. Można by prawie uwierzyć, że traktowali wszystkich Żydów jak swoją naturalną własność, i mieli w tym trochę tragicznej racji — w imperium kontynentalnym Hitlera z lat 1941–1943 los Żydów związał się mimo woli na śmierć i życie z istnieniem Rosji.

Uratował go fakt, że w styczniu 1942 roku przypomniano sobie w obozie o jego kwalifikacjach zawodowych i mianowano go dziesiętnikiem w brygadzie budowlanej. Przeniesiony do baraku technicznego, wrócił

stosunkowo szybko do zdrowia. W styczniu 1944 roku został nagle przedterminowo zwolniony z obozu i wcielony z miejsca do Czerwonej Armii. Prawie bez przeszkolenia bojowego znalazł się wiosną tego roku w armii nacierającej na Węgry i został ranny w bitwie pod Budapesztem. Wprost ze szpitala odesłano go do jednostek polskich, utworzonych przez komunistyczny Komitet Wyzwolenia Narodowego w Moskwie, i z nimi dotarł do Warszawy. Zdemobilizował się przy pierwszej nadarzającej się okazji i przez zieloną granicę uciekł do Włoch. Organizacja żydowska Joint umieściła go w swoim domu we Florencji, gdzie czekał na wizę do Południowej Ameryki.

W zarekwirowanym przez wojsko hotelu na rogu Tritone i Corso Umberto zamówiłem butelkę zimnego wina i zaprowadziłem go do mojego pokoju na trzecim piętrze. Było duszno, zza przymkniętych żaluzji wpadały do pokoju spłaszczone promienie światła, przez ściany dochodziły krzyki pijanych żołnierzy i piski dziewcząt ulicznych, na ulicy kotłował się leniwy tłum. Upał dochodził do zenitu. Usiedliśmy swobodnie na łóżku. Przyglądałem się bezmyślnie wzorom na tapetach, nie wiedząc, co począć. Gdyż czułem przez skórę, że nie powiedział wszystkiego.

— W tej historii — zaczął ostrożnie — jest pewna sprawa, którą przemilczałem i którą chciałbym ci teraz powiedzieć. Nie mówiłem o niej dotąd z nikim, bo prawdę powiedziawszy, nie miałem z kim. Kiedy wróciłem do Polski, nie znalazłem przy życiu nikogo, dosłownie nikogo z mojej bliższej i dalszej rodziny. Ale przez tyle bezsennych nocy marzyłem o tym, aby spotkać kogoś, kto mógłby mnie zrozumieć, kto był także w obozie sowieckim... Nie żądam od ciebie niczego, nie proszę o nic. Zmieniłem po wojnie nazwisko i za parę miesięcy, może za rok, rozpocznę w Ameryce nowe życie. Ale zanim to się stanie, chciałbym, abyś wysłuchawszy mojej opowieści, powiedział tylko jedno słowo: rozumiem...

— Mów — zachęciłem go, dolewając do szklanki wina — siedzieliśmy przecież w jednej celi. Po tej wojnie to prawie tyle samo, co gdybyśmy siedzieli w jednej ławie szkolnej...

— Nie tak łatwo utrzymałem się na stanowisku dziesiętnika w brygadzie budowlanej. W Rosji, jak wiesz, trzeba za wszystko płacić. W lutym 1942 roku, czyli w miesiąc zaledwie po przeniesieniu mnie z ogólnych robót do baraku technicznego, zostałem nocą wezwany do Trzeciego Oddziału. Był to okres, kiedy Rosjanie brali na Niemcach odwet za klęski na froncie nawet w obozach. W mojej brygadzie pracowało czterech Niemców — dwóch zrusyfikowanych zupełnie Niemców nadwołżańskich i dwóch komunistów niemieckich, którzy uciekli do Rosji w roku 1935. Pracowali doskonale: nie miałem im nic do zarzucenia, chyba to tylko, że unikali jak ognia rozmów na tematy polityczne. Zażądano ode mnie, abym złożył zeznanie, że słyszałem ich rozmawiających po niemiecku o bliskim nadejściu Hitlera. Mój Boże, jednym z największych koszmarów systemu sowieckiego jest mania legalnego likwidowania ofiar... Nie wystarczy strzelić komuś w łeb, trzeba jeszcze, żeby o to na procesie pięknie poprosił. Nie wystarczy uwikłać człowieka w ponurą fikcję, trzeba jeszcze, żeby potwierdzili ją świadkowie. Oficer NKWD nie ukrywał przede mną, że jeśli odmówię, wrócę na ogólne roboty, do lasu... Miałem więc do wyboru własną śmierć lub śmierć tych czterech...

Nalał sobie wina i trzęsącą się ręką podniósł szklankę do ust. Spod przymrużonych powiek widziałem jego spoconą, przekrzywioną strachem twarz.

— I wybrałem. Miałem dość lasu i tego przeraźliwego, codziennego wywijania się od śmierci — chciałem żyć. Złożyłem zeznanie. Rozstrzelano ich za zoną w dwa dni potem.

Zapanowała cisza. Postawił pustą szklankę na stoliku i skulił się na łóżku, jakby w oczekiwaniu na cios. Za

ścianą jakiś kobiecy głos zapiał fałszywym falsetem piosenkę włoską i umilkł nagle, ucięty przekleństwem. Zrobiło się trochę chłodniej, ale słyszałem nieomal, jak rozgrzane opony samochodów odrywają się z trzaskiem od lepkiego asfaltu.

— Gdybym to powiedział komukolwiek z ludzi, wśród których teraz żyję — podjął cicho — nie uwierzyłby lub uwierzywszy nie podałby mi ręki. Ale ty, ty przecież wiesz, do czego nas doprowadzono. Powiedz tylko to jedno słowo: rozumiem...

Poczułem, jak krew uderza mi do skroni, a wraz z nią cisną się przed oczy dawne obrazy, wspomnienia. Ale o ileż bardziej były zatarte wówczas, gdy tłumiłem je siłą, by uratować wiarę w ludzką godność, niż teraz, gdy nareszcie uspokojony — spoglądam na nie jak na ostygłą przeszłość! Może wymówiłbym bez trudu to jedno słowo nazajutrz po zwolnieniu z obozu. Może... Miałem już jednak za sobą trzy lata wolności, trzy lata wędrówek wojennych, udziału w bitwach, normalnych uczuć, miłości, przyjaźni, życzliwości... Dni naszego życia nie są podobne do dni naszej śmierci i prawa naszego życia nie są również prawami naszej śmierci. Wróciłem z takim trudem między ludzi i miałbym teraz od nich dobrowolnie uciekać? Nie, nie mogłem wymówić tego słowa.

— Więc? — zapytał cicho.

Wstałem z łóżka i nie patrząc mu w oczy, podszedłem do okna. Odwrócony plecami do pokoju, słyszałem, jak wychodzi i przymyka ostrożnie drzwi. Pchnąłem żaluzje. Na Piazza Colonna chłodny powiew popołudnia wyprostował przechodniów jak przyduszony posuchą do ziemi łan żyta. Pijani żołnierze amerykańscy i angielscy szli trotuarami, roztrącając Włochów, zaczepiając dziewczęta, szukając cienia pod parasolami wystaw sklepowych. Pod kolumnadą narożnego domu wrzała czarna giełda. Rzymscy „lazzaroni", mali oberwańcy wojenni, nurkowali między nogami ogromnych Murzynów w mundu-

rach amerykańskich. Miesiąc temu skończyła się wojna. Rzym był wolny, Bruksela była wolna, Oslo było wolne, Paryż był wolny. PARYŻ, PARYŻ.

Wyszedł z drzwi hotelu, jak ptak z przetrąconym skrzydłem przefrunął przez jezdnię i nie oglądając się za siebie, zniknął w kotłującym się tłumie.

Lipiec 1949—lipiec 1950

Spis treści

„Mój *Bildungsroman*" (*z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim rozmawia Włodzimierz Bolecki*) . . . 5

Część pierwsza

Witebsk—Leningrad—Wołogda 37
Nocne łowy 60
Praca 76
Dzień po dniu 76
Ochłap 93
Zabójca Stalina 100
Drei Kameraden 107
Ręka w ogniu 118
Dom Swidanij 144
Zmartwychwstanie 158
Wychodnoj dień 179

Część druga

Głód 205
Krzyki nocne 221
Zapiski z martwego domu 232
Na tyłach *otieczestwiennoj wojny* 260
Partia szachów 260
Sianokosy 271
Męka za wiarę 280
Trupiarnia 306
Opowiadanie B. 319
Ural 1942 327
Epilog: upadek Paryża 346

Printed in Poland
Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2006
31-147 Kraków, ul. Długa 1
Skład i łamanie: Edycja
Druk i oprawa: Drukarnia GS